

LISA GARDNER



DOM DLA LALEK

„Gardner nieustannie podnosi napięcie”.

Publishers Weekly



Lisa
Gardner
DOM DLA LALEK

Z języka angielskiego przełożyła
Daria Kuczyńska-Szymala



Tytuł oryginału:

CRASH & BURN

Copyright © Lisa Gardner, Inc., 2015

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Szara Sowa

Zdjęcie autorki: Philbrick Photography

Redakcja: Magdalena Stec

Korekta: Marta Chmarzyńska, Aneta Iwan, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-8110-188-2

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadruga.pl

www.soniadruga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Rozdział 42

Posłowie i podziękowania

Rozdział 1

Raz już umarłam.

W mojej pamięci, równie dobrze jak wszystko inne, zachowało się uczucie bólu, palącego, ostrego, a potem zmęczenie, głębokie i obezwładniające. Chciałam się położyć. Wyraźnie to sobie przypominam. Pragnęłam z tym skończyć. Ale nie zrobiłam tego. Pokonałam ból, zmęczenie, to cholerne białe światło. Wywalczyłam sobie powrót do krainy żywych.

Ze względu na Vero. Potrzebowała mnie.

Co ty zrobiłaś?

Teraz jestem lekka jak piórko. Wydaje mi się, że to nie jest dobry znak. Samochody nie są lekkie jak piórko. Luksusowe SUV-y nie latają. I czuję jakiś ostry, drażniący zapach. Alkohol. A dokładnie whisky. Glenlivet. Zawsze byłam dumna z tego, że pijam tylko dobre trunki.

Co ty zrobiłaś?

Mam ochotę krzyczeć. Gdy tak szybuję w powietrzu, by umrzeć po raz drugi, powinnam przynajmniej móc krzyczeć. Lecz z mojego gardła nie wydobywa się żaden dźwięk.

Zamiast tego patrzę przez przednią szybę, w ciemną jak smoła noc, i zauważam tylko to, że pada deszcz.

Jak tamtej nocy. Zanim...

Co ty zrobiłaś?

Latanie jest całkiem niezłe. To przyjemne uczucie, wręcz upajające. Wbrew prawu grawitacji, zostawiwszy daleko w tyle presję przyziemnego życia. Powinnam unieść ramiona i rozłożyć je szeroko na powitanie zbliżającej się po raz drugi śmierci.

Vero.

Śliczna, mała Vero.

A wtedy...

Grawitacja bierze odwet. Mój samochód nie jest już lekki jak piórko, gdy brutalnie łączy się na powrót z ziemią. Gwałtowny wstrząs. Echo uderzenia. Moje ciało, które dopiero co frunęło, teraz ciśnięte niczym szmaciana lalka na kierownicę, deskę rozdzielczą, drążek zmiany biegów. Brzęk pękającej szyby. Moja miażdżona twarz.

Ból, palący, ostry. A potem zmęczenie, głębokie i obezwładniające. Chcę się położyć. Pragnę z tym skończyć.

Vero – myślę.

A potem: O mój Boże, co ja zrobiłam?

Czuję wilgoć na twarzy. Oblizuję usta, smakując wodę, sól i krew. Próbuję

powoli unieść głowę, ale kończy się na eksplozji koszmarnego bólu. Kulę się, instynktownie przyciskając podbródek do klatki piersiowej, a potem opieram obolałe czoło o twardy plastik. Uświadamiam sobie, że kierownica auta wbiła mi się w pierś, a nogę mam wykręconą pod niemożliwym kątem, z kolaniem zaklinowanym gdzieś pod zgniecioną deską rozdzielczą. Upadłam – myślę – i nie mogę wstać.

Słyszę jakiś dźwięk. To śmiech. A może lament. Dziwny dźwięk. Wysoki, ciągły i jakby szalony.

Wydobywa się ze mnie.

Coraz więcej wilgoci. Deszcz wpada do samochodu. A może to ja z niego wypadłam. Nie jestem pewna. Whisky. Odór alkoholu jest tak silny, że chce mi się wymiotować. Wydaje mi się, że przesiąkła nim moja koszulka. Próbując dostrzec cokolwiek dokoła, zauważam rozsypane wokół siebie szkło. Resztki butelki.

Powinam się ruszyć. Odejść. Kogoś zawołać. Coś zrobić.

Głowa cholernie mnie boli, a zamiast aksamitnej czerni nieba pole mojego widzenia wypełniają eksplozje białych światła.

Vero.

Jedno słowo. Przesłania mój umysł. Unieruchamia mnie. Prowadzi. Każe iść naprzód. Vero, Vero, Vero.

Ruszam. Z wielkim trudem, a dźwięk lamentu zastępuje rozdzierający krzyk, gdy próbuję wydostać się z fotela kierowcy. Wygląda na to, że samochód wylądował na przedzie. Deska rozdzielczaomal mnie nie zmiażdżyła. Nie siedzę prosto, tylko przechylona do przodu, jakby moje audi złamało sobie nos i nie mogło odzyskać równowagi. To oznacza, że muszę włożyć wiele trudu, żeby wydobyć się z wąskiej, pełnej krzywizn przestrzeni pomiędzy fotelem a kierownicą i połamaną deską rozdzielczą.

Poduszka powietrzna. Zbędna masa materiału wokół ramion, którą przeklinam, blokuje mi ręce. Znów krzyczę, walczę i ciskam gromy, ale bezsensowna wściekłość dodaje mi przynajmniej adrenaliny, aż obezwładniające zmęczenie znika i pozostaje tylko ból, niekończący się, koszmarny ból. Wiem, że nie mogę sobie pozwolić na kontemplowanie go, więc wykręcam się jakoś bokiem spomiędzy fotela i kierownicy. Osuwam się, ciężko dysząc, na konsolę zmiany biegów. Nogi mam sprawne. Ręce też.

Głowa płonie.

Vero.

Dym. Czy ja czuję dym? Odczuwam ukłucie paniki. Dym, krzyki, ogień. Dym, krzyki, ogień.

Vero, Vero, Vero.

Biegnij!

Nie. Powstrzymuję się. Nie ma dymu. Był za pierwszym razem. Ile razy

kobieta może umrzeć? Nie jestem pewna. Mam rozmazane plamy przed oczami, czuję zapach mokrej ziemi i gorąco płomieni. Oddzielne, a jednak razem. Umieram. Nie żyję. Nie, tylko umieram. Nie, zaraz, nie żyję. Po raz pierwszy, drugi czy trzeci?

Sama nie wiem.

Liczy się tylko jedno. Zawsze tylko to się liczyło. Vero. Muszę uratować Vero.

Tylne siedzenie. Wykręcam się do tyłu. Najpierw uderzam się w lewe kolano, potem w prawe i znowu krzyczę. Kurwa. Nieważne. Tylne siedzenie. Muszę dostać się na tylne siedzenie.

Macam po ciemku, zlizując deszcz i błoto z warg, gdy inne doznania zaczynają do mnie docierać. Przednia szyba jest rozbita, podobnie jak szyberdach, dlatego do wnętrza dostaje się deszcz. Mój wspaniały, całkiem nowy i luksusowy SUV Audi Q5 jest krótszy o pół metra, jak nie więcej. Najgorzej oberwał sam przód, ale przednie drzwi też są wgniecione. Za to tył wydaje się stosunkowo nienaruszony.

– Vero, Vero, Vero.

Uświadamiam sobie nagle, że mam na rękach rękawiczki. Albo miałam. Szkło podarło je na wielkie, zakrwawione strzępy, które utrudniają mi poruszanie się. Ściągam jedną, a potem drugą, po czym wpycham je nieśmiało do kieszeni spodni. Nie potrafię rzucić ich na podłogę. Nie śmieję w swoim aucie. Nie przywykłam do traktowania go w ten sposób.

Głowa tak cholernie mnie boli. Mam ochotę zwinąć się w kłębek i spać, spać, spać.

Ale nie robię tego. Nie mogę. Vero.

Zmuszam się, żeby wykonać kolejny ruch, grzebię po prawej, potem po lewej, macając palcami w ciemnościach. Ale niczego nie znajduję. Nikogo. Szukam i szukam, najpierw na tylnej kanapie, potem, już chwiejnie, na podłodze. Ale małe ciało nie pojawia się w magiczny sposób.

A co, jeśli... Może ją wyrzuciło, może wypadła z szybującego auta. Samochód próbował latać, to może ona też.

Mamusiu, popatrz na mnie. Jestem samolotem.

Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam, co ja zrobiłam?

Muszę wysiąść z samochodu. Nic innego się nie liczy. Tam, na zewnątrz, jest coś w ciemnościach, deszczu, błocie. Vero. Muszę ją uratować.

Wyciągam się na łokciach z przodu zmiażdżonego auta na tył. A potem chwytam gwałtownie drzwi pasażera. Nie otwierają się. Szarpnię kławką, rozmazując krew. Pcham się na drzwi. Krzyczę, błagam, proszę, ale nic. Nie poddają się. Zderzenie, blokada dla bezpieczeństwa dzieci. Cholera!

Inne wyjście. Drzwi bagażnika na tyle. Znowu ruszam, żałośnie powoli, bo

ból głowy przyprawia mnie o mdłości i wiem, że zaraz zwymiotuję, ale nie przejmuję się. Muszę wydostać się z tego samochodu. Muszę znaleźć Vero.

Wymiotuję rzadką wydzieliną, która ma zapach drogiej whisky i długiej, zmarnowanej nocy.

Czołgam się przez ohydny kałużę i brnę dalej. Pierwszy łut szczęścia: uderzenie sprawiło, że drzwi bagażnika są otwarte.

Popycham je do końca. A potem, gdy przeczołganie się przez krawędź okazuje się niewykonalne dla moich poobijanych – połamanych? – żeber, wyciągam się na rękach i zwalam się na brzuch na ziemię. Błoto, miękkie i lepkie, łagodzi upadek. Przetaczam się na bok, dysząc z bólu, nadmiernego wysiłku i poczucia beznadziei.

Deszczu, deszczu, idź już sobie, przyjdiesz do nas w innej dobie.

Mamusiu, popatrz na mnie. Jestem samolotem.

Znowu czuję zmęczenie. Głębokie i obezwładniające. Mogłabym tak po prostu leżeć. Pomoc nadjedzie. Ktoś widział wypadek, słyszał huk. Jakiś przejeżdżający kierowca. Albo ktoś zauważył mój brak. Ktoś, komu zależy.

Twarz mężczyzny pojawia się w moim umyśle, ale znika, zanim zdołam ją uchwycić.

– Vero – szepczę. Do padającego deszczu, lepkiego błota, bezgwiazdnej nocy.

Zapach dymu – myślę, wciąż leżąc. Gorąco ognia. Nie, to było za pierwszym razem. Skup się, do diabła! Skup się!

Przetaczam się z powrotem i podejmuję wędrówkę.

Droga jest gdzieś wyżej. Dzielą mnie od niej błoto, trawa, postrzępione krzewy i ostre kamienie. Słyszę jakieś dźwięki w oddali, samochody przelatują nade mną ze świstem niczym egzotyczne ptaki, a ja, pełznąca na brzuchu centymetr za centymetrem, uświadamiam sobie, że są zbyt daleko. Są na górze, a ja na dole. Nigdy mnie nie zobaczą. Nie zatrzymają się i nie pomogą mi znaleźć Vero.

Jeszcze jeden centymetr, dwa, trzy, cztery. Gwałtownie wciągam powietrze, gdy uderzam się o kamień. Przeklinam, gdy zaplątuję się w krzew. Drżącymi palcami sięgam do przodu i szukam, szukam, szukam. Moja głowa wrzeszczy z bólu, a ja raz po raz zatrzymuję się, by wypluć żałosne drobiny żółci.

Vero.

A potem: Och, Nicky, co ty zrobiłaś?

Znow słyszę ten lamentujący dźwięk, ale nie zatrzymuję się. Nie chcę sobie uświadomić, że to cierpiące zwierzę, które go wydaje, to ja.

Nie wiem, jak długo czołgam się pośród śliskiego, osuwającego się błota. Wiem, że zanim dotrę do grzbietu wzgórze, będę umazana czarną mazią od stóp do głów. Bawi mnie to, zamiast przerazić. Pasuje – myślę sobie. Wyglądam tak, jak powinnam.

Jak kobieta, która wyczołgała się z grobu.

Światła. Bliźniacze punkciki, które się zbliżają. Opieram się na rękach i kolanach. Muszę, jeśli kierowcy mają mnie zauważyć. Jest w porządku, bo żebra mnie już nie boją. Moje ciało umilkło, krzyk w mojej głowie przeciążył wszystkie obwody i zostawił po sobie dziwną pustkę.

Może już nie żyję. Może tak wygląda śmierć – myślę, gdy podsuwam jedną stopę pod siebie i powoli, ale pewnie, wstaję.

Zgrzyt hamulców. Nadjeżdżającym autem zarzuca, kiedy kierowca za mocno naciska na hamulce przy mokrej nawierzchni. A potem jakimś cudem zatrzymuje się, tuż przed moją wyciągniętą ręką i bladą, mokrą od deszczu twarzą.

– Jezu... – Starszy mężczyzna, gładko ogolony, ukazuje mi się na moment, gdy wewnątrz samochodu rozjaśnia się, kiedy otwiera drzwi po stronie kierowcy. Wysiada niepewnie, prostuje się. – Czy z panią wszystko w porządku?

Nie mówię nic.

– Miała pani wypadek? Gdzie pani auto? Proszę pani, czy mam zadzwonić pod dziewięćset jedenaście?

Nie mówię nic.

Myślę tylko: Vero.

I nagle sobie przypominam. Przypominam sobie wszystko. Eksplozję światła, przerażenie i gniew. Ból przeszywający nie tylko moją głowę, ale i moje serce. I w tym momencie dokładnie dociera do mnie, kim jestem. Potworem spod łóżka.

Naprzeciwko mnie, jakby wyczuwając moje myśli, starszy pan wzdryga się i cofa o krok.

– Hm... Niech pani tam zostanie. Ja zaraz... zadzwonię po pomoc.

Mężczyzna znika w słabo oświetlonym wnętrzu samochodu. Nic nie mówię. Stoję w deszczu, chwiejąc się.

Po raz ostatni myślę: Vero.

I chwila mija, pamięć znika.

I nie jestem już nikim, tylko kobietą, która dwa razy powróciła z martwych.

Rozdział 2

Zgłoszenie otrzymano tuż po piątej rano: wypadek samochodowy, jedno auto poza drogą, nieokreślone obrażenia. W pobliskim mieście nie ma nocnych dyżurów policji – witamy w dzikim zakątku New Hampshire – więc na miejsce wysłany został patrol z hrabstwa. Policjant Todd Reynes dotarł tam po piętnastu minutach – ponownie witamy w dzikim zakątku New Hampshire, a raczej na tamtejszych długich i krętych bocznych drogach, które nigdy nie prowadzą prosto z jednego miejsca w drugie – akurat, gdy ratownicy medyczni próbowali przypiąć ubłoconą i zakrwawioną kobietę do noszy. Poinformowano go, że to ona kierowała i że z pewnością doznała rozległych obrażeń, a tak cuchnie alkoholem, że wystarczy postać obok, żeby się poczuć pijanym.

Starszy mężczyzna – inny kierowca, który znalazł tę kobietę i zadzwonił – nie odjechał. Trzymał się na uboczu, ale krótkim skinieniem głowy dał Reynesowi znać, że gotów jest złożyć zeznanie albo podpisać jakiś formularz, czy co tam trzeba zrobić, żeby oficjalnie zakończyć swój udział w czymś, w czym tak naprawdę nigdy nie zamierzało się uczestniczyć.

Policjant Reynes także skinął głową. Zdążył już pomyśleć, że sprawa jest raczej prosta. Pijany kierowca, którego zaraz odwiezie karetka, i rozbity samochód, który wkrótce zabierze pierwsza wolna laweta. I tyle.

Jednak w tym momencie przemoczona, umazana błotem i zakrwawiona kobieta złapała za zapięcie noszy, zerwała rzep z nieprzyjemnym zgrzytem, a potem usiadła prosto i zawołała:

– Vero! Nie mogę jej znaleźć. To mała dziewczynka. Boże, pomocy. Proszę, niech ktoś pomoże!

I dlatego tuż po siódmej na poboczu zaparkował sierżant Wyatt Foster z Wydziału Kryminalnego okręgu North Country. Jezdnia wyschła, ale teraz zajmowały ją pojazdy niemal wszystkich możliwych służb działających pomiędzy Concord a Kanadą. Może to przesadne stwierdzenie, lecz jeśli nawet, to w niewielkim stopniu – pomyślał.

Wyatt wysiadł z auta i skrzywił się, czując chłód późnojesiennego poranka. Od wielu dni nieustannie padało, ogłaszano zagrożenie gwałtownymi powodziami, to był istny potop. Dobrą wiadomością było to, że w końcu opady ustały. A złą fakt, że silna burza, która szalała przez większą część nocy, prawdopodobnie splukala niemal wszystkie użyteczne ślady, które mogłyby im pomóc odnaleźć zaginioną dziewczynkę.

Psy – pomyślał. To zadanie przekraczało ludzkie możliwości. Potrzebowali psów.

Spostrzegł jednego ze swoich detektywów, Kevina Santosa, który stał

kilkadziesiąt metrów dalej, uważnie przyglądając się skrajowi drogi. Kevin miał na sobie najgrubszą kurtkę, choć to nie była jeszcze zima, jedną rękę wsunął głęboko do kieszeni, a drugą trzymał duży biały kubek z Dunkin' Donuts. Wyatt podszedł do niego.

– Nie masz przypadkiem dwóch? – zapytał, wskazując kawę.

Kevin uniósł brew. Dziesięć lat młodszy od Wyatta, miał niemal encyklopedyczną pamięć, przez co zasłużył sobie na przydomek Mózg. Po raz kolejny udowodnił potęgę swojego umysłu.

– Kupiłem cztery. W takich sytuacjach kawy nigdy za wiele.

Pokazał na swoje auto, na którego masce rzeczywiście stała kartonowa tacka z trzema dodatkowymi kubkami kawy. Wyatta nie trzeba było dwa razy prosić.

– Oświecisz mnie? – zapytał, gdy po drugim łyku poczuł ciepło rozchodzące się po ciele.

Kevin wskazał przed siebie, a raczej w dół, bo za krawędzią drogi zaczynał się dość stromy jar. Niewiele drzew, dużo krzewów, przewróconych pni, kamieni i innych elementów leśnego poszycia, które na samym dnie, w odległości kilkudziesięciu metrów kończyły się szemrzącym cicho strumykiem. Zazwyczaj, bo tego ranka, dzięki obfitości darów Matki Natury, zamienił się on we wzburzony, rwący strumień.

Tuż nad jego brzegiem Wyatt dostrzegł tył ciemnego SUV-a, tkwiącego tam pod dziwnym kątem, z otwartą klapą bagażnika.

– Audi Q5 – poinformował go Kevin.

Wyatt był pod wrażeniem. Luksusowy wóz, nowość na rynku. To sporo mówiło, choć niezbyt mu się podobało. Dawniej można było od razu założyć, że kierujący pod wpływem to albo stary pijak, albo durny dzieciak. Teraz to były zwykle zamożne panie domu, narabane aż miło przeróżnymi lekami na receptę. I oczywiście wszystkiemu zaprzeczały. Innymi słowy, nie będzie łatwo.

– Wygląda na to, że zjechał z drogi mniej więcej tutaj – powiedział Kevin, wskazując na ziemię ręką, w której trzymał kubek.

Wyatt spojrział w dół. Rzeczywiście, tam, gdzie jezdnia przechodziła w błotnistą glebę, wyraźnie widać było ślady opon, rozmyte przez deszcz, ale na tyle głębokie, że nadal były widoczne.

– Prosto jak strzała – mruknął Wyatt, przesuwając wzrok na miejsce ostatniego spoczynku Q5.

– Robocza hipoteza brzmi, że wyleciała z zakrętu.

Tym razem Kevin wskazał na drogę, która skręcała w lewo, podczas gdy audi pojechało zdecydowanie na prawo.

– Musiała już wcześniej wpaść w poślizg – stwierdził Wyatt, przyglądając się nachyleniu drogi za sobą, a potem znowu z przodu. – W przeciwnym razie auto pojechałoby dalej, zanim zjechało z jezdni.

– Może zasnęła. Straciła przytomność. Coś w tym stylu. Todd zna się na jeżdżących na podwójnym gazie.

Wyatt skinął głową. Todd Reynes był doświadczonym policjantem, który brał udział w DARE, specjalnym programie uświadamiania zagrożeń związanych z używkami. Miał nosa do pijanych kierowców, twierdził, że jest w stanie ich zauważyć z odległości paru kilometrów. Był też świetnym hokeistą. W górach New Hampshire to dwie bardzo przydatne umiejętności.

– Todd twierdzi, że jeszcze nigdy nie czuł takiego smrodu. Chyba miała w samochodzie otwartą butelkę, która potłukła się przy zderzeniu, bo całe jej ubranie nasiąkło whisky.

– Whisky?

– W rzeczy samej. Okazało się nawet, że to szkocka. Glenlivet. Osiemnastoletnia single malt. Bardzo dobra. Trochę oszukuję, widziałem resztki butelki.

Wyatt przewrócił oczami.

– A więc pani za kierownicą popija sobie szkocką, akurat po nią sięga i nie trafia w zakręt. Może jest zbyt pijana, żeby go zauważyć. A może już odleciała. W każdym razie szybuje w ciemnościach.

– Na to wygląda.

Technicy to oczywiście sprawdzą. Obejrzą miejsce wypadku przez tachimetr elektroniczny, podobny do urządzeń używanych do pomiarów przez geodetów, który pomierzy kąty, trajektorie, połączy punkt A z punktem B. Potem komputer wypłuje dokładny raport, wyjaśniający co, gdzie, dlaczego i jak. Na przykład nieprzytomny kierowca zjechałby z drogi przy niskiej częstotliwości obrotów albo zerowej – nie miałby nogi na gazie. Natomiast kobieta jadąca jak szalona, która tu gwałtownie hamuje, tam ją zarzuca, zostawiłaby inne ślady. Wyatt i Kevin byli wykwalifikowanymi członkami zespołu technicznej rekonstrukcji wypadków drogowych. Już nieraz to robili. I jeszcze będą robić.

Ale nie tego ranka. Tego ranka zarówno oni, jak i dziesiątki reprezentantów innych służb mundurowych – lokalnych, okręgowych i stanowych – roić się będą w tym zimnym, błotnistym miejscu z jednym jedynym celem w głowach: znalezienia zaginionej dziewczynki.

– W takim razie – rzucił szybko Wyatt – zakładając, że pojazd zjechał z drogi tutaj i poszybował aż do miejsca tam w dole...

– Pierwszy patrol zaczął poszukiwania w promieniu piętnastu metrów od samochodu. Teraz oczywiście sprawdzamy teren z powrotem w górę jaru. Jest stromo, ale nie ma gęstych zarośli, a mimo to...

Z punktu, w którym się znajdowali, roztaczał się znakomity widok. Z pewnością kilka godzin temu, w środku nocy, podczas burzy, nie było nic widać. Ale teraz – Wyatt zerknął na zegarek – o siódmej dwadzieścia pięć, czyli o brzasku

zalewającym przytłumionym szarym światłem błotnisty, pokryty krzewami teren...

Nie ruszając się z miejsca, byli w stanie przeświecić wzrokiem znaczną część jaru. I gdziekolwiek Wyatt nie spojrział, widział tylko i wyłącznie błoto.

– Psy – powiedział.

Kevin się uśmiechnął.

– Już po nie dzwoniłem.

Zeszli z jezdni i ruszyli po błotnistym zboczu.

– Co wiemy o dziewczynce? – zapytał Wyatt, gdy brnęli w dół do wraku. Błoto wciąż było bardzo miękkie, utrudniając każdy krok. Uważnie patrzył pod nogi, po części po to, żeby nie złamać karku, a po części, żeby nie zdeptać czegoś, co mogło się przydać. Kawa przelała się przez małą dziurkę w pokrywce kubka i spłynęła mu po ręce. Przykra utrata cennego napoju.

– Nic.

– Co to znaczy „nic”? Jak to możliwe?

– Ta kobieta gadała od rzeczy. Przez alkohol, obrażenia, kto tam wie. Todd twierdzi, że najpierw była jak sparaliżowana, a potem w ułamku sekundy wpadła w histerię. Ratownicy przypięli ją w końcu do noszy i odwieźli, zanim zrobiła komuś krzywdę.

– Ale wspomniała o córce?

– Vero. Nie mogła jej znaleźć. „To mała dziewczynka. Pomóżcie, proszę”.

Wyatt zmarszczył brwi, nie podobało mu się to.

– Wiek w przybliżeniu?

– Nie znaleźliśmy nosidełka ani fotelika z tyłu auta. A poduszka powietrzna pasażera z przodu się nie uruchomiła. Podsumowując, chodzi raczej o dziecko za duże na fotelik, ale za małe na jazdę obok kierowcy.

– Więc prawdopodobnie między dziewięć a trzynaście. Tak zwany młodszy nastolatek.

– Wiesz na ten temat więcej niż ja, przyjacielu.

Wyatt przewrócił oczami, ale nie dał się podpuścić.

– Ślady krwi? – zapytał.

– Proszę bardzo. Wnętrze auta wygląda jak rzeźnia. Kobieta, która nim kierowała, doznała licznych ran szarpanych, przed wypadkiem, po wypadku, nie wiadomo. Ale zanim udało jej się rozpiąć i przeczołgać po rozbitym szkłe na tył wozu... To cud, że miała dość siły wybrać się na wycieczkę w górę jaru i jeszcze zatrzymać przejeżdżającego kierowcę.

– Wybrać się na wycieczkę? – Wyatt przystanął.

Kevin również. Obaj spojrzeli do tyłu na drogę, która znajdowała się już wysoko nad nimi.

– Przecież inaczej nikt by jej nie znalazł – stwierdził słusznie Kevin. – Nikt nie zauważyłby w środku nocy samochodu, który spadł w głąb jaru. Do diabła,

przecież ty i ja ledwo dostrzeegliśmy go za dnia, i to patrząc prosto na niego.

– Cholera – rzucił cicho Wyatt, bo... Cóż, tak po prostu. Był krzepkim mężczyzną i lubił myśleć o sobie, że jest dość sprawny fizycznie, i to nie tylko z racji wykonywanego zawodu, lecz także dlatego, że jego hobby było stolarstwo, a nie ma to jak kilka godzin w tygodniu z młotkiem, żeby utrzymać w formie bicepsy i tricepsy. I mimo to zejście w dół zbocza i przedzieranie się w lepkim błocie przez gęste, kłujące krzewy okazało się dla niego trudnym zadaniem. Nie wyobrażał sobie pokonania tego samego odcinka w górę, a co dopiero w strugach deszczu i tuż po ciężkim wypadku.

– Kierowca, którego zatrzymała, nazywa się Daniel Ledo – oznajmił Kevin.
– Twierdzi, że nie powiedziała nawet słowa. Jest weterynarzem, spędził trochę czasu w Korei. Według niego wyglądała, jakby była w szoku pourazowym, dosłownie. Nie reagowała, dopóki ratownicy nie zaczęli jej zapinać. Bo wtedy zauważyła Todda i bach, zaczęła się rzucać i wrzeszczeć o tej dziewczynce, Vero, że nie mogła jej znaleźć i że musimy jej pomóc.

– Skoro nie mogła znaleźć Vero, to znaczy, że szukała.

– Jasne – potwierdził Kevin.

– Czołgając się przez kamienie i błoto. Dlatego wygrzebała się z auta. I dlatego dotarła aż do drogi. Bo szukała pomocy dla zaginionego dziecka.

– Słusznie.

– A my...?

– Nic nie mamy. Dwie godziny drobiazgowych poszukiwań przez ponad tuzin mundurowych, nie wspominając o jeszcze większej liczbie pomocników z koła łowieckiego. Przyjechałem pół godziny przed tobą, Wyatt. Oni już byli na miejscu, już szukali. Zaczęli od piętnastometrowego kręgu wokół wraku. A teraz poruszają się w promieniu ośmiu kilometrów. Nie mam na razie żadnych zastrzeżeń do naszych poszukiwań.

Wyatt rozumiał, do czego pije jego detektyw. Ciało wyrzucone z auta powinno być łatwe do odnalezienia. Przestraszona dziewczynka, która skuliła się gdzieś, żeby przeczekać noc, odezwałaby się na wołanie. A to oznacza, że...

Wyatt popatrzył wokół na splątane poszycie, w którym ranne, dezorientowane dziecko mogło chować się godzinami. Spojrzał na strumyk, teraz przypominający rwącą rzekę, który z łatwością mógł porwać nieprzytomne ciało.

– Psy – powtórzył.

Ruszyli w stronę wraku.

Audi Q5 premium powinno wyglądać pięknie. Grafitowy lakier, połyskujący jednocześnie czernią i srebrem. Wnętrze w dwóch barwach, przepyszne srebrnoszare siedzenia, atramentowo czarne wstawki i chromowane akcenty. Jeden z SUV-ów zaprojektowanych po to, by pomieścić zakupy, pół drużyny piłkarskiej i psa i na dodatek wyglądać przy tym cholernie dobrze.

A teraz osiadł tyłem do góry, z przodem wbitym w błotnistą ziemię i z otwartą klapą bagażnika. Wyglądał niczym lśniący pocisk, który, omyłkowo wycelowany, utknął w lasach New Hampshire.

– Wykańczane tytanem dwudziestocalówki – mruknął Kevin, głosem pełnym podziwu i tęsknoty. – Sportowa kierownica. Ośmiobiegowy automat z możliwością przełączenia na tryb manualny. To wersja trzy zero, a to znaczy, że ma sześciolitrowy silnik i przyspiesza do setki poniżej sześciu sekund. Taka moc, i kije do golfa też się zmieszczą!

Wyatt nie podzielał zamiłowania Kevina do aut i do statystyk.

– Ale ma napęd na cztery koła? – Tylko to go interesowało.

– Standardowo, jak we wszystkich audi.

– Kontrolę stabilności? ABS? Wszystko, co powinno pomóc kierowcy w deszczową noc?

– Oczywiście. Nie wspominając o ksenonowych reflektorach, światłach LED i pół tuzinie poduszek powietrznych.

– To znaczy, że powinien poradzić sobie w tych warunkach? W ciemną, deszczową noc?

– Z całą pewnością, chyba że doszło do jakiejś niespodziewanej usterki mechaniki albo elektroniki...

Wyatt odchrząknął. Nie był zaskoczony. Współczesne samochody przypominają raczej komputery na kółkach niż proste pudła do przewożenia. A co dopiero takie eleganckie audi...

Do diabła, ten samochód miał co najmniej kilka wbudowanych systemów bezpieczeństwa, nie wspominając o środkach zabezpieczenia samego kierowcy. Więc skoro skończył w taki sposób...

Najlepszą metodą na rozpracowanie przebiegu wypadku jest rozpoczęcie od końca – od wraku – i cofanie się w czasie aż do znalezienia przyczyny: hamowania, którego zabrakło, czy poślizgu, który doprowadził do gwałtownego skrętu prosto na barierkę. W tym przypadku auto wylądowało pod kątem czterdziestu pięciu stopni, przyjmując na przód efekt uderzenia, co dało w rezultacie zgniecioną maskę, rozbitą szybę przednią, a także boczne i inne skutki frontalnego zderzenia z dużą prędkością.

Nie spostrzegł odprysków lakieru czy zadrapań na bokach auta, co świadczyło o tym, że audi nie stoczyło się ze zbocza przez gęstwinę krzewów, tylko raczej nad nimi przeleciało. I miało wystarczającą prędkość, żeby, mówiąc obrazowo, zanurkować na główkę. Pod kątem prostym, na jego oko, choć oczywiście wykresy z tachimetru elektronicznego powiedzą więcej. W każdym razie wóz zjechał z drogi w miejscu, w którym pili przed chwilą kawę, a potem szybował krótko, zanim spadł gwałtownie na ziemię, wbijając się przodem w błotną breję.

Pierwsze pytanie: Dlaczego samochód zjechał z drogi? Błąd kierowcy, zwłaszcza że była pod wpływem? Czy coś innego? Drugie pytanie: Przy jakiej prędkości i przy jakich obrotach? Inaczej mówiąc, czy przefrunęła nad krawędzią, dociskając gaz do dechy, niczym wiedzona misja, czy też auto zsunęło się w przepaść, a kierująca odzyskała przytomność tylko po to, żeby podjąć z góry skazaną na porażkę próbę ratowania sytuacji?

Miał szczęście. Wszystkie te nowoczesne komputery na kółkach mają elektroniczne rejestratory, które zapisują ostatnie chwile samochodu prawie jak czarne skrzynki samolotów. Okręgowy komisariat policji nie dysponował własnym urządzeniem do odczytywania takich danych, ale policja stanowa prześle je na ich komputer i w ten oto magiczny sposób znajdą odpowiedzi na wiele pytań.

Na razie postanowił skupić się na tym, co najpilniejsze. Zaginione dziecko, dziewczynka, prawdopodobnie między dziewiątym a trzynastym rokiem życia.

Wokół wraku widać było ślady stóp, ale biorąc pod uwagę ich ilość i rozmiary, Wyatt uznał, że należą do ludzi z ekipy poszukującej dziecka, a nie do pasażerów samochodu wysiadających przez przednie drzwi. Żeby mieć pewność, założył lateksową rękawiczkę, podszedł i pociągnął za klamkę od strony pasażera. Oczywiście. Zablokowane. Sprawdził drzwi z tyłu, też nie dało się ich otworzyć, bo siła uderzenia tak wygięła ramę, że nie działały.

Pozostała otwarta kłapa bagażnika. Ruszył na tył, wypatrując na ziemi śladów. Generalnie widział ślady grubych podeszew, typowych dla służb mundurowych.

– Sprawdzili najpierw grunt? – zapytał Kevina. – Todd, któryś z pierwszych ratowników? Sprawdzili ślady stóp?

– Todd mówił, że poświecił latarką. Nic nie zobaczył w takich warunkach. Ale nawet bez śladów uznał, że kierowca wyszedł przez otwartą kłapę z tyłu. To jedyne działające drzwi.

– Więc zakładając, że dziewczynka jest przytomna, też musiała tędy wyjść – stwierdził Wyatt. – Zastanawiam się... Matka, kierowca, prawdopodobnie poczuła, że właśnie zdarzył się wypadek, tak? Odzyskała świadomość, rozejrzała się za dzieckiem, spanikowała, gdy nie mogła go znaleźć, i rozpoczęła heroiczną wędrówkę w poszukiwaniu pomocy. Ale może, uwzględniając wpływ alkoholu i siłę zderzenia... może przez jakiś czas była nieprzytomna. Może odzyskała świadomość dopiero po piętnastu, dwudziestu, trzydziestu minutach od zderzenia. A w tym czasie córka próbowała ją ocucić, przestraszyła się, gdy nie uzyskała żadnej reakcji, i wyruszyła na własną rękę.

Kevin nie miał nic do powiedzenia. To wszystko były hipotezy, a Mózg preferował twarde statystyki.

– Komórka? – zapytał Wyatt.

Na to pytanie Kevin umiał odpowiedzieć.

– Wyciągnięto jedną spod deski rozdzielczej, zarejestrowana na kierowcę.
I tyle.

Wyatt rozważył wnioski.

– Znasz jakieś dziecko, które nie miałoby komórki? – zapytał Kevina.

– Ja? Zakładasz, że znam się na dzieciach?

– Masz bratanków, siostrzenice...

– Pewnie, wszyscy mają iPody, smartfony i tak dalej. Ogólnie rzecz biorąc, w naszym interesie jest wciskanie im elektronicznych gadżetów do rąk. W przeciwnym razie mogłyby zechcieć z nami porozmawiać.

– Więc zakładając, że nasza zguba to dziewczynka w wieku od dziewięciu do trzynastu lat, jest bardzo prawdopodobne, że ma telefon, a zatem... – Zaczął się zastanawiać, jak to najlepiej wyrazić. – Czemu go nie użyła? Dlaczego nie została w samochodzie, gdzie jest stosunkowo sucho, i nie zadzwoniła po pomoc, dla siebie, dla matki, zamiast błąkać się w burzową noc? Ta komórka kierowcy ma tu zasięg?

Kevin skinął.

– Operatorem jest Verizon. Moim też, a ja mam tu cztery kreski.

– A więc to nie problem z zasięgiem. Choć może...

Starął się to dobrze przemyśleć, wczuć się w sytuację przestraszonej dziewczynki. Dzieci potrafią być pomysłowe i silniejsze, niż się zakłada. Wiedział to zarówno z zawodowych, jak i osobistych doświadczeń.

– Adrenalina kazała biedulce uciekać albo walczyć – podsunął Kevin. – Może wybrała ucieczkę.

– A może ona też jest ranna. Uderzyła się w głowę, straciła orientację. – Szczerze mówiąc, możliwości było mnóstwo. Wyatt poczuł niepokój. Nic nie mógł poradzić na to, że stanęła mu przed oczami Sophie, dziewięciolatka po koszmarnych przejściach, patrząca na niego niewidzącym wzrokiem. Co zrobiłaby w takiej sytuacji? Znajac jej charakter, pewnie wyciągnęłaby matkę z fotela kierowcy i własnymi rękoma wtargała po błotnistym zboczu. Takim była dzieckiem.

I wcale go nie nienawdziła. Po prostu się do niego nie uśmiechała. Ani z nim nie rozmawiała. Ani w żaden widoczny sposób nie przyjmowała do wiadomości jego obecności. Ale to w porządku. Walka dopiero się zaczęła, a on miał w rękawie dużo asów. Chyba.

– Sprawdźmy tę potencjalną komórkę – powiedział. – Skontaktuj się operatorem kierowcy, sprawdź, czy ma umowy na inne osoby, wiesz, plan rodzinny czy coś takiego. Bo jeśli ma telefon...

– To go znajdziemy – dokończył Kevin.

– A tam, gdzie jest telefon, jest i...

– Nastolatek.

– Właśnie.

Wyatt, zadowolony, że w końcu wymyślił coś konkretnego, kontynuował pobieżne oględziny wraku. Przeszedł na drugą stronę, do drzwi kierowcy, gdzie pokryta siateczką pęknięć szyba wypadła na ziemię. Być może została wypchnięta łokciem przez kobietę. Albo wybita pięścią, gdy rozpaczliwie próbowała wydostać się z rozbitego auta.

Zajrzał do środka. Jak przy większości czołowych zderzeń deska rozdzielcza została zniszczona, a kolumna kierownicy przesunęła się do fotela kierowcy. Dostrzegł splątany, niewypięty pas, co wskazywało na to, że kierująca autem kobieta miała go zapięty w momencie uderzenia, a potem wysunęła się z niego, żeby wysiąść. Pomyślał, że wyswobodzenie się z tego bałaganu nie mogło być łatwe. Zwłaszcza biorąc pod uwagę jej prawdopodobne obrażenia – złamanie stopy lub kostki z powodu wdeptywania z całej siły hamulca w daremnej próbie powstrzymania upadku w przepaść oraz siniaki na brzuchu, żebrach i ramionach od pasa. Widział kierowców, którym otwierająca się poduszka powietrzna poparzyła dłonie, kierownica połamała kciuki, a kolumna kierownicza zmiądzzyła mostek.

A ten wypadek był naprawdę poważny. Potwierdzała to kolejna wyraźna wskazówka: krew. Mnóstwo krwi. Plamy i smugi na kierownicy, na desce rozdzielczej, na tyle jasnosrebrnego fotela, na framudze drzwi. Kobieta krwawiła, prawdopodobnie poraniona w wielu miejscach, zważywszy na większe odłamki szkła – z butelki po szkockiej – i drobne barwione okruchy rozbitej szyby. Widział nawet całe odbite dłonie w miejscach, gdzie próbowała znaleźć oparcie, chwytając się deski rozdzielczej, krawędzi fotela, czegokolwiek, żeby się stamtąd wydostać.

Zastanawiał się, czy była nieprzytomna w momencie zderzenia. Straciła na moment przytomność podczas jazdy. I ocknęła się zaraz potem w rozbitym samochodzie. A może było gorzej? Może odzyskała świadomość w momencie, gdy auto szybowało w przepaść? Zaczęła krzyczeć? I rozpaczliwie wciskać hamulec? A może instynktownie sięgnęła do tyłu do córki, jakby była w stanie w tej ostatniej chwili w jakikolwiek sposób cofnąć koszmarny błąd, jaki najwyraźniej popełniła?

Wyatt nie mógł się zdecydować. Z jednej strony imponowały mu wysiłki kobiety, by wydostać się z wraku i dopełznąć do drogi, żeby szukać pomocy dla dziecka. Z drugiej, czy to nie było niczym podziwianie podpalacza za to, że uciekł z płonącego budynku?

Zmarszczył brwi, gdy jego wzrok padł na drążek zmiany biegów. Był w pozycji neutralnej, a nie jazdy, jak się spodziewał. Zerknął przez ramię na Kevina.

– Ktoś wsiadał do auta?

– Nie.

– Wyłączał silnik?

– Nie, pewnie sam zgasł. Nie wiem. Todd był tu pierwszy. Odkąd dowiedział

się o dziecku, na tym się skupiliśmy.

Wyatt pokiwał głową, ochrona życia zawsze była priorytetem.

– Jest na luzie – powiedział.

Teraz to Kevin mógł się wykazać pomysłowością.

– Coś uderzyło w drążek? Przy zderzeniu dużo rzeczy gwałtownie zmienia położenie. Przedmioty luzem, torebki, łokcie pasażerów. A może to kobieta, próbując wyswobodzić się z pasów, szturchnęła go i przesunął się na luz.

– Możliwe. – Wyatt się wyprostował. Nie był do końca usatysfakcjonowany, ale nie było teraz na to czasu. Zajmą się tym później, gdy auto zostanie już stąd odholowane, a drzwi i fotele starannie wymontowane i przetransportowane na badania do laboratorium stanowego. Ustawienie fotela kierowcy. Lusterek. Odcisk prawej dłoni tu, a lewej tam. Nie wspominając o analizie z tachimetru czy danych odzyskanych z zapisu elektronicznego. Takiego wypadku jak ten nie rekonstruuje się w ciągu paru godzin, tylko w ciągu paru dni, a nawet tygodni.

Ale zrobią to. Dokładnie. Skrupulatnie. Tak, żeby cały świat mógł się dowiedzieć, co w pewną ciemną, burzową noc zalana szkocką matka zrobiła sobie i swojemu dziecku.

Jak na zawołanie Wyatt usłyszał dochodzące z góry szczekanie. Przyjechała jednostka z psami.

Wyprostował się i odsunął od auta, żeby zerknąć na zegarek.

Ósma dwadzieścia dwie. Mniej więcej trzy godziny i piętnaście minut po pierwszym zgłoszeniu wciąż mieli wypadek do zbadania, a przede wszystkim dziecko do odnalezienia.

Uznał jednak, że wszystkie ścieżki prowadzą w tym samym kierunku. W górę błotnistej jary, ku srebrnej wstędze drogi, tam, gdzie tragedia miała swój początek i gdzie teraz czekał pies tropiący.

Razem z Kevinem zaczęli się wspinać.

Rozdział 3

– Popatrz na mnie, mamusiu! Popatrz! Umiem latać.

Biegnie przed siebie, rozkładając szeroko ramiona i wydając różnymi usteczkami dźwięki samolotu. Podziwiam jej długie, ciemne włosy, które aż podskakują, gdy jej małe nóżki tupoczą po niewielkiej przestrzeni.

Zastanawiam się, czy ja w jej wieku też byłam tak pełna energii. Albo tak odważna, kiedy przeskakuje nad jedną przeszkodą i sprawnie omija kolejną.

Czuję, że gdzieś z tyłu głowy mam już odpowiedź na to pytanie i że lepiej trzymać się od niej z daleka.

Ciesz się tą chwilą. Czteroletnią Vero, która uczy się latać.

Chichocze, zwiększając obroty i nabierając rozpędu. A jej dźwięczna radość zdejmuje mi ciężar z piersi. Bierze zakręt, omija wystrzępioną brązową kanapę – wypełnienie wychodzi przez rozdarcie, ktoś powinien to naprawić, czy to ja powinnam to zrobić? – a ja widzę jej twarz, zaróżowione puciołowate policzki, błyszczące szare oczy otoczone gęstymi rzęsami, kiedy nakierowuje się na cel i zmierza prosto na mnie.

– Mamusiu! Umiem latać, umiem, umiem!

Kocham cię – myślę. Ale nie mówię tego. Te słowa nie padają. Stoję tam, przygotowując się na zderzenie, gdy pruje prosto na mnie.

Zwolnij. Pomału. Prawie jakbym wiedziała, co się zaraz stanie.

W ostatniej chwili jej malutka stopa zahacza o nogę stolika do kawy i przez moment rzeczywiście leci, mocno wyciągnięta, machając rączkami i nóżkami w pustce.

Oczy Vero się rozszerzają.

Jej usta układają się w wyrażające idealne zdziwienie „o”.

– Mamusiu! – krzyczy.

– Ciii... – mówię szeptem. Nie hałasuj. Niech cię nie słyszy.

Twarde lądowanie. Stukot. I chrzęst.

I dopiero wtedy słyszeć prawdziwy krzyk.

– Ciii... – znowu ją uciszam.

Wpatrzona we mnie szare oczy napęcznieją się łzami.

Krzyk mężczyzny z sypialni. A potem ciężkie, złowieszcze kroki.

– Mamusiu, umiem latać – mówi Vero i już nie płacze. Po prostu stwierdza fakt.

Wiem – chcę jej powiedzieć. Rozumiem.

Chciałabym sięgnąć, dotknąć jej włosów, pogłaskać policzek.

Zamiast tego zamykam oczy, bo gdzieś z tyłu głowy wiem, co się teraz wydarzy.

Budzi mnie popiskiwanie jakichś urządzeń. Jasne światło razi mnie w oczy. Mrużę je instynktownie, odwracam głowę i natychmiast tego żałuję, bo moje czoło eksploduje bólem.

Leżę w szpitalnym łóżku. Na plecach, ręce mam przyciśnięte do boków szorstkim białym prześcieradłem, które przykrywa cienki niebieski koc. Patrzę na metalowe poręcze po obu stronach łóżka, a potem na przewody wychodzące z klipsa na moim palcu i prowadzące do różnych monitorów. Mam sucho w ustach i drapie mnie w gardle. Jęknęłabym, ale nie stać mnie na taki wysiłek.

Boli mnie... wszystko. Całe ciało, od stóp do głów i po czubki palców. Najpierw myślę, że musiałam spaść z dwudziestego piętra i połamałam wszystkie kości. Potem zastanawiam się, po co zadali sobie trud, żeby mnie poskładać. Skoro zebrałam się na odwagę, żeby w końcu skoczyć, to nie mogli zostawić mnie w spokoju?

A potem widzę jego, z pochyloną do przodu głową na krześle ustawionym w nogach łóżka.

Ściska mnie w sercu. Myślę: Kocham cię.

Znow eksplozja bólu w głowie. Myślę: Zostaw mnie, do cholery, w spokoju!

A później: Jak on, do diabła, ma na imię?

Mężczyzna ma zniszczoną twarz, z głębokimi zmarszczkami od zmartwień i stresu nawet podczas snu. Ale to nadaje mu sympatyczny, całkiem atrakcyjny wygląd. Jest raczej po czterdziestce niż przed, ma ciemne włosy z licznymi siwymi pasmami, a ciało wciąż szczupłe pomimo upływu lat. Podoba mi się to ciało. Wiem to na pewno.

A mimo to nie chcę, żeby się obudził. Wolałabym, żeby nigdy mnie tu nie znalazł.

Mamusiu, umiem latać – szepcze Vero z tyłu mojej głowy.

Przypomina mi się stare powiedzenie lotników. To nie latanie jest trudne, tylko lądowanie.

Mężczyzna otwiera oczy.

Nie jest dla mnie niespodzianką, że są brązowe, ponure i przepastne.

– Nicky? – szepcze, od razu unosząc ramiona. Spina się całe jego ciało.

– Vero? – chrypię. – Błagam... Gdzie jest Vero?

Mężczyzna nie odpowiada. Jego ciało opada z powrotem, moje pierwsze słowa pozbawiły go woli walki. Zasłania oczy dłonią, może po to, żebym nie mogła dostrzec czającej się w nich odpowiedzi.

I wtedy mężczyzna, którego kocham, mężczyzna, którego nienawidzę – jak on ma, do diabła, na imię? – szepcze zgnębiony:

– Och, skarbie. Tylko nie znowu to.

Rozdział 4

– Wabi się Annie. Dobra dziewczynka. Ma cztery lata i jest trochę hałaśliwa, ale za to pełna zapału. I doskonale pracuje. To na pewno.

Opiekun psa, Don Frechette, sięgnął dłonią i z czułością podrapał psa za uchem. W odpowiedzi Annie, energiczny biszkoptowy labrador, tak mocno zamachała ogonem, że prawie uderzyła się nim we własny pysk.

Wyatt lubi psy. W poprzednim trudnym śledztwie, które prowadził, pies od tropienia zwłok znalazł pięćdziesięcioletnią kość w suchym korycie strumienia. Wyglądała jak zeschnięta gałąź i cuchnęła błotem. Jeden z młodszych policjantów już miał ją odrzucić na bok, ale towarzysząca im antropolog sądowa złapała go za rękę. „Ten śmieć? – zapytał policjant. – Przecież to tylko patyk”.

Antropolog sądowa uznała, że to zabawne. Później jednak wyznała Wyattowi, że to był prawdziwy cud. Wyjaśniła, że na kości już dawno nie było żadnej materii organicznej. Co więc pies mógł wyczuć? „Ale psy zawsze wiedzą” – stwierdziła z zadumą. Dodała, że o tych wszystkich nowych wynalazkach w zakresie GPS czy badań kryminalistycznych można zapomnieć; za każdym razem, gdy pracowała w terenie, potrzebny był jej tylko i wyłącznie dobry psi nos.

Tessa nawet wyraziła zainteresowanie nabyciem psa. Może mógłby zabrać ją i Sophie w ten weekend do schroniska, gdzie wybraliby sobie nowego członka rodziny. Na pewno zarobiłby parę punktów u dziecka.

A może to byłoby zbyt nachalne? Tessa wyraźnie dała mu do zrozumienia, że najgorsze, co może zrobić, to narzucać się.

To nie tak, że Sophie go nienawidzi – upomniał sam siebie. Być może.

– A warunki? – zapytał Frechette’a, wskazując na jego lekką kurtkę przeciwdeszczową, a potem na krótką sierść psa. Temperatura oscylowała wokół pięciu stopni powyżej zera.

– Nie ma problemu. Zaraz się rozgrzejemy. Zimno mi nie przeszkadza. Skupia zapachy, zatrzymuje je nisko, psu łatwiej się tropi. A i Annie szybciej się męczy, jak jest ciepło. W takie poranki jak dziś, bezchmurne niebo, niska temperatura, aż się rwie do pracy. Wspomniałeś, że to wypadek samochodowy.

– Tak.

– Szkło?

– Trochę jest, wokół wraku.

– W takim razie Annie potrzebuje butów. A reszta terenu?

– Głównie błoto. I dość rwący strumień. Trochę kłujących krzaków, standardowe rumowisko z kamieni i połamanych gałęzi. Schodzenie w dół jest dość ryzykowne, biorąc pod uwagę stromiznę. Ale jak już będziecie w jarze... całkiem przyjemna wędrówka. Przypuszczam, że nasi pomocnicy z koła

łowieckiego Fish and Game zdążyli już dojść do Maine i z powrotem.

– Fish and Game? Kto od nich jest?

– Barbara i Peter.

– Och, lubię ich. To dobrzy ludzie. I nic nie znaleźli?

– Nikt nic nie znalazł. – Wyatt nie był zaskoczony, że opiekun psa zna ludzi z koła łowieckiego. W New Hampshire jest mnóstwo lasów, a mało ludzi. Prędzej czy później masz wrażenie, że znasz wszystkich, a wszyscy znają ciebie.

– Potrzebujesz więcej informacji o dziecku? – zapytał Kevin. – Zakładamy, że to dziewczynka, w wieku mniej więcej od dziewięciu do trzynastu lat.

Frechette rzucił Kevinowi rozbawione spojrzenie, a potem opuścił wzrok na Annie, która aż przebierała łapami z niecierpliwości.

– Hej, mała, potrzebny ci opis? Będziesz ją wołać po imieniu? A może użyjesz swoich nierozróżniających kolorów oczu do wypatrzenia różowego płaszczyka?

Kevin się zaczerwienił.

– Niepotrzebne nam żadne dane, detektywie. Wystarczy nos Annie. Możesz mi zaufać. Jeśli jest tam jakieś dziecko, to Annie je odnajdzie.

Po chwili dyskusji ustalili strategię poszukiwań. Wyatt, który pracował już z paroma psami w kilku różnych sytuacjach, wiedział, że prawie każdy opiekun ma swoje własne zdanie na temat najlepszego podejścia do zadania. Zważywszy na to, że obszar poszukiwań był stosunkowo niewielki, a zapachy zostały zanieczyszczone przez dziesiątki funkcjonariuszy, którzy kręcili się już po terenie, Frechette chciał wykonać zadanie jak ćwiczenie z tropienia. Zacząć z Annie od tyłu samochodu, prawdopodobnie ostatniego miejsca pobytu dziecka, i sprawdzić, czy złapie tam trop. To strategia lepsza dla bloodhouna niż labradora, jak przyznał, ale był pewien umiejętności swojej suki. Jest odpowiednio przeszkolona i chętna do pracy. Znajdzie dziecko.

Mały biszkoptowy labradorek – pomyślał Wyatt. Z czerwoną wstążką na szyi. *Proszę, Sophie, to dla ciebie.*

Sophie najprawdopodobniej przyjąłaby podarunek, ale nadal patrzyłaby na niego niewidzącym wzrokiem.

Wyatt miał kłopot. Doszedł do tego wniosku pół roku temu. Nie zakochał się tylko w cudownej kobiecie, jaką jest Tessa Leoni. Zakochał się też w jej dziecku. Randkując w wieku dwudziestu lat, martwisz się, czy zaakceptują cię jej rodzice. Randkując w wieku czterdziestu lat, masz nadzieję, że zaakceptują cię jej dzieci. A pod tym względem dziewięcioletnia Sophie okazała się twardym orzechem do zgryzienia.

Nie żeby go nienawidziła. Raczej nie.

Ruszyli z powrotem w dół jaru.

Pozostali funkcjonariusze zaczęli się wycofywać na prośbę opiekuna psa.

Wyatt wydał rozkaz przez radio. Trudne zadanie: odwołać ludzi, żeby wpuścić psa. Ale złota reguła mówi, że jeden pies jest wart stu pięćdziesięciu wolontariuszy. A to znaczy, że Annie to ich największa nadzieja. Żeby mogła pracować, wszyscy inni poszukiwacze i ich rozmaite profile zapachowe muszą zniknąć.

Niektórzy z funkcjonariuszy stanowych i lokalnych właśnie ich mijali, pnąc się w górę jaru. Barbara i Peter z koła Fish and Game przystanęli, żeby pogłaskać Annie. Suka nie dostała jeszcze rozkazu do pracy, więc zatańczyła z radości.

Wyatt zauważył, że wszyscy poszukiwacze wyglądali na zmęczonych, ale nie zniechęconych. Poszukiwania nie trwały na tyle długo, by uznać je za porażkę, lecz zbliżała się niepokojąca granica czterech godzin. Jak daleko mogło zajść dziecko w ciągu pierwszych godzin poranka? I dlaczego nie wróciło na dźwięk ich głosów?

Łatwe poszukiwania zmieniły się w coś trudniejszego. Poszukiwacze, a zwłaszcza Barbara i Peter, byli wystarczająco doświadczeni, by zdawać sobie z tego sprawę.

Dotarli do rozbitego audi. Frechette zagwizdał cicho pod nosem na jego widok.

– Cholera. To dopiero nurkowanie. Jakby zleciał z klifu albo coś takiego.

Wyatt nie skomentował. Bez wyników z tachimetru elektronicznego nie był w stanie określić, czym mogło być „coś takiego”.

Annie też zauważyła wrak i zaskomlała nisko. Nie kręciła się już, tylko wpatrywała intensywnie w swojego opiekuna. Ona wie – pomyślał Wyatt. Bezbłędnym psim zmysłem od razu wyczuła, że to pora na pracę.

Frechette kazał suce zostać. Zaskomlała ponownie, ale posłuchała. Opiekun obszedł samochód, przyglądając się odłamkom szkła, plamom krwi i fragmentom pogniętego metalu. Wyatt uświadomił sobie, że patrzy za swojego psa, że takie jest jego zadanie.

Opiekun podszedł, zaglądając w tylną szybę po stronie pasażera.

– Myślicie, że dziecko siedziało tu z tyłu?

– Tak zakładamy – odezwał się Kevin.

– Za czysto – stwierdził Frechette.

Wyatt zmarszczył brwi.

– Co masz na myśli?

– To, że większość z nas wozi w aucie mnóstwo rzeczy. Dodatkową kurtkę o tej porze roku, przekąski, butelki z wodą, sam nie wiem. Poczte, której zapomnieliśmy zabrać do domu, psie smycze, przypadkowe śmieci. Przynajmniej w moim samochodzie jest tego mnóstwo. I mogę się założyć, że w waszych też.

Wyatt nie mógł zaprzeczyć. Podszedł bliżej. Gdy był przy samochodzie po raz pierwszy, skupił się na zniszczeniach na przedzie. Teraz zrozumiał, o co chodzi Frechette'owi. Na podłodze z tyłu było trochę okruchów szkła, głównie z butelki

po whisky albo przeciągniętych z przodu przez kierującą kobietę, gdy się wyczołgiwała z auta. Za to, jeśli chodzi o typowe pozostałości codziennego życia – jak kubki po kawie, butelki wody, batoniki dla dzieci, iPad do grania w aucie – zupełnie nic. Na tylnej kanapie i w bagażniku nie było nic.

Najwyraźniej jedynym przedmiotem, jaki kierowca uznał za niezbędny w podróży, była butelka glenlivet.

– Czy to utrudnienie? – zapytał Wyatt opiekuna psa.

– Nie. Tak naprawdę to dobrze. Martwiłem się, że z tyłu będzie więcej szkła i Annie się pokaleczy. Ale wygląda na to, że możemy zapakować ją do bagażnika, kazać przeskoczyć na tylne siedzenie i zabrać się do pracy. Hej, Annie!

Biszkoptowa labradorka, wciąż grzecznie siedząca przy Kevinie, zaskomlała w odpowiedzi.

– Chcesz popracować?

Pojedyncze, pełne entuzjazmu szczeknięcie.

– Dobrze, skarbie. Bierzmy się do roboty. Chodź, Annie. Chodź!

Pies w ułamku sekundy znalazł się u jego boku, beżowa strzała, która zatrzymała się tylko po to, by wpatrzeć się w twarz opiekuna, wyczekując kolejnej komendy.

– Wskakuj!

Wskoczyła do bagażnika.

– Idź!

Znalazła się na tylnej kanapie. Nie wahała, nie badała, duże brązowe oczy cały czas skierowane były na twarz Frechette'a.

– Okej, Annie – zawołał Frechette przez otwartą klapę bagażnika. – Sprawa jest taka. Zaginęła dziewczynka, a ty musisz ją wytropić. Wytropić, rozumiesz?

Wyatt pomyślał, że to dość swobodne podejście do prowadzenia psa, ale co on tam wie? Annie najwyraźniej zrozumiała, bo nadstawiła uszu i napięła całe ciało.

– Węsz!

Pies opuścił łeb, zaczął obwąchiwać siedzenie, klamkę drzwiczek, okno. Czarne wargi Annie cofnęły się lekko, jakby chłonęła zapach nie tylko nosem, ale także pyskiem, żeby go posmakować.

– Szukaj, Annie. Szukaj!

Suka zaskomlała, pracując na tylnej kanapie w swoim rytmie, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Wyruszyła na polowanie, bez wątpienia, nie skupiała już swojej uwagi na opiekunie, tylko w stu procentach skoncentrowała ją na łapaniu tropu.

Cofnęła się. Przeszła zza fotela pasażera za fotel kierowcy. Węsząc z coraz większym niepokojem, znowu nisko zaskomlała. Zbadła dokładnie tylne drzwiczki auta, jedno i drugie, w górę i w dół, z boku do boku. A potem pierwsza

badawcza łapa zeszła z siedzenia na pokrytą szkłem podłogę.

Dzięki Bogu za buty dla psów – pomyślał Wyatt. Inaczej nie mógłby na to patrzeć.

Kolejne skomlenie, pełne niepokoju, zestresowane. I już Annie jest z powrotem na tylnej kanapie, węszy do przodu i do tyłu, z boku do boku. Następnie zgrabny przeskok do bagażnika i skrupulatne zbadanie każdego centymetra jego powierzchni.

Niektóre psy kładą się, żeby dać znać, że złapały trop. Inne szczekają. Wyatt nie znał się na szczegółach, ale wydawało mu się, że Annie na razie się nie poszczęściło. I to ją wkurzało.

Spojrzała na Frechette'a i znowu zaskomlała, wyraźnie sfrustrowana.

– Węsz! – powtórzył.

Pies opuścił głowę, by wrócić do pracy. Annie przeskoczyła z powrotem z bagażnika na tylną kanapę. A potem po kilku minutach dokładnego węszenia stanęła pośrodku. Powąchała, zatrzymała się i znów powąchała.

Stojąc przodem do kierunku jazdy, pochyliła się nad centralną konsolą. Poruszała się powoli i ostrożnie. Ona wie, co to szkło – pomyślał Wyatt. A przynajmniej ma tyle doświadczenia, by wiedzieć, że trzeba zachować ostrożność. Znowu węszenie, ponad odłamkami. I wtedy...

Szczeknięcie.

Powrót na środek tylnej kanapy. Kolejne szczeknięcie. Przeskok z tylnego siedzenia do bagażnika. Następne szczeknięcie, ogon do góry, ciało napięte i oczy zwrócone na Frechette'a, gdy podbiegła na sam skraj bagażnika.

Frechette zrozumiał.

– Trop, Annie, trop!

Zeskoczyła z auta, nieco zbyt entuzjastycznie, bo musiała się cofnąć, żeby odzyskać trop. Ale zaraz potem podłapała go i zaczęła biegać z głową nisko przy ziemi, zręcznie poruszając się po terenie, w tę i z powrotem, od krzaka do krzaka. Zaczęła wspinać się w górę jaru, a oni za nią.

Poruszając się śladem psa, Wyatt zaczął zauważać rzeczy, których wcześniej nie spostrzegł. Złamaną gałązkę krzewu. Na innym długie pasmo ciemnych włosów między dwoma liśćmi. Ktoś tędy szedł i sądząc po tym, jak świeże jest złamanie gałązki, całkiem niedawno.

Tropienie nigdy nie przebiega po linii prostej. Zostali kilka metrów z tyłu, żeby zapewnić Annie mnóstwo miejsca do pracy, a ona biegła do przodu, cofała się trochę, skręcała w prawo, a potem wracała w lewo. Starszy, mądrzejszy pies narzuciłby sobie jakieś równomierne tempo, ale Annie najwyraźniej szła na żywioł. Co by się nie działo, zamierzała dotrzeć do celu.

Wspinali się w górę jaru powolnym zygzakiem, jakby osoba, której śladem szli, nie wiedziała, dokąd zmierza. Jakby szukała dokoła czegoś po omacku.

Kolejne ślady: przesunięty kamień, zdeptana trawa, strzępek jakiegoś materiału. Wyatt zaznaczał każdy z nich do późniejszego zebrania. Będą musieli zrobić mapę tej trasy, rozrysować ją, a potem zbadać wszystkie ślady.

Mniej więcej po dwóch trzecich drogi natknęli się na spory głaz, pokryty z jednej strony czerwonobrazową cieczą. Wyatt uświadomił sobie, że to krew. Na tyle gęsta, że nawet deszcz jej nie spłukał. Zatrzymali się, bo Annie obwąchiwała spód głazu, skomląc z niepokojem. A więc dziewczynka jest ranna. Może, tak jak to omawiali, odzyskała przytomność przed matką i wyruszyła po pomoc.

Samotne dziecko na poboczu w środku nocy...

Przestali rozmawiać. Labrador ruszył dalej. Trzej mężczyźni poszli za nim bez słowa.

Dotarłszy na sam szczyt, Annie zaczęła szczekać. Wybiegła prosto na drogę, potem skręciła w prawo, w lewo i biegała po kilkumetrowym kole, niemal jak szalona. Przebiegła na drugą stronę szosy, a potem pędem zawróciła. Zbiegła kilka metrów w dół jaru i wróciła w podskokach.

– Szukaj! – rozkazał Frechette swojej podopiecznej, marszcząc brwi. – Mówiłem, że jest młoda – mruknął pod nosem, na poły wyjaśniając, na poły się tłumacząc.

Annie już na niego nie patrzyła. Dalej biegała w kółko, coraz bardziej zdenerwowana.

Nagle usiadła. Wbiła wzrok we Frechette'a, zaszczekała dwa razy, a potem opuściła głowę i położyła się. Nie była już przyjacielskim, wesołym psem. W ogóle na nich nie patrzyła.

– Co to oznacza? – zapytał Wyatt.

– Skończyła. Nie tylko zgubiła trop, ale na dodatek się przepracowała. Będziemy musieli odpocząć, zanim znowu spróbuje. Dajcie nam pół godziny.

Wyatt skinął głową, a opiekun psa podszedł do swojego zniechęconego podopiecznego.

– Psy źle znoszą porażki – skomentował Kevin.

– Podobnie jak ja. – Wyatt podszedł nad krawędź jaru i popatrzył w dół na meandrujący szlak, którym przeszli. A więc ktoś – zaginione dziecko? – przeszedł całą tę drogę, a potem...

– Przepraszam.

Wyatt odwrócił się i zobaczył, że stanął przy nim Todd Reyes.

– Todd – przywitał go. – Podobno ty pierwszy przyjechałeś do zgłoszenia. Dzięki, że zająłeś się poszukiwaniem dziecka.

– Nie ma sprawy. To pies tropiący, tak?

– Owszem. Wabi się Annie. Powiedzieli nam, że jest młoda, ale ma już spore osiągnięcia. Jak widać, jest teraz nieco sfrustrowana.

– Zgubiła trop?

- Najwyraźniej.
- Chyba wiem dlaczego.

Wyatt uniósł brwi.

- Proszę się nie krępować – poprosił o wyjaśnienie.
- Widzi pan tamten znak?

Wyatt odwrócił się w stronę szosy. Rzeczywiście, pięć metrów dalej stał żółty znak ostrzegający przed ostrym zakrętem.

– Jak tu przyjechałem, zauważyłem ten znak, bo Daniel Ledo, mężczyzna, który zgłosił zdarzenie, stał obok niego. A po prawej, mniej więcej tam – Reynes wskazał Annie, wciąż leżącą na drodze i patrzącą ze zbuntowaną miną na swojego opiekuna – była karetka.

Wyatt wyprostował się.

- Twierdzi pan, że...
- W tamtym miejscu sanitariusze położyli tę kobietę na nosze.

Wyatt zamknął oczy. Zrozumiał. Zapach, który wyczuł pies, ślad, którym podążali w górę jaru. To nie było zaginione dziecko, tylko kierowca.

– Zawsze jest takie ryzyko – mruknął. – To znaczy można kazać psu tropić, ale nie da się mu powiedzieć, za kim ma iść.

Podszedł do Frechette'a, by przekazać mu nowinę. Frechette powtórzył, że pies musi odpocząć, ale za dwadzieścia do trzydziestu minut będą mogli spróbować od nowa.

I tak zrobili. Dwa razy. Z takim samym rezultatem.

Według Annie z samochodu prowadził jeden trop. Zapach szedł w górę jaru. Krążyli z nią wokół auta. Zeszli do rwącego strumienia.

Annie robiła się coraz bardziej ponura i urażona. Wykonała swoją pracę.

Jeden zapach. Jeden ślad. Jedna osoba, która nagle zniknęła na środku betonowej szosy.

Taka była wersja Annie i zamierzała się jej trzymać.

- Houston – oznajmił Wyatt tuż po dziesiątej. – Mamy problem.

Rozdział 5

O czym marzyłeś, gdy byłeś mały? Czy planowałeś, że jak dorosiesz, zostaniesz kosmonautą albo primabaleriną, albo nawet superbohaterem w czerwonym płaszczu i z umiejętnością wskakiwania na drapacze chmur? A może chciałeś zostać prawnikiem jak mama albo strażakiem jak tata. Albo w ogóle nie identyfikowałeś się ze swoją rodziną. I zazwyczaj marzyłeś o tym, żeby wyrwać się stamtąd i nigdy nie wrócić.

Ale miałeś marzenia.

Wszyscy marzą. Mali chłopcy, małe dziewczynki, ci z gett dla kolorowych i ci z domków z ogródkami. Każdy chce być kimś i czegoś dokonać.

Myślę sobie, że też powinnam mieć marzenia, ale za nic nie mogę sobie przypomnieć, jakie one są.

W sali jest lekarka. Stoi obok drzwi i rozmawia z mężczyzną, który twierdzi, że jest moim mężem. Pochylają ku sobie głowy i mówią przyciszonym tonem, niczym kochankowie – myślę sobie, ale nie wiem dlaczego.

– Czy przed wypadkiem spała lepiej? – pyta lekarka.

– Nie, najwyżej kilka godzin.

– A co z bólem głowy?

– Kiepsko. Nawet już nic nie mówi. Widzę tylko, że leży na kanapie z lodem przyłożonym do czoła.

– Nastrój?

Mężczyzna śmieje się krótko.

– W lepsze dni ma tylko depresję. W gorsze jest gotowa zabić.

Lekarka kiwa głową. Na plakietce ma napisane „dr Sare Celik”. Jest piękna, ciemnoskóra, o egzotycznej urodzie. Ponownie zastanawiam się, co łączy ją z moim mężem.

– Labilność emocjonalna to częsty skutek uboczny po wstrząśnieniu mózgu – wyjaśnia. – Trudny do zniesienia dla bliskich. A co z jej wspomnieniami? Poprawiła się pamięć krótkoterminowa?

– Gdy po raz pierwszy odzyskała świadomość, twierdziła, że w ogóle mnie nie zna.

Doktor Celik unosi brew, wreszcie coś ją zaskakuje. Przegląda kartę, którą trzyma w ręce.

– Zleciłam oczywiście tomografię głowy, nie wspominając o rezonansie wykonanym na cito tuż po przyjęciu. Wyniki są w porządku, ale biorąc pod uwagę poprzednie urazy wewnątrzczaszkowe, zlecę badania kontrolne w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Jak sobie radzi z sytuacją? Jest zdenerwowana? Wściekła? Płacze?

– Nie. Tak jakby... Mówiła, że nie wie, że jestem jej mężem, ale jej to nie zaskoczyło.

– Piła przed tym wypadkiem.

Mój mąż czerwieni się, jakby to była jego wina.

– Wydawało mi się, że usunąłem z domu wszystkie butelki – mamrocze.

– Proszę pamiętać, co już panu mówiłam: alkohol w sposób bezpośredni upośledza zdolność mózgu do regeneracji. A to znaczy, że dla kogoś takiego jak ona każdy łyk alkoholu utrudnia powrót do zdrowia.

– Wiem.

– To pierwszy taki incydent?

Waha się i nawet ja wiem, że w takim razie nie pierwszy.

Doktor Celik patrzy na niego surowym wzrokiem.

– Jest silna zależność pomiędzy uszkodzeniami mózgu a nadużywaniem alkoholu, zwłaszcza u pacjentów z alkoholową przeszłością. A wzięwszy pod uwagę nie jedno, ale trzy wstrząśnienia mózgu w ciągu paru miesięcy, pańska żona jest wyjątkowo podatna. Nawet jeden kieliszek wina wpłynie na nią w danej chwili silniej, a jednocześnie w dłuższej perspektywie narazi na popadnięcie w nałóg.

– Wiem.

– Ten wypadek na pewno spowoduje pogorszenie. Kolejne wewnętrzzczaszkowe urazy mózgu w krótkim czasie nierzadko powodują wręcz lawinowe pogorszenie. Nie dziwi mnie, że wróciła jej amnezja. Prawdopodobnie wrócą też silne bóle głowy, trudności z koncentracją, wyczerpanie. Może cierpieć na nadwrażliwość na światło oraz inne intensywne bodźce, jak zapachy, dźwięki, widoki. Z drugiej strony może się także czuć, jakby była pod wodą, jakby wszystko było rozmyte. To oczywiście wzmoże jej niepokój i pogłębi wahania nastroju.

– Wspaniale – mówi mężczyzna z ponurą miną.

– Trzeba dbać, żeby miała w domu spokój. Ustalić stały porządek dnia i trzymać się go.

– Oczywiście. To, że mnie nie pamięta, to przecież żaden powód, żeby miała mnie nie słuchać.

Lekarka mówi dalej, jakby się wcale nie odezwał.

– Można się spodziewać, że będzie się bardzo szybko męczyć. Ograniczyłabym korzystanie z wszelkich monitorów, gier komputerowych, iPada, a nawet filmów czy programów w telewizji. Niech jej mózg wypoczywa. Aha, i niech nie siada za kierownicą.

– Czyli... spokojne, domowe życie, w łóżku przed dziesiątą.

Lekarka rzuca mu surowe spojrzenie. W odpowiedzi mężczyzna (mój mąż) przesuwa dłonią po swoich potarganych włosach.

Słyszę szept pamięci. Stoję w innym pokoju w innym czasie.

Proszę, Nicky, nie kłóćmy się. Nie znowu.

Uświadamiam sobie, że kiedyś musiałam kochać tego mężczyznę. Tylko w ten sposób można wyjaśnić, dlaczego jego obecność tak bardzo mnie boli.

Doktor Celik omawia teraz moje bieżące potrzeby i niezbędne kontrole oraz badania. Najwyraźniej dobrze zna mój przypadek. Wielokrotne urazy wewnętrzne, tak powiedziała. Czuję, że powinnam wiedzieć, co to znaczy, ale trudno mi się skupić. Trudne wyrazy kotłują mi się w głowie, płaczą, wykonują jakieś wygibasy. Poddaję się. Głowa mnie boli, czuję w skroniach zbliżający się atak migreny.

Myślę o Vero, która uczy się latać.

Jednak miałam marzenie. Niemal je pamiętam, jest jak słowo na końcu języka. Kiedyś, dawno temu, w małym mieszkaniu, w którym cuchnęło niedopałkami papierosów, tłustym jedzeniem i ogólną beznadzieją, wyobrażałam sobie zieloną trawę. Marzyłam o polach, o otwartej przestrzeni, po której można biegać. Pragnęłam poczuć słońce na twarzy.

Miałam marzenie. Wręcz palącą potrzebę, której zidentyfikowanie zajęło mi lata.

Pragnęłam, by ktoś mnie kochał.

Och, Vero, tak mi przykro.

Doktor Celik wychodzi. Mężczyzna, który jest moim mężem, wraca do mojego łóżka. Znów ma poważny wyraz twarzy, głębokie zmarszczki bruzdzą jego ponurą twarz. Ale wciąż jest atrakcyjny.

Próbuje się uśmiechnąć, gdy widzi, że nie śpię. Lecz w jego oczach nie ma uśmiechu. Martwi się. O mnie? O coś innego?

Ma na sobie jasnoniebieską koszulę z rozpiętym kołnierzykiem. Mój wzrok przyciąga fragment odsłoniętej skóry, zbrązowiałej od lat spędzonych na słońcu. Przez ułamek sekundy wyobrażam sobie siebie całującą to miejsce, przesuwającą język po jego obojczyku. Nie tylko go pamiętam. Czuję jego smak. Przechodzi mnie dreszcz.

– Hej. – Bierze mnie za rękę, jakby chciał mnie pocieszyć. Ma stwardniały kciuk.

Znów łupie mnie w głowie. Czuję nagle paralizujące do szpiku kości zmęczenie.

On się chyba domyśla.

– Boli cię głowa?

Nie mogę mówić. Tylko się w niego wpatruję. Puszczą moją rękę i zaczyna masować mi skronie. Niemal wzdycham.

– Pamiętasz wypadek? – pyta.

Nie pamiętam, ale nie mogę jeszcze mówić, więc milczę.

– Jak wynika z tomografii – kontynuuje – doznałaś kolejnego wstrząśnienia mózgu, trzeciego w ciągu sześciu miesięcy. Na dodatek masz poobijany mostek,

przesunięte kilka żeber i jesteś cała pocerowana jak pikowana narzuta. Ale lekarze z ostrego dyżuru pięknie cię zszyli. To wstrząśnienie, twoje trzecie wstrząśnienie mózgu, martwi neurologa.

– Powoduje... migrenę – mamrocze.

– Tak. Nie wspominając o poczuciu zagubienia, niepokoju, ogólnym osłabieniu, nadwrażliwości na światło i krótkoterminowej amnezji. I dodatkowych pomniejszych komplikacjach, jak nierozpoznanie własnego męża. – Sili się na żartobliwy ton, ale mu się nie udaje. – Odzyskasz pamięć – mówi już z powagą. – Bóle głowy osłabną. Odzyskasz zdolność koncentracji i działania. Ale to zajmie trochę czasu. Powinnaś odpocząć, dać swoim potłuczonym komórkom mózgowym szansę na wyzdrowienie.

– Alkohol jest zły.

Milknie, przygląda mi się uważnie tymi swoimi ciemnobrązowymi oczami.

– Alkohol nie jest wskazany dla ludzi po urazach mózgu.

– Ale ja piję.

– Piłaś.

– Jestem pijaczką. – Nic nie mówi, lecz odczytuję odpowiedź z jego twarzy. Że dawno, dawno temu, myślał, że on mi wystarczy. Ale najwyraźniej nie wystarczył. – O czym marzyłeś, jak byłeś mały?

Marszczy brwi. Gdy je marszczy, robią mu się kurze łapki wokół oczu. To powinno go postarzyć, uczynić mniej atrakcyjnym. Ale wcale się tak nie dzieje.

– Nie wiem. Czemu pytasz?

– A czemu nie?

Uśmiecha się. Jego kciuki wciąż rozcierają mi skronie, robiąc malutkie kółka. Będąc tak blisko, czuję zapach jego skóry, czysty, mydlany, który wydaje mi się znany, a jednocześnie lekko oszałamiający. Gdybym mogła się ruszyć, wtuliłabym się w niego i zrobiła głębszy wdech.

Ale nie robię tego. Czuję narastającą ciemność w tyle głowy. Przerazenie, które kontrastuje z jego kuszącym zapachem.

Uciekaj.

Oczywiście nie mogę. Leżę na szpitalnym łóżku ze wstrząśnieniem mózgu, okutana w białe prześcieradła, a mój mąż masuje mi skronie i głaszcze mnie po włosach.

– Marzyłem, gdy pierwszy raz cię zobaczyłem – mruczy niskim, chropawym głosem. – Zauważyłem cię w przysłowiowym tłumie. Wcale na mnie nie patrzyłaś. Ale ja ciebie zobaczyłem i... poczułem, że całe życie czekałem właśnie na ten moment. Żeby na ciebie trafić. Pochłonęłaś mnie, Nicky. Nadal to robisz.

Czuję jego oddech na szyi. Po raz kolejny reaguję na jego zapach, odwróciłabym ku niemu głowę, gdybym mogła.

Uciekaj.

I wtedy to widzę, wyblakły siniak wzdłuż jego zuchwy. Nie potrafię się powstrzymać. Wydobywam rękę spod koca. Dotykam siniaka, przesuwam po nim czubkami palców, czuję szorstkość porannego zarostu, którego nie miał okazji zgolić. Nie cofa się. Ale jego palce nie dotykają już moich skroni i czuję, że wstrzymał oddech.

To ja zrobiłam mu tego siniaka. Wiem to bez cienia wątpliwości. Uderzyłam tego człowieka. I zrobię to ponownie, jeśli tylko będę miała okazję.

– Nienawidzisz mnie – szepczę. I to nie jest pytanie.

– Wcale nie – mówi. Oczywiście kłamstwo. – To ty nienawidzisz mnie – poprawia mnie już ciszej. – Ale nie chcesz mi powiedzieć dlaczego. Kiedyś byliśmy szczęśliwi. A potem... Ja wciąż marzę, Nicky. A ty?

Złe zrobiłam – myślę. Popełniłam błąd. Bo nawet jeśli nie pamiętam, kim jestem, wydaje mi się, że wiem, o czym kiedyś marzyłam, i to nie było to. To nigdy nie było to.

Vero. Widzę ją znowu, obraz jest pociemniały na brzegach. Jakby rozmywał się w moim zmęczonym mózgu, który nie potrafi się skupić. Vero odwraca się, jakby miała odejść, a moją pierwszą myślą jest, by chwycić ją za rękę. To ważne, żeby ją zatrzymać. Nie mogę pozwolić jej odejść.

Patrzy na mnie. Jej buzia jest szczuplejsza i starsza, co mnie zdumiewa. Nie jest już kilkulatkiem, tylko dziewczynką, ma dziesięć, jedenaście albo dwanaście lat.

Dlaczego ja? – pyta płaczliwym tonem.

– Vero – szepczę.

– Cii... – mówi mój mąż.

Dlaczego ja, dlaczego ja, dlaczego ja?

Odwraca się. Odchodzi ode mnie. Chwytam ją za ramię, ale wymyka się. Nie mogę jej zatrzymać. Wokół ciemność. Głowa zaraz mi eksploduje. A może już to zrobiła.

– Vero!

– Nicky, błagam cię!

Uderzam. Walczę. Jednocześnie jestem i nie jestem tego świadoma. Najważniejsze, żeby dotarła do Vero. On będzie mnie trzymał z daleka od niej. Uświadamiam to sobie teraz. I to nie jest pierwszy raz.

– Sostro, sostro! – ktoś woła. To mężczyzna, który twierdzi, że jest moim mężem.

Vero, Vero, Vero. Odchodzi ode mnie.

Biegnę. W szpitalnym łóżku? Oczami wyobraźni? Czy to ważne? Biegnę, a potem ją doganiam. Łapię ją za ramię i mocno przytrzymuję.

Vero się odwraca.

Gałki oczne wypadają z jej pustych oczodołów i wiją się wokół lśniącej

białej czaszki.

Powinnaś mi była powiedzieć, że małe dziewczynki nie mogą latać.

Jedna chwila. Jedno wspomnienie. A potem pustka.

I jestem nikim. Jedynie kobietą, która dwa razy powstała z martwych.

Przychodzi pielęgniarka. Już nie walczę. Leżę w zupełnym bezruchu, gdy podaje mi środek uspokajający. Patrzę prosto przed siebie. Nie widzę pochylonej nade mną pielęgniarki. Ani wymizerowanej twarzy męża. Patrzę na otwarte drzwi i na dwóch policjantów, którzy na mnie czekają.

Rozdział 6

Wyatt i Kevin przyjechali do szpitala w samą porę na przedstawienie. Kobieta z wypadku rzucała się szaleńczo na łóżku, a jakiś mężczyzna wołał o pomoc, próbując ją przytrzymać. Potem wpadła pielęgniarka, która podała jej potężną dawkę środka uspokajającego, grzebiąc szansę Wyatta na dotarcie do sedna sprawy.

Nicole Frank, kierowca auta według dokumentów rejestracyjnych, straciła przytomność. Został tylko mężczyzna, który ciężko oddychał i wyglądał na załamanego.

Wyatt podejrzewał, że to mąż. Albo partner. Wszystko jedno. Potrzebował odpowiedzi na swoje pytania, i to teraz, więc zamierzał być elastyczny. Wysłał już podwładnego do sądu, żeby poprosić o dostęp do informacji medycznej dotyczącej pani Frank, dzięki czemu wiedzieliby, jaki miała poziom alkoholu we krwi. Inni policjanci sprawdzali sklepy monopolowe najbliższe miejsca wypadku, żeby dowiedzieć się, gdzie i kiedy kupiła butelkę osiemnastoletniej szkockiej. Krótco mówiąc, zmierzali do oskarżenia jej o spowodowanie wypadku pod wpływem alkoholu.

Oczywiście wciąż pozostawała do wyjaśnienia kwestia zaginionego dziecka.

Pielęgniarka wyszła z sali, ledwo na nich zerknąwszy. Został mężczyzna. Około czterdziestki. Ponad metr osiemdziesiąt. Szorstka uroda, tak to chyba określają kobiety. Żaden tam urzędnik z za biurka, tylko facet, który wykonuje jakąś prawdziwą robotę.

– Pan Frank? – zaryzykował Wyatt.

– Tak? – Mężczyzna z troską przyglądał się żonie. Teraz oderwał od niej wzrok, by rzucić na nich zaniepokojone spojrzenie. Co Wyatt uznał za intrygujące. Zakładając, że zaginęła mu córka, powinien być chyba wdzięczny za obecność dwóch policjantów. A nawet natarczywy, domagając się jako zatroskany ojciec natychmiastowych odpowiedzi. Ale najwyraźniej jego największą troską była żona. Czy to znaczy, że na dziewczynce zupełnie mu nie zależy? A może już wie, co stało się z Vero i dlaczego nie mogli jej znaleźć?

Wyatt poczuł przyływ adrenaliny. Zerknął na Kevina, który najwyraźniej podzielał jego podejrzenia. Obaj, zamiast natychmiast zaatakować, instynktownie się wycofali. W sprawach rodzinnych agresja rzadko przynosi efekty. Lepiej znaleźć się po stronie rodzica. Być opanowanym, spokojnym, chętnym do rozmowy. A potem, krok po kroku, popuszczać tyle liny, żeby mógł się sam na niej powiesić.

Wyatt rozpoczął proces. Grzecznie, unikając konfrontacji:

– Czy moglibyśmy z panem chwilę porozmawiać?

– Ale moja żona... – zaczął mężczyzna.
– Chyba teraz odpoczywa. Mamy kilka pytań.
– Jesteście z policji – stwierdził mąż. Ale nie kłótliwym tonem. Wyszedł im naprzeciw. Był grzeczny. Idealnie.

Wyatt przedstawił siebie, a potem Kevina, uzyskując w zamian nazwisko Thomas Frank. Thomas, czy mogę zwracać się do ciebie Tom? Nie, używam imienia Thomas.

Wyatt zaproponował mu kawę. Kolejny przyjazny gest. O tej porze, późnym rankiem, w szpitalu panował ożywiony ruch, więc może udałoby im się znaleźć jakiś cichy kąt do rozmowy. Gdy mąż wykazał niezdecydowanie, Wyatt i Kevin po prostu zaczęli iść jasno oświetlonym korytarzem w kierunku szpitalnej stołówki. Mąż oczywiście ruszył za nimi, był zbyt zmęczony, żeby oponować.

Kiedy po zakupie kawy usadzili pana Franka za sztucznym fikusem, nadeszła pora, by przejść do rzeczy.

– Skąd zna pan Nicole Frank? – Wyatt zapytał dla pewności.

– Nicky? To moja żona.

– Od dawna jesteście razem?

Thomas Frank posłał mu słaby uśmiech.

– Wiem, że to zabrzmie ckliwie, ale dla mnie ona od początku była tą jedyną. Wiedziałem to od chwili, gdy ją ujrzałem.

– Jak się poznaliście?

– Na planie filmowym. Oboje pracowaliśmy dla firmy producenckiej w Nowym Orleanie. Ja zajmowałem się scenografią, a ona pracowała w cateringu, no wiecie, rozdawała jedzenie. Zauważyłem ją pierwszego dnia, a kręciliśmy przez miesiąc. Miałem dokładnie trzydzieści dni, żeby zaprosić ją na randkę.

– I ile to zajęło? – zapytał z ciekawości Wyatt.

– Trzy dni, żeby powiedzieć jej cześć. Trzy tygodnie, żeby odpowiedziała cześć. Już wtedy była nieśmiała.

– I od tamtej pory jesteście razem?

– Tak.

– Co was sprowadziło do New Hampshire?

Thomas popatrzył na nich. Miał mocno podkrążone i przekrwione oczy. Wyatt odgadł, że nie spał dobrze tej nocy i że nie jest to dla niego nowość. Kłopoty z żoną, kłopoty w pracy, kłopoty z dzieckiem? Wyatt znów poczuł się oszołomiony ilością różnych możliwości.

Ale Thomas tylko wzruszył ramionami.

– Chyba przypadek. To fajny stan. Góry do wędrówek, jeziora do pływania. I nie ma podatku od obrotów ani dochodowego. Jak go nie lubić?

– A gdzie pan obecnie pracuje? – zapytał Wyatt, trzymając się łagodnej i powolnej strategii działania.

– Nadal w scenografii, tylko że teraz na własny rachunek. Projektuję i produkuję specjalne rekwizyty czy elementy scenografii, które trudniej znaleźć. Nicky mi pomaga: udoskonala je, maluje, wykańcza i tak dalej.

– Nie powinniście być w LA? – zapytał Kevin. – Albo w Nowym Jorku? W tego typu miejscu?

Thomas potrząsnął głową.

– Niekoniecznie. Filmy można kręcić wszędzie, zwłaszcza jeśli stan lub miasto oferują ulgi podatkowe. Nowy Orlean, Seattle, Nashville czy nawet Boston, wszędzie jest mnóstwo filmowej roboty. Chłopaki od scenografii przyjeżdżają teraz do mnie i mówią, czego potrzebują. Ja to projektuję, tworzę i wysyłam. I już.

– I Nicky też? – upewnił się Wyatt.

– Tak. Tak jak mówiłem.

– A gdzie, panie Frank, była pańska żona ostatniej nocy?

Thomas zaczął się wiercić i wyraźnie unikał ich wzroku.

– Myślałem, że w domu – powiedział ochryplym głosem. – Jak ją po raz ostatni widziałem, to spała na kanapie.

Kevin i Wyatt wymienili spojrzenia. Pora zacząć zwijać linę – pomyślał Wyatt.

– Która to była godzina? – zapytał, nadal idealnie uprzejmym tonem.

– Nie wiem, ósma albo dziewiąta wieczór.

Wyatt uważnie mu się przyjrzał.

– Trochę wcześniej jak na spanie – skomentował, a Kevin dołączył:

– A ostatnią rzeczą, jaką pan widział...

Thomas gwałtownie odstawił kubek z kawą.

– To nie jej wina!

Żaden z policjantów się nie odezwał.

– Przecież dobrze nam się wiodło. Wszystko było w porządku. Szczęśliwa para, szczęśliwe życie. Poza tym, że sześć miesięcy temu Nicky spadła ze schodów. Niosła chyba pranie. Znalazłem ją nieprzytomną na podłodze w piwnicy. Zabrałem ją na pogotowie, a tam stwierdzono lekkie wstrząśnienie mózgu. Wydawałoby się, że to nic wielkiego. Wystarczy odpoczywać, by odzyskać zdrowie. Ale ona nie mogła spać. I wściekała się bez powodu. Odczuwała bóle głowy, zmęczenie, trudności z koncentracją. Trochę przeczytałem. Objawy odpowiadały skutkom wstrząśnienia mózgu. Powiedziałem sobie i jej, że potrzebna jest cierpliwość. Jeszcze trochę czasu. Tylko że parę miesięcy później znalazłem Nicky leżącą na ganku. Chciała wyjść przez drzwi. Ale musiała się chyba potknąć. Złe wieści, znowu uderzyła się w głowę. Dwa wstrząśnienia mózgu w odstępie trzech miesięcy.

Popatrzył na nich. Wyatt i Kevin przybrali mniej przyjazny wyraz twarzy, żeby spostrzegł ich sceptycyzm i poczuł się nieswojo.

– Syndrom powstrząśnieniowy – wyrzucił z siebie. – Moja żona nie jest pijaczką. Przynajmniej nią nie była. Nie jest też agresywna. Przynajmniej taka nie była. – Odwrócił lekko głowę, pokazując wyblakły siniak na krawędzi żuchwy. – Ale te upadki, wielokrotne uszkodzenia mózgu... Neurologowie twierdzą, że każde kolejne uszkodzenie wręcz potęguje efekt. Ja nie do końca to rozumiem. Wiem tylko, że moja żona... Ona nie jest teraz sobą.

– Czyli zostawił ją pan bez opieki wczoraj wieczorem – mruknął Wyatt.

– Poszedłem do mojego warsztatu! Mamy osobny budynek, na tyłach działki, tam trzymam wszystkie narzędzia, sprzęt. Tam pracuję i... na miłość boską... zajmowałem się Nicky niemal dzień w dzień. Ale teraz mam zaległości. Bo tak się dzieje, jak się ma kogoś chorego w domu. Robią się zaległości, a jednocześnie masz więcej rachunków do zapłacenia. Gdy zasypia, wymykam się do warsztatu. Nie twierdzę, że tak jest dobrze. Twierdzę tylko, że muszę to robić, żeby wszystko się jakoś trzymało. Lekarze chcą, żeby miała stabilny tryb życia i przebywała w spokojnym otoczeniu. Utrata domu z powodu niespłacania rat z pewnością nie zapewni jej ani jednego, ani drugiego.

– Skąd wzięła szkocką? – zapytał Kevin, przeciągając głoski.

Thomas Frank się zaczerwienił. Podniósł kubek, napił się.

– Nie wiem.

– Kluczyki do auta? – dorzucił Wyatt.

– Leżą w koszyku przy drzwiach wejściowych. Ona nie ma zakazu jazdy, tylko lekarze jej tego nie zalecają.

– Picia też jej zapewne nie zalecają – tym razem odezwał się Kevin.

Zaciśnięte usta.

– Nie. Nie zalecają.

– Ale pije. – Wyatt z powrotem skupił uwagę mężczyzny na sobie. Bo nadeszła już pora, czuł to. Thomas Frank był zły i zdenerwowany. Rozbity i rozkojarzony.

A właśnie opowiedział mu o życiu swoim i żony i ani razu nie wspomniał o dziewczynce o imieniu Vero.

Wyatt nachylił się. Popatrzył Thomasowi głęboko w oczy, jakby szukał tam prawdy albo przynajmniej próbował sprawdzić, czy ten człowiek jest aż takim dupkiem, jak podejrzewają. Kevin zrobił to samo z drugiej strony.

Zbliżenie. Uderzenie.

– Opowiedz nam o swojej córce – powiedział Wyatt. – Gdzie była ostatniej nocy?

Thomas Frank nawet nie drgnął. Nie wzdrygnął się odruchowo ani nie cofnął. Patrzył tępo przed siebie.

– Co?

– Twoja córka, Vero. Mała dziewczynka, która zaginęła.

Wyatt spodziewał się różnych reakcji, ale na pewno nie tego. Thomas zamknął oczy. Głęboko westchnął.

– Ja nie mam córki.

– W takim razie to córka Nicky...

– Panie sierżancie... My nie mamy dzieci. Żadnych. Ani ja, ani ona, ani wspólnych. Wiedziałbym o tym. Jesteśmy ze sobą od dwudziestu dwóch lat.

– Posłuchajcie, od tamtego pierwszego wstrząśnienia Nicky ma kłopoty ze snem. Dręczą ją koszmary, ale te koszmary, te napady zdarzają się nie tylko w nocy. Jakby zupełnie poprzestawiało jej się w głowie. Nie pamięta ludzi, których zna, zapomina na przykład, jak ja mam na imię, ale z drugiej strony wspomina o ludziach, którzy nie istnieją. Chyba najlepiej można określić to tak, że to, co prawdziwe, staje się dla niej wymyślone, a to, co wymyślone, staje się prawdziwe. Byliśmy u różnych lekarzy, próbowaliśmy różnych leków. Ale oni zwykle radzą nam ćwiczenie się w cierpliwości. Urazy wewnętrzne leczą się czasem.

– Vero nie istnieje. – Wyatt musiał wypróbować to stwierdzenie. Bo spodziewał się usłyszeć wszystko, ale na pewno nie to.

– Nie ma żadnej Vero.

– Ale pan zna to imię – zwrócił uwagę Kevin, po którym w przeciwieństwie do Wyatta widać było zakłopotanie.

– Wołała je już wcześniej, głównie przez sen. Do tego jeszcze te... napady. Zrozumcie, na początku ja też czułem się zagubiony, bo może chodziło o coś, o czym nie wiedziałem. Ale sprawa wygląda tak. Jeśli pozwoli jej się o tym mówić... o Vero... to historia o tym, kim ona jest, ciągle się zmienia. Czasem Vero jest maleńką dziewczynką, niemowlęciem, którym Nicky się opiekuje. Ale znalazłem ją kiedyś ukrytą w szafie, bo ona i Vero bawiły się w chowanego. Innego dnia przypaliła kolację, bo Vero krzyczała na nią cały wieczór. „Te nastolatki”, powiedziała. Myślę... Do diabła, sam nie wiem, co myśleć. Ale Vero nie jest prawdziwą osobą. To raczej wytwór jej wyobraźni.

– Oficer Reynes, który był na miejscu zdarzenia – naciskał Wyatt – twierdzi, że pańska żona wyglądała wiarygodnie. Zgubiła Vero. Malutką dziewczynkę. Trzeba ją znaleźć. Pańska żona była dość przekonująca.

– Witam w moim świecie. – Thomas Frank znowu westchnął. W jego głosie nie było sarkazmu. Tylko ogromne zmęczenie. – Podam wam nazwisko naszej neurolog. To doktor Sare Celik – zaproponował. – Może ona pomoże wam to zrozumieć.

– Czy to imię należało do członka rodziny? Jakiejś siostry, dawnej przyjaciółki?

– Nicky nie ma żadnej rodziny. Gdy ją poznałem, była nastolatką, która radziła sobie sama. I to od paru lat. Nie lubi o tym rozmawiać. Na początku naciskałem. Ale teraz, po ponad dwudziestu latach... Jakie to ma znaczenie?

Wszystko – Thomas Frank milknie, by uważnie im się przyjrzeć – wszystko układało się wspaniale. Nigdy nie mieliśmy żadnych problemów, Nicky też nie miała żadnych problemów. Musicie mi uwierzyć. Moja żona jest po prostu... chora. Spytajcie lekarzy. Porozmawiajcie z nimi, proszę.

– Proszę opowiedzieć nam o ostatniej nocy. Co się wydarzyło?

– Nicky zrobiła kurczaka – odpowiedział natychmiast Thomas. – A to znaczy, że to był dobry wieczór. Osobie z syndromem powstrząśnieniowym trudno się skoncentrować. Czasem coś zaczyna, na przykład gotowanie, a potem... zapomina. Odchodzi, zajmuje się czymś innym. Ale wczoraj zaczęła i skończyła pieczenie kurczaka, i niczego nie spaliła.

– A co pan robił, gdy ona gotowała?

– Oddzwaniałem. Byłem w domu, gdyby nagle trzeba było zaingerować i wyłączyć gaz, ale starałem się jednocześnie pracować.

– Zjedliście kolację. Jakies wino, piwo?

– Ludziom po urazach mózgu nie poleca się alkoholu – wyrecytował Thomas.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Żadnego wina, żadnego piwa, żadnego alkoholu. Zjedliśmy kurczaka z sałatką i chlebem czosnkowym.

– A potem?

– Oglądaliśmy telewizję. Kanał poradnikowy, coś lekkiego. Ważne jest, żeby moja żona się nie denerwowała.

Wyatt poprosił o podanie godziny, nazwy programu i zapisał je.

– Więc jest ósma wieczorem...

– Raczej siódma trzydzieści. Nicky zdrzemnęła się na kanapie. Zerknąłem na zegar, stwierdziłem, że jest za wcześnie, żeby iść spać, więc powinienem zająć się pracą. Przykryłem żonę kocem, a potem wyszedłem po cichu tylnym wyjściem do warsztatu.

– Kiedy pan wrócił?

– Nie wiem. Koło jedenastej.

– I odkrył pan, że Nicky nie ma?

– Zauważyłem, że nie ma jej na kanapie. Ale pomyślałem, że poszła na górę do łóżka. Obejrzałem wieczorne wiadomości i sam tam poszedłem. I wtedy zorientowałem się, że byłem w błędzie.

– Co pan zrobił?

– Obszedłem dom, wołając ją. A potem poszedłem po rozum do głowy i sprawdziłem, czy na podjeździe stoi jej samochód. Nie było go, uznałem, że to niedobrze, więc zadzwoniłem na jej komórkę.

Wyatt pokiwał głową, żeby zachęcić go do kontynuowania.

Ale Thomas Frank tylko wzruszył ramionami.

– Nie odbierała. Naprawdę nie wiem, co moja żona robiła do chwili, gdy zadzwoniono ze szpitala, żeby mi przekazać, że jest na izbie przyjęć. Wtedy dowiedziałem się o wypadku.

– Jak pan myśli, co pana żona robiła między ósmą wieczorem a piątą rano? – zapytał Wyatt.

– Nie wiem. Jeździła samochodem... – Thomas zająknął się. – Piła... – padła spodziewana odpowiedź.

– Mogła się z kimś spotkać? Z kimś zaufanym, z przyjaciółką? Z kochankiem?

– Jesteśmy tu nowi. Ledwo się rozpakowaliśmy, gdy Nicky upadła po raz pierwszy. Od tamtej pory poznaliśmy wielu lekarzy. Ale nie... przyjaciół.

Wyatt pomyślał, że w głosie Thomasa pobrzmiewa żal.

– Jakiś powód, dla którego znalazła się samochodem akurat w tym miejscu? Jest tam jakaś restauracja, sklep czy ulubione miejsce?

– Rzadko wychodziliśmy.

– Pańska żona ma jakiś ulubiony rodzaj szkockiej?

Thomas zacisnął usta, nie zamierzał odpowiadać. Wyatta to nie zdziwiło. Z doświadczenia wiedział, że rodziny pijanych kierowców nie są chętne do udzielania informacji. Nie bez powodu uważa się ich często za współwinnych.

Wyatt zmienił taktykę.

– A Vero? Po co angażuje policję w taką ciuciubabkę, w poszukiwanie wymyślnego dziecka?

– Ona tak nie myśli. Wy i ja wiemy, że Vero nie istnieje. Ale Nicky... Dla niej Vero jest bardzo realna.

– A co ją tak zdenerwowało? – zapytał Wyatt. – Gdy tu przyjechaliśmy.

– Nie mam pojęcia. Często nie mam. Może to dlatego, że teraz życie mojej żony to nudna rutyna i poczucie zbędności.

– A do tego butelka szkockiej?

– Posłuchajcie. – Thomas Frank pochylił się do przodu, kładąc dłonie na kolanach. – Nie wiem, co się wydarzyło zeszłej nocy, ale możecie sprawdzić kartotekę mojej żony. To jest jej pierwsze wykroczenie. Nie możecie jej wystawić mandatu albo coś takiego?

– Wystawić mandat? Panie Frank, pańska żona zostanie oskarżona co najmniej o spowodowanie wypadku pod wpływem alkoholu. A to już jest przestępstwo.

– Ale nikomu nie stała się krzywda!

– Jej się stała. Według prawa to wystarczy.

Pan Frank usiadł z powrotem. Naprawdę wyglądał na przestraszonego.

– Ale... Ale...

– Nie wspominając – kontynuował Wyatt – o tym, że na kilka godzin

zaangażowała lokalne i stanowe siły porządkowe w poszukiwanie dziecka, które nie istnieje.

– To nie jej wina!

– Mimo wszystko...

– Proszę, musicie zrozumieć... – Thomas Frank miał szeroko otwarte oczy, był bliski paniki. – Moja żona nie jest przestępcą. Jest po prostu chora. Zajmę się nią. Będę jej uważnie pilnować. To się już nie powtórzy.

– Myślałem, że musi pan pracować. Na rachunki i tak dalej.

– Wezmę wolne. Albo wynajmę opiekunkę czy kogoś takiego. Błagam, panowie. Nie ma potrzeby jej o nic oskarżać. Ona wyzdrowieje. Obiecuję, że wszystkim się zajmę.

Wyatt uważnie mu się przyglądał. Uznał, że Thomas Frank nie kłamie. Naprawdę wierzy, że potrafi nad wszystkim zapanować. A mimo to... Coś mu tu nie pasowało. Intuicja śledczego, dwadzieścia lat doświadczenia, które podpowiadało, że jeśli żona jest w szpitalu, to najbardziej prawdopodobnym podejrzanym jest mąż. Wyatt nigdy nie słyszał o syndromie powstrząśnieniowym. Ale znał wiele rodzin i wiedział, że każda z nich zawsze ma coś do ukrycia. Wypuścił ostatnią strzałę:

– A co z Vero? – zapytał. – Nią też się pan zajmie?

I miał tę satysfakcję, że Thomas Frank w końcu się wzdrygnął.

Rozdział 7

Vero i ja urządzamy przyjęcie. Siedzimy przy dziecięcym stoliku z drewna klonowego, Gruby Miś zajął miejsce naprzeciwko niej, a ja mam przed sobą księżniczkę Priscillę. W pokoju jest widno i słonecznie. Po jednej stronie pomalowane na jasną zieleń ściany pokrywa dekoracja przedstawiająca pnące róże, podkreślona świeżym białym obramowaniem. Duże łóżko Vero stoi pod samą ścianą, otulone różową gazą. To piękny pokój, idealny dla małej dziewczynki, ale ja czuję ukłucie, bo od razu wiem, że żadnej z nas się tu nie podoba.

Vero podaje mi porcelanowy czajniczek. Ostrożnie nalewam soku jabłkowego do maleńkiej filiżanki. Robię to samo dla Grubego Misia z pękatymi brązowymi łapkami i sympatycznym, okrągłym brzuszkiem, który siedzi po mojej lewej stronie. Po raz pierwszy zauważam, że Vero nakleiła krzyżyki na jego oczach. To samo zrobiła księżniczce Priscilli.

Zerkam na Vero, która w różowym szyfonie i długim sznurze pereł wygląda ślicznie.

– W porządku – mówi mi. – One nie boją się ciemności.

Kiwam głową, jakby to było całkowicie zrozumiałe, i odstawiam czajniczek na środek stolika. Ręcznie malowany krzak róży porusza się na ścianie. Różowe płatki zdają się opadać z kwiatów na ziemię. I jeszcze coś ciemniejszego, złowrogiego. Krople krwi skapujące z kolców.

– Napij się herbaty – mówi Vero.

Popijamy małymi łydkami w przyjemnej ciszy, chrupiąc biszkopty.

Sok jabłkowy i ciasteczko to zbyt słodki posiłek; czuję mdłości. Ale kontynuuję. Potrzebuję tej chwili, każdej chwili z Vero, jest ich za mało.

– On cię zostawi – mówi teraz. Domyślam się, że chodzi jej o Thomasa. – Uważa, że jesteś wariatką.

Nic nie mówię, tylko odstawiam przypominającą naparstek filiżankę. Żałuję, że nie mogę sięgnąć przez stół i wziąć ją w ramiona. Chcę ją pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Chcę jej powiedzieć, że mi przykro. Że nie potrafiłam inaczej. Że tak się zdarza.

Ale nie chcę kłamać.

Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że stół i pokój są dla niej za małe. Nie ma sześciu lat, a raczej dwanaście, rzęsy otaczające stalowoszare oczy są wytuszowane, na ustach widać rozmazaną jaskrawą szminkę.

Wpatruje się we mnie, wypija kolejny łyk soku. A może to szkocka, osiemnastoletnia glenlivet, prosto z butelki.

– To nie twoja wina – szepczę.

– Kłamstwo.

– Gdybym mogła wrócić, wróciłabym.
– Jeszcze większe kłamstwo.
– Vero.
– Cii... – Wstaje gwałtownie, a ja też już słyszę: ciężkie kroki dochodzące z holu na dole.

Nie potrafię powstrzymać dreszczu, który mnie przechodzi, a Vero naprzeciwno uśmiecha się, ale nie jest to miły widok.

Teraz, gdy stoi, zauważam, że ma sukienkę z dekoltem niemal do pępka. Zupełnie niestosowną dla dwunastolatki. A spod różowych falbanek wystają zielone i fioletowe smugi, siniaki pokrywające jej nogi i ręce.

Kroki się zbliżają. Kolejne płatki opadają z pnącej róży, świeża krew kapie z kolców.

Chcę dotknąć tej marmurowej figury kobiety-dziecka, która już się spina i samym wzrokiem zabrania mi komentowania dekoltu jej sukienki i stanu jej ciała.

– Bądź silna – szepczę, ale obie wiemy, że nie w tym problem. Vero zawsze była twarda. W tym świecie jednak ci, którzy nie potrafią się ugiąć, zostają złamani.

Kroki. Głośniejsze. Cięższe. Złowrogie.

– Nie powinnaś była przychodzić.

– Tęsknię za tobą...

– Zabiłaś mnie.

Otwieram usta. Nie mam nic do powiedzenia.

– Biegnij – mówi stanowczo Vero, dziecko, które lepiej panuje nad sytuacją niż dorosły. – Uciekaj stąd, do cholery, i nie oglądaj się.

Ale ja nie potrafię zmusić się do tego, żeby ją opuścić.

Znowu.

– On tu jest! Nie rozumiesz? Znajdzie cię, a gdy to zrobi...

– To nie twoja wina – słyszę, że to powtarzam, ale Vero już się ode mnie odwraca.

– Ty głupia niedołęgo. Wynoś się. Uciekaj. Biegnij, do diabła! Biegnij!

Chcę to zrobić. Ale nie robię nic. Odpycham się od stolika. Podchodzę do tej małej dziewczynki, która nie jest już taka mała. I choć wiem, co się teraz zdarzy, biorę ją w ramiona.

Przez ułamek sekundy tam jest. Czuję ją. Wdycham jej zapach. Vero. I w tym momencie, jak zawsze, uświadamiam sobie dokładnie, co zrobiłam.

A potem jej ciało rozplywa się w moim uścisku. Obejmuję stertę kości pokrytych setkami białych robaków, które wwiercają się w moją skórę.

Otoczam dłońmi czaszkę, która obraca się powoli i patrzy na mnie ciemnymi, pustymi oczodołami.

– Uciekaj – rozkazuje mi szkielet Vero.

Ale jest za późno. On już tu jest.

Gwałtownie otwieram oczy. U góry jasne światła. Sterylna sala szpitalna. Już nie myślę. Poruszam się.

Chwytam najbliższy pęk rurek i odrywam od swojego ciała. Krew tryska z wierzchu mojej dłoni, gdy wrywam wenflon. Z kolców róż – myślę gorączkowo, patrząc, jak czerwone krople opryskują szpitalne łóżko. On tu jest. On tu jest.

Nie radzę sobie z metalowymi poręczami łóżka. Są podciągnięte do góry, stanowiąc pułapkę. Pcham je rozpaczliwie, próbując złożyć. Gdy to się nie udaje, czołgam się na koniec materaca i zeskakuję, uderzając bosymi stopami o zimną podłogę. Szpitalny fartuch powiewa luźno, gdy biegnę w stronę otwartych drzwi.

Muszę biec. Dokąd, dokąd, dokąd?

Wybiegam na szeroki korytarz. Jest za duży, zbyt otwarty. Każdy może mnie zobaczyć. Jak na zawołanie, pielęgniarka na końcu korytarza woła coś ostrzegawczo.

Biegnij. On nadchodzi. A może już tu jest.

Uciekam, nie myśląc, nieprzytomna, kierowana instynktem. Bolać mnie stopy, żebra, klatka piersiowa. Jest mi wszystko jedno. Nic nie jest ważniejsze niż pragnienie ucieczki. Potrzebuję jakiejś kryjówki. Czegoś małego i ciemnego. Niczym zwierzę chowające się do nory. Jakiś schowek mógłby mnie uratować.

Słyszę za sobą tupot nóg, a potem kolejne zaniepokojone głosy.

Śmigam za róg, a tam... stoi on.

– Nicky – mówi Thomas.

Wyciąga ramiona, blokując mi drogę. Jego twarz jest pozbawiona wyrazu. Widzę tylko jego ciemne oczy, które się we mnie wpatrują.

– On tu jest – stwierdzam na granicy hysterii.

– Cii... – odpowiada mój mąż.

– Nie, nie, muszę biec. Muszę uciekać. Vero tak mówi.

W jego spojrzeniu pojawia się jakiś błysk. Przez moment wydaje się, że mi wierzy. A potem:

– Posłuchaj brzmienia mojego głosu, Nicky. Skoncentruj się. Mój głos. Mówi do ciebie. Mój głos. Uspokaja cię.

– Muszę stąd uciec!

– Skup się. Na jednej rzeczy. Na moim głosie. To wszystko, co słyszysz. Wszystko, co się liczy. Jedna rzecz, Nicky. Skup się na moim głosie. A reszta minie.

Nie chcę się skupiać. Jestem spięta, ale słaniam się na nogach, w żebrach tak mnie ściska, że nie mogę złapać tchu, a przed oczami mam szkielec, na rękach robaki, i czy on nie wie, że różany krzew wciąż krwawi i że ją zawiodłam. Tyle razy, na tyle sposobów. Wracam do niej raz po raz. I raz po raz zawodzę.

Nagle czuję zmęczenie. Całkowite. Wydaje mi się, że nie ustoję już ani

chwili.

– Wszystko w porządku – szepcze Thomas. – Chodź, kochanie. Pewnie ci zimno. Odprowadzę cię do łóżka.

Robi krok w moją stronę.

Dlaczego ja? – szepcze mi do ucha Vero. Ale nie jęczy już, po prostu mówi.

– Jak twoja głowa? – pyta Thomas. – Nie boli cię?

Oczywiście w tej samej sekundzie wręcz eksploduje bólem. Chwytam się za skronie, mocno zaciskam oczy. W tym momencie Thomas podchodzi całkiem blisko. Jego ręce zatrząskują się wokół moich ramion niczym stalowa pułapka. Personel szpitala wycofuje się. Czemu nie? Na miejscu jest mąż. Z pewnością sobie poradzi.

– Dźwięk mojego głosu – rozkazuje.

Więc tak robię. Słucham dźwięku jego głosu. I czując ciężar jego dłoni na ramionach, odwracam się i potulnie z nim idę.

W sali bez trudu opuszcza metalowe poręcze, a potem pomaga mi wspiąć się na wysokie łóżko. Dokładnie otula moje drżące nogi, wygładza niebieski koc na klatce piersiowej.

Patrzę na niego z niechęcią, spodziewając się triumfalnej miny. Wygrał, ja przegrałam, nawet jeśli nie rozumiem zasad. Jednak gdy przenosi na mnie spojrzenie, ze zdumieniem stwierdzam, że jego oczy płoną, twarz jest pełna rozpacz. Powstrzymuje się, wyraźnie widać, że stara się nad sobą zapanować. Ze względu na mnie czy na siebie?

– Proszę, kochanie – zaczyna. – Nie możesz ciągle tego robić. Wywołujesz niepotrzebne zamieszanie... – Głos mu się łamie; odwraca wzrok. Jest zdenerwowany. To ja go zdenerwowałam. Czuję się źle, jakbym powinna przeprosić. Te ciemne, ciemne oczy. Myślę o tym, jak go kiedyś kochałam. I wciąż kocham?

Z trudem przełyka ślinę.

– Wiem, że mi nie wierzysz, wiem. Wszystko na opak, bez ładu i składu. Ale ja cię kocham, Nicky. Zawsze chciałem dla ciebie tego, co najlepsze. Bez względu na to, czy to pamiętasz, czy nie.

– Chcę do domu – szepczę.

Uśmiecha się znużony.

– Lekarze raczej ci nie pozwolą. Jesteś bardzo chora, Nicky. Trzy wstrząśnienia mózgu i potłukłaś sobie żebra.

– Ty się mną zajmiesz.

– Biorąc pod uwagę ostatnie pół roku, doktor Celik będzie odmiennego zdania.

– To nie twoja wina, że piję – mówię.

Nie odpowiada.

– Nie tknę alkoholu – obiecuję pochopnie. – Tylko mnie stąd zabierz. Tu jest za jasne światło. Oczy mnie od tego bołą.

– Policja chce cię przesłuchać – mówi wprost. – Czy tu, czy w domu, będziesz musiała z nimi porozmawiać.

– Ale ja niczego nie pamiętam!

– Nawet tego, jak kupiłaś szkocką?

Jego wypowiedziane chłodnym tonem pytanie powstrzymuje mnie. Czy ja pamiętam, jak kupowałam butelkę glenlivet? Możliwe. Chyba. Czy to wystarczająca odpowiedź?

– Chcę do domu – powtarzam.

Otwiera usta. Zamyka je. Widać, że nie wie już, co ze mną począć. Zostawi mnie?

Będę za nim tęsknić?

– Pamiętasz obietnicę, jaką ci złożyłem, gdy spędzaliśmy naszą pierwszą wspólną noc w Nowym Orleanie? – pyta nagle.

Nie. Chyba widać to po mojej twarzy.

– Dawno, dawno temu powiedziałaś, że twój dom jest zawsze tam, gdzie ja – mówi.

Te słowa nic dla mnie nie znaczą.

– Dawno, dawno temu powiedziałaś, że moja miłość daje ci siłę.

Nie mam na to odpowiedzi.

– Dawno, dawno temu powiedziałaś, że jeśli tylko będziemy razem, to wystarczy.

Nie wiem, co powiedzieć; opowiada mi historie z cudzego życia.

Chyba się orientuje. Opuszcza ramiona. Patrzy na mnie bez wyrazu.

– Tamtej nocy zawarliśmy układ. Gdy tylko poczujesz dym, chwycisz mnie za rękę. Czy czujesz dym, Nicky?

Marszczę brwi. Po raz pierwszy jego słowa brzmią znajomo, jakbym powinna wiedzieć, o czym mówi. Powoli kręcę głową.

– Czy czułaś dym zeszłej nocy?

Muszę się nad tym zastanowić.

– Po wypadku – szepczę.

Nic nie mówi. Tylko napina mięsień żuchwy. Na znak, że usłyszał. I że go zabolalo.

– Umarłam już kiedyś – słyszę swój głos.

Mojego męża ta nowina nie zaskakuje.

– Kobieta tyle razy może powstać z martwych.

– Damy sobie z tym radę – mówi spokojnie Thomas.

Teraz moja kolej, żeby się uśmiechnąć. Bo może zapomniałam, jak ma na imię, ale wciąż wiem, kiedy mnie okłamuje.

Vero – myślę.
A potem sięgam i biorę męża za rękę.

Rozdział 8

– Jak tam na froncie? – zapytała Tessa.

Wyatt po drugiej stronie linii rozważył zadane lekkim tonem pytanie swojej dziewczyny i ciężko westchnął.

– Długi poranek – przyznał. – Długi i dziwny. Ale dobre wieści są takie, że chyba powinniśmy wziąć sobie szczeniaczka.

– Co?

Wyobraził ją sobie natychmiast, jak prostuje się i mruga zaskoczona swoimi niebieskimi oczami.

– Słodkiego biszkoptowego labradora – ciągnął Wyatt. – Takiego, który będzie wymachiwał ogonem i lizał cię z radości po twarzy za każdym razem, gdy wracasz do domu. Byłoby idealnie.

– Idealnie dla kogo? Wiesz, że psy trzeba karmić? A także wyprowadzać na spacer i zapewnić dużo ruchu. A mnie i Sophie prawie nigdy nie ma w domu.

– Pani Ennis mogłaby pomóc.

– Pani Ennis ma siedemdziesiąt lat...

– I wciąż jest najtwardszą babką, jaką znam. Właściwie, jeśli nam się nie ułoży, to mógłbym zacząć smalić cholewki do niej.

Niemal widział, jak Tessa przewraca oczami. I właśnie taki efekt chciał osiągnąć. Oderwać się od presji sprawy, co do której mogło się nawet okazać, że nie jest żadną sprawą. A mimo to był pewien, że sprawa jest. Przynajmniej jest wypadek samochodowy.

– Po co ten szczeniak? – zapytała go Tessa.

– Bo ze szczeniakiem wszystko będzie lepiej. Wystarczy, że zapytasz Sophie.

– Cios poniżej pasa.

– Oczywiście rezerwuję sobie prawo przyniesienia szczeniaka. Oboje wiemy, że muszę zbierać punkty.

– Dobrze to sobie przemyślałeś – stwierdziła Tessa.

– Spędziłem rano z psem tropiącym – przyznał Wyatt. – Na pewno poszłoby nam lepiej, gdybyśmy szukali prawdziwego pasażera, a nie wytworu umysłu kobiety z uszkodzonym mózgiem. – Nie potrafił się powstrzymać. Znowu westchnął.

– Aż tak źle?

– Tak, co oznacza, niestety, że nie zdążę na obiad. Skoro już wyeliminowaliśmy duchy, możemy zająć się analizą miejsca zdarzenia i rekonstrukcją wypadku.

– Opowiedz. Czego się dotąd dowiedzieliście?

Wyatt usłyszał przez telefon, że Tessa zmienia pozycję, prawdopodobnie mości się wygodnie w swoim czarnym skórzanym fotelu. Nie pytała dla formalności, rzeczywiście ją to interesowało. I to właśnie była jedna z tych rzeczy, dla których Wyatt cenił randkowanie z koleżankami detektywami. Tessa nie pytała tylko o to, jak mu minął dzień. Była szczęśliwa, jeśli mogła go z nim przeanalizować. A wiadomo, że co dwie głowy to nie jedna.

Wyatt, który siedział w radiowozie, czekając na przybycie policji stanowej z urządzeniem do odzyskiwania danych elektronicznych, skorzystał z propozycji.

– Jedno auto, zjechało z drogi, kierowca prawdopodobnie pod wpływem.

– Poziom alkoholu we krwi?

– Cóż, pierwsza komplikacja. Kobieta cuchnęła jak gorzelnia. Jednak według badań szpitalnych miała tylko sześć dziesiątych promila.

– To za mało na jazdę pod wpływem.

– Owszem, ale ona cierpi na coś, co nazywają syndromem powstrząśnieniowym. Za dużo razy uderzyła się w głowę w ciągu ostatnich sześciu miesięcy. Według lekarki dla osoby z tą przypadłością wystarczy nawet odrobina alkoholu. Więc na razie nie odrzucam tej wersji. Moglibyśmy wysunąć argument, że dla kierowcy w jej stanie sześć dziesiątych promila wystarczająco upośledza funkcjonowanie.

Wyatt dobrze to sobie przemyślał, przede wszystkim dlatego, że musiał. Według nietypowego prawa New Hampshire policjanci z hrabstwa mogli ścigać każde wykroczenie. Co oznaczało, że Wyatt nie tylko przygotowywał sprawę, ale też prezentował ją w sądzie. Biorąc pod uwagę obrażenia kierowcy, wypadek ten można było zakwalifikować jako ciężkie przestępstwo, a wtedy sprawę mógłby przejąć prokurator okręgowy, ale to Wyatt wciąż byłby odpowiedzialny za rozprawę dotyczącą zwolnienia za kaucją, a prawdopodobnie też za rozprawę główną. Często żartował, że jest w połowie gliną, a w połowie prawnikiem. Choć patrząc na to, jak obecnie działał system prawny, trzeba być w co najmniej dziewięćdziesięciu procentach prawnikiem, żeby w nim przetrwać.

– Ciekawe – powiedziała Tessa. – A więc masz kierowcę, który nie jest pod wpływem, ale jednak jest pod wpływem.

– Na to wygląda. A trunkiem okazała się osiemnastoletnia szkocka whisky...

– Droga.

– Daj spokój, nie ma porównania z bryką. Chłopaki wysledzili zakup kartą kredytową takiej butelki w sklepie monopolowym piętnaście kilometrów od miejsca wypadku. Przeglądamy teraz zapisy kamer, żeby sprawdzić, czy da się udowodnić, że to ona ją kupiła. W sumie to i tak nieźle jak na jeden ranek.

– A jednak martwi cię to, że... – drążyła Tessa.

– Sklep z alkoholami zamykają o jedenastej wieczorem. Wypadek zdarzył się około piątej nad ranem. Więc co ona robiła w tym czasie? Bo jeśli siedziała

i piła, to powinna mieć więcej niż sześć dziesiątych promila.

– Tajemniczy przyjaciel?

– Możliwe.

– Mąż?

– Twierdzi, że był w przydomowym warsztacie. Ponoć nie zauważył nawet, że cierpiąca na syndrom powstrząśnieniowy żona w ogóle wyszła.

– Nie dostanie walentynki. Gdzie auto zjechało z drogi? W ruchliwym miejscu? Sklepy, restauracje, bary, gdzie mogła spędzić czas?

– Nic z tego. Naliczyłem dwie stacje benzynowe między sklepem z alkoholem a miejscem wypadku. I tyle. Więc powraca pytanie, co ona robiła przez sześć godzin?

– Może... – Niemal słyszał, jak Tessa intensywnie myśli. – Może nic nie robiła. Może po prostu... zabijała czas. Próbowwała zebrać myśli. Gdy jeździłam na patrol, nie mogłam się nadziwić, ile widzę zaparkowanych w środku nocy samochodów, w których siedzą jakieś samotne dusze. Jeśli ona miała wstrząśnienia mózgu, cierpi na ten syndrom, to może też jest zagubiona. Kolejna zagubiona dusza, która szuka światełka w tunelu.

– Więc kupuje butelkę whisky i topi w niej swoje smutki?

– Raczej je delikatnie polewa. Zaledwie sześć dziesiątych promila.

– A potem rusza w drogę. Szukać małej dziewczynki, która nie istnieje.

– Małej dziewczynki? – Tessa aż podniosła głos.

Wyatt się skrzywił. Miał o tym nie wspominać.

– Gdy pierwszy funkcjonariusz zjawił się na miejscu, kobieta twierdziła, że nie może znaleźć córki, Vero. Tylko że jej mąż twierdzi, że nie mają dzieci. A są ze sobą od dwudziestu dwóch lat. Nie mają i nigdy nie mieli.

– Więc ma urojenia?

– Najwyraźniej. Jej mózg uszkodziła seria wstrząśnień. Spadła ze schodów, niosąc pranie, potem przewróciła się na ganku, a teraz jeszcze ten wypadek. Krótko mówiąc, jej pamięć jest w strzępach, cierpi na nawracające bóle głowy, nadwrażliwość na światło i ma mocno zmienne nastroje.

– Z całym szacunkiem, ale z tego, że zapomina, nie wynika, że zmyśla.

– Co masz na myśli? – zapytał Wyatt.

– Potwierdziłeś u lekarzy, że ona na pewno ma urojenia?

– Nie chcą gadać. Tajemnica lekarska i tak dalej. Wiemy to wszystko od męża.

– Proszę cię. Nie wiesz, że mąż zawsze dowiaduje się ostatni?

– Ale oni najwyraźniej nie mieli dziecka...

– A mimo to ona go szuka. To znaczy, że nawet jeśli ma urojenia, to dlaczego akurat takie? Ze wszystkich obwodów w jej głowie, dlaczego zepsuł się właśnie ten? Sprawdziłabym też licznik w samochodzie. Bo może to robiła przez te

sześć godzin. Jeździła po okolicy, szukając zagubionej córki.

– Która nie istnieje – powtórzył Wyatt.

– A mimo to jest dla niej bardzo ważna. Pierwszy raz jej się to zdarzyło?

Wyatt się zawahał.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby o to zapytać.

– Przyjaciółki, sąsiedzi?

– Nowi w tej okolicy.

– Praca?

– Samozatrudnienie. Mąż i żona pracujący razem nad elementami scenografii dla Hollywood.

– To znaczy, że całą jej rodziną i całym jej środowiskiem jest mąż. – Tessa znów podniosła głos. – Który mówi, że nie mieli dzieci. I twierdzi, że jego żona miała trzy „wypadki” w ciągu pół roku.

Wyatt zrozumiał. Jemu też to przeszło przez myśl. W świecie gliniarzy tam, gdzie jest paranoja, często jest też uzasadniona przyczyna.

– Podejrzewasz przemoc domową. I muszę przyznać, że mnie też to zastanawia. – Wyatt przypomniał sobie siniak na żuchwie Thomasa Franka. Oberwał od chorej żony, wymachującej na oślep w ataku paranoi? A może od przerażonej kobiety, która się broniła?

– Pasuje do profilu – powiedziała Tessa. – Nie wspominając o tym, że mężczyzna, który bije żonę...

– Może też bić dzieci. Co miałyby doprowadzić do śmierci dziewczynki, która nie istnieje? Zaraz się pogubimy w świecie szalonych domysłów. Już cały ranek spędziłem na szukaniu wiatru w polu. Nie wspominając o sporych siłach z hrabstwa i ze stanu. W tym momencie mój szef, szeryf, wolałby otrzymać więcej faktów, a mniej fikcji.

– Czy ty w ogóle rozmawiałeś z tą kobietą?

– Wszystko w swoim czasie.

– Nie przesłuchałeś kierowcy? – Tessa wydawała się zdumiona.

– Dopiero co podali jej środek uspokajający! Ona ma problemy zdrowotne, chyba już wspomniałem.

– Czyli nie rozmawiałeś z nią bezpośrednio...

– Zrobię to jutro z samego rana. Lekarz powiedział, że potrzebuje trochę czasu, żeby dojść do siebie. Czyli mamy resztę dnia na uporządkowanie spraw. Wypadek z udziałem jednego pojazdu. Tylko kierowca. Możliwa jazda pod wpływem alkoholu.

Wyczuł, że Tessa znowu przewraca oczami. Śmieszne, że jej córka robi dokładnie tak samo.

– W porządku. Dostosuję się do zasad gry policjanta z hrabstwa – przyznała.

– Biorąc pod uwagę sam wypadek... Skoro poziom alkoholu we krwi wynosił

tylko sześć dziesiątych promila, to czemu się rozbiła?

– Niepogoda. Problemy wynikające z uszkodzenia mózgu w połączeniu ze wspomnianym poziomem alkoholu we krwi. W każdym razie zjechała z prowadzącej nad stromizną drogi, a samochód zanurkował ze skarpy.

– Celowo?

– W wyjaśnieniu tego pomoże nam policja stanowa. Musimy odzyskać dane elektroniczne z rejestratora w aucie.

– Samobójstwo?

– Miała zapięty pas, co byłoby głosem na nie. Z drugiej strony otwartą butelkę whisky można uznać za głos na tak. Jednak, co chyba najciekawsze, po wypadku wdrapała się kilkadziesiąt metrów w górę jaru w strumieniach deszczu, żeby szukać pomocy.

– Czyli raczej nie brakowało jej chęci życia – stwierdziła Tessa.

– Tyle tylko, że... – Wyatt się zawahał, ale nie potrafił się powstrzymać. – Raczej nie szukała pomocy dla siebie. Błagała o pomoc w poszukiwaniu zaginionej córki. Wołała Vero.

– Małą dziewczynkę, która nie istnieje?

– Tak. Właśnie ją.

– Urojenie – uzupełniła Tessa znaczącym tonem.

– Nie wybierałaś się na lunch? – zapytał ją poirytowany Wyatt. – Wiesz, z tą swoją ulubioną panią detektyw, D.D. Warren.

– Jedyńą w swoim rodzaju.

– Powodzenia.

– Powodzenia? Potrzeba mi raczej ciężkiej zbroi.

Tym razem to Wyatt przewrócił oczami, a potem zakończył rozmowę.

Chłopaki z policji stanowej znajdują się na swojej robocie. W New Hampshire wszyscy funkcjonariusze sił porządkowych szkolą się w tej samej akademii, zarówno policjanci z miasta, z hrabstwa, jak i członkowie koła łowieckiego. Dzięki temu wszyscy się znają i łatwiej o kontakty w regionie, w którym jest mnóstwo gór, a mało ludzi. Zwłaszcza na północy Concord, gdzie sił porządkowych jest bardzo niewiele, różne formacje muszą wzajemnie polegać na swoim wsparciu. Nie tylko jeśli chodzi o ludzi, ale i o sprzęt. W przeciwieństwie do seriali kryminalnych, gdzie laboratoria policyjne wyglądają jak stacje kosmiczne, a oddziały SWAT wchodzą do akcji w uzbrojeniu wartym sto tysięcy dolarów na osobę, prawdziwi policjanci muszą opierać się na współpracy, a czasem... na własnej innowacyjności. Wyatt brał udział w prowokacjach narkotykowych z użyciem sprzętu do obserwacji zwiezionego z trzech różnych miast. Czasem przypominało to nie pracę w policji, ale raczej chodzenie z tacą na datki.

Podszedł do Jean Huntoon, która przyjechała ze komputerem do odzyskiwania danych elektronicznych. Spotkali się już dwukrotnie. Ucisnęli sobie

dłonie, wymienili obowiązkowe komentarze na temat pogody, a potem ruszyli w stronę wraku. Huntoon była szczupłą, wysoką kobietą, która w wolnym czasie uczestniczyła w wielokilometrowych rajdach rowerowych. Nie wspinała się też w górę i w dół tego jaru już kilka razy – pomyślał z niechęcią Wyatt, gdy młodsza od niego funkcjonariuszka mocno wyprzedziła go w drodze do wraku.

– Smutny koniec pięknego auta – stwierdziła.
– Najwyraźniej nie przewidziano funkcji latania.
– Uderzenie przodem. Prosto na nos. – Huntoon popatrzyła na miejsce, z którego zeszli. – Musiała zjechać dokładnie tutaj i polecieć prosto w dół. Inny pojazd nie uczestniczył?

- Nie sędzę.
- Ślady hamowania?
- Nie.

Huntoon delikatnie uniosła brew.

– To zwykle zły znak. Okej, spróbujemy odpowiedzieć na twoje pytania.

Funkcjonariuszka postawiła komputer na stosunkowo płaskiej powierzchni obok ramy wybitej szyby, wyciągnęła jakieś kable i zabrała się do pracy.

Jest kilka sposobów przeprowadzenia autopsji samochodu. Jeden z nich to rozłożenie auta na części w terenie i zabranie całych drzwi, siedzeń i czarnej skrzynki do laboratorium stanowego. Była to sprawa podlegająca policji hrabstwa, więc ktoś taki jak Wyatt pojechałby wtedy razem z dowodami do laboratorium i nadzorował każdy etap analizy i uzyskiwania danych.

Ale Wyatt czuł w związku z tą sprawą jakąś presję, której nie potrafił wyjaśnić. Może dlatego, że zaczęła się tak niefortunnie, od dziesiątek funkcjonariuszy szukających wiatru w polu. Miał teraz wrażenie, jakby śledztwo im uciekło, a on powinien nad tym zapanować i dokładnie określić kto, co, kiedy, gdzie, dlaczego i jak.

Chciał, żeby wypadek zaprezentował się rzeczywiście jak wypadek. Jeden z wielu. Nic nowego. Wtedy on i jego zespół mogliby się nim zająć i sprawnie zakończyć.

I dlatego poprosił Jean Huntoon, żeby spotkała się z nim w terenie i na miejscu odzyskała dane elektroniczne z audi. Nie chciał czekać kolejnego dnia, aż zajmą się tym w laboratorium.

Jeden minus bezpośredniego podłączenia się do auta: Huntoon musiała pracować na pokrytej okruciami szkła i zaplamionej krwią desce rozdzielczej. Jako doświadczona policjantka pogwizdywała sobie wesoło, podłączając kable z rejestratora danych elektronicznych samochodu do swojego komputera. Poprawiła to, docisnęła tamto, a potem odsunęła się, by urządzenie mogło zadziałać.

Godzinę wcześniej Kevin i kilku kolegów z zespołu technicznej

rekonstrukcji wypadków skończyli mapowanie miejsca zdarzenia tachimetrem. Wyatt miał nadzieję, że w połączeniu z informacjami z rejestratora danych elektronicznych pojazdu uda się uzyskać piękny i elegancki obraz wypadku z udziałem jednego auta na trasie 101.

– Niezłe odciski – zauważyła Huntoon, wskazując ślady dwóch dłoni na tablicy rozdzielczej.

Wyatt skinął głową. To prawda. W wypadkach samochodowych trudno uzyskać odciski palców. Za dużo ich się na siebie nakłada i za mało jest odpowiedniego rodzaju powierzchni. Najbardziej lubił zbierać odciski z wewnętrznej powierzchni klapy schowka. Kierownice, drzwi, gałka skrzyni biegów zwykle nic nie wносиły. Ale w środku schowka... Miły, gładki plastik. Którego zazwyczaj dotyka niewielka liczba osób i do tego rzadko. W swoim czasie zebrał mocno obciążające dowody dzięki schowkowi w aucie. To coś, z czego każdy policjant byłby dumny.

– Badanie krwi? – zapytała Huntoon, pokazując przypominającą scenę w horrorze plamy krwi rozsmarowanej na drzwiach kierowcy.

– Wam zostawiłem ten honor. Całe drzwi wyruszą stąd jeszcze dziś wieczorem. Pewnie technicy zabiorą też elementy deski rozdzielczej. Dzięki temu będzie mniejsze rozcieńczenie.

Huntoon przytaknęła. Zebranie krwi wymagało użycia wacika ze sterylą wodą, co powodowało rozcieńczenie próbki. W dobie współczesnej kryminalistyki dobry policjant nie tylko znajdował dowody, ale też je chronił.

– Kierowała kobieta? – zapytała Huntoon.

– Owszem.

Huntoon pokazała przez wybitą szybę na fotel kierowcy.

– Ustawienia fotela sugerują osobę o podobnej budowie co ja, czyli kobietę średniego wzrostu.

Wyatt obszedł samochód wokół, bo stał przy drzwiach pasażera. Huntoon miała rację co do ustawień fotela, a teraz był równie dobry moment jak każdy inny, żeby sprawdzić wszystko inne po stronie kierowcy.

– Pas jest zwinięty, więc przypuszczam, że był zapięty – stwierdził. – A lusterka...

Trudno powiedzieć. Najlepiej usiąść w fotelu kierowcy, ale biorąc pod uwagę ilość okruchów szkła oraz fakt, że zapewne żadne drzwi się nie otwierają, nie było to możliwe. Wyatt uważnie się przyjrzał i postanowił, że wróci do tego później, gdy zostaną już zabrane drzwi.

Tu się pochylił, tam wsunął głowę.

– Chyba okej.

Huntoon dołączyła do jego zabawy z lusterkami.

– Wyglądają w porządku.

Jej komputer zapikał. Cofnęła się, żeby spojrzeć na ekran.

Wyatt dokończył krótkie oględziny.

– Czyli ustawienia fotela, ustawienia lusterek i tak dalej pasują do kobiety o wzroście od stu sześćdziesięciu do stu siedemdziesięciu centymetrów. Nic na razie nie wskazuje na obecność innej osoby w aucie. Mieliśmy też zresztą psa tropiącego, który mógłby przysiąc, że samochodem jechała tylko kierująca nim osoba. A teraz od ciebie dowiem się, że...?

– Wyłączono kontrolę stabilności.

– Co? – Wyatt się wyprostował. Różnych rzeczy się spodziewał, ale nie tego, że Huntoon odczyta z rejestratora danych taką informację.

– Ten model ma ESP. Wiesz, system, który pomaga utrzymać kontrolę nad samochodem, gdy auto wpadnie w poślizg albo jeśli wejdzie się za mocno w zakręt. Komputer pokładowy wykrywa potencjalne zagrożenie i przejmuje hamowanie lub przyspieszenie. Ale nie w tym aucie, bo tutaj ten układ wyłączono.

– Ręcznie? – zapytał Wyatt, bo wydawało mu się, że tak to działa w samochodach z wyższej półki. Kierowcom wiele było dane, ale mogli z tych dobrodziejstw zrezygnować. Choć z policyjnej pensji nigdy nie będzie go stać na taki samochód, domyślił się, że niektórzy wolą mocniejsze wrażenia z jazdy. Chcą wypróbować do maksimum możliwości auta bez wtrącania się jego komputerowego instynktu przetrwania.

– Tak jest. – Huntoon spojrzała na niego. – Babka lubiła adrenalinę?

– Nie mam pojęcia.

– Auto jechało z prędkością około pięćdziesięciu do pięćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę – odczytała Huntoon. – Ale uwaga: nie ma zwiększania obrotów.

Wyattowi rozszerzyły się oczy.

– Był na luzie.

– W takiej pozycji jest ustawiona gałka. – Huntoon wskazała głową na dźwignię zmiany biegów, którą oboje mogli dostrzec. Wyatt już wcześniej zauważył pozycję na luz, ale założył, że to kierowca wyłączył bieg.

– W jaki sposób samochód może osiągnąć prędkość ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę na luzie? – zapytał zdumiony Wyatt.

– Jakiś spadek – odpowiedziała Huntoon, zerkając na drogę ponad nimi.

– Tja. Albo popchnięcie.

Huntoon znów spojrzała w górę swoimi ciemnymi oczami. Widać było, że się zastanawia.

– Dałoby radę. Wciąż uważasz, że to wypadek?

Wyatt odparł tylko:

– Cholera.

Rozdział 9

Oficer śledcza Tessa Leoni przyjrzała się krytycznie swojemu odbiciu w lustrze. Nie należała do kobiet przesadnie dbających o swoją garderobę. Na początku kariery stan Massachusetts był na tyle uprzejmy, by załatwić tę sprawę za nią – na każdej zmianie pojawiała się w granatach policji stanowej. Po pewnym incydencie, gdy ona i stan zgodnie ustalili, że dla obopólnej korzyści lepiej będzie się rozstać, została specjalistą ds. bezpieczeństwa korporacyjnego. I okazało się, że w związku z tym powinna zamienić ciemny granat munduru na elegancki granat kostiumów od Ann Taylor. Może jak już człowiek zacznie się nosić na granatowo, to nie ma odwrotu?

Tessa się skrzywiła, starając się uniknąć nasuwającego się oczywistego porównania. Kto raz był gliną, ten zawsze nim pozostanie. Z wyjątkiem jej samej.

Upomniała samą siebie, że przecież całkiem dobrze sobie radzi. Ma szczęśliwą córkę, oczywiście na tyle, na ile może być szczęśliwe czujne, zawsze spięte dziecko o obojętnych oczach, które walczy z traumą. Pani Ennis, ich dawna sąsiadka, a teraz domownik i źródło wszelkich mądrości, też była szczęśliwa, a poza tym znakomicie gotowała przy niewielkiej pomocy porad z kablówki.

No i... Wyatt.

Tessa nie spodziewała się, że będzie jeszcze randkować. A co dopiero, że znajdzie mężczyznę, do którego czuje szacunek, który ją pociąga i któremu naprawdę ufa. A on akceptował ją, całą, razem z przeszłością, która obejmowała domniemane zastrzelenie własnego męża. Nie każdy by tak potrafił.

I to nie jest tak, że Sophie go nienawidzi. W każdym razie nie bardziej niż każdego innego mężczyzny.

Tessa westchnęła, powracając do oceny swojego ubioru. Granatowy kostium. Dopasowana marynarka i spodnie o prostych nogawkach. Wyglądała w nim na wyższą, szczuplejszą i twardszą.

Co było bardzo przydatne na lunch z D.D. Warren, panią detektyw z Bostonu.

Dlaczego znowu to robi?

Bo to jej praca, a jest profesjonalistką i da sobie radę.

Poczuła ucisk w żołądku. Była zdenerwowana i nie podobało jej się to uczucie. Ona i wspomniała pani detektyw miały wspólną historię. Na samym początku D.D. prowadziła sprawę zastrzelenia męża Tessy. Ale zdarzyło im się pracować razem – tak jakby – i jakiś czas temu wytropić wspólnie zaginionego członka pewnej rodziny.

Czy to się D.D. podobało, czy nie, Tessa też była kiedyś policjantką. Doskonale pamiętała poczucie izolacji, gdy jest się kobietą w mundurze. I chyba

lepiej niż ktokolwiek inny rozumiała, co D.D. przechodzi teraz w związku z odniesioną niedawno raną.

A więc lunch.

Tessa przestała poprawiać kołnierzyk prostej białej bluzki. Wyglądała raczej jak agent federalny, a nie konsultant ds. bezpieczeństwa korporacyjnego. Ale to dobrze. Ma na sobie to, co ma. I jest tym, kim jest.

Nie należała od osób, które żyją iluzjami. W jej życiu były dobre rzeczy – Sophie, pani Ennis, Wyatt i, cholera, wkrótce może nawet i szczeniak. Ale były też inne rzeczy. Podjęte decyzje, wykonane działania, których nie można cofnąć. Wciąż miała blizny. I wciąż dręczyły ją koszmary.

A mimo to zastanawiała się: Czy kobieta taka jak ona zasługuje na szczęście?

Patrzyła na swoją córkę i nie wiedziała, jak mogłaby tego nie pragnąć.

A to znaczyło w tej chwili, że zachowa się jak osoba dorosła i zabierze ranną detektyw na lunch.

Tessa dotarła do Legal Sea Foods w Pru Center piętnaście minut przed czasem. Liczyła na to, że to ona przygotowuje scenę i wybierze stolik, najlepiej jakiś w rogu.

Ale oczywiście D.D. już na nią czekała. Przy stoliku w rogu. Siedząc tyłem do ściany. Podniosła się lekko, gdy hostessa przyprowadziła Tessę. Detektyw sprawnie się poruszała. Tessa musiała dobrze się przyjrzeć, by spostrzec słabość, to, że detektyw ciut za mocno przyciskała lewą rękę do żeber.

Uścisnęły sobie dłonie, dwie profesjonalistki. D.D. miała na sobie swoją ulubioną karmelową skórzaną kurtkę, spodnie z rozszerzonymi nogawkami i zapinaną na guziki turkusową koszulę. Męską koszulę – Tessa mogłaby się założyć o wszystko. Kolejny dowód na to, że znakomita pani detektyw nie do końca odzyskała sprawność. Ale jej krótkie złote loki były jak zwykle mocno skręcone. Czyli wciąż tliła się w niej wola walki.

To dobrze – pomyślała Tessa. Czekala na nią.

– Jak się ma Jack? – zapytała, zajmując miejsce naprzeciwko D.D., tyłem do sali. Jack to młodszy syn D.D. Ma dwa czy trzy latka? Ależ ten czas leci.

– Przechodzi etap przedszkolnych rymowanek. Czytamy książeczki i śpiewamy kołysanki. A Sophie? – zapytała D.D.

– Dobrze. Lubi gimnastykę, taekwondo i strzelanie do celu.

D.D. popatrzyła na nią i uśmiechnęła się delikatnie.

– Doszły mnie też inne słuchy. Ty i sierżant Wyatt Foster z New Hampshire. Tak mi się wydawało, że była między wami jakaś chemia podczas sprawy Denbe.

– Spotykamy się od sześciu miesięcy.

– Miło. Przedstawiłaś go już Sophie?

Tessa się zawahała. Nie wiedziała, co powiedzieć. D.D. uniosła pytająco

brew.

– Dwa razy próbowaliśmy wyjść gdzieś razem z nią – przyznała Tessa. – Głównie się na niego patrzyła. Wiesz, takim wzrokiem, jakim ja czy ty mogłybyśmy patrzeć na seryjnego mordercę albo recydywistę pedofila. Nie była niegrzeczna czy lekceważąca... Ale nie winiłabym Wyatta, gdyby zwał, gdzie pieprz rośnie. Sophie potrafi być bardzo wyrazista.

– Powinni coś razem zrobić – doradziła D.D. – Wyatt lubi majsterkować, prawda? Może mógłby ją czegoś nauczyć. Zniesie jego obecność, żeby použíwać fajnych narzędzi, a być może w tym czasie typowy dla New Hampshire luzacki urok Wyatta zacznie działać. I nawiążą kontakt.

– Nieźle jak na matkę małego chłopca.

– Jako detektyw trzeba być przygotowanym na różne rodzaje zła. Nawet dziewięcioletnie dziewczynki.

D.D. zabrała się za czytanie menu. Tessa poszła w jej ślady. Do stolika podeszła kelnerka i złożyły zamówienie. Krewetki dla Tessy, zupa z krabów i pieczony dorsz dla D.D. Obie poprosiły o wodę. Nadeszła pora, by przejść do interesów.

– Słyszałam o twojej ręce – powiedziała Tessa, wskazując usztywnioną postawę D.D. Detektyw została ostatnio ranna w lewą rękę podczas służby. Rozeszły się plotki, że sprawa jest poważna. Że może nawet nie być już zdolna do służby. Ale departament nie był bezduszny. Najprawdopodobniej zaproponują jej jakąś pracę przy biurku. Z tym że ani D.D., ani Tessa nie należały do kobiet, które potrafią usiedzieć na miejscu.

– Domyślam się. – D.D. rzuciła jej ostre spojrzenie. – Przyszłaś tutaj, żeby omawiać ze mną moje perspektywy zawodowe?

– Zawsze warto poznać różne opcje – odpowiedziała łagodnie Tessa. – I posłuchać o nich chyba też nie zaszkodzi, skoro zgodziłaś się na ten lunch.

D.D. wzruszyła jednym ramieniem, może nie do końca przekonana, ale nie zamierzała się kłócić.

– Lubisz to, co robisz? – zapytała z wyraźną ciekawością.

– Bardziej niż myślałam. Na przykład praca nad sprawą Denbe... Zaginęła cała rodzina i to była prawdziwa walka z przeciwnościami, żeby ich odnaleźć. Ty i ja najlepiej spisujemy się w sytuacjach pełnych wyzwań, ale też zapewniających poczucie celu.

– To raczej ekstremalny przypadek. I miałaś wtedy mnóstwo wsparcia ze strony bostońskiej policji.

– Zdziwiłabyś się, ile jest ekstremalnych przypadków w korporacyjnej Ameryce. Gra toczy się o kasę, wielkie ego i dominację na świecie. Ludziom trochę odbija.

– Podoba ci się.

– Owszem. Zaskoczyło mnie to, muszę przyznać. I szczerze mówiąc, godziny pracy też są lepsze. Moja córka wie, że na dziewięćdziesiąt procent zdążę na obiad. I że przyjdę na jej mecz w weekend. A do tego cztery tygodnie płatnego urlopu rocznie przy zarobkach, które pozwalają na spędzenie tego czasu w jakimś słonecznym miejscu.

– Teraz to już jesteś podła.

– To prawda. Moja praca jest lepsza od twojej pod każdym względem.

– Nie każdym.

– Oznacza wyzwania, jest bardzo opłacalna i pozwala łączyć karierę z życiem rodzinnym. Pytanie brzmi więc raczej, czego praca dla firmy z branży bezpieczeństwa korporacyjnego nie może ci dać.

– Phila – powiedziała po prostu D.D. – I Neila. Moich kumpli z zespołu. Ty zawsze byłaś samotnym wilkiem, Tessa. A ja zawsze kochałam swój zespół.

Szybko podano im jedzenie. Prowadziły luźną rozmowę, wspominały wspólnych znajomych. Bobby’ego Dodge’a, detektywa z policji stanowej, że dobrze mu się wiedzie. Wciąż był mężem Annabelle, mieli troje dzieci i właśnie kupili dom do remontu na przedmieściach. Z dużym ogrodem – dodała D.D. Idealnym na basen z trampoliną i grillowanie. A, i mają szczeniaka, owczarka australijskiego. Chyba, żeby im pilnował dzieci.

Konwersowały, wymieniały się wieściami od znajomych, wspominały sprawy, nad którymi pracowały. Gdy skończyły lunch, Tessa zapłaciła za niego swoją firmową kartą kredytową i przeszły do rzeczy.

– Przemyslisz to? – zapytała Tessa. – Może przyjdiesz na rozmowę kwalifikacyjną? Zawsze warto rozważyć różne możliwości.

D.D. pokiwała głową. Bez względu na przywiązanie do zespołu, jeśli nie zda testów sprawnościowych, nie będzie mogła być dłużej gliną. Tessa ratowała jej życie, oferując polecenie jej w Northledge Investigations, i obie zdawały sobie z tego sprawę.

– À propos psów, stanowa ma nowy trop w pewnej starej sprawie – powiedziała D.D., kiedy wstawały od stolika.

– Tak?

– Facet wyszedł pobawić się z psem – ciągnęła D.D. – Wrzucił mu patyk do pobliskiego strumienia, gdy nagle zauważył pod wodą mały, czarny pistolet. Zaniósł go na policję, w laboratorium stwierdzono, że pasuje do niego kula, która zabiła Johna Stephena Purcella. Pamiętasz? Tego zawodowego zabójcę, trzy lata temu.

Tessa nic nie odpowiedziała.

– Tak sobie myślę... – dodała D.D. lekkim tonem. – Wciąż jest tyle pytań, jeśli chodzi o tamtą noc...

– Moja córka świetnie sobie radzi – wtrąciła szorstko Tessa.

– Nie przeczę. Wcale a wcale. – D.D. pokręciła głową. – Ale, Tesso, ty i ja... Masz rację. My musimy działać. Do diabła, my musimy nosić odznaki. A ludzie, którzy je noszą, mają podtrzymywać system i przestrzegać prawa. Są granice, których nie wolno przekraczać. A ty...

D.D. przerwała. Nigdy nie będzie w stanie udowodnić tego, co podejrzewała, i obie zdawały sobie z tego sprawę. A Tessa milczała, bo nigdy nie zamierzała wyznać, co zrobiła. I o tym też obie wiedziały.

– Nie próbuję cię zastraszyć – rzekła w końcu D.D.

– W takim razie co próbujesz zrobić?

– Ostrzec cię. Wieść niesie, że spece z laboratorium odkryli odcisk palca. A zabójstwa nie ulegają przedawnieniu, tak? To znaczy, że jeśli odkryte zostaną nowe dowody...

Nie musiała kończyć. Tessa zrozumiała.

D.D. ruszyła od stolika.

– Sprawa Purcella nie podlega bostońskiej policji – zwróciła uwagę, gdy szły przez restaurację w kierunku drzwi. – Stan przekazał ją temu nowemu, detektywowi Rickowi Steinowi. Ponoć to superglina, taki, który nienawidzi niezakończonych spraw i pytań, na które nie uzyskano odpowiedzi. Jestem pewna, że wkrótce się do ciebie odezwie.

– Trudno – odpowiedziała Tessa.

– Mogłabyś zrobić pierwszy krok, dobrowolnie dostarczyć informacji – zasugerowała detektyw.

Tessa tylko na nią popatrzyła.

– Wciąż jesteś samotnym wilkiem, Tesso – stwierdziła łagodnie D.D., gdy przechodziły przez drzwi.

– Nigdy nie umiałam pracować z twoimi ludźmi z zespołu – odparła Tessa.

D.D. się uśmiechnęła.

– Dzięki za lunch. Pomyślę o tym.

I rozeszły się.

Rozdział 10

Thomas wrócił. Wyszedł, mówiąc mi, że powinnam odpoczywać, choć oboje wiedzieliśmy, że to on jest wykończony. A teraz znowu tu jest, a ja jestem mile zaskoczona, że pamiętam jego imię i cieszę się na jego widok. Przyniósł mi ubranie na zmianę. Czarne spodnie do jogi i luźny sweter z dzianiny w kolorze cynamonu. Nie rozpoznaję ich od razu. Ale gdy przytykam je do nosa i wącham...

Przebłysk pamięci. Siedzę z podwinętymi nogami na czekoladowobrązowej sofie. Trzymam w rękach książkę, a na szklanym stoliku przy moich stopach stoi filiżanka herbaty. Naprzeciwko mnie w fotelu od kompletu siedzi Thomas. Jest pogrążony w krzyżówce z porannej gazety.

Czuję nagle ochotę na owsiankę, ale wiem, że to nie ma żadnego sensu.

Doktor Celik zjawia się w drzwiach, trzyma brązową papierową torbę. Obrzuca mnie przelotnym spojrzeniem, a potem skupia uwagę na Thomasie. Ponawiają swoją szeptaną radę przez pokój. Niczym wspólnicy – myślę znowu. Zastanawiam się, czy jestem zazdrośnicą. Albo czy Thomas miał jakiś skok w bok. Czy się dowiedziałam? Czy mnie to obeszło?

Nie wiem, czy jestem dobrą żoną. Najwyraźniej jestem drażliwa. A biorąc pod uwagę siniak na żuchwie Thomasa, zdolna do agresji. Ale czy jestem słodka, czuła i troskliwa? Czy raczej apodyktyczna, dominująca, prawdziwa żołą?

Bez względu na problemy z pamięcią, czuję, że takie rzeczy powinnam o sobie wiedzieć. Podstawowe cechy charakteru, historia naszego małżeństwa, emocjonalne migawki z całego życia.

Może po prostu jestem zbyt zmęczona, bo nic sobie nie przypominam. Uczucie, jakby się przebywało pod wodą, czy nie tak opisała to lekarka Thomasowi? Bo tak właśnie się czuję. Jakbym była po części zanurzona, jakbym unosiła się na powierzchni i dryfowała, coraz dalej i dalej.

Doktor Celik nagle podnosi głos. Nie muszę być geniuszem, żeby się domyślić, że nie chce mnie wypuścić. Z pewnością niezbędna jest dalsza obserwacja, następne badania, kolejne szturchające i kłujące mnie pielęgniarki, które zjawiają się co godzinę, żeby odczytać wyniki i przy okazji mnie poterroryzować.

Pod wodą czy nie, nadal jestem zdeterminowana. Nie mogę tutaj zostać. Urządzenia są zbyt głośne, światła za jasne, a z wyłożonego linoleum korytarza wciąż dochodzi echo kroków. Szpital to nie jest dobre miejsce, żeby zdrowieć po wstrząśnieniu mózgu. Za dużo bodźców jak dla kogoś, kto potrzebuje spokoju i odpoczynku.

Kolejna wymiana argumentów, tym razem ostrzejsza.

– Zdaje pan sobie sprawę, że wypisuje ją pan wbrew zaleceniom lekarskim?

Według mojej profesjonalnej oceny pańska żona powinna pozostać w szpitalu przynajmniej na kolejne dwadzieścia cztery godziny. Wciąż może dojść do obrzęku, nie wspominając o krwawieniu do mózgu. Krótko mówiąc, jeśli ją pan zabierze do domu, ona może tam umrzeć.

Czy rozpoznam swój dom? Próbuję go sobie wyobrazić. Natychmiast widzę przed sobą pomalowany na szaro budynek w stylu kolonialnym z czarnymi okiennicami. Może to obrazek z gazety, a może rzeczywiście mój dom. Wkrótce się dowiem. Próbuję wyobrazić sobie kota albo psa, ale nic z tego. Najwyraźniej mężowi i mnie wystarczy nasze własne towarzystwo. Pracujemy razem – Thomas mi tak powiedział. On projektuje elementy scenografii, ustala ceny, a ja pomagam mu je wykończyć. Mieszkamy razem, pracujemy razem i śpimy razem.

Musimy się bardzo kochać albo nic dziwnego, że przyłożyłam mu w szczękę.

I nagle... inne wspomnienie. Siedzę w zalanym słońcem pomieszczeniu. Zielone wąsy wiszących roślin łagodzą rząd olbrzymich okien. Wyłożona płytkami podłoga, wielobarwne ściany. I ja, siedząca pośrodku i malująca. Uśmiechnięta. Aż czuję ten uśmiech na twarzy. Jestem szczęśliwa.

Głos Thomasa, dochodzący od drzwi za moimi plecami: „Hej, skarbie, chcesz coś na lunch?”.

Uśmiecham się coraz szerzej. Jestem coraz szczęśliwsza.

– Nicky.

Mój umysł błyskawicznie powraca do teraźniejszości. Skromna szpitalna sala. Ja leżąca na łóżku i mąż stojący obok.

– Doktor Celik zgodziła się cię wypuścić – mówi mi, co natychmiast wydaje mi się dziwne, bo ich rozmowa wcale na to nie wskazywała. – Ale musisz obiecać, że będziesz odpoczywać i że za kilka dni wrócimy na kontrolę.

Przytakuję. Głowa mnie boli, ale nie jakoś strasznie. Nagle krzywię nos. Thomas trzyma papierową torbę, którą przed chwilą miała w rękach lekarka. Czuję krew, silny, ziemisty zapach. Ale także... szkocką. Dobrą. Nie wiem, czy cofnąć się z obrzydzeniem, czy nachylić z ochotą.

– Twoje ubranie – mówi Thomas, podtrzymując torbę z nadrukowanym symbolem zagrożenia biologicznego.

Trwa to chwilę, ale w końcu pojmuję. To ubranie z wczoraj. Z wypadku.

– Możemy je zabrać? – Nie potrafię się powstrzymać. – Myślałam, że policja... Powiedziałeś, że będą chcieli ze mną porozmawiać.

– Miałaś we krwi sześć dziesiątych promila alkoholu – wyjaśnia mąż. – A w New Hampshire dozwolona jest jazda do ośmiu dziesiątych. W tym momencie nie mają podstaw, żeby cię oskarżyć ani zająć prywatnego mienia.

Kiwam głową. Zastanawiam się, czy powinnam być pod wrażeniem, jak dobrze mój mąż zna lokalne przepisy. Czy też powinno mnie to zmartwić.

– Ale to wszystko jest we krwi... Zniszczone. – Wciąż nie rozumiem. Dlaczego on ma moje podarte ubrania? Czemu są dla niego ważne?

Nie odpowiada na pytanie, tylko pokazuje na świeże rzeczy, które położył u stóp szpitalnego łóżka.

– Dasz radę sama się ubrać?

– Tak.

– Dobrze. Ja zejść na dół do apteki, żeby wykupić twoje recepty, a potem wrócę. Będę za dwadzieścia minut.

– Która jest godzina?

– Piąta trzydzieści.

– Na zewnątrz jest ciemno.

– Tak.

– Vero nie boi się ciemności – informuję go.

Thomas wzdycha i wychodzi z sali.

Nasz dom to piętrowy budynek w stylu kolonialnym. Nie mogę dostrzec koloru, bo jest noc. W każdym razie po czterdziestu minutach jazdy bocznymi drogami i kręcenia uroczymi zaułkami Thomas wjeżdża na podjazd i gasi silnik. Siedzimy przez chwilę w ciszy. Nie rozmawiamy. Po prostu trwamy w ciemności.

A potem Thomas otwiera swoje drzwiczki, obchodzi auto i pomaga mi wysiąść.

Wciąż bolą mnie zębra. I klatka piersiowa, gdy próbuję głębiej wciągnąć powietrze. Ale przekonuję się, że jeśli wykonuję ograniczone i powolne ruchy, daję radę. Na zadaszone patio od frontu prowadzą cztery schodki. Drzwi oświetla jedna lampa, chyba mają kolor wina. A może krwi? Nie żartowaliśmy kiedyś z tego?

Thomas otwiera drzwi, zaprasza mnie gestem do środka.

W moim domu jest hol z kolebkowym sufitem. Łupkowa podłoga, u góry świecznik z czarnego kutego żelaza, w głębi kręte schody. Podchodzę do stolika z drewna wiśniowego, nawet się nie zastanawiając. Dwie ramki na zdjęcia. Na jednym chyba my, młodszy, szczęśliwszy, roześmiani na plaży. Ramkę zdobią fragmenty potłuczonej ceramiki, a mnie natychmiast przychodzi na myśl Meksyk. To była udana podróż. Piliśmy na śniadanie tequilę i spędzaliśmy popołudnia na ganianiu się... Byliśmy w sobie zakochani namiętnie, szaleńczo, zabójczo.

Tęsknię za Meksykiem. Do dziś.

Obok czarno-biały portret. To nie jest obrazek szczęśliwej pary. Tylko ja, oświetlona przez coś, chyba biurkową lampkę. Nie widać wyrazu mojej twarzy, tylko profil i buntowniczo potargane kosmyki ciemnych włosów. Jest w tej fotografii coś bardzo melancholijnego, odstawiam ją z zadumą.

– Zawsze lubiłem to zdjęcie – mówi Thomas. Wrzuca klucze do koszyka na stoliku, starając się mnie obserwować tak, żebym tego nie zauważyła.

Nie muszę pytać, żeby mieć pewność, że to on zrobił to zdjęcie i że tuż przed

tym płakałam. Dramatyczny, pełen łez, smarków i czkawki szloch, który tak go zaniepokoił, że chwycił za aparat, żeby odwrócić moją uwagę.

Czasem płaczę bez powodu.

A jednak coś o sobie pamiętam.

Idę za Thomasem w głąb domu i napotykam czekoladową skórzaną kanapę i szklany stolik do kawy. Kuchnia jest oddzielna. Jaśniejsze szafki z drewna klonowego, bo nie chciałam, żeby było w niej ponuro. Przełamane morską zielenią szklanych płytek, które przypominały mi ocean. Stolik na dwie osoby, z kutego żelaza, a na blacie mozaika w kształcie motyla, bo zawsze marzyłam o lataniu.

To moje miejsce. Podobnie jak oszklona weranda tuż obok, pokój ma ściany pokryte szaloną mieszanką limetkowej zieleni i magenty. Thomas aż jęknął, gdy zobaczył te kolory. Nie zmuszaj mnie – błagał przerażony. Ale to był mój pokój, moja przestrzeń, i mogłam ją urządzić, jak tylko chciałam, więc miałam limetkową zieleni i magentę.

Dopóki po ścianie nie zaczął się pięć malowany krzew róży.

– Warsztat jest na tyłach – mówi teraz, pokazując na drzwi werandy. – Ty pracujesz tutaj. A ja tam.

– Nie ramię w ramię?

– Niezbyt często. Ja buduję, a ty malujesz. Właśnie tak to wygląda.

Prowadzi mnie na górę. Na ścianach nie ma zdjęć i z jakiegoś powodu mnie to zaskakuje, jakbym się ich spodziewała. Na piętrze są trzy sypialnie, w tym małżeńska z oddzielną łazienką. Ma sklepiony sufit i stoi w niej naprawdę olbrzymie łóżko z drewna czereśniowego z baldachimem.

Moja pierwsza myśl jest taka, że nie ma możliwości, żebym to ja wybrała takie okropieństwo. To musiał być Thomas, bo ja takiego stylu nienawidzę.

Nic nie mówi, tylko kończy krótkie wprowadzanie.

– Po co taki wielki dom dla nas dwojga? – pytam. – Czyżbyśmy często zapraszali gości?

– Spodobał nam się ten dom, choć był większy, niż potrzebowaliśmy. A biorąc pod uwagę to, że pracujemy razem, czasem dobrze jest mieć trochę więcej przestrzeni.

Wchodzę do mniejszej z dwóch pozostałych sypialni. Stoi w niej śliczne, pomalowane na białą łóżko z kutego żelaza, okryte bladożółtą patchworkową narzutą.

– Podoba mi się ten pokój.

Nic nie mówi.

Dotykam rogu narzuty, czuję ją w palcach. Została uszyta ręcznie. Ale nie przeze mnie, uświadamiam sobie natychmiast. To poziom rzemiosła powyżej moich umiejętności. Ale mimo to...

Wiem, kto ją uszył. I tęsknię za nią.

I przez króciutką chwilę znów to czuję. Pustka w piersi. Pragnienie.

– Możesz spać tutaj, jeśli chcesz – odpowiada cicho Thomas.

– Okej. – Nawet na niego nie patrzę. To jest mój pokój, a sypialnia małżeńska należy do niego. Może mówić, co chce. Ja wiem swoje.

Thomas pyta, czy nie jestem głodna. Rzeczywiście jestem. Wracamy na dół, a on robi dwa omlety z serem. Kroję melona, podziwiając lśniące ostrze kuchennego noża. Jeśli ta kuchnia to moja domena, to najwyraźniej traktowałam jej wyposażenie z należytą powagą.

Siadamy przy kuchennym stoliku, a ja uświadamiam sobie, że poruszam się automatycznie, według rytmu, który wypracowałam w ciągu tych sześciu miesięcy, gdy tu mieszkaliśmy. Dwoje ludzi, objijających się po siedemsetmetrowym domu z przytulnymi wnętrzami, ale z zadziwiająco niewieloma fotografiami, bibelotami i osobistymi dekoracjami na ścianach.

Zastanawiam się, czy zdążyliśmy rozpakować wszystkie pudła z przeprowadzki. Czy może po prostu jesteśmy ludźmi, którzy mają oszczędne podejście do urządzania wnętrza.

Po kolacji Thomas proponuje obejrzenie filmu. Ale widać, że ze zmęczenia słania się na nogach. Za to ja czuję się rozbudzona, nakręcona, ciekawa, jakby otaczająca mnie mgła wreszcie zaczęła opadać. Jakbym była w stanie ogarnąć wszystkie tajemnice wszechświata, jeśli tylko skupię się wystarczająco długo i odpowiednio mocno się postaram.

Mówię Thomasowi, że powinien położyć się do łóżka. Próbuje protestować. Nie ustępuję i wreszcie się zgadza, choć nie jest zadowolony.

Gdy znika na górze, biorę do ręki pilota i stwierdzam, że nie mam problemu z obsługą telewizora ani ze znalezieniem wszystkich swoich ulubionych programów. Dopóki nie myślę za dużo, tylko działam, nic nie sprawia mi trudności.

Przełączam na TV Land. Oglądam stare odcinki *Wyspy Gilligana*, ten serial wydaje się odpowiednią rozrywką dla kobiety z wielokrotnym urazem czaszki. Niezbyt ekscytujący, żadnej przemocy. Poza Skipperem trzepiącym od czasu do czasu Gilligana kapeluszem. Przełączam jednak na *Złotka*. Nie jestem aż tak zdesperowana.

Wyłączam telewizor, przechadzam się po salonie. Odkrywam stos książek, głównie w miękkich okładkach. Najwyraźniej lubię czytać Norę Roberts, a Thomas preferuje Kena Folletta. Wracam do kuchni i zaglądam do każdej szafki po kolei i do spiżarki. Po prostu muszę wiedzieć.

Oczywiście. Zero alkoholu. Nawet jednej puszki piwa, nawet jednej butelki wina. A co dopiero mówić o butelce zacnej szkockiej.

Przez moment czuję rozczarowanie. Straszne, koszmarnie. Bo czy szklaneczka wyborowej whisky nie byłaby w tej chwili czymś idealnym?

Wychodzę z kuchni, idę na górę. Mam nierówny oddech, ale daję radę. Wracam do małego pokoju ze śliczną narzutą w kolorze ciepłej, pastelowej żółci.

I tam kładę się w ubraniu, wyciągam nogi, składam ręce na piersi. Jak dziewczynka w trumnie.

I wtedy gwałtownie wciągam powietrze.

Vero.

Znowu jest malutka. Drobną, energiczną, z dołkami w policzkach i tłusciutkimi piąstkami. Udaje samolot, biegając po małym pokoju, skacząc przez poduszki i próbując się unieść.

Kocham cię, kocham cię, kocham cię.

Vero leci. Vero upada.

Złowrogie kroki na korytarzu.

Śnię – mówię sobie.

Wciąż śnię – upominam siebie.

Gdy patrzę, jak Thomas wpada do pokoju.

Rozdział 11

Frankowie mieszkali w stosunkowo nowym, pomalowanym na szaro domu w stylu kolonialnym. Czarne okiennice, zadaszona weranda, kręta, wyłożona kostką ścieżka, która prowadziła przez miłą dla oka rabatę z kwiatami. Choć lato dawno minęło, wciąż zdobiły ją postrzępione bratki i przypominające główki kapusty kwiaty, których nazwy Wyatt nie potrafił zapamiętać. A to znaczy, że ktoś zadał sobie trud, żeby wymienić rośliny na jesień. Nicky Frank? Jej mąż, Thomas?

Należało się dowiedzieć wielu rzeczy i dlatego Kevin i Wyatt zdecydowali się rozpocząć dzień od złożenia osobiście wizyty w tym domu.

Wczorajsze słowa Tessy wciąż brzmiały w głowie Wyatta. Co tak naprawdę wiedzieli o Nicky Frank, skoro nigdy z nią nie rozmawiali? Co wiedzieli między innymi o tym, co pamięta ze swoich trzech „wypadków”? Bo samochody rzadko spadają z drogi w przepaść z biegiem wrzuconym na luz. Pewnie, że może się tak zdarzyć. Kierowca zasypia i bezwiednie wybija dźwignię z pozycji, gdy auto zsuwa się pod ostrym kątem. Ale to mało prawdopodobne. To z kolei kazało Wyattowi zastanowić się także nad whisky. Czy Nicky piła na własną rękę? Czy też ktoś się postarał, żeby kobieta z urazami mózgu i zakazem picia alkoholu nie ocknęła się za kierownicą?

Czasem podczas pracy nad sprawą ma się jakiś mocny trop, ale najczęściej ma się tylko przecucie. Jeden plus z bycia sierżantem – Wyatt musiał słuchać swojej intuicji. Na przykład w sprawie poszukiwania w całym hrabstwie dziewczynki pomimo braku dowodów, że w ogóle istnieje. Owszem, szeryf już z nim na ten temat rozmawiał. Ale nawet on się zgodził, że coś w tej parze nie gra. Ta seria wypadków u żony i trwała iluzja o zaginionym dziecku wydawały się dziwne.

Wyattowi przypadł w udziale zaszczyt zapukania do drzwi. Miały kolor ciemnej żurawiny i wyglądały na niedawno malowane. Domyślił się, że gdy Frankowie kupili ten dom pół roku temu, poświęcili sporo czasu i energii, żeby go odszykować. Znak, że wreszcie znaleźli swoje miejsce na ziemi? Bo Kevin przeszedł wczoraj historię tego małżeństwa i stwierdził, że często się przeprowadzali, byłoby niedopowiedzeniem. W jednym miejscu mieszkali najwyżej dwa lata. Trzymali się raczej zasady: dziś tu, jutro gdzie indziej.

Wymogi pracy, mąż zacierający ślady czy para niespokojnych duchów? Kolejne pytania do rozważenia.

Wyatt lubił wyzwania.

Stąd jego związek z Tessą.

Zapukał ponownie, tym razem głośniejszym i bardziej natarczywie. W końcu w głębi domu rozległy się kroki. Zaraz potem drzwi się otwarły i stanął przed nimi

rozczochrany Thomas Frank.

– Dzień dobry – powiedział wesoło Wyatt.

Frank, bosy i w dresach, tylko na niego popatrzył.

– Która godzina?

– Ósma rano.

– Nie za wcześnie na wizyty?

– Przynieśliśmy kawę.

Thomas zmarszczył brwi.

– Proszę pana – Kevin przeszedł do rzeczy – mamy kilka pytań do pana żony.

– Żona śpi. A odpoczynek jest jej bardzo...

– Nie ma problemu. – Na schodach za plecami Thomasa pojawiła się Nicky.

Też nosiła domowy strój – spodnie do jogi, luźny sweter – i miała mokre włosy, jakby właśnie wyszła spod prysznica.

Nawet z takiej odległości Wyatt dostrzegł ostre linie szwów, które przecinały jej czoło, lewe oko, prawą stronę żuchwy, oraz miliony siniaków i otarć na jej skórze. Wczoraj wyglądała źle. Dzień później – jeszcze gorzej. I chyba tak będzie, dopóki siniaki się nie zagoją. Ale stała na własnych nogach. Wyprostowana. Z jasnym spojrzeniem.

Wyatt poczuł lekkie drżenie, niczym myśliwy przed polowaniem na dużego zwierza. Zapowiadał się wspaniały poranek.

Thomas się cofnął, niechętnie wpuszczając dwóch policjantów do swojego domu. Wyatt i Kevin się nie wahali, tylko śmiało wkroczyli do środka i zamknęli za sobą drzwi. Pierwsze wrażenie Wyatta było takie, że dom jest przyjemny w taki czysty, nowoczesny sposób, ale jakoś dziwnie sterylny. Mniej jak dom, a bardziej jak zestaw elementów. Tu sofa Pottery Barn, tam stosownej wielkości stolik do kawy, a tutaj miękki i przytulny dywanik. Dopóki nie weszli do kuchni, która połączona była z werandą w szokująco jaskrawych kolorach, nie zauważył nic osobistego. Sądząc po tym, jak Thomas unikał wzrokiem jaskrawo pomalowanych ścian, Wyatt domyślił się, że te pomieszczenia urządzone zostały w stylu Nicky, a nie jej męża.

Kevin odstawił tackę z czterema kawami na kuchenny blat. Thomas z westchnieniem zaakceptował łapówkę. Ale Nicky naląła sobie szklankę wody.

– Czy ja pijam kawę? – zapytała męża. W jej głosie zabrzmiała czysta ciekawość.

– Wolisz herbatę – odpowiedział Thomas.

– Ale podoba mi się zapach.

Thomas spojrzął na żonę.

– Wiesz, że nie musisz z nimi rozmawiać? Nie przekroczyłaś dozwolonego poziomu alkoholu we krwi, pamiętasz? – Rzucił im takie spojrzenie, jakby chciał

im wyraźnie dać do zrozumienia, że jest zorientowany. – Nie wspominając o tym, że doktor Celik mówiła, że masz odpoczywać. Jeśli jesteś zmęczona, powinnaś pójść się położyć. Ja się tym zajmę.

Duży, silny opiekun – zaczął się zastanawiać Wyatt – czy po prostu mąż, który bardzo nie chce, żeby jego żona rozmawiała z policją?

Najciekawsze było to, że odnosił wrażenie, że Nicky zastanawia się dokładnie nad tym samym.

– Mamy tylko kilka pytań – zaczął delikatnie Wyatt. – Bez względu na to, czy kierowca był pod wpływem alkoholu czy nie, jesteśmy zobowiązani zbadać każdy wypadek. To rutynowe czynności. Nie zajmą dużo czasu.

– Nie ma problemu – powiedziała Nicky. – Możemy pójść na werandę. Gdybym czegoś potrzebowała, dam ci znać.

Zgodnie z uzyskanymi informacjami, Thomas rzeczywiście prowadził swoją własną firmę, Ambix Productions. W zeszłym roku zarobił dwieście pięćdziesiąt tysięcy, co wyjaśniało piękny dom i luksusowe samochody. Frankowie mieli czterdzieści tysięcy oszczędności w banku, ładne zabezpieczenie na wypadek, gdyby żona nadal nie mogła pracować. Raczej nie byli więc małżeństwem na skraju krachu finansowego, co Thomas wyraźnie zasugerował w szpitalu. Może był wyjątkowo sumienny, a może był pracoholikiem. Bez wątplenia seria wypadków żony ograniczyła jego możliwości zarobkowania, i to nie na tydzień czy dwa, tylko na całe minione sześć miesięcy.

Czy to znaczy, że ma prawo być nadopiekuńczy wobec żony? Czy też raczej stoją za tym jakieś kłamstwa i sekrety? W takie dni jak ten Wyatt po prostu uwielbiał swoją pracę.

Gdy Thomas wyszedł, Nicky wprowadziła Wyatta i Kevina do kolorowej werandy. Wyatt zauważył, że porusza się ostrożnie, widać było, że ją boli, ale była raczej w dobrym nastroju.

– Podoba mi się ta weranda – powiedziała, zajmując miejsce w jednym z wyłożonych poduszkami foteli. Wyatt i Kevin usiedli w takich samych wiklinowych fotelach naprzeciwko niej. – To mój pokój – dodała, podwijając nogi. – I ta żółta sypialnia na górze. To też mój pokój.

– Rozpoznaje pani swój dom? – zapytał Wyatt. – Czuje się tu pani dobrze?

– Tak. Dopóki nie zaczynam za dużo myśleć. Jeśli coś tylko robię, wie pan, na przykład sięgam po talerz, to natychmiast go znajduję. Jeśli jednak zawaham się i zacznę się zastanawiać, gdzie powinny być talerze... Wtedy sprawa się komplikuje.

– Korzysta pani z pamięci ciała – odezwał się Kevin.

Nicky wzruszyła ramionami. Ciemne włosy zaczęły schnąć i skręcać się wokół jej twarzy. Wyatt zauważył, że jest atrakcyjną kobietą, a przynajmniej byłaby, gdyby nie rany i siniaki.

– Ze wszystkiego, co pomaga – odpowiedziała. – Biorąc pod uwagę stan mojej głowy, trudno wybrzydząć.

– Boli panią głowa?

– Nie. Tylko... Cała jestem obolała. W każdym miejscu. Jakbym cała była mocno potłuczona. Dostałam tabletki przeciwbólowe, ale myślę, że na razie będę się trzymać advilu.

– A jak Vero? – zaryzykował Wyatt. – Ona też czuje się lepiej?

Siedząca naprzeciwko niego Nicky zamarła i spojrzała mu w oczy.

– Uważa mnie pan za wariatkę, sierżancie?

– Jeszcze nie wiem.

– Ja nie mam córki.

– Ale przecież wczoraj...

– Wczoraj miałam poważny wypadek i uderzyłam się w głowę. Po raz kolejny. Na pewno byłam oszołomiona i dezorientowana.

– A kiedykolwiek miała pani dziecko?

– Nie. Jestem bezpłodna. Nigdy nie mieliśmy takiej opcji. – Uśmiechnęła się blado. – Zabawne, że z zerowym skutkiem szukałam w pamięci imienia własnego męża. Ale o swojej jałowości pamiętałam. Od tego nie da się uciec.

Wyatt się zawahał, nie wiedząc, jak zareagować na takie wyznanie. Nie mogła mieć dziecka, ale może w głębi duszy wciąż tego pragnęła, więc jej pozostająca pod presją podświadomość je wymyśliła? Przypuszczał, że to możliwe. Ale zdecydowanie wykraczające poza kompetencje policji.

– Skąd imię Vero? – zapytał Kevin.

– Nie wiem.

– Kogoś z rodziny? Mamy, siostry, ciotecznej babki?

– Ja nie mam rodziny.

– Żadnej? Nikogo? – wtrącił się Wyatt.

Spojrzała na niego otwarcie.

– Nie. Nikogo. Tylko Thomas i ja. Zapewniam, że to naprawdę wystarcza.

Okej. Wyatt zrobił kolejną notatkę. Wczorajsze wątpliwości Tessy wydawały mu się coraz bardziej słuszne. Bo najwyraźniej Nicky Frank prowadziła bardzo samotne życie. Tylko ona i mąż. Tyle że to nie mąż miał jeden „wypadek” za drugim.

– Co pani pamięta ze środowej nocy? – zapytał Wyatt.

– Tej nocy z wypadkiem?

– Tak.

– Nic.

– Nic?

– Kompletnie nic. Próbuję to sobie wyobrazić... Ale mam w głowie pustkę.

Wyatt zerknął na Kevina, który odpowiedział skinieniem głowy.

– Pani Frank – odezwał się Kevin. – Spróbuj pani ze mną czegoś? To ćwiczenie ze sterowania pamięcią. Może pomóc poruszyć pani wspomnienia.

– A na czym polega?

– Proszę spokojnie siedzieć i postarać się odprężyć. Ja spróbuję przejść z panią szczegółowo przez cały wieczór, koncentrując się na pani zmysłach. To, co pani poczuła węchem, to, co pani usłyszała, i tak dalej. To jak podchodzenie do pamięci z boku, a nie od frontu. Czasem bardzo pomaga.

– Ale to nie hipnoza?

– Absolutnie nie.

– Bo ja mam już dość kłopotów ze swoim mózgiem. Nie chciałabym, żeby ktoś przy nim majstrował.

– Żadnego majstrowania, żadnych sugestii. Zadam pani tylko serię pytań, a pani odpowie, co pierwsze przychodzi pani na myśl.

Nicky zacisnęła usta i wciąż niepewnie mu się przyglądała. Ale potem delikatnie skinęła głową. Zgadzała się.

– W porządku. Proszę zamknąć oczy. I głęboko oddychać. Środa po południu. Piąta. Gdzie pani jest?

– W domu.

– Co ma pani na sobie?

– Dżinsy. Czarny golf. Szary polar.

– To wygodne ubranie?

– Miękkie, przyjemne. To mój ulubiony strój.

– I co pani robi w domu?

– Ja... zaczynam szykować kolację. Piersi z kurczaka. Zamarynowałam je rano we włoskim sosie. Teraz muszę je przygotować. Chyba podsmażę je, a potem dopiekę w piekarniku. Powinnam też ugotować ryż. I może jeszcze trochę brokułów na parze. – Waha się. – Boli mnie głowa.

– Bierze pani jakąś tabletkę?

– Już wcześniej wzięłam. Cztery advile. Ale to za mało. Zapach kurczaka... Mdli mnie od niego.

– Co pani robi?

– Muszę się położyć. Czasem owijam chłodzący okład ręcznikiem i przykładam go sobie na oczy. To pomaga.

– A teraz?

– Wkładam kurczaka do piekarnika. Ustawiam minutnik, żeby się nie przypalił. Rezygnuję z brokułów, ale ryż już się gotuje. Nie muszę się tym zajmować. Biorę chłodzący okład i idę na sofę.

– Gdzie jest pani mąż?

– Nie wiem.

– Jest w domu?

- Nie wiem.
- Może jest w warsztacie?
- Nie wiem.
- Okej. Kładzie się pani z okładem.

– Chyba zasypiam. Jest ciemno, chłodno i przyjemnie. Zamykam oczy. Lubię spać. Gdy śpię, odwiedza mnie Vero. Jest szczęśliwa, ma na sobie swoją ulubioną sukienkę w kwiaty. Chce tańczyć, więc biorę ją za rękę i obracamy się wokół. Tylko że jesteśmy w małym pokoju, z niebieskim poprzecieranym dywanikiem, zamkniętymi okiennicami i dwoma zsuniętymi razem pojedynczymi łózkami. Zbliża się koniec. To nasz pokój do pożegnania. Wiem to za każdym razem, gdy patrzę na dywan. Powinnam się zatrzymać. Tak trudno mi ją widywać. Ale kocham ją. Zawsze ją kochałam. I tak mi przykro. Nie miałam pojęcia, jak człowiekowi może być przykro, to jak ciężar, który ciągnie cię na samo dno, i... o Boże, znowu te kroki. Na dole. Obie musimy uciec. Ale to zawsze udaje się tylko jednej. Zawsze mnie, a nigdy Vero.

– Nicky... – Wyatt uważnie się jej przygląda. Wciąż ma zamknięte oczy. Nie patrzyła na nich, tylko zatraciła się w pamięci o własnej pamięci. I płakała. Bez względu na to, czy była tego świadoma czy nie, łzy spływały jej po twarzy.

- Budzi się pani? – zapytał delikatnie Kevin.
- Włącza się minutnik. Kurczak. Jest gotowy.
- Co pani robi?

– Thomas. Stoi w salonie. Patrzy na mnie. Może coś zawołałam, a może wypowiedziałam jej imię. Nie powinnam tego robić. Wyjmuję kurczaka z piekarnika. Rozkładam na talerze. Odcedzam ryż. Nakrywam do stołu. Thomas mnie obserwuje. Chwali mnie. Jeden z moich pierwszych udanych obiadów. Jemy w milczeniu. Zwykle nie jedliśmy w ten sposób, tylko gadaliśmy, gadaliśmy i gadaliśmy. Kiedyś się kochaliśmy.

Wyatt i Kevin wymienili spojrzenia.

- Co pani robi po obiedzie? – zapytał Kevin.
- Zmywam naczynia.
- A Thomas?

– Ma pracę. To bardzo ważne. Pracuje. Ja sprzątam kuchnię. Ale upuszczam talerz. Rozbija się na podłodze. Trzęsą mi się ręce. Jestem zmęczona. Słaba. Kiedyś tak nie było, ale teraz jestem zmęczona cały czas. Thomas jest bardzo cierpliwy. Ma tyle pracy, a do tego musi niańczyć żonę. Sprzątam ostrożnie talerz, wyrzucam skorupy do kosza na zewnątrz, mając nadzieję, że tam ich nie zauważy. Nie chcę, żeby się zdenerwował.

- A co się dzieje, gdy Thomas się denerwuje? – zapytał Kevin.
- Nie chcę, żeby się denerwował – powtórzyła Nicky.
- Po sprząnięciu talerza co pani robi?

Nicky milknie. Oczy wciąż ma zamknięte, na policzkach schną łzy.

– Nie powinnam tego robić – szepcze. – To złe. Nie powinnam tego robić. Będzie źły. Nie powinnam tego robić.

– Robić czego, Nicky?

– Cii... – szepcze. – Opuszczam go.

– Ale nie – odzywa się po trzydziestu sekundach. – Nie mogę. Potrzebuję go.

Tylko z nim jestem bezpieczna.

– Bezpieczna przed czym? – zapytał Kevin.

– Nie ma pan pojęcia.

– Czy pani i pani mąż macie jakichś wrogów? Czy ktoś pani groził?

– Krew skapuje z kolców. Te okropne róże, pnące się po ścianie.

– Nicky...

– Pan nie rozumie, jaka ja jestem zła.

Mówi normalnym tonem, ale Wyatt po raz kolejny czuje jakieś ukłucie. Coraz bardziej brzmi to dla niego jak wyznanie maltretowanej żony, kobiety nauczonej myśleć o sobie źle, czuć, że nieustannie zawodzi swojego męża.

– Jestem zmęczona – mówi cicho Nicky. – Głowa mnie boli.

– Jeszcze tylko chwilka – nalega Wyatt. – Czy głowa boli panią teraz tak jak tamtego wieczoru?

– Tak. Powinnam przyłożyć lód. I położyć się.

– Proszę przypomnieć, co pani miała wtedy na sobie. – Kevin cofa się odrobine, żeby wciągnąć ją z powrotem w rozmowę.

– Dżinsy. Czarny golf. Mój ulubiony szary polar.

– Jest pani wygodnie?

– Tak.

– A kiedy wkłada pani płaszcz?

Pauza. Nicky, która wciąż ma zamknięte oczy, marszczy brwi.

– Płaszcz?

– Czy najpierw chwyciła pani kluczyki do samochodu? – wtrącił Wyatt. Zanotował sobie w pamięci, żeby sprawdzić to w szpitalu. Personel spakował do torby ubranie Nicky z zeszłej nocy. Choć nie mieli podstaw, żeby zabrać je do badania, to przecież mógł zapytać o nie pielęgniarki albo sanitariuszy z pogotowia. Czy Nicky miała na sobie płaszcz? Bo w samochodzie go nie było.

Ale Nicky potrząsnęła głową.

– Leżę na kanapie.

– A kiedy pani wstała?

– Vero – szepcze.

– Vero?

– Próbowałam polecieć. Jak Vero. Ale małe dziewczynki nie potrafią latać, wie pan? Rozbiła się. I ja się rozbiłam. I teraz muszę ją odnaleźć. I tylko dlatego

powstałam z martwych.

– Wsiadła pani do auta, żeby ją znaleźć? – zapytał Kevin.

– Nie, wysiadłam z niego, żeby ją znaleźć.

– A dokąd pani jechała, Nicky?

– Jechałam?

– Jest pani w aucie, jedzie pani przez noc.

Ale Nicky pokręciła głową. Otworzyła oczy i popatrzyła prosto na nich.

– Nie jechałam – powiedziała. – Leżałam na kanapie.

Wyatt przyglądał się jej intensywnie, a pierwszy kawałek układanki trafił na miejsce.

– A kto przyniósł pani whisky?

Lecz Nicky nie odpowiedziała.

Rozdział 12

– Myślałem, że mieli ci zadać tylko kilka pytań.

Przyglądam się mężowi. Detektywi wyszli, a Thomas pojawił się zaraz potem. Myślę o tym, czego policjanci mi nie powiedzieli. Na przykład, że podchodzenie do pamięci z boku jest niczym ocieranie się o złowrogie cienie w ponurym korytarzu. Moje wspomnienia są zimne nawet dla mnie. Jakby nie chciały, żeby je niepokoić.

– Mamy jakichś przyjaciół?

Thomas rzuca mi zaciekawione spojrzenie. Wziął prysznic, gdy rozmawiałam z policją. Mokre włosy opadają mu na kark. Mam ochotę dotknąć ich opuszkami palców.

– Jeszcze nie – mówi.

– Co masz na myśli?

– Dopiero się tu wprowadziliśmy. A potem spadłaś ze schodów i... spotykaliśmy się od tamtej pory tylko z lekarzami.

– Nie pamiętam, żebym spadła ze schodów.

– Pani doktor mówiła, że to częste przy wstrząśnieniach mózgu.

– Nie pamiętam, żebym robiła pranie.

Wzrusza ramionami.

– Ty się tym zawsze zajmujesz. Nie lubisz, gdy to robię. Mówiłaś, że niszczę delikatne rzeczy.

Jego słowa coś mi przypominają. Tak, mówiłam tak. I tak, pranie to moja działka. A mimo to nie potrafię wyobrazić sobie pralki i suszarki. Może to tak jak z talerzami w kuchni. Nie pamiętam, gdzie są, ale wystarczy, że po nie sięgnę.

– Wolno mi wchodzić do twojego warsztatu?

Thomas posyła mi krzywy uśmiech. Pochyla się i szepcze mi do ucha:

– A co? Martwisz się, że trzymam tam ciała swoich poprzednich żon?

– Tak – odpowiadam z powagą.

– No to chodź. Zabiorę cię do warsztatu. Zobaczysz te wspaniałości na własne oczy.

Ma już na sobie dżinsy i zapinaną na guziki niebieską flanelową koszulę. Narzuca jasnobrązową kamizelkę i podchodzi do tylnych drzwi werandy. Po raz pierwszy zauważam robocze buty ustawione równo obok drzwi. Wsuwa je i pokazuje na moje gołe stopy. Idę do korytarza, a tam otwieram szafkę i wyciągam parę chodaków L.L. Bean z gumową podeszwą, nawet się nad tym nie zastanawiając. Znowu zadziałała pamięć ciała, sześć miesięcy spędzone w tym domu, wyćwiczone wzorce.

Na zewnątrz jest zimno. Trzęsę się pod wpływem chłodnej wilgoci, gdy

przechodzimy przez próg. Niebo jest szare, a ziemia mokra po wielu deszczowych dniach. Późna jesień w Nowej Anglii nie jest piękna. Drzewa przypominają szkielety, trawa jest brązowa. Listopad to nie jest zwyczajny miesiąc, to pora przejściowa pomiędzy ognistymi czerwieniami października a delikatną bielą grudnia.

Powinniśmy spędzać listopad w Arizonie – myślę i niemal natychmiast wiem, że o tym rozmawialiśmy. Ja to zaproponowałam, po jakimś ataku płaczu, gdy krótkie dni i szare niebo wydawały mi się nie do zniesienia.

Ale najwyraźniej nie pojechaliśmy. Może z powodu moich wstrząśnięć mózgu. Już wcześniej wymagałam opieki.

Warsztat jest większy, niż to sobie wyobrażałam. Na pewno większy od szopy ogrodowej, przypomina raczej garaż. Ma aluminiowoszare ściany, jest niczym budynek z prefabrykatów wrzucony na tył posiadłości. Najwyraźniej nie mamy sąsiadów, których przeraziłby taki brzydki widok, jesteśmy tylko my, a nam nie przeszkadza, bo to przecież my go postawiliśmy. Thomas sam wylał fundamenty, zna się na tym. Potem przyjechali ludzie z panelami i w parę dni wszystko było gotowe. Skromnie, ale z izolacją, gazowym grzejnikiem i elektrycznością. Bez hydrauliki. W tych sprawach Thomas korzysta z łazienki w domu.

Planowałam wiosną zasadzić żywopłot albo zbudować wał porośnięty krzewami i kwiatami, żeby złagodzić widok z domu na szkaradną szopę. To kolejny pomysł, o którym rozmawialiśmy z Thomasem. Kolejny pomysł, który teraz ze względu na moje „wypadki” prawdopodobnie nigdy nie zostanie zrealizowany.

Sierżant Wyatt sugerował, że żyję w izolacji, może nawet, że jestem zagrożona przez męża. Ile wstrząśnięć mózgu może mieć żona i dlaczego po sześciu miesiącach nie mamy żadnych przyjaciół? Choćby jakichkolwiek znajomych z okolicy?

Ale nie mamy. Wiedziałam to, zanim zapytałam Thomasa. Jesteśmy tylko on i ja i tak jest już od bardzo długiego czasu. Powtarzamy sobie, że jesteśmy szczęśliwi, ale myślę, że kłamiemy. I chyba nawet nie okłamujemy się nawzajem, tylko okłamujemy samych siebie, bo takie kłamstwo najłatwiej wypowiedzieć, ale najtrudniej potem odkręcić.

Drzwi warsztatu zamykają się na zasuwę. Thomas wyciąga z kieszeni klucz i czyni honory. Myślę, że ta zasuwka to przesada, ale potem spostrzegam wszystkie materiały wewnątrz.

Powtarzam sobie, żeby nie myśleć, gdzie jest talerz, tylko po niego sięgnąć. Ale tutaj ta logika nie działa. Nie mogę odwołać się do pamięci ciała. Wkraczam w jakąś ciemną głębię i natychmiast tracę wszelką orientację. To jest terytorium Thomasa, nie moje, i od razu czuję zmieszanie i lekki niepokój.

Thomas zapala górne światło. Mrugam, unosząc instynktownie rękę do oczu, by je zasłonić. Zauważa to i przekręca włącznik, gasząc połowę światła. Dopiero wtedy mogę opuścić rękę i zacząć chłonąć widok.

Wnętrze warsztatu wydaje się zaskakująco przestronne, widać krokwie i sklepiony dach. Naprzeciwko stoi rząd składanych stołów, ustawionych jeden za drugim. Miejsce pracy, taki jakby blat dla projektanta scenografii filmowych.

Ściany pokryte są tablicami i metalowymi półkami, na tablicach wiszą przeróżne narzędzia, a na półkach leżą kawałki drewna, plastikowe rurki i inne elementy. Patrzenie w głąb warsztatu to dla mnie za dużo. Za dużo wszystkiego. Koncentruję się na jednym urządzeniu, nowym, mniej więcej wielkości wyjątkowo dużej drukarki, i ustawionym na odrębnym stoliku. Gdy do niego podchodzę, czuję zapach plastiku i jakiś dziwny niepokój.

Kłóciliśmy się o to. On tego chciał, a ja nie. Najwyraźniej przegrałam, bo jednak jest tutaj, a ja wciąż mam o to żal.

– Co to jest? – pytam.

Thomas uważnie mi się przygląda. Zastanawia się, czy pamiętam historię tego urządzenia? Rozważa, ile mi teraz powiedzieć? W końcu skoro żona nie pamięta kłótni, to po co miałby na nowo wzniecać jej złość?

– To drukarka trójwymiarowa – odpowiada wreszcie.

Kiwam głową i kilka kawałków układanki trafia na miejsce.

– Tworzysz cyfrowy projekt zamówionego przedmiotu, jakiegokolwiek przedmiotu, a potem wrzucasz go do drukarki i ona wykonuje trójwymiarową plastikową replikę.

– Zgadza się.

– Na przykład sztuczny nóż na filmowy plan?

– Mógłbym, ale są już firmy, które specjalizują się w broni. Zwykle przedmioty rekwizytorzy zamawiają po prostu z katalogów. Ja mogę zaprojektować raczej coś specjalnego, powiedzmy do sceny, w której skromny bohater ostatecznie triumfuje. Zrobić ostrze z plastiku, osadzić je w zwykłej drewnianej ręczce, a potem już tylko pokryć warstwą złotej folii dla idealnego efektu. Później podczas promocji filmu można wykonać dziesiątki małych replik, żeby rozdawać je szefom studiów filmowych, krytykom i tak dalej.

Kiwam głową. To, co mówi, brzmi przekonująco. Tylko dlaczego jestem pewna, że mnie okłamuje?

Słyszę swoje słowa:

– Drukarki 3D można wykorzystać do tworzenia plastikowych pistoletów.

– To prawda.

– Robisz je dla filmów?

– Jak już mówiłem, zwykle takie przedmioty, jak sztuczne pistolety, taniej można zamówić z katalogu.

Patrzę na niego.

– Robisz prawdziwe pistolety?

– Po co? Podobnie jak hollywoodzkie rekwizyty, prawdziwe pistolety są tańsze z katalogu... Albo kupione na rogu ulicy.

– Ale plastikowy pistolet byłby nie do wykrycia.

– Myślę, że nielegalni sprzedawcy są doskonali w ścieraniu numerów seryjnych czy usuwaniu ich przy pomocy kwasu.

– Zbadałeś temat.

– Bo takie argumenty wysunęłaś, gdy po raz pierwszy zasugerowałem zakup tego urządzenia. Drukarki 3D zmieniają świat, od produkcji przez medycynę aż po scenografię filmową. Staram się, żebyśmy byli na bieżąco. Ale ty wszędzie widzisz zagrożenie.

Ma rację. Tak właśnie jest. Co sprawia, że zaczynam się zastanawiać, co spowodowało u mnie aż taką paranoję.

– Lubisz tę pracę? – pytam go. Jestem ciekawa odpowiedzi.

– Tak. Jest twórcza, namacalna, ale też pozwala na elastyczność. Możemy mieszkać, gdzie chcemy, i pracować w dowolnych godzinach. Mamy szczęście, że się tym zajmujemy.

– A czy ja lubię tę pracę?

Wzrusza ramionami, nie patrzy mi już w oczy, co sprawia, że wzbudza moją podejrzliwość.

– Lubisz malować, a częścią tej pracy jest malowanie. Ale ostatnio... – Podnosi wzrok, przygląda mi się uważnie. – Co ty o tym myślisz, Nicky?

– Chcę to rzucić – słyszę własne słowa. – Nie chcę już tego robić.

– Żeby robić coś innego?

Otwieram usta, ale nie mogę znaleźć odpowiednich słów.

– Nie wiem. Po prostu już nie chcę.

– Przeprowadziliśmy się tutaj, żeby zacząć wszystko od początku. Mieszkaliśmy w Atlancie, ale powiedziałaś, że tęsknisz za śniegiem. Więc poszukaliśmy w internecie i wypadło na New Hampshire. Niedługo będzie tu mnóstwo śniegu. Pytanie, czy to cię rzeczywiście uszczęśliwi?

– Dlaczego nie pamiętam upadku ze schodów?

– Wstrząśnienie mózgu wymazało go z twojej pamięci.

– I upadłam na zewnątrz, kilka miesięcy później? Czy nie powinnam tego pamiętać?

– Kolejne wstrząśnienie, kolejna dziura w twojej pamięci.

– Nie pamiętam, żebym jeździła autem wczoraj wieczorem. Nie pamiętam, żebym zakładała płaszcz, brała kluczyki albo siadała za kierownicą. Nie jestem aż tak głupia, Thomasie. Powinnam pamiętać przynajmniej jeden element.

– Niekoniecznie. Doktor mówiła, że nie ma żadnych reguł w przypadku

syndromu powstrząśnieniowego.

– Upiłeś mnie?

– Co? – Po raz pierwszy gwałtownie się prostuje.

– Czy nalałeś mi pierwszą szklanekę whisky? O to właśnie pytali detektywi.

Czy upiłeś mnie, a potem wsadziłeś do samochodu?

– Oczywiście, że nie!

– W takim razie kto? Wygląda na to, że nie mamy żadnych przyjaciół.

Thomas był wyraźnie wzburzony. Przeczesał dłonią włosy, ruszył krok do przodu.

– Nikt nie nalał ci whisky. Nawet nie widziałem w tym domu butelki alkoholu. Musiałaś sama ją kupić. Jak wyszłaś. Bo bez względu na to, czy pamiętasz, Nicky, że pojechałaś, czy nie, to cię tutaj nie było. Szukałem cię po całym domu. Nie było cię i nie było też samochodu.

– Nie pamiętam...

– Dwudziesty czwarty sierpnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Poszliśmy do Café du Monde po świeże pączki. Jeszcze ich nie próbowałaś, więc kupiłem ci ich aż sześć. I potem, gdy wciąż się śmiałaś i mówiłaś, że w życiu nie jadłaś nic tak pysznego, pocałowałem cię. To był nasz pierwszy pocałunek. Smakowałaś cynamonem i cukrem pudrem. Od tamtej pory uwielbiam się z tobą całować. Pamiętasz?

Podchodzi bliżej. Jego oczy są ciemne, a wzrok wręcz przeszywający.

– Tak – odpowiadam.

– Trzy dni później w ciasnym mieszkanku, bez telewizora, z materacem na podłodze, kochaliśmy się po raz pierwszy. Płakałaś potem, a ja spanikowałem, myśląc, że zrobiłem ci krzywdę. Ale ty jeszcze bardziej się rozplakałaś i powiedziałaś mi, żebym cię przytulił, więc tak zrobiłem. Nadal czasami płaczesz po seksie. Więc ja dalej cię przytulam, tak jak tamtej nocy. Pamiętasz?

– Tak.

– Pierwszy wrzesnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Film skończony, ekipa spakowana. Koniec. „Co dalej?” – zapytałem cię. Ale ty nie odpowiedziałaś. Nawet na mnie nie patrzyłaś. Więc chwyciłem cię za ramiona. „Puść – powiedziałaś. – To boli”. Ale ja nie puściłem. Uniosłem twój podbródek. Zmusiłem cię, żebyś popatrzyła mi w oczy. „Kocham cię – powiedziałem. – Kocham cię i potrzebuję cię. Zostań ze mną, a dam ci cały świat. Cokolwiek będziesz chciała. Tylko bądź moja”. Pamiętasz?

– Tak.

– Będziesz ze mną bezpieczna, nawet gdybym miał zapłacić za to życiem. Obiecałem ci to. Pamiętasz?

Nie mogę już na niego patrzeć, ale nie mam jak się odwrócić. Za sobą mam jeden z rozkładanych stołów, a on stoi tuż przede mną. Jest tak blisko, że czuję

ciepło jego ciała, czuję znowu zapach jego skóry. Miękną mi kolana.

Ale czuję się też jak w pułapce.

I przez ułamek sekundy mam ochotę go uderzyć.

Unoszę podbródek.

– Nie mamy zwierząt, nie mamy przyjaciół, ciągle się przeprowadzamy.

– To ty tak chciałaś, nie ja. Drugi wrześnie tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego. Wyjeżdżamy z Nowego Orleanu. Mówisz, że musisz wyjechać. Bez wyjaśnień. Mówisz, że potrzebujesz nowego nazwiska. Bez wyjaśnień. Ja też powinienem wypróbować nowe nazwisko. Nigdy nie rozmawiamy o tym, że często budzisz się w środku nocy z krzykiem. Nigdy nie rozmawiamy o tym, że jesteś coraz bardziej nerwowa, że ciągle sprawdzasz, czy drzwi są zamknięte, oglądasz się przez ramię, oblewa cię zimny pot. Chciałaś wyjechać, to wyjechaliśmy. Chciałaś spróbować nowej tożsamości, tak zrobiliśmy. Dla ciebie, Nicky, przez kolejne dwa lata zmieniałem miejsce zamieszkania i wymyślałem sobie nowe nazwisko niemal co tydzień, dopóki nie minęła największa panika i wreszcie ustatkowałaś się jako moja żona. Bo tak bardzo cię kochałem. Pamiętasz?

Kochałem – myślę sobie, zauważając użycie czasu przeszłego.

Ale on wciąż się nade mną pochyla, wciąż czeka na odpowiedź. Czy pamiętam? Pamiętam? Pamiętam? Chwilę, w której ten mężczyzna zgodził się pojechać gdziekolwiek i być kimkolwiek, dla mnie? Chwilę, w której błagałam tego człowieka, żeby ze mną pojechał, a on się zgodził?

Zapach pączków. Smak cukru pudru. Thomas, młodszy, ale tak samo posepny, tak samo skupiony.

Patrzę na niego. Widzę go.

I szepczę:

– Tak.

Rozdział 13

– No dobra. Sprawdźmy to.

Jedenasta rano, szary, chłodny dzień. Kevin i Wyatt wrócili na miejsce wypadku. Audi Q5 zostało już zabrane. Policjanci stanowią musieli użyć lin holowniczych, systemu bloczkowego i mnóstwa przekleństw, ale w końcu się udało.

Teraz o fatalnym zjeździe auta w dół jaru świadczyły już tylko wygniecione zarośla, połamane gałązki i poprzesuwane kamienie. I oczywiście ślady w błocie tuż przy szosie. Tam właśnie byli teraz Kevin i Wyatt. Przyglądając się miejscu, gdzie auto skończyło, i szykując się do powrotu tam, skąd nadjechało.

– Wiemy, że użyto karty kredytowej Nicky do zakupu butelki szkockiej piętnaście kilometrów stąd w środę około dziesiątej wieczorem.

– Zgadza się – odpowiedział Kevin.

– Ale nie mamy zeznań świadków, którzy potwierdziliby, że to ona była w tym sklepie.

– Sprzedawca twierdzi, że był zbyt zajęty, żeby zapamiętać jakąkolwiek kobietę.

– I okazało się, że ich system monitoringu nie działa.

– Jak się nagrywa bez końca na prehistorycznych dyskach, to błędów nie da się uniknąć.

– To znaczy, że wiemy, że ona lub ktoś z nią związany kupił whisky.

– Na przykład mąż – uzupełnił Kevin.

– On mi się po prostu nie podoba – przyznał Wyatt. – Te trzy wstrząśnienia mózgu coraz mniej wyglądają mi na wypadki, a coraz bardziej na powtarzający się schemat. Ale pozostaje pytanie, skoro whisky została kupiona około dziesiątej, to co się działo potem?

– Zabrał butelkę do domu i upił żonę – zasugerował Kevin.

– A jak już uznał, że wypłała dość... Choć potem okazało się, że promile są w granicach normy, ale znowu zważywszy na te urazy mózgu...

– Prawdopodobnie zakładał, że zostanie uznana za pozostającą pod wpływem.

– Pakuje ją do samochodu – kontynuował Wyatt.

– Wywozi ją byle gdzie.

– A może właśnie w konkretne miejsce – poprawił Wyatt. – Tam, gdzie jest odpowiedni spadek, kończący się ostrym zakrętem, a jednocześnie okolica dość odludna. Może wysiąść z auta, posadzić żonę na fotelu kierowcy, wrzucić na luz i resztę zostawić grawitacji. Nie w każdym miejscu dałoby się to zrobić. To wymagało sprawdzenia i przygotowań.

Dotarli już z Kevinem na samą górę. Stamtąd opadająca pod kątem czterdziestu stopni szosa wydawała się bardzo stroma, szczególnie biorąc pod uwagę żółty znak ostrzegający kierowców na samym dole przed zbliżającym się zakrętem. W deszczowe noce wypadki na tym odcinku drogi zdarzały się pewnie regularnie. A to znaczy, że niewielkim wysiłkiem...

– Myślę, że musiał popchnąć auto – powiedział Kevin. – Żeby nabrało takiego przyspieszenia, by dosłownie przelecieć nad krawędzią...

Wyatt spojrział w dół, zgodził się z detektywem.

– Czyli Thomas sadza żonę w fotelu kierowcy, zapina jej pas i wrzuca luz. Musiałby działać szybko: audi bez wątpienia zaczęło się już staczać, gdy zatrzaszkiwał drzwi. Cofa się trzy kroki i używa swojej masy, żeby auto nabrało dodatkowego rozpędu.

Detektywi odegrali prawdopodobny przebieg wydarzeń.

– To możliwe – podsumował Kevin.

– Powinniśmy zbadać odciski palców na tyle auta na zewnątrz – powiedział Wyatt, patrząc na swoje dłonie, które trzymał tak, jakby coś pchał.

– A także ubranie męża, jego kurtkę – dodał Kevin. – O tej porze roku samochody nie są zbyt czyste, zwłaszcza w deszczu. Może cały się pobrudził błotem.

– Skąd pewność, że samochód stoczy się po linii prostej? – zapytał Wyatt. Przyjrzał się ponownie wzgórz, drodze, która zdawała się na pierwszy rzut oka biec prosto, ale po bliższym przyjrzeniu się lekko skręcała w lewo, pomijając delikatny spadek w prawo dla odpływu wody.

– Można spróbować przywiązać coś do kierownicy, żeby utrzymać ją w pozycji – powiedział Kevin.

– Nic takiego nie znaleźliśmy na miejscu wypadku. Sznura, szalika. Jak stwierdził opiekun psa, w aucie nie było żadnych osobistych przedmiotów.

– Może ona ją trzymała.

– Nicky?

Kevin wzruszył ramionami.

– Jest tylko trochę pijana, ale urazy mózgu pogłębiają efekt. Ktoś sadza ją za kierownicą auta. Mąż mówi jej, żeby trzymała ją prosto... Raczej nie wie, co się dzieje. Potrafię sobie wyobrazić, że po prostu wykonuje polecenie. Oczywiście potem droga skręca i już tego nie robi.

– Mogła unieść ręce, trzymać je w powietrzu.

Zgodnie z dokumentacją medyczną Nicky nie doznała urazów kciuków, co wskazywało na to, że nie trzymała dłoni zaciśniętych na kierownicy, gdy otworzyła się poduszka powietrzna. Kierowcy zwykle instynktownie zaciskają ręce mocniej, jakby mogło ich to uratować. Inni puszczają się, wybierając podświadomie swobodny upadek. Pewnie można by się tu doszukiwać jakiejś freudowskiej

interpretacji, ale Wyatt wiedział tylko to, co sam zauważył przy wielu wypadkach samochodowych. Jedni kierowcy puszczaają kierownicę, a inni nie.

– Okej – powiedział. – Jest ciemno, pada deszcz, droga jest pusta, Nicky oszołomiona alkoholem i po dwóch wstrząśnieniach mózgu. Zgodnie z tym scenariuszem Thomas musiałby sam przenieść ją z miejsca dla pasażera na fotel kierowcy.

Kevin wzruszył ramionami.

– Wygląda na silnego faceta. A jego żona jest szczupła. Może to nie byłby manewr pełen gracji, ale jestem pewien, że dałby radę. Ja się natomiast zastanawiam nad jednym. Jeśli Thomas Frank pragnie śmierci żony, to po co zapinał jej pas? Szanse byłyby większe, gdyby nie był zapięty.

– Siła nawyku? Nie chce, żeby wypadek wydał się podejrzanym?

– Kobieta wypła w aucie niemal całą butelkę szkockiej. Pijany kierowca bez zapiętego pasa? Nie byłoby w tym nic podejrzanego.

Wyatt wzruszył ramionami.

– Sam nie wiem. Ten gość chyba nie jest mistrzem zbrodni. To znaczy, jeśli nasza teoria jest słuszna, to byłby trzeci wypadek żony, jaki zainscenizował.

– Zakładając, że stał za jej pierwszymi dwoma upadkami.

– Zakładając, że stał za jej pierwszymi dwoma upadkami – zgodził się Wyatt.

– Dużo tu tych założeń.

– I dlatego je rozpatrujemy. Żeby sprawdzić, czy niektóre z nich mogą nas doprowadzić do jakichś dowodów. Na przykład wiemy już, że powinniśmy zbadać tylną zewnętrzną część auta, żeby znaleźć odciski palców Thomasa Franka, a najlepiej odcisk całej dłoni. Skoro już to robimy, powinniśmy też sprawdzić zamek pasa bezpieczeństwa oraz dzwignię zmiany biegów.

– Tylko to niczego nie dowiedzie. Po prostu odciski palców męża w samochodzie żony.

– Dałoby nam podstawę do nakazu zbadania jego ubrań. A to mogłoby się okazać interesujące.

– Zakładając, że jeszcze ich nie wyprał.

Wyatt przewrócił oczami.

– Może będziemy mieć fart. Jakie są szanse zbadania resztek butelki po szkockiej? Sprawdzenia odcisków palców?

Kevin spojrzał na niego.

– Chyba naoglądałeś się za dużo telewizji.

– Okej. W takim razie jak myślisz, co się tutaj wydarzyło?

– Jak wrócił potem do domu? – zapytał Kevin.

– Nie, chodziło mi o... – Wyatt przerwał i gwałtownie się wyprostował, gdy dotarł do niego sens pytania kolegi.

– Zgodnie z naszym scenariuszem – kontynuował Kevin – mąż wywozi żonę w odległe miejsce w środku burzy. Wsadza ją za kierownicę i spycha ze wzgórza. A potem co robi? Idzie w deszczu pięćdziesiąt kilometrów do domu?

– Albo łapie stopa – mruknął Wyatt.

– To dałoby nam potencjalnego świadka. Zakładając, oczywiście, że ktokolwiek się zatrzyma i wpuści do auta nieznanego mężczyznę w środku deszczowej nocy.

– To możliwe – powiedział Wyatt, bo to było New Hampshire i tutaj ludzie nadal jeździli autostopem. Tak naprawdę wielu miejscowych z niego korzystało, bo dobre auta są drogie, a nie każdy ma taką pracę, żeby móc sobie pozwolić na własne cztery kółka.

– Ale coś takiego zwróciłoby uwagę – ciągnął Wyatt, myśląc na głos. – To byłby słaby punkt całego planu. Wystarczyłoby, że zrobimy konferencję prasową. Ktoś brał tej nocy autostopowicza w tej okolicy? Jeśli to był Thomas, jak wyjaśni swoją obecność niedaleko miejsca wypadku żony? Nie sądzę, że tak by ryzykował.

– Więc może zaparkował auto gdzieś w pobliżu – podsunął Kevin. – Żeby wrócić do domu.

– Gdzie? – zapytał Wyatt. – Najbliższa stacja benzynowa jest parę kilometrów stąd i nawet gdyby, to też pozostałby ten sam problem. Gdyby zaparkował wcześniej auto na stacji, ktoś musiałby go stamtąd podwieźć do domu. Tak czy siak, potrzebowałby podwózki albo w ciągu dnia w środę, albo później podczas burzy.

– Telefon do przyjaciela – zasugerował Kevin. – Mógł powiedzieć, że złapał gumę, i poprosić, żeby go podwieźć.

– Twierdzi, że nie ma przyjaciół.

– Może to sposób, żebyśmy ich nie przesłuchali.

Wyatt zmarszczył brwi.

– Nie podoba mi się to – oznajmił wprost. – Przy każdym wypadku, takim udawanym też, jest duże ryzyko. A jeśli audi zsunęłoby się z drogi, zanim nabrałoby odpowiedniej prędkości? Po co zapinać pas, jeśli celem jest zabicie żony? I co robi podejrzany po zepchnięciu auta w przepaść? Idzie do domu na piechotę w strugach deszczu?

– Musiałby mieć dostęp do innego pojazdu – zgodził się Kevin. – Wspólnika.

– Co nasuwa pewne istotne pytanie: Dlaczego kontrolujący żonę mąż nagle chce ją skrzywdzić?

– Poznała kogoś, zagroziła, że go opuści.

– Albo... – zasugerował Wyatt.

Kevin zrozumiał.

– To on kogoś poznał. Chce zostawić żonę, ale nie połowę majątku.

– Czyli może wcale nie szukamy jego kumpla. Szukamy kobiety. Która mogła zaparkować gdzieś na szczycie wzgórza. I wyłączyć światła. Nikt by jej nie zauważył. Czekalibyśmy, aż kochaś skończy robotę.

Żaden z detektywów nie zaczął się dziwić, jaka kobieta zrobiłaby coś takiego dla faceta. Zbyt często mieli do czynienia z podobnymi sytuacjami.

Powinniśmy wrócić na stację – stwierdził po chwili Wyatt. – Ściągnąć nagrania z monitoringu z ostatniego tygodnia. Przyjrzeć się wszystkim autom, które przejeżdżały tamtędy wielokrotnie w krótkim okresie. Na przykład, żeby zbadać teren...

– Albo w drodze do pracy.

– Co będzie łatwo wyeliminować podczas późniejszych rozmów. Możemy też przyjrzeć się tamtej nocy. Sprawdzić, czy ktoś się nie kręcił pomiędzy czwartą a szóstą rano. Zwłaszcza kobieta, w nierzucającym się w oczy sedanie, czekająca na telefon kochanka.

Kevin skinął głową. Nie był zachwycony tym planem. Oglądanie godzinami rozmazanych czarno-białych zapisów wideo z kamer bezpieczeństwa jest o wiele trudniejsze, niż się może wydawać. Ale to w końcu jakiś plan, a szczerze mówiąc, potrzebowali konkretnego.

– Nadal uważam, że to mąż – powiedział Kevin, gdy wracali z powrotem do radiowozu. – Ale nie sądzę, żebyśmy złapali go na nagraniu. To raczej cwany gość. Wydaje mi się, że to zepchnięcie ze schodów w piwnicy czy na ganku to była rozgrzewka. A teraz wziął się do sprawy na poważnie.

– Ale w takim razie nie powinna była mieć zapiętych pasów – mruknął Wyatt.

Kevin nie odpowiedział. W milczeniu pojechali na stację benzynową, żeby zająć się robotą.

Rozdział 14

Unoszę się samotnie pośród ciemności. Zbliżają się cienie. Mocno naciągnęłam żółtą narzutę. Starannie zamknęłam drzwi sypialni. Głowa mi płonie, ale dopóki oczy mam zamknięte, panuję nad bólem. Lubię ciemność. Jest chłodna, niesie komfort.

Dotykam palcami narzuty i znowu myślę o kobiecie, która ją uszyła. Tęsknię za nią, zawsze tęskniłam. Dziwne, bo mogłoby się wydawać, że upływ czasu złagodzi tęsknotę, stępi ból. Ale teraz właśnie tym bardziej odczuwam jej brak.

Nie lubię o tym myśleć, więc wołam Vero.

Migawki. Vero w wieku trzech lat. Sześciu. Dziesięciu, dwunastu, czternastu. Rozmywają się przed moimi oczami, mój umysł nie potrafi się skupić. Gdy próbuję sprawić, żeby przesuwały się wolniej, widzę już tylko szkielet, który pyta: *Dlaczego ja, dlaczego ja, dlaczego ja?*

Hałas. Kroki, ktoś schodzi na dół. Thomas – myślę – krąży po domu. Zastanawiam się, co robił od momentu, gdy wyszli policjanci. Zajął się jakimiś domowymi obowiązkami czy też usuwał dowody? Zaniepokoiły mnie pytania detektywów. Jakie jest prawdopodobieństwo, że jedna kobieta będzie miała trzy wypadki w ciągu sześciu miesięcy? Na dodatek kobieta bez rodziny i bez przyjaciół. Kobieta, która według wszelkich oznak jest całkowicie uzależniona od męża. Chociaż on twierdzi, że to moja wina, że ja sobie tego życzyłam.

Doprawdy? Naprawdę nie wiem. Może coś w tym jest, ale dlaczego miałabym się przy tym upierać? I kto porzuciłby wszystko i zrobiłby wszystko dla dziewczyny, którą dopiero co poznał?

Czuję, że powinnam wiedzieć na ten temat więcej, ale im bardziej się staram, tym więcej szczegółów mi umyka. Moje wspomnienia nie są pomocne. Wcale mnie nie zachęcają. Szepczą tylko nieustannie: *Strzeż się, strzeż się, strzeż się.*

Wiem, że lepiej służy mi pamięć ciała. Automatyczne działania, to, co robię, a nie to, co myślę. Ale czy w takim razie nie powinnam pamiętać założenia płaszcza i chwycenia za kluczyki przed wieczorną jazdą? Albo tego, że wsiadłam do auta i wycofałam je z podjazdu? Staram się, ale moja pamięć jest pusta. Widzę tylko ciemność i nic więcej.

A to sprawia, że myślę, że policja może mieć rację – że piłam tamtej nocy.

Myślę o szkockiej. Osiemnastoletniej glenlivet. Najlepszej. Wyobrażam sobie kryształową szklanę napełnioną płynnym złotem, czuję, jak jego delikatny smak rozgrzewa mi język. Natychmiast napływa mi ślina do ust. Co do tego nie ma wątpliwości. Przydałby mi się drink.

I wtedy coś przychodzi. Stare wspomnienie.

Wiesz, jakie jest najlepsze miejsce, gdy żona chce coś schować przed

mężem? Wcale nie jej kuferek na biżuterię, to zbyt oczywiste. I na pewno nie spód wspólnego małżeńskiego materaca. Ani szafka z lekarstwami, ani puszka z ciastkami, ani kącik za mrożonym indykiem w zamrażarce.

Nie, jest jedno miejsce, do którego żaden szanujący się mąż nie zajrzy: pudełko z tamponami, upchnięte w łazience w szafce pod umywalką.

Znowu kroki na dole. Oczami wyobraźni śledzę Thomasa w drodze na tył domu. Ciche skrzyknięcie. Otworzył tylne drzwi. Leciutki trzask. Drzwi się zamknęły. Wyszedł z domu, poszedł do warsztatu. Nie muszę myśleć, żeby to wiedzieć.

Natychmiast ogarnia mnie nieodparta pokusa.

Ściągam z siebie bladożółtą narzutę i wstaję. A potem – nie da się tego inaczej określić – zakradam się korytarzem do łazienki dla gości.

Pojedyncza umywalka, zamocowana w granicie w kolorze ziemi, zwieńcza szafkę z hikory. Tuż obok jest sedes, a daleko po prawej wanna. To moja łazienka. Skorzystałam z niej automatycznie, żeby wziąć prysznic z samego rana. Wykorzystuję pamięć ciała: sięgnąć po talerz, nie zastanawiając się, gdzie on się znajduje. I rzeczywiście, w górnej szufladzie jest moja szczoteczka do zębów, szczotka do włosów i pikowana kosmetyczka w tureckie wzory z kosmetykami do makijażu.

Otwieram teraz szafkę poniżej, a tam znajduję środki do czyszczenia, suszarkę i tak... pudełko tamponów.

Wyciągam je. Pudełko cicho grzechocze, niczym brzęczące szkło. I wiem, co znajdę w środku. Zdejmuję z wierzchu symboliczną warstwę sześciu tamponów. Odslaniam zestaw miniaturowych buteleczek whisky. Okazuje się, że mam swój własny ukryty zapas małych glenlivetów.

Policja się myliła. Mąż nie musiał mnie upijać w środowy wieczór, a potem sadzać za kierownicą.

Wygląda na to, że jestem kimś, kto jeździ po pijaku.

Wygląda na to, że jestem taką właśnie żoną.

Przyglądam się miniaturowym buteleczkom. Jest ich sześć. Wystarczy na kiepskie popołudnie albo trudny wieczór. Zastanawiam się, czy to Thomas sprawia, że piję. A może Vero? Czy to ja sama jestem swoim najgorszym wrogiem?

Nie mogę sięgnąć do pamięci ciała, żeby odpowiedzieć na te pytania. Mam tylko przecucie, że gdybym była na tyle mądra, żeby wiedzieć, dlaczego robiłam to, co robiłam, to wystarczyłoby, żebym przestała to robić.

Wkładam tampony z powrotem do pudełka. Pudełko wsuwam do szafki. Nie wyrzucam buteleczek ani nie wylewam alkoholu. Nie jestem na tyle silna. Ale nadchodzi mnie nowa myśl i jest na tyle intrygująca, że wychodzę z łazienki.

Wiem, gdzie żona chowa rzeczy przed swoim mężem. Ale gdzie mąż chowa swoje sekrety przed żoną?

Teraz, gdy Thomas jest w warsztacie, muszę poszukać. To cholernie ważne.

Zakradam się z powrotem na korytarz, nasłuchując jakiegokolwiek dźwięku z dołu. Ale w domu panują cisza i spokój. Jestem sama. Na razie.

Zaczynam od głównej sypialni, tej z wielkim łóżem z baldachimem i z za dużymi meblami z ciemnego drewna. To jego teren, nie mój, a gdy ukrywa się sekrety, chce się je zwykle mieć gdzieś najbliżej. Wsuwam dłoń pod stos poduszek, a potem pod brzeg ciężkiego, podwójnego materaca. Sprawdzam też pod łóżkiem, ale nie znajduję nic poza kłębkami kurzu na brudnej wykładzinie.

Zabieram się za szafkę nocną. Domyślam się, z której strony łóżka korzysta Thomas, bo panuje tam większy bałagan. Na szafce leży para okularów do czytania, tabletki na nadkwasotę i stos gazet: „Guns & Ammo”, „Entertainment Weekly”, „National Geographic”. Sądząc po różnorodności tematyki, mój mąż to prawdziwy człowiek renesansu.

Ale nie ma tam niczego podejrzanego. A przynajmniej żadnego ukrytego alkoholu.

Na biurku stoi lampa do czytania, ramka z naszym zdjęciem i skórzane pudełko ze starym zegarkiem, grubym złotym łańcuszkiem i złotą obrączką. To ślubna – wiem, nie zastanawiając się nad tym. Nie nosi jej już, bo mogłaby zniszczyć się podczas pracy. Ale chciał obrączkę, więc poszłam do najbliższego lombardu i wybrałam najtańszą, która i tak była szczytem możliwości dla dwójga biednych dzieciaków. Uśmiechnął się, gdy wsunęłam mu ją na palec. Nie, rozpromienił się, cała twarz mu pojaśniała.

„Teraz jestem twój” – powiedział, a ja pamiętam, jak serce łomotało mi w piersi, gdy poczułam instynktowny lęk przed taką odpowiedzialnością.

Obrączka ma w środku napis, datę: 3 października 1993. Byliśmy ze sobą zaledwie miesiąc. Co myśmy sobie myśleli? Od pierwszej randki do wieczności w ciągu niecałych czterech tygodni?

I czy fakt, że po dwudziestu latach nadal jesteśmy razem, oznacza sukces? Czy też po prostu mimo upływu lat nic innego nie wymyśliliśmy? I nie mamy innych marzeń?

Uświadamiam sobie, że spędziłam z tym mężczyzną ponad połowę swojego życia.

I przeszukuję jego sypialnię, próbując natknąć się na dowody oszustwa.

W komodzie nic nie ma, więc podchodzę do garderoby, nasłuchując co chwila kroków. Ale dom jest cichy. Thomas musi się skupić, gdy pracuje, i potrzebuje dłuższej chwili koncentracji, żeby zrobić jakiś przedmiot od początku do końca. Może będzie w warsztacie do zapadnięcia zmierzchu, a nawet do późnego wieczoru. Dużo pracuje – wiem to, nie zastanawiając się. Dużo czasu spędzam sama. Ale nigdy mi to nie przeszkadzało. Odpowiada mi to.

Garderoba okazuje się zaskakująco duża i wyposażona w wyrafinowany

system segregowania ubrań. Także z drewna wiśniowego, półki, wieszaki i wbudowane szuflady, coś takiego widuje się w magazynach poświęconych urządzaniu wnętrz. Thomas tak to urządził. To był jeden z jego projektów na weekend. Zrobił to wszystko, żeby mnie uszczęśliwić.

Bo przynajmniej na początku ja też spałam w tej sypialni.

Bez wątpienia część ubrań w garderobie należy do mnie. Sukienki, eleganckie spodnie, ładne bluzki. To nie są moje codzienne stroje, takie znalazłam w szafie w sypialni dla gości. Ale nadmiar, to, czego na co dzień nie potrzebuję, został tutaj. Czy to znak, że pracujemy nad problemami? A może byłam zbyt leniwa, żeby przenieść wszystkie swoje rzeczy?

Thomas ma rzędy luźnych spodni, stopy przetartych dżinsów oraz imponującą kolekcję flanelowych koszul z długim rękawem. To zdecydowanie swobodny styl, pasujący do człowieka, który spędza większość dnia w warsztacie. Znajduję trzy garnitury, jeden szary, jeden czarny i jeden granatowy. Na śluby i pogrzeby – myślę – tylko, że nie mamy ani przyjaciół, ani rodziny, więc czy gdziekolwiek bywamy?

Zaczynam od szuflad, przeszukuję jedną za drugą. Znajduję skarpetki, bieliznę, dresy, T-shirty, piżamy, majtki i nic więcej. Potem przeglądam stos butów, głównie sportowych, traperów i oczywiście dwie pary półbutów do garniturów, czarne oraz błyszczące brązowe.

Próbuję wymyślić jakiś męski ekwiwalent tamponów, ale nic nie przychodzi mi do głowy. Mimo to cały czas szukam. On ma jakieś sekrety. Wiem to. Bo dwadzieścia dwa lata później te sekrety zaczęły nas doganiać. Jeszcze zanim się tu przeprowadziliśmy. Jeszcze przed moimi „wypadkami”. Było między nami jakieś napięcie.

I nagle, przesuwając dłonią po ciemnoszarej marynarce od garnituru, wyczuwam to. Coś cienkiego i płaskiego pod klapą. Zatrzymuję się, dotykam wolniej. A potem wyciągam z wewnętrznej kieszeni starą, poprzecieraną kopertę.

I wtedy słyszę skrzypienie schodów.

Zamieram, czując się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku. Nie mam dokąd uciec. Jeśli jest już na schodach, to widzi korytarz, zauważy mnie, gdy tylko wyjdę z jego sypialni. W takim razie mogę zrobić tylko jedno.

Nie opuszczam sypialni. Wsuwam kopertę za pasek spodni od jogi. A potem kuśtykam przez pokój, oddychając z trudem, i rzucam się na plecy na łóżko.

Sekundę później z korytarza dobiega głos Thomasa.

– Nicky? Nicky? Wszystko w porządku?

Nie odpowiadam. Boję się, że w moim głosie słyhać będzie poczucie winy albo zdenerwowanie. Ale już nie muszę. Thomas pojawia się w drzwiach, jego wzrok spoczywa na mnie, wyciągniętej niczym w trumnie po mojej stronie łóżka.

Nic nie mówi. Podchodzi bliżej, patrząc na moją twarz.

– Wypróbuję je – mówię.

– I jak?

– Swojsko.

– Słusznie. Kiedyś tu spałaś. – Nie podchodzi bliżej, tylko okrąża łóżko.

Czuję lekki nacisk materaca, gdy się kładzie. Nie jest taki sztywny jak ja, układa sobie wygodnie ręce pod głową i krzyżuje stopy. Odwracam głowę, żeby mu się przyjrzeć. Jest w swoim pokoju, na swoim łóżku. Widać, że to jego miejsce.

– Dlaczego się przeniosłam do tamtej sypialni?

Przekręca się na bok.

– Chodź tutaj – mówi.

Nie reaguję od razu.

– Wypróbuj tu – mówi i pokazuje miejsce obok siebie. Wiem, czego chce, ale po prostu nie mogę. I nie muszę. Przysuwa się do mnie, zajmując miejsce między nami. Aż czuję ciepło jego ciała. Czuję zapach trocin, potu, resztek mydła z porannego prysznica. Wstrzymuję oddech, nie mając pewności, czego się spodziewać, nie mając pojęcia, co chciałabym, żeby się zdarzyło.

Sięga ręką i odgarnia do tyłu moje długie włosy. Jego kciuk jest szorstki. Czuję, jak przesuwają się delikatnie wokół pierwszej linii szwów, a potem drugiej i trzeciej. Wzdrygam się, ale to nie dlatego, że mnie boli.

– Zastanawiasz się, czy spaliśmy ze sobą? – pyta. – Czy dwadzieścia lat później nasz związek wciąż jest intymny?

Nie mogę mówić. Zbyt intensywnie go odczuwam, jego dotyk, głos, zapach. Natychmiast instynktownie wiem, że to dla mnie nic nowego lub nieznanego. Podoba mi się ten dotyk. Nawet go pragnę. Chcę czuć jego ciało na moim. Ten napięty wyraz jego twarzy, gdy pierwszy raz się we mnie wsuwa. Dźwięk jego serca, dudniącego dziko w moim uchu.

– Wciąż mnie pragniesz – mówi. – I ja wciąż pragnę ciebie. Czasem wydaje mi się, że tylko w ten sposób jesteśmy jeszcze razem. Tutaj, w ciemności, na nowo się odnajdujemy. I wiem, że mnie potrzebujesz, że mnie pragniesz, że mnie kochasz, nawet jeśli nic nie mówisz przez resztę dnia.

– Dlaczego się przeniosłam? – szepczę. Jego palce wciąż muskają moją twarz, przesuwają się po linii włosów. Chce odwrócić moją uwagę? Czy to mi przeszkadza?

– Masz koszmary. Zawsze miałaś. Ale ostatnio, po tym jak spadłaś ze schodów w piwnicy, jest gorzej. Budzisz się z krzykiem, niemal odchodzisz od zmysłów, pot zalewa ci twarz. Jeśli spróbuję dotknąć cię w jakikolwiek sposób, wyciągnę rękę, żeby cię pocieszyć, jeszcze ci się pogarsza.

– Biję cię.

– Czasami.

– Uderzyłam cię lampą w głowę.

– Zabolęło.

– A potem płakałam. Bo nie chciałam, naprawdę nie chciałam, a tobie krew spływała po twarzy.

– Uznałaś, że lepiej będzie, jeśli będziesz spać sama.

– Żebym cię nie skrzywdziła.

– Sądzisz, że twoja przeprowadzka do innej sypialni mnie nie zabolęła?

Spuszczam wzrok. Nie mogę patrzeć na niego i na bezradny wyraz jego twarzy. Sama nie wiem, jak to się dzieje, ale przykładam dłoń z rozstawionymi palcami do jego klatki piersiowej. Czuję bicie jego serca. Jest zaskakująco równomierne, zwłaszcza gdy porównam je z moim przyspieszonym tętnem.

– Kochasz mnie? – słyszę swój głos.

– Tak.

– Dlaczego?

Uśmiecha się. Czuję, jak jego usta muskają moje włosy. Znowu wdycham zapach jego skóry.

– Na początku – mówi cicho – byłaś taka smutna. Otaczający cię smutek był niemal namacalny. Więc pomyślałem... chciałem, żebyś uśmiechnęła się tak naprawdę. Chciałem być tym, który cię uszczęśliwi.

– Czy to jest miłość? – zapytałam. – Czy pragnienie zostania bohaterem?

– Teraz już nie wiem – mówi, a ja wiem, że szczerze. – Może to coś pomiędzy. Ale gdy w końcu sprawiłem, że się uśmiechnęłaś, czułem, że było warto. I chciałem to zrobić znowu. I znowu. Myślę, że są gorsze sposoby na spędzenie życia niż staranie się, by uszczęśliwić kobietę, którą się kocha.

– Ale ja nie jestem szczęśliwa.

– Byłaś. Przynajmniej na początku. Gdy po raz pierwszy wyjechaliśmy z Nowego Orleanu, pojechaliśmy do Austin. Uwielbiałaś ciepłą pogodę, dobrą muzykę, psy bawiące się w Zilker Park. Ale potem zaczęłaś być niespokojna. Coraz więcej kiepskich dni, coraz mniej tych dobrych, więc spróbowaliśmy w San Francisco. Później w Phoenix. W Boulder i w Seattle, i w Portland, i w Chicago, i w Knoxville, i w Raleigh, i w Fort Lauderdale, i tak dalej. Byłaś szczęśliwa. A potem smutna. Więc znowu się przeprowadzaliśmy. Bo aż do dziś jedynym moim pragnieniem jest, żebyś się uśmiechała.

Nic nie mówię.

– Ale masz rację. Już nie potrafię cię uszczęśliwić – wyznaje cicho Thomas.

– Znowu otacza cię smutek, a gdy zadaję ci pytania, nie odpowiadasz. Czego potrzebujesz, jak mogę cię uszczęśliwić? Wystarczy, że powiesz mi, czego chcesz. Ale ty już ze mną nie rozmawiasz, Nicky. Do diabła, nie wyjaśniłaś mi nawet, o co chodzi z tą cholerną żółtą narzutą.

– Jest moja – słyszę samą siebie. Odpowiadam natychmiast. Bronię się.

– Zamówiłaś ją na eBayu trzy tygodnie temu. Gdy przyszła, zamknęłaś się

z nią w łazience i przepłakałaś cały dzień. Pytałem, czekałem, błagałem. Ale nie powiedziałaś mi, do czego ci ona potrzebna i dlaczego jest taka ważna. Kochałem cię przez większość mojego życia. A mimo to są chwile, gdy nie jestem pewien, czy w ogóle cię znam.

- Ty też masz sekrety – mówię, czując poprzecieraną kopertę na krzyżu.
- Milczenie za milczenie – odpowiada mój mąż.
- Dlaczego wciąż ze mną jesteś? Wygląda na to, że same ze mną kłopoty.
- Bo nie porzuciłem nadziei.
- Nadziei na co?
- Że pewnego dnia znowu sprawię, że się uśmiechniesz.

Odsuwa się ode mnie. Odczuwam jego brak dotkliwiej, niż bym chciała. Powietrze jest chłodne, łóżko puste i na moment wyciągam rękę, jakbym pragnęła przywołać go z powrotem. Przypominam sobie, co pomyślałam, gdy zobaczyłam go po raz pierwszy. Patrzył prosto na mnie, uśmiechał się do mnie. A moim pierwszym wrażeniem było to, że chciałam, żeby sobie poszedł.

Ale wtedy, gdy sobie poszedł, zapragnęłam, by wrócił, bo nigdy dotąd nikt się tak do mnie nie uśmiechał.

Kocham go. Boję się go. Pragnę go. Drażni mnie. Przyciągam go bliżej. Odpycham.

I czuję, że to nie ma nic wspólnego z nim. Wszystko wiąże się ze mną.

– Możesz zostać – mówi Thomas, wstając z łóżka. – Odpoczywaj, ile chcesz. Zejdę na dół i zacznę szykować kolację. Grillowany ser i zupa pomidorowa, może być?

Kiwam głową, nie mając odwagi się odezwać.

– Damy sobie radę – mówi. Chce mnie pocieszyć? Siebie? Może to wszystko jedno. Mój mąż wychodzi z sypialni.

Czekam, aż jego kroki ucichną na dole schodów, a potem dotrze do mnie ich echo z kuchni. I dopiero wtedy przekręcam się ostrożnie na bok i wyciągam spod pleców kopertę. Trzęsą mi się palce. Odkładam paczuszkę na łóżko, zauważając, że krawędzie są pożółkłe, a papier pociemniał od starych plam, chyba od jakiegoś smaru.

Często trzymał to w rękach przez te lata. Najwyraźniej co jakiś czas do niej zaglądał.

Zaczynam się wahać. To punkt zwrotny. Czy naprawdę chcę wiedzieć? Może wszystkie małżeństwa mają swoje sekrety. Ja najwyraźniej mam swoje tajemnice, poczawszy od bladożółtej narzuty, a skończywszy na zapasie szkockiej.

Ale nie mogę odpuścić. Odkrywszy tę kopertę, muszę się dowiedzieć, co zawiera. Delikatnie ją otwieram i wyciągam to, co jest w środku: stare zdjęcie, mniej więcej wielkości koperty.

Wyblakłe, pożółkłe, usmarowane. Ale od razu wiem, na co patrzę. Letni

dzień. Dziesięcioletnia dziewczynka w znajomej sukience w kwiatki
i z delikatnym, niepewnym uśmiechem na twarzy.

Dławię westchnienie. Zaciskam dłonie na fotografii.

Vero.

Trzymam w rękach zdjęcie Vero.

Które mój mąż przede mną ukrywał.

Rozdział 15

Wyatt nie cierpiał oglądania zapisów z kamer wideo. W serialach kryminalnych w telewizji ich jakość zawsze była doskonała. Bez trudu można było zatrzymać kadr, puścić klatkę za klatką, powiększyć tu, powiększyć tam, przeczytać datę przydatności do spożycia chleba leżącego na półce tuż za przestępcą.

W rzeczywistości stacje benzynowe, całodobowe sklepy i małe sklepiki to niełatwy biznes i nie przynoszą jakichś ekstra zysków, które można by zainwestować w porządne systemy bezpieczeństwa. Ich właściciele kupują raczej najtańsze kamery, używane, oparte na przestarzałych technologiach, i wykorzystują do nagrywania bez końca te same dyski, aż na nowszych zapisach zaczynają przebijać fragmenty starszych.

Wyatt i Kevin poprosili o zapis z kamer z jednego tygodnia. Zmęczony sprzedawca poinformował ich, że ma nagrane tylko ostatnie trzy dni, bo potem jest nowy zapis. Wyatt i Kevin mieli nadzieję na przyzwoitą jakość obrazu. Dostali ciemne, rozmazane nagrania niekończącego się sznura samochodów wjeżdżających i wyjeżdżających ze stacji. Jeśli chodzi o samochody, które tylko przejeżdżały, kamery były zbyt daleko, a droga za słabo oświetlona. Mogli dostrzec zaledwie kolejne przesuwające się podwójne światła i tyle.

Kevin zwrócił uwagę, że audi Nicky wyposażone jest w światła ksenonowe, które mają charakterystyczny kryształowoniebieskawy kolor, więc auto, które przejechało o czwartej trzydzieści dziewięć rano w czwartek, mogło być jej samochodem. Ale czy da się dostrzec numery? Nie. Twarz kierowcy? Nie ma szans. Kolor, jakiś charakterystyczny szczegół, wskazówka co do marki i modelu auta czy cokolwiek, co mogliby przedstawić przed sądem? A to pech.

Sprzedawca nie był zbyt pomocny. Zostawił ich samych w ciasnej pakamerze, żeby sobie radzili. Z jego punktu widzenia kamery bezpieczeństwa są po to, żeby złapać gościa, który wszedł do sklepu i przyłożył mu broń do głowy. Parkujące na zewnątrz samochody czy auta przejeżdżające główną drogą zupełnie go nie interesowały.

- Przynajmniej wiemy, co się nie wydarzyło – stwierdził w końcu Wyatt.
- A co się nie wydarzyło? – zapytał Kevin.
- Nicole Frank tu nie tankowała. Thomas Frank też się nie zatrzymał, żeby kupić napój energetyczny przed zepchnięciem auta z żoną w przepaść. To już coś.
- I żadna kobieta, piękna czy brzydka, nie kręciła się tutaj po pierwszej w nocy.
- To znaczy, że jeśli na Thomasa Franka czekała kochanka, to nie tutaj – dodał Wyatt.

Kevin przytaknął.

– To zdecydowanie zawęży zakres poszukiwań. Rozumiem, czemu ta sprawa tak cię cieszy.

– Podoba mi się twój pomysł, żeby zbadać jego ubranie – powiedział po chwili Wyatt. Bo gdy jedne drzwi się zamykają, gdzieś muszą otworzyć się inne.

– Nie mamy podstaw – przypomniał mu Kevin. – Musielibyśmy mieć świadka, który zeznałby, że widział Thomasa Franka na miejscu wypadku, a najlepiej gdyby Thomas Frank osobiście pokazał się na nagraniach z kamer. Bez tego... Nie możemy powiedzieć sędziemu, że podejrzewamy Franka tylko dlatego, że jest jej mężem, a wszyscy przecież wiedzą, że to zawsze jest mąż.

– Zasada numer jeden: Co robimy, gdy nie mamy żadnych podstaw? – zapytał Wyatt.

– Kombinujemy, aż znajdziemy.

– Dokładnie. Proponuję wrócić do domu Franków. Poprosimy, żeby pokazał nam swoje kurtki i buty, i zrobimy to na oczach żony.

– Będzie mu trudno odmówić – przyznał Kevin. – Żeby nie wyglądało na to, że ma coś na sumieniu.

– I może nam się poszczęści i coś znajdziemy.

– Osad na podeszwach jego butów – powiedział ze śmiertelną powagą Kevin – którego skład będzie dokładnie odpowiadać proporcjom kurzu, piasku i minerałów w ziemi z szerokiego na pół metra pasa przy drodze, gdzie auto Nicole Frank spadło w przepaść.

Obaj przewrócili oczami. Takie historie rodem z CSI nigdy się w prawdziwym życiu nie zdarzają. W New Hampshire mogli najwyżej porównać asfalt. Na przykład na wyremontowanym dwumilowym odcinku w Albany użyto klasycznego taniego, natomiast w North Conway zastosowano droższą mieszankę. Ale to i tak dotyczyło bardzo długich odcinków, mogło najwyżej pomóc w ulokowaniu sprawcy w danej miejscowości. A to mało konkretny dowód.

Ale telewizja ma swoje plusy: ludzie oglądają jej tyle, że zaczynają w to wszystko wierzyć. I nie ma nic nielegalnego w korzystaniu z takich iluzji. *Cóż, proszę pana, widzę piach na pańskich butach. Bardzo ciekawy ten piach. Z pewnością pobierzemy próbkę. Tak, to ważna wskazówka.*

Choć sama próbka to zwykle oszustwo, to jeśli podejrzany zdecyduje się wrzucić buty do pieca, gdy tylko policjanci wyjdą z jego domu... Każdy sędzia uzna takie zachowanie za podejrzanę.

– A co jeśli Thomas zdążył już uprać ubranie? – zapytał Kevin.

Wyatt się uśmiechnął.

– Idealnie. To da nam pretekst, żeby sprawdzić pralnię, miejsce, w którym jego żonie przydarzył się pierwszy wypadek.

– O, podoba mi się twój tok myślenia.

– Mnie podobałby się jeszcze bardziej, gdybyśmy mogli się dzięki niemu dowiedzieć, co się dzieje z Nicole Frank.

– Odrobinę cierpliwości, przyjacielu. Odrobinę.

Thomas Frank otworzył drzwi po pierwszym dzwonku. Tym razem okazał mniej wahania. Najwyraźniej zaczął się godzić z losem.

Wygląda na zmęczonego – pomyślał Wyatt. Zestresowanego. Obowiązkami związanymi z opieką nad niedomagającą żoną czy też próbami zatarcia śladów? W każdym razie Wyatt poczuł grillowany ser i zupę pomidorową. Uwielbiał grillowany ser i zupę pomidorową.

– Przeszkadzamy w posiłku? – zapytał.

– Właściwie to...

– W takim razie będziemy się streszczać. Jest Nicole?

Nicky pojawiła się w holu, obok pokoju dziennego. Miała na sobie te same spodnie do jogi i za duży sweter co rano. Długie, brązowe włosy wydawały się potargane – może odpoczywała – a twarz nadal była pokryta siniakami i świeżymi szwami.

– Pani Frank – przywitał ją Wyatt.

– Dobry wieczór, sierżancie.

Zauważył, że nie podeszła od razu, tylko trzymała dystans. Wymienili z Thomasem spojrzenia, a Wyatt zaczął się zastanawiać, czy nie przeszkadzili w czymś więcej niż kolacja. Ciekawe.

– Czy moglibyśmy obejrzeć pani płaszcz? – zapytał Wyatt. On i Kevin przećwiczyli to po drodze. Zamiast atakować od razu męża, co mogłoby wywołać odruch obronny, postanowili zacząć łagodnie.

– Moje płaszcz? – zapytała zaskoczona Nicky.

– Płaszcz, kurtki przeciwdeszczowe, okrycia, które zwykle zakłada pani, wychodząc wieczorem.

Przyjrzała się im z zainteresowaniem, a potem znów popatrzyła na męża. Thomas milczał, więc podeszła bliżej i otworzyła szafę w przejściu.

– Moje kurtki są tutaj.

– Pamięta to pani? – zapytał Kevin.

– Przypomniało mi się w momencie, gdy o tym wspomnieliście. Nie rozumiem. Po co chcecie zobaczyć moje kurtki?

– Sprawdziliśmy w szpitalu – powiedział Wyatt. – Tego ranka, gdy pani tam trafiła, nie miała pani na sobie wierzchniego okrycia.

– Może zostawiłam je w aucie.

Wyatt przypomniał sobie idealnie puste wnętrze audi, na co zwrócił uwagę opiekun psa tropiącego.

– Nie – powiedział.

Nicole wydawała się zaskoczona, ale cofnęła się, żeby mogli zajrzeć do

szafy.

Wyatt i Kevin się nie śpieszyli. Kevin wyciągał każde okrycie, które wydawało mu się damskie, a Wyatt przyglądał się wszystkim pozostałym. Żadne z nich nie było ani mokre, ani szczególnie brudne. Chociaż z drugiej strony minęło już niemal trzydzieści sześć godzin od chwili, gdy w czwartkowy poranek przestał padać ulewny deszcz.

– To wszystkie pani okrycia? – zapytał Kevin.

Nicky przechyliła głowę w bok, najwyraźniej musiała się zastanowić.

– Tak mi się wydaje.

Kevin spojrzał na Thomasa.

– To wszystkie okrycia pana żony?

– Tak.

– W takim razie... Nie miała pani na sobie kurtki, gdy wsiadała pani do samochodu w środę wieczorem.

Nawet Nicky wydało się to dziwne.

– Ale przecież wtedy lało. I to od paru dni.

– I było zimno.

Zawahała się. Była zaniepokojona. A potem – bo do kogo innego mogłaby się zwrócić, jak pomyślał Wyatt – znowu popatrzyła na męża.

– Ostatni raz, jak cię widziałem – powiedział cicho – leżałaś na kanapie i miałaś na sobie džinsy, czarny golf i szary polar.

To samo zapamiętała pielęgniarka z izby przyjęć. I podzieliła się z nimi spostrzeżeniem, że Thomas bardzo się upierał przy odzyskaniu zakrwawionych ubrań żony, nie zważając na to, że uznano je za groźne biologicznie odpady.

– A buty? – zapytał Wyatt.

Thomas pokręcił głową.

– Jak ją widziałem, to miała na nogach kapcie. Tak jak teraz.

Kevin i Wyatt spojrzeli na stopy Nicky. Rzeczywiście, miała na sobie porządne kapcie z futerkiem i czarnymi gumowymi podeszwami. Pewnie L.L. Bean, najpopularniejsze w domach w North Country.

Kevin i Wyatt skupili się na rzędzie butów w szafie. Kevin ponownie wyciągał te mniejsze, damskie, a Wyatt oglądał męskie.

– Nie ma sportowych – powiedział w końcu Thomas. – Tych do biegania.

Stojąca obok niego Nicky pokiwała głową.

– Tych starych. New Balance, srebrne z niebieskim.

– Założyła je pani na deszcz? – zapytał Wyatt. Nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać pielęgniarkę z izby przyjęć o buty Nicky. Teraz tego żałował.

Kobieta zmarszczyła brwi i delikatnie pokręciła głową.

– Nie zrobiłabym tego... Wydaje mi się, że chwyciłabym chodaki Dansko. Te czarne, o tutaj. Sportowe przemakają, no i nie chciałabym, żeby się ubłocily. Za

to chodaki...

Chodaki firmy Dansko są bardzo popularne na chłodnej północy – pomyślał Wyatt. I tak, on też uważał, że wieczorem w parszywą pogodę właśnie po nie się sięgną.

– Proszę sobie wyobrazić swoje sportowe buty – odezwał się Kevin. – Srebrne, stare, może już znoszone...

Nicky zamknęła oczy. Chyba się domyśliła, o co mu chodzi.

– Powinnam je wyrzucić. Są stare, zaczynają cuchnąć. Ale do ogrodu czy do robienia porządków są bardzo wygodne.

– Jest środa wieczór – zaintonował Kevin. – Jest ciemno, pada deszcz. Słyszysz go pani?

– Wiatr tłucze o szyby – szepcze Nicky.

Wyatt skupił uwagę na Thomasie, który najwyraźniej nie zamierzał przerywać podróży po ścieżkach pamięci Nicky. Bo nie miał się czego obawiać pośród wspomnień żony? A może sam był ciekaw jej odpowiedzi?

– Jestem zmęczona. Boli mnie głowa.

– Odpoczywa pani.

– Na kanapie. Thomas wrócił do pracy. Myślę o tym, że powinnam pójść na górę do łóżka. Ale nie mam ochoty się ruszać.

– Co pani słyszy? Wiatr, deszcz?

– Telefon – mruczy Nicky. – Dzwoni.

Kevin i Wyatt wymienili spojrzenia. To nowa informacja. Najwyraźniej Thomas też o tym nie wiedział, bo wyprostował się lekko, napinając mięśnie.

– Odebrała pani telefon? Czuje pani słuchawkę w dłoni?

– Muszę iść – szepnęła Nicky.

– Odbiera pani telefon, podnosi słuchawkę – spróbował znowu Kevin. – I słyszy pani...

Ale Nicky nie poszła tym tropem.

– Muszę wyjść – powiedziała ponownie. – Szybko. Zanim wróci Thomas. Moje tenisówki. Widzę, że wciąż są w holu, tam, gdzie je wcześniej zostawiłam. Chwytam je. Będą musiały wystarczyć.

– Zakłada pani buty, bierze kurtkę...

– Nie. Nie mam czasu. Muszę wyjść. Natychmiast. Muszę się napić.

Stojący obok Wyatta Thomas się wzdrygnął, ale nic nie powiedział.

– Bierze pani kluczyki do auta – kontynuował Kevin. – Sięga pani do koszyka, wyczuwa je palcami...

– Ale to nie ma sensu – przerywa mu Nicky. Ma otwarte oczy. Patrzy na nich trzech. – Nie musiałam wychodzić na deszcz, żeby mieć whisky. Wystarczyło, żebym weszła na górę.

Thomas był wyraźnie niezadowolony. Z tego, że żona przyznała się, że

trzyma w domu ukryty zapas alkoholu. Z tego, że odebrała tajemniczy telefon, o którym nic mu dotąd nie wspomniała. Ale grzecznie zaprowadził Wyatta i Kevina do przenośnego telefonu w salonie, żeby mogli sprawdzić historię rozmów. Na liście nie było jednak żadnych rozmów w środę.

– A może to była komórka? – zapytał po chwili Wyatt.

Nicky się zawahała, instynktownie zaczęła szukać po kieszeniach. Od momentu, w którym przyznała się do zapasu szkockiej, wyraźnie unikała wzroku męża.

– Znaleźliśmy pani telefon w samochodzie – odezwał się Kevin. – W tej chwili bada go laboratorium policyjne.

– Och, tak. Myślę, że to mogła być komórka.

Wyatt zrobił notkę. Zapis rozmów telefonicznych łatwo uzyskać, wystarczy zadzwonić do operatora. Na pewno łatwiej niż odzyskać przebadany aparat od policji stanowej.

– Nie powinnaś pić – powiedział nagle Thomas.

Nicky milczała. Stała tylko z mocno skrzyżowanymi na piersi rękoma.

– Powiedziałaś, że nie będziesz – upierał się Thomas. – Do cholery! Staję na głowie, żeby się tobą zaopiekować i usunąć z domu wszelkie pokusy. Gdzie ty to, do diabła, schowałaś...

– Nie wiem. Może niedaleko tego miejsca, w którym ty ukrywasz swoje sekrety – odparła Nicky chłodnym tonem. Thomas umilkł i tylko na nią patrzył.

Ciekawie, coraz ciekawiej – pomyślał Wyatt. Teraz, póki członkowie rodziny Franków kłócą się ze sobą...

– Panie Frank – zwrócił się do Thomasa – ma pan coś przeciwko temu, żebyśmy obejrzeliby też pańskie ubrania i buty?

– Co?

– Pańskie ubrania i buty. Wie pan, to, co miał pan na sobie w środowy wieczór.

– Już wam mówiłem, że byłem w domu...

– Dzięki temu zajmie nam to bardzo mało czasu. Ale musimy zweryfikować pańskie słowa, rozumie pan. Na tym polega nasza praca. Jeśli mówi pan prawdę, to chyba nie będzie pan miał nic przeciwko.

Thomas, nie w ciemię bity, zacisnął usta. Ale żona wciąż tam stała, wpatrując się w niego kamiennym wzrokiem... Ruszył do korytarza i otworzył drzwi szafy.

– Oczywiście. Proszę bardzo.

Kevin i Wyatt zabrali się do dzieła. Znaleźli w środku lekką wiatrówkę, kurtki: grubą wełnianą, znoszoną narciarską i designerską skórzaną – typowe okrycia mężczyzny w średnim wieku. Buty podobnie. Sportowe, stare i nowe, znoszone trapery, oraz: brązowe wsuwane półbuty z grubą warstwą piachu na

podeszwach.

Kevin wysunął je z szafy, używając ołówka. Rzucił Wyattowi pełne powagi spojrzenie.

– Powinniśmy oddać je do badania.

Thomas natychmiast uniósł dłoń.

– Zaraz. Do badania? Co macie na myśli?

– Ten piach. Oczywiście, jestem tylko detektywem, a nie specjalistą z laboratorium, ale jak na moje oko to jest dokładnie ten sam kolor i konsystencja co przydrożny piach z miejsca wypadku pańskiej żony.

– Co? To tylko błoto. Zwykły piach z Nowej Anglii, wszędzie się go teraz rozrzuca, żeby nie było ślisko. To normalne, że mam go na butach. Po tyłu dniach deszczu wszędzie go pełno. Do diabła, wystarczy wyjść na podjazd.

Wyatt wbił w niego wzrok.

– Jest pan pewien? Że jeśli zbadamy te buty, to piasek nie będzie pasował do tego z obrzeża szosy?

– Och, dajcie spokój.

Kevin lekko wzruszył ramionami. Próbowali sprzedać Thomasowi swoją historyjkę, ale on najwyraźniej jej nie kupował.

– To wszystkie buty pani męża? – zapytał Wyatt Nicole, która przeszła z nimi z powrotem do korytarza.

– Tak mi się wydaje.

– A kurtki?

Zawahala się.

– Płaszcz przeciwdeszczowy – mruknęła. – Czarno-srebrny. Nie widzę go.

Czy Wyattowi tylko się zdawało, czy Thomas znowu się wzdrygnął?

– Panie Frank?

– Był mokry. Zakładałem go, żeby przejść do warsztatu i z powrotem podczas burzy w środę. I oczywiście przemókł.

– A gdzie jest teraz?

Głos Thomasa wyraźnie sposepniał.

– Powiesiłem go w piwnicy. W pralni, żeby wysechł.

Wyatt spojrział na Nicole.

– Mogłaby nam pani pokazać pralnię? Skończylibyśmy na dzisiaj.

Nicole zbladła. Wyatt myślał przez chwilę, że odmówi, ale wyprostowała się, rzuciła mężowi spojrzenie, które trudno było zinterpretować, i ruszyła pierwsza holem.

Okazało się, że drzwi do piwnicy są za schodami, obok salonu. Nicole nieco zbyt gwałtownie je otworzyła, a potem zapaliła światło. Wyatt dostrzegł prowadzące w dół surowe drewniane schody i betonową podłogę.

Stojąca przed nim Nicky zaczerpnęła głęboko powietrza, wypuściła je,

a potem chwyciła za poręcz i zaczęła schodzić.

Bała się tych schodów. Wyatt zauważył, że aż pobiełały jej kostki dłoni zaciśniętej na poręczy, spostrzegł, jak ostrożnie stawia każdy krok. Stres pourazowy? – pomyślał. Instynktowna reakcja na miejsce pierwszego wypadku? Nie zapytał. Po prostu obserwował, jak schodzi po schodach powoli, ale z determinacją.

Stopnie są rzeczywiście strome – pomyślał, idąc za nią na dół. Wąskie i wysokie. Schodzenie po nich z koszem na pranie nie jest łatwe. Dzień po dniu... Może ten wypadek był nieunikniony.

– Teraz spycham kosz ze schodów – mruknęła Nicky, jakby czytała mu w myślach. – Chyba tak powinnam robić od początku. Po prostu zrzucić przodem ubrania i schodzić dopiero potem.

– A z powrotem? Gdy ubrania są czyste i ładnie poskładane?

– Teraz to zadanie Thomasa. Ja piorę ubrania, a on je przynosi.

– A nie mógłby przejąć też prania?

– Niszczy to, co delikatne – powiedziała, a Wyatt zastanawiał się przez chwilę, czy na pewno chodzi jej o wrażliwe tkaniny.

Gdy dotarli na środek piwnicy, Wyatta zaskoczyło, że jest tak duża i przestronna. Może miał tu być urządzonej pokój rekreacyjny, męska kryjówka, odrębne mieszkanie dla gości, cokolwiek odpowiadało właścicielom. Jeden z kątów oddzielono i urządzono jako pralnię i skromną łazienkę.

– Sami to urządziliście? – zapytał Nicky. Kevin i Thomas nadal schodzili po schodach.

– Jeden z pierwszych projektów Thomasa – odparła. – Powiedziałam mu, że nie chcę robić prania pośród pajęczyn. Więc urządził tu łazienkę. Stwierdził, że to jego wkład w czyste ubrania.

– Pomysłowo – podsumował Wyatt, patrząc na nowoczesną pralkę, suszarkę i długi laminowany blat, który służył do wygodnego składania ubrań. Poza tym były tam wiszące szafki na proszki do prania, chusteczki zapachowe do suszarki i środki czyszczące.

Jako zamiłowany stolarz Wyatt potrafił docenić pieczołowitość, z jaką Thomas traktował szczegóły. To była robota fachowca, bez wątpienia. Wyatt zaczął się w związku z tym zastanawiać, dlaczego Thomas, zadawszy sobie tyle trudu, by urządzić odrębną pralnię, nie poświęcił więcej czasu i uwagi, żeby zrobić lepsze i bezpieczniejsze schody?

Kevin i Thomas zeszli już na sam dół.

– Ładna robota – powiedział Wyatt do Thomasa, wskazując pralnię.

Ten tylko wzruszył ramionami, ale Nicky odpowiedziała:

– Thomas to złota rączka.

– Najwyraźniej. Ma też pewnie dobre narzędzia. Piłę kątową, pneumatyczną

gwoździarkę, wiertarkę akumulatorową...

Thomas spojrzął mu w oczy.

– W warsztacie. Robię rekwizyty, pamiętacie? Większość prac zaczyna się od drewnianych modeli albo wręcz autentycznych przedmiotów.

– Tylko że teraz wolisz plastik – odezwała się Nicky. W jej głosie słychać było przyganę.

Wyatt i Kevin czekali na reakcję Thomasa.

– Mam drukarkę 3D – wyjaśnił. – Klienci mogą mi teraz przesłać cyfrowe pliki ze swoimi pomysłami, a ja jednym naciśnięciem klawisza zamieniam je w trójwymiarowe modele. To jest właśnie postęp. Ale moja żona uważa, że to ryzykowne.

Popatrzył na nią. Nie spuściła wzroku.

– Mój płaszcz – powiedział Thomas, odwracając się od Nicky, żeby wskazać wieszak do suszenia obok suszarki. Rzeczywiście z drewnianego uchwyty zwiisał srebrno-czarny płaszcz przeciwdeszczowy. Kevin pierwszy go dotknął, unosząc poły.

– Jest już suchy – mruknął do Wyatt.

– I brudny – zwrócił uwagę Wyatt, pokazując na jasną smugę na przodzie i ślady piasku na rękawach.

– Oczywiście, że jest brudny – wtrącił zniecierpliwiony Thomas. – Zakładam go do warsztatu. A że wyłączyłem już ogrzewanie, nie zdejmowałem go, pracując.

– Nie boi się pan, że jakieś urządzenie wciągnie rękaw? – zapytał Wyatt.

Kevin przyglądał się lewemu mankietowi, który był wyraźnie poprzecierany. Jakie były szanse, że znajdą nitkę z przetartej krawędzi płaszcza na zderzaku samochodu Nicky? Ale to chyba i tak nie będzie najtrudniejsza rzecz w tej sprawie.

– Powinniśmy zabrać go do porównania – powiedział Kevin, celowo podnosząc głos.

– Zdecydowanie. Możemy pożyczyć pański płaszcz? – zapytał Wyatt Thomasa, który przyjął już postawę obronną.

– Oczywiście, że nie. To jest po prostu mój płaszcz przeciwdeszczowy. A ja wam już wyjaśniłem. Jest brudny i poplamiony, bo używałem go w warsztacie. I tyle.

– To chyba piach? – odezwał się Kevin. – Jak ten na pańskich butach. Jak ziemia na krawędzi szosy...

– Piach jest wszędzie! To Nowa Anglia, na litość boską, a od paru dni rano jest poniżej zera!

– Gdzie są ubrania Nicky? – zapytał nagle Wyatt.

– Co? – Thomas zamrugał oczami.

– Z tego co mówił personel szpitala, zabrał pan stamtąd ubrania, które miała na sobie w noc wypadku.

– To przecież nic złego...

– Gdzie one są? Ubłocone, zakrwawione, przesiąknięte alkoholem, na pewno nie odłożył ich pan na półkę. Więc powinny być tutaj, zgadza się? W pralni. I czekać na pranie.

Thomas nie odpowiedział od razu.

– Moja żona nie zrobiła nic złego – stwierdził nagle.

Nicky uważnie na niego spojrzała.

– Doktor Celik pokazała mi wyniki badania krwi: sześć dziesiątych promila. Poniżej dozwolonej normy. To znaczy, że żadne z nas nie musi niczego wyjaśniać ani odpowiadać na żadne pytania. To był wypadek. Proste. Ciemna, deszczowa noc. Zjechała z drogi. Koniec i kropka.

– Tak jak spadła ze schodów?

– Sam pan je widział.

– I potknęła się na ganku? Niech pan da spokój. Pańska żona jest aż tak niezdarna? Schody, ganek, auto. Jakby panu uwierzyć, to ona chyba nic nie potrafi dobrze zrobić.

– Proszę wyjść. Skończyliśmy rozmowę.

– W porządku. Proszę tylko udostępnić nam pański płaszcz. A także ubrania Nicky z tamtej nocy i tenisówki, których nie powinna była zakładać na deszcz. A, tak, jeszcze płaszcz, którego wcale ze sobą nie zabrała. Proszę nam to wszystko dać. Proszę dać nam to, czego potrzebujemy, żeby udowodnić, że to był wypadek. I wtedy może, być może, zostawimy pana w spokoju.

– Chcę zobaczyć – odezwała się nagle Nicky.

Mężczyźni umilkli i popatrzyli na nią. Stała pośrodku piwnicy z mocno skrzyżowanymi ramionami. Nie patrzyła ani na płaszcz Thomasa, ani na żadnego z nich. Patrzyła na podłogę tuż pod schodami.

Miejsce, w którym wylądowała – domyślił się Wyatt. Miejsce pierwszego wypadku, gdy zaczęły się bóle głowy i utrata pamięci.

Thomas zmarszczył brwi.

– Co chcesz zobaczyć?

– Miejsce wypadku. Chcę tam pojechać. Może to mi pomoże.

– Nicky, miałaś wstrząśnienie mózgu. Lekarka kazała, żebyś się oszczędzała...

– Jadę.

– Dostaniesz migreny...

– Nie obchodzi mnie to.

– Ale mnie tak! Oni właśnie do tego zmierzają, Nicky. Nie widzisz tego? Ta cała wizyta, ta cała farsa... Oni próbują nas poróżnić. Uważają, że tylko w ten sposób uzyskają odpowiedzi.

– Może ja też chcę je uzyskać.

– Nicky... – Thomas wyciągnął rękę do żony.

– Czego się boisz? Powiedz mi, Thomas. Jeśli nasze życie jest takie idealne, to dlaczego nie możesz dać policji swojego płaszcza?

Nie odpowiedział. Nicky popatrzyła na niego, a potem odwróciła się i zaczęła wchodzić po schodach.

– Zależało mi tylko na tym – mruknął Thomas – żeby była bezpieczna. Weźcie sobie ten płaszcz. Weźcie, co chcecie. A potem zostawcie nas w spokoju. Lepiej nam było bez was. Daję słowo.

Ruszył po schodach za żoną.

Rozdział 16

Thomas idzie za mną do sypialni. Spodziewam się, że będzie mocniej protestował. Może chwyci mnie za ramię i obróci, żebym stanęła z nim twarzą w twarz. Samą siłą swojej osobowości postawi na swoim. Czy chcę, żeby się ze mną kłócił? Żeby mną poniewierał? Żeby przycisnął mnie do siebie? Czy tak zwykle kończą się nasze kłótnie?

Ale on nie robi nic. Stoi tylko w drzwiach, gdy wybieram parę dzinsów i grubszy sweter z szafy w sypialni dla gości.

Może nie przyszedł, żeby się kłócić. Może po prostu czeka, żebym oddała mu zapas szkockiej.

Zamykam mu drzwi przed nosem, żeby móc się przebrać, i szykuję się do wyjścia. Ale gdy otwieram je dwie minuty później, on wciąż na mnie czeka.

– Też idziesz? – pytam z ciekawością, bo spodziewałam się, że zajmie się w tym czasie swoją garderobą.

– Nie.

Zaskakuje mnie. Byłam pewna, że pojedzie, choćby po to, by odgrywać dalej rolę opiekuńczego męża.

– Muszę popracować – mówi.

– Naprawdę? Twoja praca jest aż tak ważna?

– Ten projekt tak.

Detektywi, Wyatt i Kevin, czekają na nas na dole.

Powinam już iść. Ale gdy ruszam, żeby przejść obok męża, on dotyka mojego ramienia, na tyle delikatnie, na tyle lekko, że się zatrzymuję.

– Dlaczego? – pyta cicho. – Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ci pomóc. A ty nadal trzymasz w ukryciu zapas whisky?

Nic nie mówię, czuję tylko przyspieszone bicie serca. Wstyd – myślę. Wyrzuty sumienia. Poczucie winy. Coś innego, czego nie umiem rozpoznać. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Nie mam odwagi się ruszyć. Ale wciąż nie zamierzam oddać mu szkockiej.

– Jeśli nie potrafisz jej wyrzucić – kontynuuje Thomas – to przynajmniej powiedz mi, gdzie jest. Ja się tym zajmę, gdy ciebie nie będzie.

– Nie.

– Nicky, na miłość boską, dopiero co przywiozłem cię ze szpitala.

– To wszystko, co mam – słyszę swój szept i w tym momencie uzmysławiam sobie, że to prawda. Nie mam rodziny. Nie mam przyjaciół. Nie pamiętam swojej przeszłości. Nie wiem, czy mam jakąś przyszłość. Mam tylko ukryty skarb złożony z miniaturowych buteleczek. Nie mniej, nie więcej.

– Masz swoją narzutę – mówi mój mąż.

Marszczę niepewnie brwi. Wskazuje łóżko, a ja widzę ładnie poskładaną i ułożoną w jego nogach bladożółtą narzutę. Czy on to zrobił? Czy ja, ale już nie pamiętam?

– Powinnaś zabrać ją ze sobą – mówi Thomas. – Może przyniesie ci szczęście.

– Nie mogę wybrać się na przejażdżkę z dwoma policjantami z kocykiem. To byłoby... śmieszne.

– Nicky.

Jego głos brzmi poważnie. Na tyle poważnie, że waham się i zaczynam mu się długo i intensywnie przyglądać. Milion obrazów przesuwa mi się przed oczami. Jak się śmiejemy, jak się całujemy, biegamy po piaszczystych plażach, zbiegamy po skalistych zboczach gór. Żyliśmy. Kochaliśmy. I kiedyś to wystarczało. Wiem to, patrząc na niego.

Czuję smutek, gdzieś tak głęboko, że nawet nie wiedziałam, że takie miejsce istnieje. Stracę go. Wiem to od jakiegoś czasu. Może to nawet lepszy powód, żeby chować buteleczki szkockiej. Bo przez dwadzieścia dwa lata ten mężczyzna był całym moim światem. Moim jedynym towarzyszem, moim najlepszym przyjacielem, największym źródłem irytacji i najważniejszym źródłem pociechy. Był dla mnie wszystkim.

Tylko że tego rodzaju relacja nie jest zdrowa. Dla żadnego z nas.

– Zabierz ze sobą narzutę – mówi cicho mąż. – Kolejne kilka godzin będzie trudne. Możesz się zmęczyć, znowu poczuć ból głowy. Detektywi zrozumieją, że potrzebujesz koca na wypadek, gdybyś chciała odpocząć.

Mówiąc to, już sięga po narzutę. Wciska mi do rąk gruby kwadrat, a ja instynktownie przytulam go do piersi. Czuję pod palcami miękkość znanego mi materiału, wdycham zapach, który niesie pociechę, ale też poczucie samotności.

Płakałam, gdy narzuta przyszła pocztą. Teraz też mam ochotę płakać.

– Masz zdjęcie Vero – słyszę swój głos.

– Nie, nie mam.

– Tak, masz. Znalazłam je w twojej garderobie.

Mój mąż uśmiecha się, ale to smutny, blady uśmiech.

– Nie – odpowiada cicho. – Nie mam. Skoro naprawdę zamierzasz to zrobić, to pora zejść na dół i wyruszyć. Tylko pamiętaj – mówi, odsuwając mnie od siebie – że problem z zadawaniem pytań polega na tym, że nie masz kontroli nad odpowiedziami. Takie jest życie. Zwłaszcza dla mnie i dla ciebie.

Detektywi są wyraźnie zaskoczeni, że Thomas z nami nie jedzie. Wymieniają spojrzenia, ale na razie nic nie mówią. Nie komentują też koca, który trzymam pod pachą. Thomas najwyraźniej ma rację: kobieta ze wstrząśnieniem mózgu może sobie pozwolić na wszystko.

Młodszy z detektywów – Kevin, tak zwracał się do niego sierżant – trzyma

w rękach płaszcz przeciwdeszczowy Thomasa. Widocznie mój mąż zgodził się im go oddać. Żeby mogli sprawdzić piasek. To zabawne i nigdy o tym wcześniej nie myślałam, ale w Nowej Anglii rzeczywiście jest na poboczach mnóstwo piasku.

Lecz nie ma go ani na naszym podjeździe, ani na podwórku z tyłu. Thomas skłamał w tej sprawie.

Kładę złożoną narzutę na jednym ze schodków, otwieram szafę w holu i instynktownie sięgam po jasnobrązową kurtkę z flanelową podszewką. Potem biorę czarne chodaki, bo to najlepsze buty na prowincję z błotnistymi drogami i poboczami. A nie tenisówki. Nie potrafię sobie wyobrazić tego, że w środę założyłam sportowe buty.

Bo po prostu tam stały, a ja musiałam szybko wyjść.

I dzwonił telefon.

„Halo” – powiedziałam.

I wtedy...

Boli mnie głowa. Bezwiednie pocieram skronie. Powinnam wziąć więcej advilu. A może coś mocniejszego. Ale nie chcę się już więcej otumaniać. Co prawda to ja wymyśliłam tę małą wyprawę, ale też ja najszybciej się męczę. Thomas miał rację. Rzeczywiście potrzebny mi odpoczynek.

Sięgam do szafy po ostatnią rzecz. Wieszak na drzwiach. Ale tam tego nie ma. Dotykam tego samego miejsca, a starszy detektyw, Wyatt, zauważa mój ruch.

– Czego pani szuka?

Muszę się zastanowić.

– Baseballówki. Czarnej. – Z daszkiem, który można nisko opuścić. Na przykład, żeby lepiej ukryć twarz, gdy robię zakupy w lokalnym sklepie z alkoholami.

Otrząsam się z tego wspomnienia z niemiłym uczuciem, niemal brudna, jakbym weszła w pajęczynę.

– Pani mąż na pewno nie jedzie? – dopytuje się drugi detektyw, Kevin.

– Musi pracować.

– On dużo pracuje – stwierdza Wyatt.

Kiwam głową, bo co mogę powiedzieć? Według Thomasa to jakiś ważny projekt. Tylko że ja nie mam pojęcia, co to za projekt.

Detektywi wyprowadzają mnie z domu. Przyjechali jednym z należących do hrabstwa białych SUV-ów, z napisem „North Country Sheriff”. Oficerowie w mundurach zajmują się czasem kontrolowaniem ruchu drogowego, ale Thomas wspomniał kiedyś, że zastępcy szeryfa większość czasu spędzają na transporcie więźniów. A te samochody, które widuję zaparkowane to tu, to tam, czekają tak naprawdę na odebranie lub przekazanie więźniów.

Może dlatego czuję się tak nieswojo, gdy detektywi otwierają tylne drzwi i zapraszają mnie gestem do środka. Powinnam mieć skute nadgarstki – myślę. To

właśnie to: początek końca.

Jestem zaskoczona, kiedy Kevin obchodzi auto dokoła i wsiada z drugiej strony obok mnie. Żeby obserwować moje reakcje albo pograć jeszcze w zabawę z pamięcią? A może boją się zostawić mnie samą?

Kładę sobie złożoną narzutę na kolanach. Czuję się pewniej, trzymając na niej zaciśnięte ręce. Cieszę się, że ją zabrałam.

Wyatt włącza bieg i wycofuje auto z podjazdu.

Rzucam okiem na dom. Ciemna sylwetka Thomasa w oknie na piętrze.

A potem mój mąż znika.

Przez dłuższy czas jedziemy w milczeniu. Między przodem auta a tylną kanapą jest przegroda, chyba z pleksiglasu, czegoś szorstkiego, ale przezroczystego. Tylnie siedzenia nie są z twardego plastiku, jak to często bywa w radiowozach, żeby łatwiej było posprzątać po wymiotujących pijakach. Siedzimy z Kevinem na oryginalnej szarej, wyściełanej kanapie SUV-a. Jest tak wygodna, że łatwiej udawać, że jesteśmy grupką przyjaciół, którzy wybrali się na przejażdżkę.

Jednak gdy spojrzę przed siebie, na przednią część policyjnego auta, widzę rozbudowaną deskę rozdzielczą, z radiem, podłączonym laptopem i mnóstwem bajerów, których nie ma nawet w moim nowoczesnym audi. Wyatt mruczy coś do radia, ale przez przegrodę niemal nic nie słyhać. Coś ustala? Może aresztują mnie już dziś?

Wyglądam przez okno, lecz pędząca za szybą ciemność wywołuje mdłości. Żałuję, że nie jestem w sypialni na górze, otulona narzutą i z lodem przyłożonym do czoła. Chłód i czern. Lodowata oaza, by złagodzić rwanie w mojej głowie.

SUV zwalnia, zatrzymuje się. Miga kierunkowskaz. Skręcamy w prawo. Wyjeżdżamy z bocznej drogi na główną szosę. Mija pięć, może dziesięć minut, zanim pojawiają się pierwsze oznaki cywilizacji. Małe centrum handlowe tu, stacja benzynowa tam, zaraz potem spożywcza. I sklep z alkoholami.

Czuję, że moje ciało się napina. Gotowe do działania. To tu kupuję zapasy, zgaduję. Ale radiowóz jedzie dalej.

– Znajoma okolica? – pyta mnie Kevin, który najwyraźniej odczytał mowę mojego ciała.

– Robię tu zakupy.

– To ma sens. To sklepy najbliżej pani domu.

– Ta butelka szkockiej z tamtej nocy. Wiecie, gdzie ją kupiłam?

– Owszem.

– Czy to było tam, w tym monopolowym? – W New Hampshire wino i piwo można kupić w spożywczym, ale mocniejszych trunków już nie. Te sprzedawane są tylko w sklepach z alkoholami.

– Nie, nie w tym – odpowiada detektyw, zaskakując mnie.

Auto wciąż jedzie. Droga jest gładka, co w North Country jest raczej

wyjątkiem. Zamykam oczy, poddaję się kołysaniu. Jestem zmęczona. Bardzo zmęczona. Wróciło poczucie, jakbym była pod wodą. Jakby to wszystko było nierealne, jakby to wszystko się wcale nie działo.

Unoszę się, pozbawiona ciężaru i czucia. Gdybym mogła pozostać w tym stanie, to może nikt by mnie już nigdy nie zranił.

Mamusiu, mamusiu, popatrz na mnie. Umiem latać.

Ale to nie latanie jest najtrudniejsze. Tylko lądowanie. To ono nas na końcu czeka.

Słyszę swoje westchnienie. Długi, żałosny dźwięk.

A wtedy auto się zatrzymuje.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Kevin.

Gdy wysiadam z policyjnego SUV-a, jestem zdezorientowana. Nie jesteśmy na poboczu ciemnej, nieuczęszczanej drogi, tylko przy przydrożnym centrum handlowym. Stacja benzynowa ze sklepem obok, chyba biuro nieruchomości, i tak, kolejny sklep z alkoholami. Nie znam tego miejsca – to moja pierwsza myśl. A mimo to znam.

Odkładam narzutę na tylne siedzenie i instynktownie czegoś szukam. Czapki – uświadamiam sobie po chwili. Wciąż szukam czapki z daszkiem, żeby ukryć twarz przed sklepowymi kamerami. Tak jak zawsze.

Wtedy czuję pierwsze ukłucie niepokoju. Bo naprawdę nie jestem pewna: czy nie chcę, żeby mnie rozpoznawano w okolicznych sklepach z alkoholami, czy też staram się unikać kamer bezpieczeństwa?

Detektywi na mnie czekają.

– Dlaczego tu przyjechaliśmy? – pytam.

– Wejźmy do środka – mówi Wyatt. – Rozejrzemy się.

Mam kłopot. Nie jestem pewna dlaczego, ale to nie jest to, czego chciałam, to nie jest to, czego się spodziewałam. Policja miała zabrać mnie na miejsce mojego wypadku. Chciałam to miejsce zobaczyć. Miałam się dowiedzieć, co wtedy dokładnie robiłam i co myślałam tamtej nocy. Unieść się w powietrzu. Znaleźć wreszcie Vero. I ona by mi przebaczyła.

A zamiast tego... jesteśmy tutaj.

– Nie chcę – ociągam się.

– Tylko na chwilę – mówi Wyatt.

– Boli mnie głowa.

– W tym sklepie mają aspirynę.

Nie mogę się ruszyć. Tylko na niego patrzę. Błagam, proszę, czy on widzi to w moich oczach?

– Kupiłam tę butelkę szkockiej tutaj, tak? Dlatego mnie tu przywieźliście. Żeby dokładnie zobaczyć, gdzie wszystko spieprzyłam.

– Wejźmy do środka – powtarza Wyatt. – Rozejrzemy się.

A potem obaj ruszają. Czuję, jakbym nie miała już wyboru. To koniec. Pora zmierzyć się z przeznaczeniem.

Niski, szary budynek z nawiązaniem do architektury Nowej Anglii. Zadaszenie nad wejściem, kopułka na szczycie, kilka udawanych mansardowych okien, żeby wyglądał bardziej jak dom, a mniej jak wypełniony po brzegi alkoholem supermarket. Automatyczne drzwi otwierają się, gdy się zbliżamy. Czuję ulgę, że Wyatt i Kevin są w cywilu, bo wejście tutaj w towarzystwie dwóch mundurowych to byłoby zbyt wiele. Ale i tak widać, jak się poruszają, jak natychmiast obiegają wzrokiem wnętrze. To nie są zwykli klienci i każdy, kto na nich spojrzy, będzie to wiedzieć od razu. Jakaś kobieta z wózkiem wypełnionym wódką natychmiast odwraca wzrok. Podzielam jej wstyd.

Nikt nie życzy sobie policji w sklepie z alkoholami. To tak, jakby ksiądz wszedł do burdelu.

Mam spuszczonego wzrok. Idę alejkami i niemal natychmiast trafiam przed półkę ze szkocką. Ależ oczywiście. Glenlivet ustawiona jest na poziomie wzroku, żeby kusić klientów. Sklep oferuje imponującą kolekcję rarytasów, takich jak droga osiemnastoletnia whisky, do której mam słabość. Nie mogę się powstrzymać. Chcę wszystkie te butelki. Ręce zaczynają mi się trząść, a potem drży całe moje ciało.

Czuję łupiący ból głowy, a jednocześnie chce mi się wymiotować. Nie powinni mnie tu przywozić – myślę z zalem. Zabrali kobietę z urazem głowy na niepotrzebną wycieczkę. Wzięli pijaczkę na odwyku do sklepu z alkoholami.

Rzucam im obu surowe spojrzenie i mam tę satysfakcję, że obaj uświadomili sobie to samo.

– Dobrze się pani czuje? – pyta Wyatt.

– Nie chcę tu być.

– Ale zna pani ten sklep – stwierdza Kevin. – Ruszyła pani prosto do tej półki.

– Wiedzieliście o tym! – Wciąż jestem zła. Skupiam uwagę na brudnym, szarym linoleum podłogi. Wszystko, tylko nie whisky.

– Była tu pani w środę wieczorem? – pyta Wyatt.

– Nie wiem. Może. Prawdopodobnie. Tak mi się wydaje.

– Po co? – pyta Kevin.

– Żeby kupić szkocką. A jak pan myśli, po co?

– Powiedziała pani wcześniej, że śpieszyła się tamtego wieczoru – nalega Wyatt. – Musiała pani szybko wyjść.

– Tak.

– Więc po co przyjechała pani tutaj? Czterdzieści minut od domu, skoro inny sklep z alkoholami jest o wiele bliżej.

Mrugam oczami, przyciskam rękę do żołądka, żeby powstrzymać mdłości. Nie wiem. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. On ma rację. Kevin pokazał mi

najpierw najbliższy sklep i ja go rozpoznałam, od razu. Więc po co jechałabym taki kawał drogi tutaj?

Kręcę głową. Mdłości nie mijają. Głowa boli mnie jeszcze bardziej, a światła w sklepie mocno rażą. Dziesiątki ostrych sztyletów wbijają się w moje skronie.

– Chyba zwymiotuję – mamroczę.

Detektywi wymieniają spojrzenia. Dochodzę do wniosku, że ich nienawidzę. Chciałabym, żeby Thomas tu był. Chcę się przytulić do jego piersi. Chcę, żeby jego palce w magiczny sposób przesunęły się po linii moich włosów. On sprawiłby, że poczułabym się lepiej. On by się mną zaopiekował.

Bo on jest dla mnie wszystkim. Tylko że właśnie go tracę, bo tak naprawdę nigdy na niego nie zasługiwałam. Vero starała się mi to powiedzieć, ale jej nie słuchałam.

Uciekaj – mówiła. Tyle razy, przez tyle lat. Uciekaj, uciekaj, uciekaj. Ale ja tego nie robię. Nie mogę.

Szczypie mnie twarz. Szwy. Przez krótką chwilę mam ochotę sięgnąć i pociągnąć za brzydką czarną nić. Może odpruję szwy, a potem odzepię sobie twarz, jak kawałek patchworkowej narzuty. Zastanawiam się, kogo wtedy zobaczę, kto ukrywa się pod moją skórą.

Wyatt łapie mnie za ramię. Ciągnie mnie za sobą, a ja uświadamiam sobie, że wreszcie traktują mnie poważnie. Odbiło mi na tyle, że wychodzimy ze sklepu. Mam gdzieś miejsce wypadku. Jadę do domu. Muszę się położyć. Zamknąć oczy. Być w mojej małej sypialni, w chłodzie i w ciemności. Jak w trumnie. Przedwczesnym grobie.

Wyatt prowadzi mnie do kasy, jakbyśmy robili zakupy. Moje kroki są wolne, coraz bardziej ociężałe. Powinien wyprowadzić mnie na zewnątrz. Dlaczego tego nie robi? Potrzebuję świeżego powietrza.

Kasjerka patrzy prosto na nas. To starsza kobieta z posiwiałymi brązowymi włosami i twarzą osoby, która ma za sobą trudny dzień czy raczej trudne życie.

Jest miła.

– Wszystko w porządku, skarbie? – pyta uprzejmie.

Nie potrafię się już powstrzymać.

Jedno spojrzenie na nią i natychmiast wymiotuję na podłogę.

Rozdział 17

Eksperyment nie potoczył się tak gładko, jak Wyatt oczekiwał. Dzięki Bogu za kasjerkę, Marlene, starszą panią, która wszystko widziała. Nawet nie mrugnęła okiem na wymiotującą podopieczną policjantów, tylko zakręciła się wokół lady, żeby znaleźć mopa, a im kazała wyprowadzić tę biedną kobietę na zewnątrz.

Nie żeby Wyatt i Kevin nie mieli doświadczenia w sprzątanii wymiocin – w ich zawodzie trzeba się tego szybko nauczyć – ale zawsze miło, gdy ktoś oferuje pomoc.

Kevin zaprowadził Nicky do samochodu. Natychmiast usiadła na tylnej kanapie, tuląc do siebie żółtą narzutę niczym pluszowego misia. Kevin popełnił błąd, proponując, że ją rozłoży, żeby ją przykryć. Prawie go zaatakowała.

Zmienność nastrojów. Kolejny objaw poważnego urazu mózgu.

Wyatt wrócił do sklepu. Gdy tu jechali, zadzwonił, żeby potwierdzić, że Marlene Bilek jest w pracy, podobnie jak w środowy wieczór. Mieli nawet to szczęście, że to ona stała na kasie, kiedy weszli do sklepu. A teraz pora na rezultaty...

Wyatt znalazł ją na tyłach sklepu, gdy opróżniała wiadro od mopa. Cuchnęło paskudnie. I tak też wyglądało, biorąc pod uwagę, że Frankowie jedli na obiad zupę pomidorową.

– Przepraszam – powiedział.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Nie da się pracować w sklepie monopolowym bez kontaktu z rzygowinami.

– Tak samo w policji.

Uśmiechnęła się, ale miała znużony wyraz twarzy. To niełatwa praca, zwłaszcza z takimi incydentami.

– Rozpoznała ją pani? – zapytał Wyatt.

– Tak mi się wydaje. Środa wieczór, tak? Ale była ubrana inaczej. Na ciemno. I miała czapkę. Czarną baseballówkę, nisko opuszczoną. Dlatego zwróciłam na nią uwagę. Wyglądała na kogoś, kto może sprawiać problemy, a w sklepie monopolowym musimy na to uważać. Ale nic nie zrobiła. Połaziła chwilę. Alejka za alejką. Miałam ją zapytać, czy w czymś pomóc, ale ona właśnie złapała butelkę whisky. Zapłaciła i wyszła.

– Jak długo według pani przebywała w sklepie? – zapytał Wyatt.

– Piętnaście, dwadzieścia minut.

Wyatt zmarszczył brwi. To długo jak na kobietę, która się ponoć śpieszyła. Dwadzieścia minut plus czas na dojazd... Kobieta ubrana, jakby szykowały się jakieś problemy, i zbaczająca ze swoich utartych ścieżek...

– Rozmawiała z kimś? – zapytał. – Z innym klientem albo z pracownikiem sklepu?

Sprzedawczyni wzruszyła ramionami.

– Trudno powiedzieć. Był spory ruch. Dużo się działo. Nie obserwowałam jej cały czas.

Wyatt pokiwał głową, żałując po raz kolejny, że środowy zapis z kamer sklepu z alkoholem był do niczego. Ale tak się zdarzało. Zdaniem detektywów niestety zbyt często. Wyciągnął wizytówkę i podał ją Marlene, która odstawiła właśnie wiadro z mopem do kąta.

– Bardzo dziękuję. Jeszcze raz przepraszam za bałagan. Gdyby cokolwiek się pani przypomniało, proszę dać znać.

– Pewnie. Z nią wszystko w porządku? – zapytała Marlene. – Wyglądała naprawdę źle.

– Odpoczywa. Zaraz poczuje się lepiej.

– A co ona zrobiła?

– To znaczy?

– Jest pan detektywem. Pan i ten drugi wprowadziliście ją razem do sklepu. A teraz zadaje mi pan te wszystkie pytania. Więc co ona zrobiła?

– To właśnie staramy się ustalić.

– Czy ona kogoś straciła?

Wyatt się zawahał.

– Czemu pani pyta?

– Bo wygląda tak strasznie smutno. A ja znam się na smutku. Ta dziewczyna ma głęboką depresję.

Wyatt był tak zamyślony, że gdy wychodził ze sklepu, wpadł na czekającego na niego Kevina.

– Dali znać z firmy telekomunikacyjnej w sprawie telefonu na komórkę Nicole w środę wieczorem.

– No i?

Poszedł za Kevinem do białego SUV-a. Nicky nadal leżała w pozycji embrionalnej na tylnej kanapie. Nie spojrzała nawet, gdy Wyatt się zbliżył. Sądząc po mocno zacisniętych oczach, uznał, że raczej nie śpi, tylko chce się od nich odciąć.

– Numer nie należy do osoby fizycznej – powiedział Kevin – tylko do firmy.

– Jakiej?

– Detektywistycznej z Bostonu. – Kevin się zawahał, uważnie przypatrując się Wyattowi. – Northledge Investigations – dodał.

Wyatt zamknął oczy.

– O cholera.

Wyatt zostawił Kevina, żeby zajął się ich podopieczną, a sam ruszył przez

parking, zapinając płaszcz w obronie przed wieczornym chłodem. Służby meteorologiczne zanotowały już kilka dni z temperaturami mocno poniżej zera. A był dopiero listopad, więc wyglądało na to, że czeka ich surowa zima. Ludzie zasypani śniegiem, odchodzący od zmysłów z powodu zimna. Tak, kolejna idealna zima dla policji.

Wybrał numer Tessy, odwrócony plecami do Kevina. Odbierz, odbierz – myślał, ciesząc się, że usłyszy jej głos, choć martwił się tym, co może mu powiedzieć.

Po trzecim dzwonku jego życzenie się spełniło.

– Hej – powiedziała, jakby brakowało jej tchu. Jakby przerwał jej jakąś czynność. Uśmiechnął się. Jak on kocha tę kobietę. A to dobrze, bo z pewnością zaraz otrzyma od niej kolejną burę.

– Hej – odpowiedział. – Zajęta?

– Właśnie wychodzę z restauracji. Żadna z nas nie miała ochoty na gotowanie. Poszłyśmy do Shalimar.

Indyjskiej restauracji. Ulubionej Sophie. Zawsze go to zaskakiwało, bo kiedy sam miał dziewięć lat, zdecydowanie preferował hamburgery i hot dogi. Ta dzisiejsza młodzież...

– Jak udał się lunch z detektyw Warren? – zapytał. Nie rozmawiali wczoraj wieczorem. Ani dziś rano. Uświadomił sobie, że to z jego winy. Zwykle to on odzywał się przynajmniej raz, jeśli nie dwa razy dziennie. Ale był bardzo zajęty tą sprawą...

Tessa jest dorosła – upomniał sam siebie. I też pracuje. Rozumie takie rzeczy.

Tylko że gdy odpowiadała na jego pytanie, jej głos wydawał się jakiś odległy, jakby nie jej.

– Och, w porządku. Wyjaśniłam D.D., jak działają usługi detektywistyczne dla korporacji. A ona wyłożyła mi, dlaczego woli być gliną. Teraz obie poczekamy na werdykt, jaki wyda odniesiona przez nią rana.

– U Sophie okej? – zapytał Wyatt, starając się rozgryźć nastrój Tessy. – W szkole w porządku?

– Tak.

– A jak tobie minął dzień?

– Dobrze.

Dźwięk zatraskiwanych drzwi samochodu. A potem głos Tessy, bardziej przytłumiony, bo mówiła do Sophie, a może też do pani Ennis.

– To Wyatt. Chwileczkę i już ruszamy.

Są na parkingu pod restauracją, dopiero wyszły – wynioskował Wyatt. Jako dawna policjantka, Tessa nie cierpiała ludzi, którzy kierują samochodem, rozmawiając przez telefon. A więc każe swojej rodzinie czekać, aż skończy

rozmowę, zanim wyruszą. Co wyjaśniało jej roztargnienie. Rozmawiała z nim, ale jednocześnie zajmowała się rodziną. No jasne.

Uznał, że nie ma dobrego sposobu, żeby to rozegrać. Ryzyk-fizyk.

– Mam do ciebie pytanie – oznajmił.

– Okej.

– Pamiętasz ten mój wypadek? Prawdopodobnie pod wpływem alkoholu?

– Tak.

– Okazuje się, że do kierowcy tuż przed wyjściem z domu ktoś dzwonił na komórkę. Kierowca nazywa się Nicole Frank.

Umilkł, żeby usłyszeć reakcję Tessy na to nazwisko. Oczywiście, była prawdziwą profesjonalistką, więc gdy nie zareagowała, kontynuował:

– Dzwonił numer zarejestrowany na firmę Northledge Investigations.

Znowu cisza. Ale Wyatt znał Tessę na tyle, że potrafił wyobrazić sobie drobne, lecz znaczące zmiany w mowie jej ciała. Prostuje się w fotelu kierowcy. Mocniej zaciska dłoń na telefonie. Przybiera obojętny wyraz twarzy.

Domyślił się też, że dokładnie w tym samym momencie Sophie na tylnym siedzeniu auta również zauważa te zmiany i też staje się czujna.

Jeśli nie zirytował Tessy wcześniej, to teraz na pewno mu się udało.

– Po co dzwonicz, Wyatt? – pyta cicho.

– Od czegoś muszę zacząć.

– Więc uznałeś, że najlepiej będzie spytać swoją dziewczynę, czy naruszy tajemnicę klienta?

– Nie. Nie o to pytam.

Kolejna chwila ciszy. A potem głos Sophie z tyłu:

– Mamo, co się dzieje?

– Nic – automatyczna odpowiedź na pytanie dziecka. Po której następuje kolejna, bardziej stanowczym głosem, zaadresowana do niego. – Wyatt, jest późno. To był ciężki tydzień. Zdaję sobie sprawę, że tylko wykonujesz swoją pracę, ale nie mogę ci pomóc. A ty o tym wiesz.

– Ona nie pamięta.

– Kto?

– Nicole Frank. Kierowca. Nasz sprawca. Albo ofiara. Do diabła, nawet tego nie wiem. Miała trzy wstrząśnienia mózgu, pamiętasz? Poplątało jej się wszystko, wykasowały się dane z twardego dysku. I to zaczyna ją przerażać. Mąż, pamiętasz? Ten, którego ty sama podejrzewałaś, że mógł spowodować te trzy wypadki. Wydaje mi się, że między nimi jest jakieś napięcie, a Nicky postanowiła się czegoś dowiedzieć. Pojechała dzisiaj z nami śladem tamtego feralnego wyjazdu. Tylko że nie pamięta szczegółów. Wie, że ktoś do niej dzwonił. Pamięta, że musiała szybko wyjść z domu. Ale reszta pozostaje dla niej tajemnicą.

– Czego ode mnie oczekujesz?

– Wiem, że nie możesz bezpośrednio odpowiedzieć na moje pytanie. To byłoby naruszenie tajemnicy. Ale gdybym dał jej słuchawkę? Albo gdyby Nicky zjawiła się w Northledge? Może mogłabyś skontaktować ją z właściwą osobą... – Wyatt wiedział, że to duża firma, zatrudniająca wielu detektywów. – ...która by z nią porozmawiała. Odpowiedziała na jej pytania.

– To możliwe – przyznała w końcu Tessa, ale zauważył, że ton jej głosu pozostał chłodny. – Zakładając, że to ona jest klientką. Możliwe jednak, że kontaktowano się z nią w jakiejś innej sprawie.

– To prawda – przyznał Wyatt, choć wcześniej wcale o tym nie pomyślał. – Masz rację. Ale dzwoniło do niej późno w środę. A ona poczuła, że musi natychmiast wyjść. Brzmi to raczej tak, jakby otrzymała jakąś informację, ważną informację, i musiała na nią zareagować.

– Dokąd pojechała?

– Do sklepu monopolowego.

– Wieści, które skłoniły ją do picia?

– A może wieści, które skłoniły ją do spotkania z kimś. Jeszcze to rozpracowuję.

– Ona jest z tobą? – zapytała nagle Tessa.

– Na tylnym siedzeniu SUV-a. Ale w tej chwili nie może rozmawiać. Ból głowy, mdłości i tak dalej.

– A więc chcesz, żebym z nią porozmawiała, tylko ona nie może rozmawiać?

– Od czegoś muszę zacząć, Tesso.

– Wyatt, ja nie mogę przekazać ci potencjalnie tajnych informacji. Ja taka nie jestem i ty też nie chcesz, żebym taka była.

– Okej. – Wyatt nie naciskał. Nie był zaskoczony odmową ze strony Tessy. Bardzo poważnie traktowała kwestię zachowania tajemnicy. I słusznie. Mimo to musiał od czegoś zacząć i nie było nic niezwykłego w tym, żeby jeden detektyw pomógł drugiemu detektywowi, a już zwłaszcza wtedy, gdy łączy ich osobista relacja...

Był rozczarowany. Lecz przede wszystkim starał się zrozumieć zdystansowany ton swojej dziewczyny. Od samego początku tej rozmowy. Nawet zanim wkroczył na zakazany teren.

– U ciebie w porządku? – zapytał w końcu.

– Granice, Wyatt. Biorąc pod uwagę nasze zawody, nas oboje obowiązują pewne granice. Ja szanuję twoje, ale jeśli to ma działać, to ty też musisz szanować moje.

– Rozumiem.

– Naprawdę?

– Oczywiście, Tesso...

– Późno już. Muszę kończyć. Zdzwonimy się rano. Może coś dla ciebie

zorganizuję. Dobranoc, Wyatt.

– Okej. Dzięki. Odezwę się rano.

Wyatt się rozłączył. Ale nadal czuł się nieswojo. Granice – mówi mu dziewczyna, z którą jest od pół roku. Zmartwił się nagle, że ona wcale nie odnosiła się do spraw zawodowych.

Gdy wrócił do SUV-a, Kevin stał przy drzwiach kierowcy i notował coś w swoim kołonoratniku.

– Przeżyłeś – stwierdził, nie mając złudzeń co do ryzyka, jakie niesie starcie z Tessą Leoni.

– Nie wierzysz w mój urok? Tessa z przyjemnością nam pomoże.

Kevin uważnie mu się przyjrzał.

– Okej. Wymówiła się tajemnicą i zwróciła uwagę na poszanowanie jej zawodowej niezależności. Ale może nawet sama porozmawia z Nicky jutro rano, zakładając, że ta wydobrzeje.

Kevin wzruszył obojętnie ramionami. Krótko mówiąc, Northledge to na razie ślepy zaułek.

– Jak ona się czuje? – zapytał Wyatt, wskazując na tylną kanapę radiowozu.

– Nawet nie drgnęła.

– Sprawdziłeś? Podatnicy na pewno się nie ucieszą, jeśli umrze pod naszą opieką.

– Sprawdziłem. Szczerze mówiąc, chyba ma dość. Myślę, że pora zabrać ją do domu.

Wyatt nie oponował. Z drugiej strony miał przeczucie, że jak oddadzą Nicky mężowi, to już nigdy jej nie odzyskają.

– Jak myślisz, dlaczego tutaj przyjechała? – zapytał Kevina. – Odbiera telefon. Tak jej pilno, że łapie pierwsze z brzegu buty, tenisówki, choć to fatalny wybór na deszczową noc, i zapomina o płaszczu. A potem jedzie niemal godzinę do sklepu monopolowego o wiele dalej niż najbliższe centrum handlowe. Później, według słów kasjerki, spędza kolejne piętnaście, dwadzieścia minut, wałęsając się po sklepie, zanim chwyci za butelkę whisky.

– Nie była pewna, czy ma ochotę się napić?

Teraz to Wyatt przyjrzał się partnerowi. A potem zapytał:

– Dlaczego osiemnastoletnia glenlivet? Dość nietypowy, nie wspominając o tym, że kosztowny wybór, gdy ktoś ma ochotę się upić.

– Dobre wspomnienia?

– Raczej ich nie ma. Chyba że... – Wyatt umilkł, żeby zebrać myśli. – A jeśli miała się z kimś spotkać? I w tej sprawie był telefon? Miejscem spotkania ma być sklep monopolowy. Więc najpierw rozgląda się za tą osobą. A gdy jej nie ma...

– Kupuje sobie jej ulubiony rodzaj whisky?

– Albo coś symbolicznego dla nich obojga.
– I idzie na parking.
– Żeby tę osobę znaleźć, tak? – kontynuuje Wyatt. – Bo kupiła szkocką o dziesiątej, ale wypadek miała dopiero około piątej nad ranem. To znaczy, że mamy siedmiogodzinną lukę.

Kevin się rozejrzał. W stosunkowo spokojnym miejscu parking był niemal pusty.

– Według słów kasjerki Marlene mieli tego wieczoru ruch. To w sklepie. Ale sam parking... Założę się, że był dość wyludniony. Można posiedzieć w aucie i porozmawiać, z kim się chce, a nikt nie zwróciłby uwagi.

– Z kim się więc spotkała? – zapytał go Wyatt.

– Z kochankiem? Dawno niewidzianym przyjacielem? Skontaktowała się z byłym kochaniem przez internet, a potem umówiła się z nim, żeby pogadać w cztery oczy?

Wyatt wzruszył ramionami.

– Jaka kobieta zakłada stare tenisówki, gdy planuje bzykanko?

– Taka, którą chciałbym poznać – zapewnił go Kevin.

– Gdyby o to chodziło, to wybraliby hotel albo inne bardziej odpowiednie miejsce. To raczej wygląda jak scena z *Magnum*.

– *Magnum*?

– No wiesz, tego serialu. Spotkanie na parkingu spożywczaka z tajnym detektywem, żeby odebrać dowody niewierności męża. Coś w tym stylu.

Kevin przewrócił oczami, a później wskazał głową na ich mało przytomną podopieczną.

– Powinniśmy zabrać ją do domu – powtórzył.

Ale Wyatt po prostu nie mógł. Za dużo ryzykowali, biorąc pod uwagę sprawę Nicole i stan jej psychiki.

– Jeszcze nie teraz – usłyszał swój głos.

Rozdział 18

Vero jest w szafie. Wcisnęła się w najdalszy kąt, przysunęła kolana do klatki piersiowej, a kobieta układa na niej stos koców.

– Bądź cicho – rozkazuje kobieta przyciszonym, pełnym strachu głosem. – Miał zły dzień. I tyle. Trochę go nosi. Więc bądź grzeczna. Nie wychylaj się. Rozumiesz mnie, dziecko?

Vero kiwa głową. Boi się ciemności. Nie chce być uwięziona sama w ciasnej, cuchnącej szafie. Ale wie już, że są gorsze rzeczy niż abstrakcyjne lęki. Po co na przykład martwić się wyimaginowanym potworem pod łóżkiem, gdy śpi na nim prawdziwy?

Chcę ją pocieszyć. Czuję jej narastający lęk jak swój. Ale gdy wyciągam rękę, nic się nie dzieje. Jestem tu, ale jakby mnie nie było. Jestem obserwatorem z zewnątrz. I skupiam swoją uwagę na Vero, bo ta kobieta... Ta kobieta za bardzo mnie boli.

Kobieta cofa się. Zrobiła, co mogła. Ale to nie wystarczy. Wiem to. Przynajmniej się starała, a jak na kogoś, kto prowadzi takie życie jak ona, to już coś.

Kroki na korytarzu. Płyta rezonująca mojego życia – myślę. Dudniące, groźne kroki na korytarzu.

Kobieta zamyka drzwi szafy. Nie do końca, zostawia wąski pasek światła, bo kiedyś Vero spanikowała w zupełnej ciemności i zaczęła krzyczeć. Mężczyźnie się to nie spodobało. Zbił je obie, aż zalały się krwią, a Vero straciła przytomność. Kobieta musiała poczekać, aż mężczyzna przewróci się na bok i zacznie głośno chrapać, zanim mogła wydostać się z łóżka i przytulić nieruchomą córkę.

Trzymała ją w objęciach całą noc, kołysząc bezgłośnie, błagając malutką córeczkę, żeby nie umarła, bo jest wszystkim, co ma, jej jedyną nadzieją, jej jedynym światełkiem. Bez niej zginie w ciemnościach. Choć kobieta nie powiedziała tego głośno, to ona też przez całe życie bała się ciemności.

Vero przeżyła. Kolejną noc, kolejny dzień, kolejny tydzień, kolejny miesiąc. Kobieta też przeżyła i tak trwały w obskurnym, małym mieszkanku, żyjąc w strachu przed dźwiękiem kroków na korytarzu.

Tej nocy mężczyzna wtacza się do sypialni. Zdjął już koszulę, jego owłosiony brzuch zwisa nad pasem powypychanych dżinsów.

– Kobieto – ryczy, sięgając za pasek. – Czemu, do cholery, nie jesteś naga?

Vero pojękuje w kącie szafy.

Przepraszam – próbuję jej powiedzieć. Nie powinnaś tego widzieć. Nie powinnaś tym żyć.

Ale obie wiemy, że to nic nowego, a najgorsze dopiero nastąpi. Nie w tych

ścianach. W zupełnie innym miejscu z tupotem mnóstwa stóp na podłogowych deskach. Ta kobieta nie jest ideałem, ale przynajmniej się stara. Już wkrótce, szybciej niż Vero się spodziewa, kobiety nie będzie, a jej zostanie różany krzew z krwawymi kolcami, pnący się po ścianie. Gdyby wtedy Vero to wiedziała, ta brudna szafa wydałaby jej się rajem.

Kobieta zdejmuje poplamioną niebieską podomkę. Lepiej robić, jak mówi. Sprzeciw tylko pogarsza sprawę.

Mężczyzna chrząka z zadowoleniem. Zdejmuje spodnie. Żąda, by naga już kobieta podeszła i zabrała się do roboty.

Vero zamyka oczy. Nie chce na to patrzeć, ale nie może się uchronić przed dźwiękami. Kiedyś próbowała nucić, ale znalazł ją i znowu zbił.

– Dzieci ma być widać, ale nie słyhać! – wrzeszczał na nią, a Vero nie rozumiała, bo przecież jej nie wolno też było się pokazywać. Pokazywała się w mieszkaniu tylko wtedy, gdy mężczyzna wychodził do pracy. Wtedy ona i matka były razem i, krótko mówiąc, wszystko było dobrze. Dopóki nie rozległy się kroki na korytarzu. Zgrzyt klucza w drzwiach mieszkania.

To właśnie życie Vero. Ale jak protestować, gdy ma się sześć lat?

Dźwięki w końcu ustają. Kobieta płacze cicho, ale to nic nowego. Vero kołysze się w przód i w tył. Jest głodna. Chce jej się siku. Ale czeka na chrapanie. To sygnał, że można bezpiecznie wyjść.

W końcu, gdy mija niemal wieczność, mężczyzna zasypia. Drzwi do szafy otwierają się. Stoi za nimi kobieta.

Ma spuchnięte oko. Porusza się ostrożnie, jakby bolało ją całe ciało. Ale ani ona, ani dziewczynka nie komentują tego. To jest też życie kobiety, a ona już dawno przestała protestować.

Kobieta pomaga Vero wydostać się z szafy. Na palcach wychodzą z sypialni, do ciasnego salonu z malutką wnęką kuchenną. Vero nareszcie siusia, ale nie spuszcza wody. Przez kolejne kilka godzin mają z kobietą wspólny cel: nie obudzić drzemiącej bestii.

Kobieta przygotowuje Vero miskę płatków. Sama nie je, zapala tylko papierosa i wpatruje się znużonym wzrokiem w przeciwległą ścianę. Czasami, gdy kobieta milknie na tak długo, Vero martwi się, że umarła, że jej oczy są otwarte, ale nie widzą.

Wtedy wspina się kobiecie na kolana i mocno ją przytula. I zwykle po krótszej czy dłuższej chwili ta wzdycha. Smutno i przeciągle. Jakby musiała dać upust latom, całym życiu, oceanom smutku. Vero nie potrafi odpędzić tego smutku. Siedzi tylko i pozwala, by ją też ogarnął, aż wreszcie kobieta wstaje i zapala kolejnego papierosa.

Vero zjada płatki. Znosi miseczkę do zlewu, płucze ją dokładnie i odstawia na suszarkę.

– *Możemy pójść do parku?* – pyta.

– *Może jutro.*

– *Dobrze, mamusiu. Kocham cię.*

– *Ja też cię kocham, dziecko. Też cię kocham.*

Nie ma jej. Sześćioletnia Vero znika. Sześćioletnia Vero nie miała żadnej szansy. A teraz jestem ja i starsza, mądrzejsza Vero z powrotem w sypialni księżniczki. Pijemy szkocką z filiżanek do herbaty i patrzymy, jak krwawią róże.

– Powinnaś była zabić mnie wcześniej – mówi Vero.

Podnoszę porcelanową filiżankę, wypijam kolejny łyk whisky. I pamiętam. Tamtą kobietę. Park. I to, co stanie się potem.

– Przepraszam – mówię.

A później siedzimy w milczeniu, zaginione dziecko i kobieta, która dwa razy powstała z martwych.

Stukanie do okna. Zmusza mnie do otwarcia oczu, ocknięcia się. Leżę na tylnej kanapie policyjnego SUV-a. W ustach czuję smak kredy i czegoś zepsutego. Do piersi przyciskam żółtą narzutę. Szeleści dziwnie, gdy siadam prosto, odkładam ją obok siebie.

Ten drugi detektyw, Kevin, stoi przy samochodzie i zagląda do środka.

– W porządku? – pyta przez szybę.

Kiwam głową. Otwiera drzwi i obaj razem z sierżantem Wyattem uważnie mi się przyglądają.

– Przynieść pani coś? – pyta Wyatt.

– Wodę. – Waham się. – Chyba wejdę do środka. Odświeżę się w łazience.

Nie wymieniają bezpośrednio spojrzeń, ale i tak zajmuje im chwilę rozważenie mojej prośby.

– Zaprowadzę panią – mówi w końcu Wyatt. – Kevin, kupisz butelkę wody?

– Boicie się zostawić mnie samą w sklepie z alkoholami? – pytam go.

– Nie – odpowiada.

Gdy wysiadam z auta, czuję, jak trzęsą mi się nogi. Jeśli miałabym być szczerą, w głowie wciąż czuję tępy ból, a jaskrawy blask parkingowych lamp sprawia, że mam ochotę krzyczeć. Jestem słaba, zupełnie zdezorientowana i wciąż mnie mdli. Skupiam się na tym, że jest zimno, to przypomina mi, że znajduję się w New Hampshire, a nie w jakiejś sypialni w wieży. Przyglądam się swoim butom, żeby skojarzyć, że jestem dorosłą osobą, a nie dzieckiem wciśniętym w kąć szafy.

– Z głową lepiej? – pyta Wyatt, jakby czytał mi w myślach.

– Nie.

– A co zwykle pomaga?

– Okład z lodu. I ciemny, cichy pokój.

– Już wkrótce odwieziemy panią do domu.

Wracamy do sklepu z alkoholami. Automatyczne drzwi rozsuwają się przed

nami. Natychmiast mrugam, oślepią nadmiarem światła.

Wyatt bierze mnie pod rękę i prowadzi wzdłuż ściany w kierunku toalety. Nie mogę się powstrzymać; szukam wzrokiem kasjerki, tej, która była dla mnie miła, zanim zwymiotowałam. Chcę ją znowu zobaczyć. Tego dnia wyjątkowo brakuje mi oznak życzliwości.

Ale nigdzie jej nie widzę. Kasę obsługuje teraz jakiś znudzony dzieciak. Nie kupiłabym u niego whisky – myślę od razu. Nie chciałabym widzieć jego porozumiewawczego uśmiechu.

Wyatt stoi pod drzwiami toalety, gdy opłukuję twarz. Jestem strasznie blada, wręcz bezbarwna, pomijając oczywiście paskudny patchwork z siniaków i szwów. Wyglądam jak narkomanka. Tak działa szkocka – myślę. Tylko że ja nie piłam od co najmniej... czterdziestu ośmiu godzin? Zastanawiam się, czy jeśli rzeczywiście jestem alkoholiczką, to czy nie powinnam być na odwyku? Może dlatego tak mi niedobrze i tak bardzo boli mnie głowa.

Ale z odwykiem kojarzą mi się poty i trzęsawka, a ja nie dostrzegam kropelek wilgoci na swojej skórze. Jestem przede wszystkim zmęczona. Jestem kobietą z potłuczonym mózgiem, która powinna odpoczywać, a nie szaleć po sklepach monopolowych.

Płuczę usta. Opryskuję twarz wodą. Myję ręce raz za razem. A potem koniec. Otwieram drzwi i widzę moją policyjną obstawę.

– Zabierzecie mnie teraz do domu? – pytam Wyatta.

– Pracujemy nad tym – mówi.

To znaczy, że nie.

Kevin znowu siedzi ze mną z tyłu SUV-a. Kupił trzy butelki wody, po jednej dla każdego. Wyatt trzyma swoją nieotwartą w uchwycie z przodu. Ale ja i Kevin popijamy, jadąc w milczeniu. Od czasu do czasu wsuwam rękę w głąb narzuty i czuję krawędź czegoś, czego nie powinno tam być.

Ale to nie jest ani czas, ani miejsce. Później, gdy detektywi zostawią mnie już w spokoju...

Jedziemy długimi, krętymi bocznymi drogami. Nie ma lamp. Nie ma barierek. Nie ma pasa zieleni między jezdniami. Witamy w północnym New Hampshire. Żadne z nas nie widzi niczego poza zasięgiem świateł auta. Możemy jechać przez środek lasu, mijać pojedyncze domy albo maleńkie wioski. Wszystko jest możliwe.

Wyatt rozmawia przez komórkę, ale przez przegrodę jego głos jest zbyt przytłumiony, żebym zrozumiała. Mimo to czuję się nieswojo. Im dłużej jedziemy, im bardziej zagłębiamy się w noc, tym mocniej jestem przekonana, że nic dobrego z tego nie wyniknie.

W końcu pojawia się stacja benzynowa. Auto zwalnia. Wyatt zerka na mnie w lusterku wstecznym.

– Zatankuję – mówi.

Zjeżdża z szosy i zatrzymuje się przy dystrybutorze.

– Głodna? – pyta mnie Kevin. – Kupić jakąś przekąskę czy coś?

A gdy się waham:

– No dalej. Zobaczmy, czy mają tu coś dobrego.

Sprawdzają mnie – uświadamiam sobie. W ilu miejscach zatrzymałam się tamtego wieczoru? Czy w każdym będę wymiotować?

Wygrzebuję się z SUV-a, z niechęcią odkładając narzutę. Wyatt zajmuje się tankowaniem. Idę za Kevinem na stację, mrugając przed światłem i żałując, że nie mam czapki.

W środku nie dzieje się nic szczególnego. Nie wymiotuję ani nie łapię się za głowę i nie jęczę z bólu. Idę za Kevinem wzdłuż alejek z przekąskami. On wybiera chipsy Pringles, ja decyduję się na paczkę gumy do żucia.

Później facet z brodą przy kasie patrzy na mnie, przygląda się Kevinowi, bez wątpienia rozpoznając policjanta z hrabstwa, a potem bez słowa komentarza przyjmuje od niego zapłatę. Na ladzie leży czasopismo dla myśliwych. Gdy wychodzimy, bierze je do ręki i wraca do lektury.

– Zdałam? – pytam Kevina, kiedy wracamy do auta. Wyatt już na nas czeka, SUV najwyraźniej nie potrzebował tak dużo benzyny.

– Nic się nie przypomniało? – naciska Kevin. – Światła, zapach, plamy po piwie na podłodze?

– Nigdy tu nie byłam – mówię z całkowitą pewnością.

– To gdzie pani była? W środę w nocy. Kupiła pani butelkę szkockiej około dziesiątej wieczorem, w tamtym sklepie, oddalonym o trzydzieści kilometrów. Wypadła pani z drogi dopiero siedem godzin później. Więc gdzie pani była, Nicky? Co pani robiła przez cały ten czas?

– Nie mam pojęcia – mówię.

– Z kim się pani spotkała? – pyta Wyatt.

– Nie mam pojęcia.

– Z kochankiem? Z prywatnym detektywem? Skąd tyle sekretów, Nicky? Jeśli pani i Thomas prowadzicie tak szczęśliwe życie, to po co te wybiegi?

– Musi pan spytać jego.

Wyatt kręci głową.

– Jest pani pewna, że nigdy tu wcześniej nie była?

– Jestem pewna.

– Ale w sklepie z alkoholami...

– Tam się zatrzymałam.

– A potem co, Nicky? Gdzie pani pojechała?

Wciąż nie umiem odpowiedzieć.

W końcu Wyatt się poddaje.

– Jedziemy – mówi.

Po raz kolejny pakujemy się do SUV-a.

Vero uczy się latać. Myślę o niej. Niemal czuję, jak siedzi obok mnie w aucie. Uczy się latać. Bo gdy ma sześć lat, wie już, że to nie jest życie, jakie chce prowadzić; to nie jest miejsce, w którym chce być.

Śmiga więc po ciasnym salonie, dziecięca nadzieja dodaje jej skrzydeł.

Kobieta zabierze ją do parku. Tam usiądzie na pobliskiej ławce. A potem, bo jest wyczerpana, przybita, a może z powodu dwóch kieliszków taniej whisky na śniadanie, zaśnie. Nie zobaczy innej dziewczynki, która zjawi się w parku. I dołączy do Vero na huśtawkach.

Dziewczynka ma czternaście, piętnaście albo szesnaście lat. Jest ubrana tak, żeby wyglądać jak każde inne dziecko na placu zabaw. Może jak starsza siostra albo opiekunka zajmująca się młodszymi dziećmi.

Zagaduje Vero. Lubisz przychodzić do parku? Ja też. A co najbardziej lubisz robić, jaka jest twoja ulubiona zabawa? Lubisz lalki? Ja mam dwie. A może pójdziesz ze mną? Przyniesiemy je z mojego samochodu.

Vero uczy się latać.

Ale to jej nie pomoże. Nie ma szans z narkomanką, której kazano wrócić ze świeżym towarem. Nie spodziewa się kobiety o jasnych włosach, która zjawia się nagle i wbija jej igłę w ramię.

Vero nie krzyczy. I nie ucieka.

Stoi tam. Samotna sześciolatka, która chciała się tylko pobawić lalkami.

A potem jej nie ma.

Później kobieta wstanie z ławki w parku. Zacznie krzyżeć. Biegać. Przetrząśnie cały park w poszukiwaniu dziecka, które było jej jedynym powodem, by żyć. Przyjedzie policja. Zbiorą się miejscowi. Psy będą szukać.

Ale wtedy Vero będzie już zbyt daleko, zmierzając do sypialni w wieży i życia pełnego marszczonych sukienek i krwawiących krzewów róż.

Będzie płakać. Na początku rano, w południe i wieczorem. Będzie prosić o mamę. Będzie błagać, żeby wrócić do tego okropnego małego mieszkania. Będzie skakać z łóżka i uderzać o ściany. Nic jej nie pomoże.

Pewnego dnia Vero przestanie płakać. Będzie siedzieć przy stoliku, pić z filiżanek pełnych ponczu z alkoholem i robić dokładnie to, co jej każą.

Ale w środku, głęboko w środku...

Vero wciąż pragnie latać. Nie porzuciła jeszcze całkiem marzenia o lataniu.

SUV zwalnia. Zatrzymuje się na poboczu.

– Jesteśmy na miejscu – mówi Wyatt.

Kevin obchodzi auto, żeby otworzyć mi drzwi.

Noc wokół nas jest ciemna, zimna i gęsta.

Zatrzymuję się, żeby głęboko wciągnąć powietrze. A później czuję, jak

umieram. Znowu.

Vero chce latać – myślę.

I nagle jestem przerażona tym, co stanie się potem.

Rozdział 19

– Wydaje mi się, że ona uderzyła się w głowę o jeden raz za dużo – mruknął Kevin do Wyatt. Wyszli z SUV-a i patrzyli, jak Nicky krąży nerwowo po poboczu. Mamrotała coś pod nosem. Brzmiało jak: „Vero chce latać...”.

Kevin miał rację. Ich podejrzana o jazdę pod wpływem alkoholu zdawała się tracić rozum. Wyatt powinien był jednak ze sklepu z alkoholami odwieźć ją prosto do domu. Ale mimo wszystko czegoś się dowiedzieli.

– Skontaktowałem się z Jean, gdy tu jechaliśmy – poinformował Kevina. – Poprosiłem, żeby sprawdziła karty kredytowe Franków, kiedy ostatni raz Nicole tankowała swoje audi. Mamy szczęście. Wygląda na to, że była na stacji w środę rano.

– Mniej niż dwadzieścia cztery godziny od wypadku.

– Właśnie. A ja na miejscu wypadku spisałem liczbę przejechanych kilometrów. Trzysta trzydzieści. Zakładając, że zresetowała licznik przy tankowaniu, bo wiele osób tak robi, żeby mieć kontrolę nad zużyciem paliwa...

– Przejechała ponad trzysta kilometrów między tankowaniem w środę rano a zjechaniem w przepaść w czwartek o piątej nad ranem.

– Owszem. Zgadnij, ile jest kilometrów pomiędzy jej domem, sklepem z alkoholami a tym miejscem?

Kevin spojrzał na niego.

– Powiedziałbym, że sto trzydzieści.

– Cholera, faktycznie Mózg z ciebie. Dokładnie sto trzydzieści cztery.

Kevin zmarszczył brwi. Nicky zataczała na poboczu coraz szersze kręgi. Czy to znaczy, że faza manii mija? Czy też, że może zaraz się na nich rzuci?

– Czyli zostaje niewyjaśnione sto dziewięćdziesiąt sześć kilometrów – powiedział.

– Mniej więcej. Może przez całą środę jeździła po okolicy...

– Wątpię. Mąż sugerował, że nie lubił, jak jeździ, ze względu na urazy głowy. Wydaje mi się, że twierdził, że cały dzień spędziła w domu, odpoczywając.

– W takim razie... – naglił Wyatt.

– Przejechała te kilometry w środowy wieczór. Czyli nie pojechała prostą drogą z domu do sklepu monopolowego, a potem tutaj.

– Myślę, że możemy się zgodzić, że była w tamtym sklepie, natomiast nie zatrzymała się na stacji benzynowej po drodze.

– Moglibyśmy wrócić do sklepu z alkoholami – zaproponował Kevin. – Rozproszyliśmy się, gdy zrobiło jej się niedobrze, i chyba za wcześnie wyszliśmy. Powinniśmy zacząć od parkingu. Tym razem posadzimy ją z tobą z przodu i wyruszymy. Zobaczmy, czy jakieś elementy krajobrazu wywołają wspomnienia,

pomożemy jej przywołać trasę, którą jechała tamtej nocy.

Obaj spojrzeli na Nicole, która dotarła na skraj drogi. Przestała krążyć. Chyba głęboko wciągała powietrze. Wyatt zrobił to samo, żeby czegoś nie przeoczyć. Poczł zapach mokrych liści, wzruszonej ziemi, gnijącej trawy. Zapach jesieni – pomyślał. Spacerów po lesie, grabienia liści, osłaniania mniej odpornych na mróz roślin.

Ale najwyraźniej Nicky miała inne skojarzenia.

– Jak w grobie – poinformowała ich, a jej blada, pozszywana twarz zdawała się świecić w mroku. – Nie można z niego wyjść. W tym problem. Nawet jeśli człowiek starzeje się, brzydnie, marnieje, to nieważne. Nie może wyjść. Może tylko spaść niżej w łańcuchu pokarmowym.

– Wyjść skąd, Nicky?

– To plan na całe życie – kontynuowała, jakby Wyatt nie zadał pytania. – Jedyńm wyjściem jest śmierć. Ale Vero chce latać. Rozumiecie, prawda? Wierzycie mi?

– Rozumiemy co, Nicole?

– Dlaczego musiałam ją zabić. Nie powinna była iść do parku tamtego dnia. Chcesz się pobawić lalkami, dziewczynko? A ja, kurwa, nienawidzę lalek!

– Nicole. – Wyatt zrobił powoli krok w jej stronę, ton jej głosu zacząć go niepokoić, nie wspominając o szklistym blasku w jej oczach. – Odetchnij głęboko, a później zacznij od początku. Zabierz nas do tamtego parku. Który to park? Co się tam wydarzyło?

– Vero uczy się latać – szepnęła Nicky.

– Myślałem, że Vero nie istnieje – odezwał się Kevin.

– To dlaczego mój mąż ma jej zdjęcie?

Wyatt wciąż przetwarzał tę informację, gdy Nicole Frank odwróciła się od nich.

A potem rzuciła się w ciemny jar w dole.

Wyatt nienawidził tego cholernego zbocza. Tego stromego, śliskiego spadku, pokrytego błotem, które nie tylko lepiło się do butów, ale ochlapywało całe nogi. Nie wspominając o niewidocznych kamieniach, połamanych gałęziach i kłujących krzewach, które tylko czekały, żeby ktoś się o nie potknął i przewrócił.

Nie miał nawet przy sobie latarki. Nie, to byłoby zbyt przezorne, zbyt rozsądne. Goniąc ledwo widoczną Nicky pośród ledwo rozświetlonej księżycem nocy, Wyatt uświadomił sobie, że zajmowanie się kobietą po trzech wstrząśnieniach mózgu jest jak zajmowanie się osobą chorą psychicznie. Może wszystko z nią w porządku. A może nie. W każdym razie powinien być tej nocy być przygotowany na każdą możliwość. W tym na wymioty, przyznanie się do winy o północy i ewentualne oskarżenie o morderstwo.

Dogonił go Kevin. Ciężko oddychał i zachwiał się niebezpiecznie, gdy jego

stopa poślizgnęła się na kępie mokrej trawy.

– Idź prosto – zarządził Wyatt. – Wydaje mi się, że zmierza do miejsca wypadku. Możemy dotrzeć tam pierwsi.

Kevin mruknął coś potwierdzająco. A potem obaj skupili wzrok na ziemi. Choć poprzedniego dnia deszcz przestał w końcu padać, grunt wciąż był nasiąknięty wodą przez trwające tygodniami opady. To jedna z najbardziej deszczowych jesieni w historii – stwierdził Kevin pewnego poranka.

Wyatt zdążył zniechęcić ten jar.

Znow mignęła mu sylwetka Nicky. Chyba obchodziła dokoła jeden z kłujących krzewów. Zaplątały jej się w niego włosy. Uwolniła je, a potem ruszyła dalej. Dokądkolwiek zmierzała, była zdeterminowana, żeby tam dotrzeć.

Zabiła Vero? Musiała ją zabić – tak powiedziała. Nie powinna być tamtego dnia w parku.

Ale z tego, co Wyatt wiedział, Vero była rodzajem wymyślonego przyjaciela, skutkiem wstrząśnienia mózgu.

Zaczął mieć złe przeczucia co do tego wieczoru, począwszy od tego, jak źle Nicky zareagowała na sklep z alkoholem, a skończywszy na tej eskapadzie. Doszedł do wniosku, że jej mózg może być bardziej uszkodzony, niż ona sama i jej mąż zakładają. Zaczął się jednak równocześnie zastanawiać, czy gdzieś w tej wstrząśniętej szarej materii nie pojawiła się właśnie jakaś nowa i istotna informacja.

„Myślałem, że Vero nie istnieje”.

„To dlaczego mój mąż ma jej zdjęcie?”

Właśnie. Dlaczego?

Wyatt widział, jak Nicky walczy z krzewem, więc ominął go. To pozwoliło mu zyskać parę kroków. Będąc bliżej, słyszał jej urywany oddech i dławiący ją szloch. Kobieta na krawędzi.

Czy naprawdę zabiła dziewczynkę w parku? Nicole Frank, bez żadnej kartoteki kryminalnej, zabiła jakieś dziecko pomiędzy dziesiątą wieczorem w środę a piątą nad ranem w czwartek, a potem przywiozła tutaj jego ciało?

Gdy tylko o tym pomyślał, od razu wiedział, że to nie może być prawda. Ekipy poszukiwawcze znalazłyby je. Pies złapałby trop. Nie ma szans, żeby Nicky miała z tyłu audi zwłoki dziecka. W takim razie co?

Nicky natrafiła na kolejny krzew. Zwolniła. Spróbowała z lewej strony, a potem z prawej. Zanim zdołała się zdecydować, Wyatt rzucił się, żeby złapać ją za nogi.

– Nienawidzę tego cholernego jaru – stęknął, gdy oboje mocno uderzyli o ziemię.

– Nie rozumiecie, nie rozumiecie. Ja muszę ją uratować.

Kevin nadbiegł z tupotem i, ledwo hamując, omal na nich nie wpadł. Mocno

oparł się stopami o ziemię, a potem pomógł Wyattowi wstać. Razem podnieśli Nicky, stawiając ją między sobą i podtrzymując pod ramiona. Wszystkim brakowało tchu. Wyatt z zaskoczeniem stwierdził, że są zaledwie dziesięć metrów od wraku.

– Stop – zarządził, kierując swoją uwagę na Nicky.

Kevin spojrział na niego z zainteresowaniem, Nicky raczej przez łzy.

– Dość gadania, biegania i płakania.

Nicky pociągnęła nosem.

– Jesteś chora, do diabła, trzy urazy w ciągu sześciu miesięcy, a teraz zbiegasz po stromym zboczu, uciekając przed policją, przez co po raz kolejny uderzyłaś się w głowę. Zatrzymaj się. Oddychaj. Skup się.

Nicky zaczerpnęła głębiej powietrza, choć jej klatka piersiowa wciąż zbyt szybko się unosiła, a z gardła dobywał się przypominający czkawkę dźwięk.

– A teraz chodź z nami.

Kevin poszedł za nimi, gdy Wyatt ruszył z nią w kierunku ostatniego miejsca spoczynku audi. Proszę bardzo, skoro tak jej na tym zależy. Auta już oczywiście nie było. Zostały tylko poskręcane kawałki metalu i plastiku, strzępki gumy z opon i szkło. Metry kwadratowe odłamków lśniących w świetle księżyca. I może to była tylko jego wyobraźnia, ale wydało mu się, że wokół wciąż unosi się zapach szkockiej.

Nicky jak zaczarowana wpatrywała się w morze szkła. Jej oddech zaczął zwalniać, a wzrok przestał być szklisty.

– Opowiedz nam o parku – zażądał Wyatt.

Spojrziała na niego, wyraźnie zaskoczona.

– Jakim parku?

Ach, tak, ogarnięta Nicky kontra szalona Nicky. Jedna wycofana, druga gadatliwa. Pytanie, która z nich mówi im prawdę? A może, bardziej precyzyjnie, która z nich żyje w tej chwili? Bo Wyatt zaczął podejrzewać, że jedną z rzeczy, które płaczą się w głowie Nicole Frank, jest upływ czasu. Dzisiaj, wczoraj i dawno temu są równie intensywne. Więc może nie tak ważne jest, o czym mówi, tylko kiedy.

– Co widzisz, stojąc tutaj? – zapytał ją.

Nieznacznie potrząsnęła głową.

– Powinno padać.

– Tak jak w środę wieczór.

– Lał deszcz. Do środka auta. Spływał mi po policzkach, wsiąkał w ubranie.

Czułam deszcz, błoto, wzruszoną ziemię.

– Co zrobiłaś?

– Musiałam wydostać się z samochodu. Musiałam znaleźć Vero.

– Kiedy zaginęła?

Przerwa. Aha – pomyślał Wyatt – zaraz się czegoś dowiemy.

– Vero miała sześć lat – szepcze Nicky. – I wtedy zginęła. To okropne, sierżancie, gdy znika dziecko.

– Kiedy to się stało, Nicky? W zeszłym roku? Pięć lat temu? Jak byłaś mała?

– Dawno temu.

Bingo – pomyślał Wyatt. I nagle poczuł gęsią skórkę. Detektyw na krawędzi. Sprawa zaczęła się od wypadku samochodowego. Ale podejrzewał, że okaże się czymś znacznie, znacznie gorszym.

– Nicole – nacisnął delikatnie. – Chciałbym, żebyś się zastanowiła. Skupiła. Pomyślała. Czy wiesz, co się stało z sześciolletnią Vero?

– Vero chce latać – mruknęła. – I pewnej nocy jej się udaje.

Dał jej kilka minut. Obserwował, jak jej oddech się uspokaja, twarz odzyskuje kolory, a oczy koncentrację. Odpręż się – pomyślał. Zapomnij. Chciał, żeby jego świadek zwolnił, zaczął chłonać, przetwarzać. A potem porozmawiają.

Stojący obok niego Kevin wsunął ręce do kieszeni i ćwiczył cierpliwość. Kevin był Mózgiem, kimś doskonałym do liczb i spraw technicznych. Ale Wyatt był specem od ludzi. I dlatego był świetnym gliną.

– Nicky – odezwał się w końcu. – Chciałbym, żebyś cofnęła się do środowego wieczoru. Jesteś w domu. Boli cię głowa. Odpoczywasz na kanapie. Dzwoni twoja komórka.

– Muszę wyjść – mówi natychmiast.

Wyatt i Kevin kiwają głowami, już to słyszeli. Kevin wskazał przewrócone drzewo. Przeszli tam, pomogli Nicky usiąść. W miarę wygodnie, jak na błotnisty jar – uznał Wyatt. Najważniejsze, żeby mówiła.

– Wychodzisz. Czujesz deszcz – kontynuował spokojnym tonem. Starał się przypomnieć użyte przez nią słowa. – Pachnie wzruszoną ziemią.

Zapach to jeden z najlepszych wyzwalaczy pamięci, a według słów Nicky środowa noc pachniała grobem.

– Tak – szepcze.

– Czujesz deszcz na swojej twarzy.

– Śpieszę do samochodu. Nie chcę za bardzo przemoknąć.

– Gdzie jest Thomas?

– Z tyłu, pracuje.

– Mówisz mu, dokąd jedziesz?

– Nie. Nie chce, żebym zadawała pytania. To było tak dawno temu, wciąż mi powtarza. Czy nasze życie nie jest dość dobre? Czy nie możemy po prostu być szczęśliwi? Ale to oczywiście listopad.

– A co się dzieje w listopadzie? – zapytał zaintrygowany Wyatt.

– To najsmutniejszy miesiąc roku.

Wyatt i Kevin wymieniają spojrzenia. Podczas gdy Wyatt zajmował się

rozmową, Kevin robił notatki. I z pewnością wyznaczał już kryteria poszukiwań. Na przykład sześćoletnie dziewczynki, które zaginęły albo zostały zamordowane w listopadzie. Pytanie tylko: ile lat temu?

Wyatt zaryzykował strzał w ciemno.

– A więc skontaktowała się pani z Northledge Investigations w sprawie tych pytań. Żeby pomogli pani dowiedzieć się, co wydarzyło się... w listopadzie, wiele lat temu.

Nicky nie potwierdziła, ale też nie zaprotestowała.

– Detektywi oddzwonili, tak? W środę wieczorem była pani w domu, odpoczywała na kanapie i zadzwoniła komórka. Czego się pani dowiedziała, Nicky? Co było takie ważne, że musiała pani natychmiast wyjść?

– Dała mi adres. W historii zatrudnienia był sklep z alkoholem, ale ja nigdy tam nie byłam.

– Dała? Kto? Detektyw z Northledge?

– Muszę iść. Szybko tam dotrzeć. Zanim zabraknie mi odwagi.

Interesujące – pomyślał Wyatt. Bo do tej pory zakładali, że pośpiech Nicky w środowu wieczór wiązał się z koniecznością ucieczki przed mężem. A teraz wyglądało na to, że lawinę poruszyło coś innego. Skontaktowano się z Nicky w sprawie osoby, która pracowała w sklepie z alkoholem. A ona musiała dotrzeć do niej, zanim straci odwagę.

– Z kim ma się pani spotkać? – spróbował ponownie Wyatt.

– Muszę iść.

– Za wyśledzenie kogo zapłaciła pani Northledge? Vero?

– Muszę ją uratować. Nigdy jej nie ratuję. Zawsze w końcu mi się nie udaje.

Głos Nicky stał się wyższy, znowu się denerwowała. Wyatt zrozumiał i wycofał się.

– Pojechała pani audi – zaczął.

– Noc jest ciemna. Nie ma księżycy, gwiazd, tylko gęste burzowe chmury. Powinam zawrócić i pojechać do domu, ale nie mogę. Boże, ale boli mnie głowa.

– Co pani robi, Nicky?

– Jadę. Po prostu jadę. Jaki mam wybór? Widzę ją wszędzie. I wszędzie ją słyszę. Vero pije herbatę. Vero zaplata mi włosy. Vero stoi przede mną, a czerwie wypadają jej z czaszki.

Wyatt zawahał się i zerknął na Kevina, który dosłownie wytrzeszczył oczy. Detektyw szybko zapisał kolejną notatkę. A oddech Nicky znowu przyspieszył.

– Ale teraz nie ma Vero z panią – powiedział łagodnie Wyatt. – Jest pani w samochodzie sama. Jedź pani w deszczu do sklepu z alkoholem.

– Ręce mi się trzęsą. Przydałby mi się drink. A tak dobrze mi szło. Wie pan, to przez te bóle głowy. Thomas mówi, że alkohol jest zły. A ja muszę wyzdrowieć. Wtedy może znowu będziemy szczęśliwi. Bo kiedyś byliśmy szczęśliwi. Boże, tak

go kochałam.

– A więc jedzie pani do sklepu z alkoholami. Skręca gdzieś pani albo zatrzymuje się, zanim tam dotrze?

– Nie, muszę tam dotrzeć. Zanim zmienię zdanie.

– Okej. Dojeżdża pani na miejsce. Parking jest ogromny. Pełno na nim jasno świecących lamp.

Nicky natychmiast potrząsa głową i mruży oczy.

– Nie podobają mi się. Jeszcze bardziej boli mnie od nich głowa. Pomyślałam, że tylko zaparkuję. I sama nie wiem. Może trochę posiedzę. Ale nie ma takiego miejsca, gdzie można by tak zaparkować, żeby mnie nie było widać. I te światła, są zabójcze.

– Co pani robi?

– Parkuję na tyłach. Jak najdalej od sklepu. A potem wychodzę na deszcz.

Nicky umilkła. Oczy miała otwarte, ale jej spojrzenie znów stało się szkliste. Wyatt już miał ją zagadać, z powrotem ściągnąć jej uwagę, lecz zaczęła sama:

– Nie powinnam wchodzić. Muszę tam wejść. Powinnam odpuścić. Thomas ma rację. Nie wyniknie z tego nic dobrego. O mój Boże, chyba się zrzygam. Nie, dam sobie radę. Bo jest listopad i nawet niebo płacze, więc jeśli kiedykolwiek mam być szczęśliwa... Thomas mówi, że jestem silna. Mówi, że we mnie wierzy, zawsze we mnie wierzył. Wiecie, ja byłam smutna od samego początku. Powiedział, że po prostu chciał być facetem, który sprawi, że wreszcie się uśmiechnę... Wsiadam z samochodu. Trzęsę się. Nie czuję się dobrze. Chce mi się wymiotować. Ale lubię deszcz. Skapuje mi z daszka czapki, tańczy na policzkach. Wchodzę do sklepu – powiedziała cicho. Nie patrzyła na nich, lecz prosto przed siebie. – Tylko się rozejrzę. Może dziś nie pracuje. Nie zapytałam o to. Poza tym mogę jej nie rozpoznać. Minęło tyle lat, dziesiątki, ludzie się zmieniają, wiadomo. Ale... Jeśli to ona rozpozna mnie? Nawet o tym nie pomyślałam. A może tak, bo nisko naciągnęłam czapkę. Po co bym ją brała, gdybym nie zakładała, że będę chciała ukryć twarz? Dam radę. Mijam kasy. W sklepie jest duży ruch. Trzy kasy są otwarte, do każdej kolejka. Jeden ze sprzedawców to mężczyzna, jest wysoki. Widzę go. Pozostali... Jest za tłoczno. Nie powinnam była tu przychodzić. To głupi pomysł. Lepiej sobie odpuścić. Ale nie mogę wyjść. Jestem tak blisko. Tak blisko. Najbliżej od tyłu lat. I wtedy... Nie widzę jej, ale wyczuwam. Wiem, że tam jest.

– Kto, Nicky? – zapytał Wyatt. – Kogo szukasz?

Ale ona pokręciła głową, znowu się denerwując.

– Zaraz zwymiotuję. Głowa mi płonie. O Boże, muszę stąd iść. Docieram do łazienki. Wyłączam światło, zamykam drzwi. Stoję w całkowitych ciemnościach, aż udaje mi się odzyskać oddech. Lubię ciemność. Kiedyś jej nienawidziłam, ale odkąd mam bóle głowy... Znajduję umywalkę, odkręcam zimną wodę. Przyjemnie

obmywa moje nadgarstki. Żałuję, że nie mam swojej narzuty. Zwinęłabym się na podłodze. I została tam. Ktoś puka. Chce wejść. Zajmuje mi to chwilę, ale jakoś się ogarniam. Otwieram drzwi. Czeka jakiś człowiek. Nic nie mówi. Tylko wchodzi, gdy ja wychodzę. Co teraz? Nie chcę do domu, ale nie mogę tu zostać. Kręcę się. Wzdłuż alejek. Udaję, że szukam wina albo smakowej wódki, ale tak naprawdę zerkam na sprzedawców. I wtedy dostrzegam ją od tyłu.

– Kogo, Nicky?

– To ona. Wiem to. Patrzę na tył jej głowy i to już zbyt wiele. Nie mogę oddychać. Nie mogę się ruszyć. Jeśli ona się odwróci... Panikuję. Maszeruję do alejki ze szkocką i chwytam butelkę. Nie rozumiecie, ja muszę. Nieważne wstrząśnienie i głupie bóle głowy. Muszę. Podchodzę do najbliższej kasy. To kolejka do niej, ale nie chcę o tym myśleć. To normalne, nic szczególnego. Jestem klientką, a ona jest kasjerką, koniec, kropka. Nie ma się na co gapić. Moja kolej. Jest zajęta, ledwo na mnie zerka. Czy tak jest lepiej? Czy chciałabym, żeby naprawdę na mnie spojrzała? Czy sądzę... Czy sądzę, że ona by wiedziała? Wbija jedną butelkę glenlivet. Przeciągam kartę. I już. Tak po prostu. Trzęsę się tak mocno, że boję się, że upuszczę butelkę. Przyciskam ją do piersi jak niemowlę. A potem wychodzę ze sklepu. Idę na parking. Wsiadam do samochodu. I... Powinam zadzwonić do Thomasa... – szepnęła Nicky. – Powiedzieć mu, co zrobiłam. Będzie zły, ale pomoże mi. Biedny Thomas, wciąż próbuje mnie uratować, po tych wszystkich latach. Powinam wyrzucić szkocką i pojechać do domu. Tyle rzeczy, które powinam zrobić. Tyle rzeczy, które wiem, że powinam zrobić. Ale zamiast tego odkręcam korek. Zapach. Mój Boże, jak dawno utracony przyjaciel. I w momencie, w którym go czuję, muszę się oczywiście napić. Nie rozumiem, nigdy nie rozumiałam, jak coś tak złego może tak dobrze smakować. Jestem zła. Słaba. Ale przecież to wiem.

– Co pani robi potem, Nicky?

– Siedzę. Czekam. Piję. Gdy w końcu sklep pustoszeje i wyłączają się światła, moja twarz jest rozluźniona, a ciało niemal się przelewa. Nie jestem zdenerwowana. Nie trzęsę się. Nie boję się. Jestem szczęśliwa. Czy to naprawdę jedyne chwile, gdy jestem szczęśliwa? Ona wychodzi. Jakbym się tego spodziewała. Wciąż leje deszcz. Nie widzę jej zbyt dobrze, ma naciągnięty na głowę kaptur płaszcz przeciwdeszczowego. Ale rozpoznaję ją, choć ona mnie nie rozpoznała. Nie, stała metr ode mnie, a przez jej twarz nie przemknął nawet błysk świadomości. Nawet poczucie déjà vu, hej, czy myśmy się już kiedyś nie spotkały? Nic. Nada. Zero. Wkurza mnie to! Powinna wiedzieć, do cholery! Ja jej nigdy nie zapomniałam. Jak ona śmie mnie nie pamiętać? Jej auto. Opuszcza parking i wyjeżdża na drogę. Nie wiem, co zamierzam zrobić; po prostu to robię. Włączam bieg i ruszam za nią. Nie jestem zbyt dobrym kierowcą. Noc jest bardzo ciemna. Przednie światła odbijają się w kropkach deszczu, przez co kręci mi się w głowie.

Trudno dostrzec szosę. Przynajmniej nie ma innych samochodów. Jadę za jej tylnymi światłami. Nie wiem, dokąd zmierzam, ani co zrobię, gdy tam dotrę, ale nie mogę się powstrzymać. Nie mogę... zawrócić. Jadę. Mocno chwytam kierownicę, zmuszam oczy do koncentracji i nie spuszczam z niej wzroku. Jedziemy i jedziemy. Najpierw tą drogą, potem inną. Tu, tam i jeszcze gdzie indziej. Pogoń w ciemności i burzy. Przejeżdżamy przez jedno miasteczko, a potem przez drugie. Później skręca z głównej drogi i teraz podskakujemy, przedzierając się jakąś małą boczną dróżką. Powinni ją wyrównać. Wciąż wpadam w dziury i żołądek podjeżdża mi do gardła. Światła hamowania. Zwalnia przed jakimś domem, pewnie wjedzie na podjazd. Nie wiem, co robić. Nie ma tam dokąd podjechać ani gdzie się zatrzymać. Nie mogę stanąć pośrodku drogi. Więc wciskam gaz i mijam ją, jestem zwykłym kierowcą, który dokądś zmierza, z kimś ma się spotkać. Ale potem, gdy jestem już odpowiednio daleko... naciskam hamulec i zawracam. Jadę z powrotem. W momencie gdy widzę ten dom, gaszę światła. Wciąż jest ciemna noc. Tak daleko od miasta nie ma lamp, nie ma nawet świateł na gankach domów dokoła. Nie, to ciemność całkowita. Taka, w której strach się odezwać. Jeden fałszywy ruch, a potwory cię dopadną. Ale mnie jest wszystko jedno.

– Gdzie pani jest, Nicky? – pyta ostrożnie Wyatt. Wzrok Nicole znów staje się szklisty. Nie patrzy na niego, tylko na coś, co widzi jedynie ona.

– Cii... – szepcze do niego. – Nie chcę, żeby usłyszała. Nie chcę, żeby wiedziała. Parkuję. Wsiadam z auta. Natychmiast przemakam. Ale nie szkodzi. Ostrożnie zakradam się w stronę niewielkiego domu. Nie jest zbyt ładny, ale podoba mi się jego kolor. Żółty z białym obramowaniem. Zawsze lubiłam ten odcień żółci. Zastanawiam się, czy jest tu szczęśliwa. To śmieszne uczucie. Chciałabym, żeby była szczęśliwa. Okej? Ale może to nie jest takie proste. Może jestem zazdrosna. Jestem już niemal przy oknie z boku. Krok za krokiem.

– Gdzie pani jest, Nicky?

– Vero uczy się latać.

– Kogo pani szuka?

– Sześć lat. I zniknęła. Listopad to najsmutniejszy miesiąc roku.

– Nicky, niech pani ze mną zostanie. Jest środa wieczór. Piła pani. Pojechała za kobietą ze sklepu z alkoholami. Stoi pani w deszczu pod jej domem. Co pani widzi?

– Widzę to, co niemożliwe. Vero. Dorosłą. Jak siedzi na kanapie w salonie. Widzę Vero, która powstała z martwych.

Rozdział 20

Czym jest szczęście? Mam wrażenie, jakbym goniła za nim przez całe swoje dorosłe życie. Studiuję je w reklamach, dostrzegam na twarzach innych. Gdy pobraliśmy się z Thomasem, zabrał mnie na wakacje do Meksyku. Przybieraliśmy zmyślane nazwiska, wymyślaliśmy coraz dziwniejsze historie. On był klaunem, który uciekł z cyrku, a ja wypaloną girlsą z Las Vegas. Śmialiśmy się do rozpuku i piliśmy bez umiaru. A potem budziliśmy się i robiliśmy to od nowa. Pamiętam, jak leżałam na ciepłym piasku plaży po wyjątkowo szalonej nocy, czując słońce na zamkniętych powiekach, i myślałam, że to właśnie musi być szczęście. I że potrafię.

Tyle że budziłam się noc w noc z krzykiem. Bez względu na ilość wypitego alkoholu. Bez względu na nową, ulepszoną wersję przeszłości. Bez względu na obejmujące mnie silne ramiona Thomasa.

Okazuje się, że szczęście to nabyta umiejętność, a ja mam problemy, żeby się go nauczyć.

Po prostu bądź szczęśliwy – śpiewają w piosenkach. Tego też próbowałam. Zwłaszcza rano, gdy się budziłam i widziałam, jak Thomas uważnie mi się przygląda. Bo znowu coś mi się śniło, a może krzyczałam albo go uderzyłam. Szybko się nauczył, żeby mnie nie dotykać, gdy zaczynam się rzucać. Że jestem silniejsza, niż można by sądzić.

Medytacja, joga, dieta złożona z soków owocowych. Aż zdumiewające, ile jest sposobów. Zaczęłam malować. Terapia sztuką, bo oboje wiedzieliśmy, że żadne rozmowy, żadne wygadanie się komuś nie pomogą. Przez te pierwsze lata Thomas wprawił się w paleniu płócien... To nie były obrazy, które mogłyby zawisnąć na ścianie.

Udawaj, aż się uda. Przyglądałam się zdjęciom kwiatów i uroczych krajobrazów. Analizowałam płatki, liście i puch dmuchawców. Odtwarzałam każdy obraz na płótnie co do najdrobniejszego szczegółu, bo skoro nie potrafię poczuć szczęścia, to może je chociaż skopiuję. I wtedy będzie moje. Będę mogła wskazać je i powiedzieć, że ja to szczęście stworzyłam.

I wtedy nie będę płakać w listopadzie. I nie będę spędzać czasu, leżąc z żółtą narzutą i rozmawiając z pokrytym robakami szkieletem małej dziewczynki.

Może szczęście jest wrodzone. Może to coś, co przekazują rodzice. To by wiele wyjaśniało.

A może jest zaraźliwe. Trzeba się zarazić, złapać je samemu, a biorąc pod uwagę mój mały, izolowany świat...

Chcę być szczęśliwa. Chcę nie tylko dostrzegać ciepły uśmiech mojego męża, ale czuć go w piersi. Chcę wystawiać twarz ku czystemu letniemu niebu i nie

dostrzegać od razu chmur na horyzoncie. Chcę spać tak, jak wyobrażam sobie sen innych ludzi, głęboko i spokojnie, i budzić się następnego ranka wypoczęta.

Ale ja taka nie jestem. Jestem kobietą, która dwa razy powstała z martwych.

Zanim rozmowa z detektywami dobiega końca, jestem wykończona. Zadają mi jeszcze jakieś pytania, ale ja już nie mogę. Opadają mi powieki. Ledwo stoję. Można by pomyśleć, że spędziłam wieczór na picciu, a nie na relacjonowaniu nieszczęść, jakie mnie spotkały przy ostatniej takiej okazji.

Vero.

To imię przychodzi do mnie i odchodzi. Straciłam ją. Znalazłam. Zabiłam ją. Wiem, gdzie żyje.

Te wszystkie koncepcje to zbyt wiele. Mój wstrząśnięty mózg jest przytłoczony. Każda ewentualność wydaje się mniej prawdopodobna niż poprzednia. Vero to wyimaginowany przyjaciel; tak powiedział mi Thomas. Vero i ja siedzimy razem i popijamy herbatę ze szkocką, ale jedynie w moim wstrząśniętym umyśle.

Vero ma sześć lat. Nie ma jej. Zniknęła.

Nigdy nie istniała.

Tylko że mój mąż miał jej zdjęcie schowane w kieszeni marynarki.

Detektywi pomagają mi wspiać się po zboczu jaru. Poruszamy się powoli. Moje nogi nie chcą współpracować. Potykam się o gałęzie, zapadam się głębiej w błoto.

Pamiętam ten jar, krew na dłoniach, deszcz na twarzy. Walkę z bólem, przedzieranie się przez zarośla, kamienie i błoto, bo muszę uratować Vero. Myślę, że to klucz do mojego szczęścia. Bez względu na to, czy dziewczynka jest prawdziwa, czy nie, moim obowiązkiem jest ją uratować. Więc staram się, raz za razem, bo nawet najgorsi z nas chcą móc spokojnie spać w nocy.

– Nie rozumiem – młodszy detektyw, Kevin, szepcze do drugiego. – Myślałem, że uzgodniliśmy, że Vero nie istnieje.

– Technicznie rzecz biorąc, to mąż powiedział nam, że nie istnieje. A to nie znaczy, że musimy się z nim zgadzać.

– Ale jeśli Vero jest prawdziwa, to czy to nie znaczy, że nasza podejrzana właśnie przyznała się do jej zabójstwa?

– Tylko jeśli Vero nie żyje. Nasza podejrzana twierdziła też, że znalazła ją żywą.

– W życiu nie chcę mieć wstrząśnienia mózgu – stwierdza Kevin.

– Szkoda by było tak wspaniałego okazu, drogi Mózgu.

Potykam się. Obaj detektywi zatrzymują się, Wyatt pochyla się, żeby mi pomóc.

– Northledge Investigations – mówi do mnie. – To firma, którą pani wynajęła, tak? Chcę z nimi porozmawiać, Nicky, a to nastąpi szybciej, jeśli dostanę

na to pani zgodę. Mogłaby mi pani w tym pomóc? Dać im swoją zgodę?

Wpatruję się w niego niewidzącym wzrokiem. Nie kiwam głową, więc marszczy brwi.

– Myślałem, że chce pani odpowiedzi. – W jego głosie słychać zarzut.

– Cii... – mówię.

– Nicky...

– To nie chodzi o latanie, tylko o lądowanie – informuję go trzeźwo.

Ale on nie rozumie. Niby skąd? Nie rozumie przecież jeszcze żółtej narzuty ani prawdziwego powodu, dla którego Thomas z nami nie pojechał.

Nie rozumie, że ta noc jeszcze się nie skończyła.

Detektywi wciągają mnie w górę jaru. Pakują z powrotem do SUV-a. Wręczają cenną narzutę.

Siedzę z tyłu auta. Myślę, że oni dwaj naprawdę ciężko pracują. I zasługują na coś lepszego niż babranie się w moim życiu.

Przykro mi.

A potem zamykam oczy i odpływam.

Leżę na podłodze w piwnicy. Czuję pod karkiem i ramionami twardy beton. Próbuję się ruszyć, usiąść, przekreślić, cokolwiek. Ale nie mogę. Ból promieniuje na wszystkie strony, lecz przede wszystkim czuję go w tyle głowy.

Dalekie kroki, szybkie.

Kroki na dole w korytarzu – myślę, czując natychmiast panikę.

Nie. Stop. Skup się. Jestem w piwnicy. Zimna podłoga. Wokół porozrzucone ubrania. Pranie. Właśnie. Jestem dorosła, robię pranie w moim własnym domu i nagle...

Skrzypienie podłogi nade mną.

– Nicky?! – woła męski głos. – Nicky, wszystko w porządku?

Zastanawiam się, kim jest Nicky. Czy to jej dom?

– Kochanie, gdzie jesteś? Wydawało mi się, że słyszę auto na podjeździe.

Nicky?

Czuję w głowie pulsowanie. Muszę mocno zacisnąć oczy w obronie przed bólem, który wywołuje światło. Próbuję odwrócić głowę, ale mój mózg aż jęczy. Powinnam coś powiedzieć. Krzyknąć, zawołać o pomoc. Ale tylko bezradnie oblizuję usta.

Nie wiem, co zawołać. Nie wiem, kogo prosić. Gdzie ja jestem? Kto jest na górze schodów?

Nicky, Nicky, Nicky – mówi.

Ale ja myślę tylko o Vero.

Kroki się zbliżają. Nade mną pojawia się mężczyzna, widać jego sylwetkę na szczycie schodów.

– Nicky, czy to ty? – A potem: – O mój Boże! Co się stało? Nicky?

Mężczyzna z tupotem zbiega ze schodów. Opada obok mnie na kolana. Thomas – myślę, ale potem marszczę brwi, bo przysięgłabym, że to nie jest właściwe imię. Tim. Tyler. Travis. Todd. Mężczyzna z setką imion – myślę sobie. Co absolutnie ma sens, bo ja jestem kobietą z setką duchów.

Dotyka mnie. Moich ramion, kolan, bioder. Jego dotyk jest lekki, delikatny, bada mnie, boi się, że coś sobie zrobiłam.

– Nicky, odezwij się.

– Światło – szepczę, a może jęczę, oczy uciekają mi do tyłu.

– Chyba uderzyłaś się w głowę. Jest trochę krwi. Spadłaś ze schodów? Chyba rozbiłaś sobie czaszkę o beton.

– Światło – jęczę ponownie.

Zrywa się, wyciąga światło, a mnie ogarnia błogosławiona ciemność. Zapala inne światło, gdzieś za mną, pewnie w pralni, delikatna poświata, która umożliwia dalsze oględziny.

– Skarbie, możesz się ruszyć?

Udaje mi się poruszyć palcami stóp, unieść rękę, nogę. Na więcej mnie nie stać.

– Jak się znalazłam tu na dole? – pytam.

Ale on nie odpowiada.

– Powiedz, jak masz na imię? – żąda.

– Natalie Shudt.

Mruga oczami. Może mi się wydaje, ale chyba jest zdenerwowany.

– Jak się znalazłam tu na dole? – próbuję jeszcze raz.

– Możesz policzyć do dziesięciu?

– Oczywiście, Theo.

Znowu to dziwne spojrzenie. Liczę. Lubię liczyć. Liczenie uspokaja. Liczę do dziesięciu, potem z powrotem, a wtedy...

– Toby, masz na imię Toby.

– Thomas...

– Tobias.

– Cii... Już, cii... Muszę przez chwilę pomyśleć.

Leżę na podłodze w piwnicy. Czuję pod karkiem i ramionami twardey beton. Powinnam zawołać, sprowadzić pomoc.

Och, jest tu mężczyzna. Tyler.

– Nazywasz się Nicole Frank – mówi mi.

– Natasha Anderson – odpowiadam.

– Jestem Thomas, twój mąż. Jesteśmy małżeństwem od dwudziestu dwóch lat.

– Trenton – mówię śpiwnie.

– Dopiero się tu przeprowadziliśmy. Jesteśmy ze sobą szczęśliwi. I... – patrzy na mnie surowo – nie mamy dzieci.

– *Ted, Teddy, Tim, Tommy. Ta-dam!*

– *Chyba powinienem zabrać cię do szpitala. – Wyraźnie go to martwi. – Nicole...*

– *Nancy!*

– *Nicole, musisz coś dla mnie zrobić. Po prostu... nic nie mów, okej? Niech lekarze robią swoje. A ty skup się na tym, żeby poczuć się lepiej. Ja będę odpowiadać na ich pytania i wszystkim się zajmę.*

– *Vero! – wołam.*

Zamyka oczy.

– *Nie teraz. Proszę. – A potem: – Skarbie, po co tutaj schodziłaś? Dzisiaj nie jest dzień prania.*

Patrzę na niego. Nic nie mówię. Kim jest ten człowiek? – zastanawiam się nagle. A później, jeszcze intensywniej: Kim ja jestem? Nicole-Natalie-Nancy-Natasha-Nan-Nia-Nannette. Jestem wszystkimi. I nikim.

Jestem listopadem – myślę. Najsmutniejszym miesiącem w roku.

– *Wszystko będzie dobrze – mówi mi Thomas-Tyler-Theo-Tim-Trenton. – Zajmę się tobą. Obiecuję. Tylko muszę wiedzieć jedną rzecz. Gdy byłem w warsztacie, przysięgłbym, że słyszałem auto. Czy ktoś przyjechał z wizytą, Nicole? Czy wpuściłaś kogoś do domu?*

A gdy nie odpowiadam:

– *O mój Boże, to był detektyw, tak? Mimo że cię prosiłem.*

Wciąż nic nie mówię. Nie muszę.

Kocham tego mężczyznę. Nienawidzę go. Jak on ma na imię, jak on ma na imię, jak on ma na imię? Ted-Tom-Tim-Tod-Tyler-Taylor-Tobias...

Mężczyzna wzdycha ciężko.

– *Och, Nicky – szepcze. – Co ty zrobiłaś?*

Najpierw jest zapach. Gryzący dym w systemie wentylacyjnym SUV-a. Nie mogę się powstrzymać. Wyciągam dłoń. Ale oczywiście Thomasa tu nie ma. Zaciskam ręce na narzucie. I zmuszam się, żeby trzymać się tego momentu.

Muszę pozostać w tym momencie.

Bo zapach dymu, zapach dymu...

Ci dwaj biedni policjanci – myślę bezradnie. Oni jeszcze nie wiedzą, co to szaleństwo.

Jedziemy w spokojnym tempie. Odkąd opuściliśmy miejsce wypadku, od sześćdziesięciu czy siedemdziesięciu minut, kręcimy się po ciemnych wstążkach wiejskich dróg, Wyatt za kierownicą, Kevin zapatrzony w komórkę i ja. Ale teraz, gdy coraz mocniej czuć dym i zaczynam widzieć migoczący blask, od którego kręci mi się w głowie...

Wyatt naciska gaz, obaj stają się czujni.

Pozostań w tym momencie – opominam samą siebie. Nie ma żadnego dymu,

żadnego żaru płomieni.

Ani jej krzyków.

Teraz jest teraz. Jestem w tym momencie. I dziś jestem tylko widzem. Najważniejsze stało się kilka godzin temu.

Thomas podał mi narzutę, gdy policjanci czekali na mnie na dole. I powiedział mi, że powinnam ją zabrać.

Ostateczny gest miłości, bo chłopak przynosi ci kwiaty, ale mąż po dwudziestu dwóch latach daje ci to, czego potrzebujesz najbardziej. Głębia wszystkich spędzonych wspólnie lat. To, jak dobrze się wzajemnie poznaliśmy, pomimo kłamstw.

Thomas dał mi moją narzutę z wpiętą w nią ostatnią rzeczą, której utraty bym nie zniosła: zdjęciem Vero. Tajemnicą, którą mu wykradłam, a potem wsunęłam pod swój materac. Wyczułam je kilka razy tego wieczoru, przyczepione do rogu koca.

Pożegnalny podarunek od mężczyzny ze zbyt wieloma imionami dla kobiety o jeszcze większej liczbie imion.

Zapach dymu.

Ja wyciągająca dłoń do męża.

Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Och, Thomas, tak bardzo przepraszam.

Widać już mój dom. Strzelający płomieniami i otoczony wozami strażackimi.

– Co do diabła... – zaczął Wyatt, gwałtownie hamując tuż za wozami ratowniczymi. Odwraca się na fotelu kierowcy i patrzy na mnie złym wzrokiem. – Wiedziała pani o tym?

Kręcę głową, to tylko częściowe kłamstwo.

– Nie widzę auta Thomasa... Cholera! On to zrobił, prawda? Pani mąż podpalił dom, żeby zatrzeć ślady, zanim zniknie na dobre!

Kiwam głową, to tylko częściowe kłamstwo.

Zapach dymu. Żar płomieni.

Jej krzyki.

Zamykam oczy. I myślę, pozostając w tym momencie, że mój mąż miał rację. Powinnam była odpuścić. Powinnam była mocniej starać się być szczęśliwa.

Powinnam była powiedzieć Vero raz na zawsze, żeby zostawiła mnie w spokoju.

Ale oczywiście nie zrobiłam tego. Nie byłam w stanie. A teraz...

– Czego on się tak boi? – Wyatt wali dłońmi w kierownicę.

Więc w końcu mówię mu prawdę.

– Mnie.

Rozdział 21

Tessa nie mogła spać. Rozmowa telefoniczna z Wyattem zdenerwowała ją, nie wspominając o niepokojącym wyznaniu D.D. wczoraj podczas lunchu. I teraz zamiast ułożyć się wygodnie, wyspać i odpocząć, leżała w łóżku, czując ciężar własnego milczenia.

Tessa była bardzo rygorystyczna z natury. Nikomu, nawet Wyattowi, nie powiedziała o wszystkim, co wydarzyło się trzy lata temu. Wtedy postanowiła zrobić to, co trzeba, żeby odzyskać córkę. Tysiąc dziewięćdziesiąt pięć dni potem nadal tego nie żałowała.

Z drugiej strony znaleziono pistolet Purcella. Ewentualny obciążający dowód, przez odcisk palca... Powinna coś zrobić, najprawdopodobniej. Powiedzieć coś? Ale po tych wszystkich latach, co by to miało być? Zrobiła, co zrobiła. Jeśli trzy lata później jakiś technik w laboratorium policji stanowej zdoła to udowodnić, cóż, nawet Wyatt nie pomoże jej uniknąć konsekwencji. Po prostu będzie musiała się z tym zmierzyć. I liczyć na panią Ennis, że zaopiekuje się Sophie.

Jeśli chodzi o Wyatta... Byli ze sobą zaledwie sześć miesięcy. I może go kochała, a on może kochał ją. Ale nie powinien być powiązany z przestępczynią. To nie przysłużyłoby się jego zawodowej przyszłości, nie byłoby dobre dla jego reputacji.

Rygor: nie da się cofnąć tego, co się zrobiło, ale można przynajmniej ograniczyć skutki uboczne.

Ta cecha z pewnością pomogła jej wyróżnić się jako dobremu specjalście od bezpieczeństwa. Klienci byli gotowi drogo płacić za dyskrecję. Taki dobry detektyw jak Tessa zaczyna i kończy sprawę, nie zadając po drodze zbyt wielu pytań. Ani nie przekazuje informacji lokalnej policji. Nawet jeśli sypia z oficerem śledczym.

Wyatt powinien był się tego domyślić, zanim w ogóle zapytał ją, czy zna Nicky Frank. W jej pracy tak się nie da, a on to doskonale wie. Był to więc z jego strony bardzo desperacki ruch.

Ale mimo wszystko Nicole Frank ma za sobą trzy wstrząśnienia mózgu. Jak podkreślił Wyatt, może nawet nie pamiętać, że była klientką Northledge Investigations. Może nie pamiętać, po co Tessa dzwoniła do niej tamtego wieczoru.

Granice – pomyślała znowu. W ich pracy są pewne granice.

Ona sama potrzebuje granic.

Bo D.D. Warren miała wczoraj rację: Tessa wciąż jest samotnym wilkiem. Nawet po tym, jak odzyskała córkę. Nawet po tym, jak się zakochała.

Tessa poddała się i wstała z łóżka. Przeszła przez ciemny dom do kuchni i otworzyła drzwi lodówki. Nie żeby była głodna, tylko po prostu, żeby cokolwiek

zrobić. Wyciągnęła butelkę soku pomarańczowego.

Gdy się odwróciła, Sophie już tam była.

Tessa gwałtownie wciągnęła powietrze. Upuściła pojemnik. Rozlała wokół sok.

– Kurwa!

– Kurka wodna – poprawiła ją automatycznie Sophie.

– Och, nie stój tak. Pomóż mi posprzątać.

Sophie ziewnęła i sięgnęła po papierowe ręczniki. Tessie przypadł obowiązek włączenia górnego światła. Ona potrafiła przebywać sama w ciemnościach, ale Sophie mimo upływu lat zawsze prosiła o zapalone światło.

– Co robisz w kuchni w środku nocy? – zapytała Tessa. Według elektronicznego wyświetlacza na piekarniku była pierwsza dwadzieścia dwie nad ranem.

– Usłyszałam cię.

– Nie mogłaś zasnąć?

Sophie wzruszyła ramionami. Czyli tak jak zwykle. Zbierała kałużę soku gąbką. Tessa poprawiała po niej papierowymi ręcznikami.

– Napijesz się ciepłego mleka? – zapytała. – Mleka nie rozlałam.

Sophie uśmiechnęła się, a Tessa wyjęła mleko z lodówki.

Podgrzała je na kuchence, na małym ogniu, i dodała wanilii do smaku. Stary rytuał z pierwszych miesięcy po tamtej historii, gdy żadna z nich nie mogła spać. Tworzyły wtedy parę wycieńczonych ocalańców, z trudem funkcjonujących i liżących swe rany. Teraz były małą, dziwną rodziną. Lepiej czuły się na strzelnicy, niż prowadząc miłe pogaduszki, i wciąż miały skłonność do kręcenia się po domu w nocy.

– Nadal za nim tęsknisz? – zapytała Sophie. Usiadła przy kuchennej wyspie, gdzie mogła obserwować Tessę przy pracy. Tessa nie potrzebowała wyjaśnienia, by wiedzieć, kogo córka ma na myśli. Minęły miesiące, odkąd ostatni raz o nim rozmawiały. Ale od czasu do czasu Sophie pytała o swojego ojczyma, a Tessa starała się jak najlepiej odpowiedzieć.

– Za Brianem? Czasami.

– Nie za bardzo go pamiętam.

– Kochał cię.

– Zawsze tak mówisz.

– Bo to prawda.

– Ale był chory. Uzależniony od hazardu. Krzywdził nas.

Tessa dokładnie wymieszała mleko, a potem spojrzała na córkę.

– Dlaczego o niego pytasz, Sophie? Czemu nie możesz dzisiaj spać?

– Nie wiem. – Dziewczynka odwróciła wzrok. – Ty, ja, pani Ennis tworzymy idealną rodzinę. – stwierdziła nagle.

– Nawet bez psa?

Twarz Sophie rozjaśnił delikatny uśmiech.

– Ale to chyba tak musi być. Rodziny się zmieniają. Kiedyś było nas troje. Potem dwie. A potem znowu trzy. A teraz... – Spojrzała na Tessę. – Lubisz go, prawda? Wyatt to nie jest jakiś głupi kochaś...

– Sophie!

– Będzie naszym czwartym. Kochasz go?

– Cóż, to chyba pytanie dnia – mruknęła Tessa.

– Kochasz? – drążyła Sophie.

Zawsze była szczerą wobec córki.

– Tak. Kocham.

– Czyli wprowadzi się tutaj. I będę go musiała nazywać tatą.

– Niczego nie będziesz musiała. I nic mi nie wiadomo o tym, żeby się miał przeprowadzać. Pomału.

Teraz Sophie popatrzyła na nią ze zdziwieniem.

– Czemu nie? Skoro go kochasz.

Bo się boję – chciała odpowiedzieć Tessa. Bo „żyli długo i szczęśliwie” nigdy nie wygląda tak, jak to jest przedstawiane w filmach. Zwykle to wcale nie jest zakończenie, tylko początek kolejnej okropnej, nieudanej przygody. Na przyszłości nie można polegać, a przeszłość może się trzy lata później znowu pojawić, żeby cię prześladować.

– Związki wymagają czasu – wyjaśniła w końcu Tessa.

Jej córka skinęła głową, ale nie wyglądała na przekonaną.

– Sophie – powiedziała Tessa, opierając się biodrem o blat. – Czego się najbardziej boisz? – Pomyślała, że wykorzysta nastrój i zada ważne dla nich obu pytanie.

– Ciemności – odparła natychmiast jej córka.

– Chodzi mi o Wyatta. Myślisz, że nas skrzywdzi? Myślisz, że jest złym człowiekiem?

– Nie.

– Lubisz go?

– Lubię policjantów – odpowiedziała po chwili Sophie.

– A ja lubię to, że jest szczerą – dodała Tessa. – Mówi, co zamierza zrobić, i robi tak, jak mówi. Dotrzymuje słowa, tak mówią o nim inni. A wiesz, że uważa, że powinniśmy wziąć pieska?

– Ja też uważam, że powinniśmy wziąć pieska! – Sophie aż się wyprostowała.

– To sporo pracy. Zwłaszcza dla pani Ennis. Ciebie i mnie prawie cały dzień nie ma w domu.

– Będę pomagać. Z samego rana i wieczorem. Może spać w moim pokoju, to

będę mogła jeszcze więcej pomagać.

– Zapytałam panią Ennis – rzekła Tessa. Wiedziała, że pies może zapewnić jej córce poczucie komfortu i bezpieczeństwa. I że dziewczynka miałaby przy sobie kogoś, gdyby Tessa musiała na jakiś czas zniknąć. – Nie oponowała jakoś dramatycznie. Może to byłby fajny pierwszy krok. Moglibyśmy wybrać szczeniaka razem.

– Z Wyattem? – Lekko zachmurzona mina.

– To był jego pomysł.

– Domyślam się.

– Masz zamiar zawsze go nienawidzić? – zapytała z ciekawością Tessa.

– Nie wiem. On chyba jest miły. I szczeniak to super pomysł. Zobaczymy.

– W porządku.

Tessa pomyślała, że wystarczy. Sophie wypije mleko do końca. Obie pójda do łóżek. Ale jej córka znowu spowaźniała.

– A czego ty się boisz, mamó?

Tessa aż się uśmiechnęła. Czegoś poza odnalezioną bronią i jednym jedynym odciskiem palca?

Odstawiła kubek. Popatrzyła na córkę równie poważnie, jak ona na nią.

– Jest takie stare powiedzenie – zaczęła – że jedyną rzeczą, jakiej należy się lękać, jest sam lęk.

– Głupie! Jest mnóstwo rzeczy, których można się bać.

– Wiem, Sophie. Obie wiemy. I wydaje mi się, że to właśnie mnie przeraża. Spędzamy tyle czasu, i ty, i ja, przygotowując się na najgorsze, że obawiam się, że tracimy to, co najlepsze. Spotykam takiego dobrego człowieka jak Wyatt. Ty dostajesz wymarzonego pieska. A mimo to... Wciąż czekamy, że znowu zdarzy się coś złego. To nie jest dobry sposób na życie, wiesz? Musimy nie tylko widzieć dobro, ale też trochę mu ufać. Nauczyć się wierzyć.

Przestać być samotnym wilkiem – pomyślała. Więcej rozmawiać. Zapomnieć o granicach. Ale niektóre nawyki trudno wyrugować.

– I dlatego powinnam mieć szczeniaka – powiedziała Sophie. – Piesek na pewno nauczy mnie ufać.

– I sprzątać kupy.

– Mamó!

Tessa uśmiechnęła się i zmierzwiła córce włosy.

– Dziękuję za mleko, mamó.

– Dziękuję za towarzystwo.

Tessa sprzątnęła kubki. Odprowadziła Sophie do jej pokoju i otuliła kołdrą. A potem wróciła do swojej sypialni, położyła się na łóżku i z powrotem wbiła wzrok w sufit.

Pomimo wszystkich mądrości, którymi podzieliła się z Sophie, prawda była

taka, że kolejna zła rzecz czaiła się już na horyzoncie. Trzy lata temu zastrzeliła człowieka. Nie żałowała tego czynu. Ale martwiła się, że policja znalazła broń.

I wciąż była kobietą, która nikomu nie ufa. Bo dlaczego nie powiedziała Wyattowi, co się dzieje? Dlaczego nie okazała wiary w człowieka, który zawsze był wobec niej uczciwy?

Śmieszne, że kobieta taka jak ona boi się właśnie tego. Wejść do pomieszczenia pełnego uzbrojonych ludzi? Nie ma sprawy. Porozmawiać szczerze i otwarcie z mężczyzną, którego kocha? Może kiedy indziej.

Była jednak pewna rzecz, którą musiała zrobić, i to z samego rana. Powinna zajrzeć do Nicole Frank, podejrzanej przez Wyatta o spowodowanie wypadku pod wpływem alkoholu, i sprawdzić, jak się ma. Bo Tessa wiedziała o czymś, nawet jeśli Nicole tego nie pamiętała.

Przeszłość nigdy do końca nie jest przeszłością.

Potrafi nas dogonić. Zwłaszcza przeszłość tak pełna grzechów, jak przeszłość Tessy.

Albo tak pełna tajemnic, jak przeszłość Nicole Frank.

Rozdział 22

Wyatt kazał Nicky zostać w policyjnym SUV-ie. Miał takie prawo? Nie. Czy miał jakikolwiek powód, żeby ją aresztować? Nie bardzo. Nie mógł jej podejrzewać o podpalenie domu, bo przez cały czas była z nim i z Kevinem. Nawet zatrzymanie za środowowy wypadek byłoby naciągane, biorąc pod uwagę fakt, że jej poziom alkoholu we krwi nie przekraczał dozwolonych ośmiu dziesiątych promila.

Właściwie Nicky Frank mogła sobie pójść, zostawić jego i Kevina i nawet nie obejrzeć się na płonące szczątki domu. Miała do tego pełne prawo.

– Cholera – pomyślał Wyatt po raz trzeci w ciągu ostatnich minut. Nicky przecież była jego jedynym łącznikiem z czymś większym, groźniejszym i o wiele bardziej przestępczym niż wypadek samochodowy.

Zostawił Kevina, żeby jej pilnował, a sam poszedł poszukać komendanta straży pożarnej.

– Co może mi pan powiedzieć? – zapytał starszego mężczyznę, Jerry’ego Wrighta, który przyjechał z dość daleka. Co by nie było, na miejsce zjechały aż trzy jednostki ochotniczej straży pożarnej. To był spory pożar i wymagał odpowiedniej reakcji.

– Zaczęło się w zewnętrznym budynku – odpowiedział Wright rzeczowo. Musieli stanąć w sporej odległości, nie tylko ze względu na strażaków wciąż gaszących ogień przy pomocy węży, ale również dlatego, że od płomieni bił ogromny żar.

– Z pewnością jakaś łatwopalna substancja. Błazniane budynki nie palą się w taki sposób. Ale ten. Cholera.

Wyatt zerknął na tył posesji, gdzie z szarego warsztatu został tylko zwęglony, powykręcany szkielet. Z warsztatu, w którym Thomas miał wszystko do pracy. Ciekawe.

– Kto was zawiadomił? – zapytał Wyatt.

– Sąsiad w końcu zauważył. Ale biorąc pod uwagę tutejsze odległości między domami, paliło się już jakiś czas. Zgłoszenie nadeszło tuż po ósmej. Ale warsztat był stracony od samego początku, dom też niemal cały był już zajęty ogniem. Ktokolwiek chciał to zrobić, zrobił to dobrze.

– Kogoś tu widziano?

– Nie. W domu jest za gorąco, żeby wejść, więc nie mam pojęcia, co znajdziemy w środku. Ale odkąd tu jesteśmy, żadnych oznak życia.

Wyatt pokiwał głową. Nie sądził, by Thomas przebywał na terenie posiadłości. Nieobecność srebrnego chevroleta suburana, cztery godziny wcześniej widocznego jak na dłoni na podjeździe, rzucała się w oczy. Wyatt domyślał się, że Thomas poczekał, aż policja zabierze jego żonę, a potem podpalili

dom i zwiął.

Ale dlaczego?

Nicky twierdziła, że się jej bał, jednak Wyatt był przekonany, że nie mówiła tego w dosłownym sensie. Thomas bał się raczej jej nieokiełzanych wspomnień. Trzy wstrząśnienia mózgu pod rząd najwyraźniej otworzyły w pamięci Nicky jakieś drzwi. A nie wszystko w środku okazało się ładne.

Czyli co takiego Thomas albo Nicky zrobili, że przynajmniej on za wszelką cenę stara się to ukryć? Co istotniejsze, jak to się miało do prawdziwej albo nieprawdziwej, żywej albo martwej tajemniczej dziewczynki o imieniu Vero?

– Za duży żar – powiedział komendant do Wyatta. – Jeśli chcecie więcej informacji, musicie poczekać do rana.

– W porządku. Jakby coś, dajcie znać.

Wyatt pożegnał się i odszedł kilka kroków, żeby przyjrzeć się jeszcze pożarowi. Ogień zajął już cały dach domu. Widok trawionego ogniem budynku był imponujący. Pękały szyby. Jęczał metal. Niesamowity rodzaj destrukcji, który jednocześnie przeraża i zachwyca.

Zaczął się zastanawiać, co widzi Nicky, gdy na to patrzy. Czy jest przestraszona tym, co zrobił jej mąż? Tam musiały być zdjęcia, pamiątki rodzinne, ulubione przedmioty, które teraz na jej oczach zamieniają się w popiół.

Ale gdy wrócił do samochodu, siedziała spokojnie z tyłu, wpatrując się w ogień z twarzą pozbawioną wyrazu.

– Szukamy wozu Thomasa – poinformował Kevina. – Tyle na razie możemy zrobić.

Kevin skinął głową.

– Mówiła coś? – zapytał Wyatt, wskazując na tylne siedzenie.

– Ani słowa.

– Sprawdziła komórkę?

– Ona nie ma komórki. Zgubiła w aucie, pamiętasz?

– To znaczy, że Thomas nie ma się jak z nią skontaktować – mruknął Wyatt.

– Chyba że uzgodnili wcześniej miejsce spotkania.

– Właśnie. Zabieramy ją na komisariat. Dopóki Thomas Frank się nie zjawi, będzie naszą przynętą.

Nicky nie protestowała, gdy zjechali z pobocza i ruszyli w drogę. Nie pytała, dokąd zmierzają, ani nie narzekała, że jest głodna czy spragniona. Siedziała tylko ze wzrokiem skierowanym w okno, z narzutą na kolanach.

Od czasu do czasu Wyatt przyglądał się jej we wstecznym lusterku, próbując rozgryźć, o czym myśli. Wyglądała na zmęczoną. Nic dziwnego. I na chorą. Za chuda, za blada, jakby byle podmuch wiatru mógł ją przewrócić. Ale jej twarz była zamknięta, zupełnie obojętna.

Czy ktoś nie wspomniał już o wstrząsie pourazowym? Po wypadku

kierowca, który przejeżdżał i zatrzymał się, żeby pomóc. Weteran wojenny, który użył tego określenia, jakby chciał dosłownie odnieść się do szoku artyleryjskiego. Patrząc na nią teraz, Wyatt doskonale go rozumiał. Nicky Frank schowała się gdzieś w głębi swojego umysłu. Pytanie, kiedy stamtąd wyjdzie?

Komisariat policji North Country mieścił się w piętrowym budynku z cegły niedaleko więzienia, a jeszcze bliżej miejscowego sądu. Miał w swojej ofercie parking, pobieranie odcisków palców i mnóstwo bzyjących jarzeniówek. Za to żadnego jedzenia. I dlatego Wyatt i Kevin nadłożyli drogi, żeby zahaczyć o McDonalda, jedyne miejsce w okolicy czynne po północy. Nie żalowali sobie: podwójne hamburgery, duże frytki, duże kawy – kalorie, sól i kofeina niezbędne detektywom do przetrwania całej nocy.

Nicky poprosiła o kolejną butelkę wody, głosem, który był zupełnie obojętny. Wyatt pomyślał, że wyglądałaby jak zamieniona w kamień, gdyby nie to, że jej palce delikatnie gładziły koc. Raz za razem. Jakby przesuwająca paciorki różańca – pomyślał. Kobieta zatopiona w modlitwie. Albo odprawiająca pokutę.

Zabrali jedzenie na komisariat. O tej porze nocy trochę się tam działo. Centrum zgłoszeniowe funkcjonowało w tym samym budynku, więc z dołu dochodziły hałasy, zarówno rozmowy telefoniczne, jak i pogaduszki między operatorami w przerwach. Oczywiście zgłoszenia przychodziły o różnych godzinach, o drugiej w nocy były to głównie aresztowania pijanych.

Wyatt i Kevin ostrożnie przeprowadzili Nicky przez główny hol, a potem dalej wąskim korytarzem, omijając to jednego nerwowego ćpuna, to drugiego. Oświetlenie na komisariacie zawsze wydawało się Wyattowi przesadne, jakby miało coś kompensować. Aż mrużył oczy. Bał się pomyśleć, jak to działa na Nicky.

Wreszcie zainstalowali ją w salce konferencyjnej. Nie w pokoju przesłuchań, bo to mogłoby się wydać zbyt agresywnym posunięciem, poza tym Wyatt nie miał przecież żadnych podstaw, żeby ją zatrzymać. Ale nie chciał też prowadzić jej do biura, bo powinna poczuć presję. Jej życie było w rozsypce. Pora zacząć mówić, dla dobra wszystkich.

Nie spojrzała na nich, gdy Kevin podsuwał jej krzesło. Usiadła, cały czas patrząc przed siebie. Koc na kolanach. Butelka z wodą na stole. I czekała.

Już to robiła – pomyślał Wyatt. Komisariaty, przesłuchania, to nie była dla niej nowość. Tak jak on miał swoją strategię, tak ona miała swoją.

Nie śpieszył się. Postawił papierową torbę z McDonalda, a salkę wypełnił jedyny w swoim rodzaju zapach frytek. Kevin zrobił to samo. Potem Wyatt zdjął przykrywkę swojego kubka z kawą, sprawiając, że rozszedł się jej aromat. Owszem, rano będzie tego żałował. Mężczyzna w jego wieku nie powinien tak się odżywiać, ale na razie czuł w ustach eksplozję, soli, tłuszczów i węglowodanów. O drugiej nad ranem trudno o smaczniejszy posiłek.

Kevin się nie krępował, wycisnął keczup na papierek po hamburgerze

i zaczął maczać w nim frytki.

Nicky wciąż się nie odzywała, mimo że siedzieli tak blisko siebie, że Wyattowi wydawało się, że w każdej chwili usłyszą, jak burczy jej w brzuchu.

– Na pewno nic pani nie chce? – zapytał w końcu swobodnym tonem.

Pokręciła głową.

– Mamy tu automaty. Może chipsy albo jakiś baton? Gummy do żucia?

Potrząsnęła głową.

– Nie za jasne światło?

Wreszcie na niego spojrzała. Ma zmęczony wzrok – pomyślał. Więcej, jej oczy wydawały się przepełnione rezygnacją. Niczego nie chciała. Niczego nie potrzebowała. Była po prostu kobietą, która czeka na swoje przeznaczenie.

Wyatta przeszedł dreszcz, na tyle niepokojący, że wstał, zgniótł opakowanie i wyrzucił resztki posiłku. Kawę zostawił. Przy okazji mruknął do Kevina:

– Sprawdź, czy go znaleźli. Cokolwiek, może będziemy mogli to wykorzystać.

Kevin skinął głową, wyrzucił swoje śmieci i wyszedł z salki. Wyatt został sam z Nicky. Ich głównym podejrzanym. Świadkiem. Ofiarą? Może to właśnie go tak męczyło. Minęło już czterdzieści osiem godzin, a on wciąż nie ma pojęcia i to go wkurza.

Gdy usiadł z powrotem, celowo oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu.

– Co się wydarzyło dzisiaj u was w domu? – zapytał.

Jej twarz wreszcie ożyła.

– Skąd mam wiedzieć? Byłam z wami.

– Nie ma pani już domu. Według komendanta straży zniszczenia są całkowite. Spłonęło wszystko, zdjęcia, pani obrazy, ulubiona poduszka... Pyk!

Nic nie odpowiedziała.

– Tak samo warsztat – kontynuował Wyatt. – To cios dla waszej firmy. Wszystkie narzędzia, projekty, materiały. Poszły z dymem. Nie będzie można wykonać zamówień. Klienci będą niezadowoleni. Drukarka 3D niczego już nie stworzy.

Nawet nie drgnęła. Firma to i tak nie była jej działka – pomyślał Wyatt. Tylko Thomasa.

– To pierwszy pożar? – zapytał.

Zmarszczyła brwi, jakby zaczęła wynurzać się z mgły.

– Co ma pan na myśli?

– Te wszystkie miasta, stany i domy, w których mieszkaliście przez lata. Niech pani da spokój, nigdzie nie zagrzaście miejsca.

Znowu zmarszczyła brwi i potarła skronie. A potem wyciągnęła rękę, jakby sięgała po coś. Po kogoś.

Wyatt czekał. Nic nie mówiła. Tylko ta jej zawieszona w powietrzu dłoń. Po

chwili chyba uświadomiła sobie, co robi. Opuściła rękę. Po jej policzku spłynęła łza.

– Szkoda tego domu – drażył Wyatt. – Włożyliście w niego tyle pracy. Odmalowaliście drzwi, zadbalście o ogród. Nie myślała pani o tym, że to może być miejsce, w którym w końcu zostanieie?

– Brakowało mi śniegu – mruknęła ze wzrokiem wbitym w stół.

– Gdzie jest teraz Thomas?

– Nie wiem.

– Powinna pani. Jest pani jego żoną i partnerką w interesach. Jeśli pani nie wie, to kto?

– Ted, Todd, Tom, Tim, ta-dam! – szepnęła.

– Słucham?

– On nie ma rodziny. Nie ma przyjaciół. Nie ma dokąd pójść. – W końcu podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. – Ja też nie mam.

– To bardzo egoistyczne z jego strony, nie sądzi pani?

– Powinien pan zabrać mnie do hotelu.

– Najpierw chcę, żeby mi pani opowiedziała o Nowym Orleanie. Jak się poznaliście?

– W pracy. Na planie filmowym. Pracowałam w cateringu. A on przy scenografii. Powiedział, że czekał trzy tygodnie, żebym odpowiedziała mu cześć. – Wypowiadała te słowa automatycznie. Wyatt miał wrażenie, że słyszał już tę historię, i rzeczywiście tak było. Niemal słowo w słowo to samo powiedział mu Thomas pierwszego dnia w szpitalu.

– Czy Thomas jest z Nowego Orleanu? – zapytał.

– Nie.

– A co go tam sprowadziło?

– Nie wiem.

– Nie wie pani? Przez dwadzieścia dwa lata małżeństwa nigdy go pani nie zapytała, co robił wtedy w Orleanie?

Popatrzyła na niego obojętnym wzrokiem.

– A to miało znaczenie?

– A pani jest z Nowego Orleanu?

– Nie.

– I wy dwoje... tam się tak po prostu spotkaliście?

– Tak.

– Długo wam nie zajęło. Cztery tygodnie, prawda? I wyruszyliście dalej razem, nie oglądając się za siebie. Mieszkacie razem, pracujecie razem, podróżujecie razem, wszystko robicie razem.

– Nic w tym złego.

– Ale dom spalił sam.

– A ja sama rozbiłam samochód. I sama piłam. Może jednak lepiej, żebyśmy trzymali się razem.

– Spotkała pani kiedykolwiek kogoś z jego rodziny? Pośród tych wszystkich przeprowadzek czy zabrał panią kiedyś do rodzinnego domu?

– Nie.

– Dlaczego? Wstydził się pani? Bał się czegoś? Kto nie przedstawia żony swojej rodzinie? Mamie. Tacie. Siostrze. – Wyatt nic nie wiedział o żadnej siostrze. Prowokował tylko, żeby sprawdzić, czy zareaguje, zacznie zadawać swoje pytania.

Ale ona tylko pokręciła głową, nic nie mówiąc.

– Kim pani jest, Nicky? Co tak naprawdę sprowadziło panią i Thomasa do New Hampshire?

– Pragnęliśmy zmiany.

– Pani szuka. Chce czegoś i stara się to znaleźć tak bardzo, że nawet skontaktowała się pani z prywatną firmą detektywistyczną, mimo że mąż prosił, żeby pani tego nie robiła.

Nie odpowiedziała.

– A potem wyjechała pani z domu podczas burzy w środę wieczorem, gdy mąż był zajęty czymś innym, żeby dalej szukać. Śledziła pani kobietę wracającą z pracy ze sklepu z alkoholami aż do jej domu. Stała pani na deszczu. Obserwowała jej dom. Dlaczego? Czego szuka pani tak bardzo, że gotowa jest pani robić to za plecami męża? I co pani zrobiła, że tak się zdenerwował, że spalił cały wasz majątek?

– Nie cały. – Poklepała koc, który wciąż równo złożony leżał na jej kolanach.

Wyatt umilkł, obserwował ją.

– Ma pani rację. Koc. Nosi go pani ze sobą całą noc. To on go pani dał, prawda, Nicky? Powiedział, żeby go pani wzięła.

Zaskoczyło go, że jej oczy wypełniły się łzami.

– Nie wiedziałam, co zamierza. Nie wiedziałam. Ale teraz myślę, że to planował. I dlatego kazał mi zabrać ze sobą narzutę.

– Dlaczego? Co jest takiego szczególnego w tej narzucie?

Wzruszyła ramionami.

– Potrzebuję jej. W te smutne dni. Wtedy mogę poczuć jej zapach. Trzymam ją blisko i mogę ją poczuć, a to przynosi mi pociechę.

– Poczuć kogo?

– Nie wiem.

– Vero?

– Nie sądzę.

– A więc kogo? Do diabła, Nicky! – Wyatt uderzył w stół. – Dość tych połowicznych odpowiedzi. Kogo szukasz? I co, do cholery, znalazłaś, że twój mąż

wystraszył się na tyle, żeby wzniecić pożar? Pora na odpowiedzi. Zaczynj mówić.

– Ale ja nie wiem!

– Owszem, wiesz! Gdzieś w tej swojej pomieszanej głowie wiesz wszystko. Pomyśl. Przypomnij sobie. Twój mąż zniknął, a z domu została kupa popiołu. Jesteś tylko ty, Nicky. Całkiem sama. Nie masz dokąd pójść. Chcesz nadal być tu ofiarą? Przestań zwlekać i pomyśl!

Drzwi do salki konferencyjnej otworzyły się. Nicky aż podskoczyła. Wyatt odwrócił się, poirytowany, że ktoś przeszkadza. Ale spostrzegł napięcie na twarzy Kevina. Natychmiast wstał, gdy młodszy detektyw podszedł i wręczył mu spięty zszywaczem plik kartek.

– Przyszło dzisiaj – powiedział ostrożnie Kevin. – Ale nas już nie było, więc Gina zostawiła na moim biurku.

Wyatt zerknął na raport ze laboratorium stanowego dotyczący śladów krwi w samochodzie Nicky Frank. Pierwsza strona wydawała się na pierwszy rzut oka bez sensu. Dopiero gdy przetrawił drugą, a potem trzecią i czwartą...

Spojrzał na Kevina, jakby oczekiwał, że ten zaprzeczy.

Zamiast tego detektyw powoli skinął głową.

– Owszem. Też tak zareagowałem. Ale tak właśnie jest. Wszystko się zgadza.

Razem odwrócili się i popatrzyli na Nicky, która obserwowała ich z zainteresowaniem.

– To prawda – szepnął Kevin. – Na Boga, to prawda.

Wyatt się nie odezwał. Wrócił do stołu. Odsunął krzesło i usiadł. A potem położył raport przed sobą i przesunął go w jej stronę.

– Nicole Frank – powiedział spokojnie. – Poznaj Vero.

Rozdział 23

– Wiedziałaś? – pyta mnie Vero. Jesteśmy z powrotem w sypialni w wieży, pijemy whisky z malutkich filiżanek.

– Myślę, że jakaś część mnie wiedziała – odpowiadam.

– Przystaniesz mnie teraz odwiedzać? W końcu mnie zostawisz?

– Nie wydaje mi się, żeby to było takie proste.

– To prawda. Nie wspominając o tym, że zapomniałaś o wielu szczegółach.

Jak na zawołanie w pokoju zjawiają się kolejne szkielety. Pyk, pyk, pyk. Jeden, dwa, pięć, więcej, niż mogę policzyć. Zapełniają każdą dostępną przestrzeń, przykucają na otulonym gazą łóżku, podpierają ściany, wspinają się po krzewie róży. Wszystkie mają na lśniących białych kościach kwieciste sukienki. Jeden z nich uśmiecha się do mnie bezzębnie. Macha ręką, niczym dawno niewidziany przyjaciel, obietnica z krainy śmierci.

– Nie mogę – szepczę gorączkowo. Filiżanka w mojej dłoni zaczyna drżeć. – Nie mogę. To zbyt wiele. Ja nie chcę pamiętać! Chcę, żeby to wszystko zniknęło.

Vero dolewa whisky do mojej porcelanowej filiżanki.

– Nie wydaje mi się, żeby to było takie proste – mówi.

– Wiedziała pani? – pyta mnie Wyatt.

Wpatruję się w ulotkę o zaginionym dziecku. Veronica Sellers. Lat sześć. Długie brązowe włosy. Jasnoniebieskie oczy. Ostatnio widziana w parku w bostonie.

Hej, lubisz się bawić lalkami? Mam dwie w samochodzie...

Na plakacie powiększone zdjęcie uśmiechniętej dziewczynki. Dotykam jej włosów – nie mogę się oprzeć. Zaglądam głęboko w szare oczy.

Jedno z niewielu jej zdjęć, jakie miała jej matka. Wiem to bez pytania. Zrobione polaroidem po tym, jak wspólnie upiekły ciasteczka. Matka była całe tamto popołudnie w dziwnie dobrym humorze. Wzięła polaroid i powiedziała: „Hej, kochanie, uśmiechnij się!”. Vero aż zachichotała z radości na tyle uwagi, a później podziwiała, jak w tajemniczy sposób z aparatu wysuwa się zdjęcie.

Zaraz potem na korytarzu na dole rozległy się kroki.

Veronica Sellers. Lat sześć. Długie brązowe włosy. Jasnoniebieskie oczy. Ostatnio widziana w parku w bostonie.

Przewracam stronę. Teraz trzy zdjęcia. Jedno z plakatu o zaginionym dziecku, a potem drugie, postarzone do dziesięciu lat. Rysy wyraźniejsze, bardziej określone. Ale wciąż wielki uśmiech, jasność w oczach.

Nie – chcę im powiedzieć. To nie tak. Vero nigdy się nie uśmiechała, gdy miała dziesięć lat. Jej oczy wcale tak nie wyglądały. W wieku dziesięciu lat była już twardą profesjonalistką.

Trzecie, ostatnie zdjęcie. Postarzone do szesnastu lat. Nie więcej, bo i tak znalezienie dziecka po tylu latach byłoby cudem. Ale ktoś pracujący nad tą sprawą, technik komputerowy, zadał sobie ten trud.

W wieku szesnastu lat wygląda pięknie. Włosy są bardziej miękkie, wiją się wokół wyraźnie zarysowanych kości policzkowych, na nosie odrobina piegów. Wygląda zdrowo. Dziewczyna z sąsiedztwa. Nastolatka, którą wynająłbyś do opieki nad dziećmi.

Tego zdjęcia też dotykam. Myślę o strugach deszczu, zapachu wilgotnej ziemi i ucisku w piersiach. Pamiętam, jak to jest czuć śmierć.

Veronica Sellers. Lat sześć. Długie brązowe włosy. Jasnoniebieskie oczy. Ostatnio widziana w parku w bostonie.

– Rozpoznaje pani te zdjęcia? – pyta mnie Wyatt.

Nie mogę odpowiedzieć. Nawet w obliczu dowodów wciąż nie mogę potwierdzić tego, co oczywiste.

W końcu Wyatt robi to za mnie.

– To pani jest na tych zdjęciach, Nicky. Odciski palców pobrane z pani auta potwierdzają to. Nie nazywa się pani Nicole Frank, tylko Veronica Sellers i zaginęła pani ponad trzydzieści lat temu.

Detektywi mają do mnie pytania.

– FBI też chce z panią rozmawiać – mówi Wyatt.

Nie jestem pewna, czy to ostrzeżenie czy groźba. Lepiej mówić teraz, w towarzystwie „przyjaciół”? Czy poczekać na chmarę garniturów, niekończący się szereg obcych ludzi, którzy będą chcieli po wielokroć słuchać mojej historii, twierdząc zgodnie, że mają na względzie przede wszystkim moje dobro?

Kevin usiadł przy stole. Znowu mnie zapytali, czy czegoś nie potrzebuję. Jedzenia, przekąski, kolejnej butelki wody?

Myślę sobie, że butelka glenlivet byłaby w sam raz. Narzutę mam na kolanach. Skupiam się na miękkości materiału pod palcami. Zastanawiam się, co powie, gdy w końcu usłyszy nowinę.

Hip, hip, hurra? Czy trzydzieści lat potem to zbyt późno, by powitać swoje martwe dziecko z powrotem w domu?

– Pamięta pani imię Veronica? – pyta Wyatt, gdy odrzucam wszystkie ich propozycje i siedzę tam, nic nie robiąc, bo cóż mam do zrobienia?

Kręcę głową.

– Kiedy ostatni raz go pani użyła?

– Vero ma sześć lat – szepczę. – Zniknęła. Nie ma jej.

– Z parku – podpowiada Wyatt.

– Starsza dziewczynka zaprosiła ją, żeby pobawić się lalkami. Vero wie, jak powinna się zachować. Mama zabroniła jej rozmawiać z nieznanymi. Ale ta starsza dziewczynka jest miła, a Vero jest samotna. Chciałaby pobawić się lalkami.

Chciałaby mieć przyjaciółkę.

Detektywi wymieniają spojrzenia.

– Co się potem stało z Vero? – pyta Wyatt.

– Pojawia się kobieta. Ma ściągnięte do tyłu jasne włosy. I bardzo ładne ubranie. O wiele ładniejsze niż to, na co stać matkę Vero. Ma w ręku igłę. A potem wbija ją Vero w ramię, gdy ta stoi tam, czekając, aż zobaczy lalki. I tyle. Starsza dziewczynka rekrutuje. A Vero zostaje zrekrutowana.

– Ta kobieta i dziewczynka, one porywają Vero?

– Zabierają ją samochodem.

– I nikt tego nie zauważa – mruczy Wyatt, ale w stronę Kevina. Muszą mieć tę informację z teczki sprawy, bo Vero nie ma o tym pojęcia. W momencie gdy igła przebiła jej skórę, Vero nie ma. Zniknęła.

– Dokąd ta kobieta i dziewczynka zabierają Vero? – pyta Wyatt.

– Vero przeprowadza się do domu dla lalek. Ciemnoczerwone ściany, piękne witrażowe okna, kwieciste dywany. Ma swoją własną sypialnię, z namalowaną na ścianie pnącą się różą. Na początku płacze, ale kobieta wprowadza ją do środka, a potem odwraca się, wychodzi i zamyka drzwi. Vero nigdy nie widziała tak pięknego pokoju. Łóżko całe dla niej, otulone mnóstwem gazy. Drewniany stolik zastawiony prawdziwą porcelaną, a przy nim cztery krzeselka z misiem i lalkami. Nawet dywan jest miękki i puszysty. Vero zastanawia się, czy została adoptowana przez chrestną wróżkę. Przyjechali ją zabrać i choć wołałaby, żeby nie przysyłali po nią kobiety z igłą, podoba jej się ten pokój. Podoba jej się ten dom. Może jeśli naprawdę mocno się pomodli, ona i jej mama będą mogły tu zostać.

– Mama Vero przyjeżdża?

– Nie. Wraca tamta kobieta. Teraz jest ubrana cała na czarno, mocno rozjaśnione włosy ma upięte, a na szyi gruby sznur pereł. Jest piękna, ale straszna. Jak porcelanowa lalka, na którą można popatrzeć, ale nie wolno dotknąć. Mówi Vero, że jest ich nowym gościem. I że będzie miała teraz na imię Holly. I że zawsze będzie nosić sukienki. I będzie robić to, co jej każą. Odzywać się tylko wtedy, gdy zapytają. A potem kobieta daje Vero nową sukienkę. Różowo-srebrne falbanki. Vero... Holly?... podoba się ta sukienka. Uważa, że jest śliczna. Ale jest zdenerwowana. Nie wie, co robić, więc się nie rusza. Kobieta podchodzi bliżej. Bije Vero w twarz. A potem zdiera jej koszulkę. Mówi Vero, że śmierdzi. Mówi jej, że jest głupia, brzydka i brudna i że jakim trzeba być niewdzięcznym dzieckiem, żeby nie chcieć takich pięknych ubrań. A później podnosi nową sukienkę i ją też rozdziera na pół. Jeśli masz zamiar tak się zachowywać... – mówi do Vero... Holly... – to będziesz chodzić nago. Zabiera wszystkie ubrania Vero, nawet majteczki. I wychodzi. A Vero siedzi pośrodku pięknego pokoju, naga i samotna. Przez wiele, wiele dni. Płacze za mamą – szepcąc. – Ale mama się nie zjawia.

– Co się dzieje potem? – pyta ostrożnie Wyatt.

– Vero się uczy. Nosi to, co jej każą. Odpowiada na imiona, jakie jej nadają. Odzywa się tylko pytana. Lekcje są codziennie. Niektóre są jak w szkole, czytanie, matematyka, podstawy. Inne dotyczą ubioru, uczesania i makijażu. Jest też muzyka, kultura, sztuka. Uczy się. Codziennie. Stara się, bo pokój jest piękny, sukienki śliczne, a gdy dobrze się sprawuje, kobieta ją chwali. Ale gdy coś zrobi źle... Jest samotna. Poza lekcjami z kobietą, śpi sama, budzi się sama, siedzi w pokoju sama. Zaczyna opowiadać sobie historie. O tym, gdzie kiedyś mieszkała. O kobiecie, która kiedyś ją kochała. O życiu przed tym pokojem. Czy dni przechodzą w tygodnie, tygodnie w miesiące, a miesiące w lata? Trudno to stwierdzić w domu dla lalek. Jest tylko teraz. Wszystko inne przestaje istnieć.

– Co dalej? – pyta Wyatt.

– Wreszcie kończy lekcje. Jest wystarczająco duża i umie już dość. Wtedy przychodzą mężczyźni. A ona żałuje, że się uczyła. Ale nie walczy, nie protestuje, nie narzeka. Już wie, że to nie mężczyźni są prawdziwym zagrożeniem. To madame Sade powinna się bać.

– Ta kobieta, madame Sade, prowadzi burdel? – pyta wprost Wyatt. – Uczy dziewczynki, a potem sprowadza klientów?

– Naszym zadaniem jest ich uszczęśliwić.

Detektywi wymieniają spojrzenia. Ich też nie przekonuje eufemizm używany przez madame Sade.

– Może pani powiedzieć coś więcej o madame Sade? – pyta Kevin.

Moje wargi drżą. Mocniej zaciskam dłonie na narzucie. Nie mogę mówić.

– Proszę ją opisać – nalega łagodnie Wyatt. – Jak ona wygląda?

– Jak porcelanowa lalka. Piękna, ale straszna.

– Jest w wieku mamy Vero? – pyta Kevin.

– Starsza. Chyba po pięćdziesiątce.

– Ma dzieci, męża, przyjaciółkę?

Patrzę na niego, wspomnienia są trudne.

– Niektórzy mężczyźni jej chcą. Ale dziewczęta szepczą: *Uważaj, czego pragniesz.*

– Ktoś jeszcze tam rządzi? – pyta Wyatt.

Kręcę głową.

– To dom madame Sade. Ona ustanawia reguły. I ona wymierza kary.

– Ile jest tam dziewcząt?

– Nie wiem. Dopóki Vero nie skończy dwunastu lat, jest zamknięta w pokoju w wieży, cenny kwiatusek, rzadkość.

Kevin odwraca wzrok. Z twarzy Wyatta trudno coś wyczytać, ale nie szkodzi. Jestem zbyt zagubiona w ponurych korytarzach swojego umysłu, żeby zwracać na niego uwagę.

– A co dzieje się, gdy ma już dwanaście lat? – pyta.

– W domu dla lalek są inne piętra. Vero przeprowadza się na dół, do mniejszego pokoju, który dzieli z inną dziewczynką. Chelsea jest starsza i nie cieszy jej towarzystwo Vero. Kradnie Vero kosmetyki, wycina dziury w jej sukienkach. Nie pozwala Vero spać na łóżku. Wyznacza jej miejsce na dywaniku. Vero nie jest już sama, ale wciąż jest samotna. Za to ma swoje historie. Szepcze je noc w noc. Dawno, dawno temu, w tajemniczym królestwie żyła magiczna królowa i jej piękna księżniczka...

– Mężczyźni wciąż przychodzą?

– Madame Sade lubi ładne rzeczy. Gdy my uszczęśliwiamy mężczyzn, ona dostaje ich więcej.

– Może pani opisać klientów? – pyta Wyatt.

Wzruszam ramionami.

– To mężczyźni, którzy mają dobrą pracę, noszą ładne ubrania i mają świetne znajomości. Madame Sade nie pozwala byle komu przychodzić się pobawić.

– Czy rozpoznałaby ich pani, gdyby ich zobaczyła?

– Naprawdę pan myśli, że patrzyłam im w twarz?

Wyatt rumieni się i siada.

– Może pani opisać tamten dom? – pyta Kevin.

– Korytarze ze sklepieniami sufitami, marmur w salonie. Niekończący się ciąg pięter, skrzydeł, wieżyczek.

– Rezydencja? Jak zamek czy raczej w stylu wiktoriańskim?

Masuję sobie skronie.

– Wiktoriańskim – szepczę.

– Wolno było pani wychodzić z tego domu? – kontynuuje Kevin. – Może nam pani coś powiedzieć o otoczeniu? Czy były tam jakieś znaki drogowe, inne budynki w pobliżu? Albo jakiś las, zbiornik wodny, góry czy cokolwiek charakterystycznego w krajobrazie?

Potrząsam głową. Czoło mnie pali. Znajome mdłości wracają. Nie chcę już tej rozmowy. Nie chcę już tych wspomnień.

– Vero... Nicky. – Wyatt próbuje odzyskać moją uwagę. – To, co pani opisuje, wygląda na bardzo wyrafinowaną szajkę pedofilską. To grubsza sprawa. Rozumie to pani? Niektórzy z tych ludzi mogą wciąż wykorzystywać dzieci. Takie zorganizowane działania, jakie pani opisała, zwykle rozrastają się z czasem i stają jeszcze bardziej skomplikowane. Tak jak w mafii. Trzydzieści lat później dawny don może już być na emeryturze, ale interesy prowadzi dla niego całe pokolenie młodych pułkowników. Tamto miejsce... Musimy je odnaleźć.

Wpatruję się w niego. On nie rozumie. Jego słowa nic dla mnie nie znaczą. Nie mogą nic dla mnie znaczyć. Gdyby nie te trzy wstrząśnienia mózgu, przenigdy

nie pozwoliłabym tym wspomnieniom wrócić.

Wzdycham. Nie mogę się powstrzymać. Jestem taka zmęczona. Jestem wykończona, boli mnie głowa, a to, o co on mnie prosi...

– Vero ma sześć lat – szepczę. – Znika. Nie ma jej. Nie możecie jej już pomóc.

Wyatt uważnie mi się przygląda.

– To dlaczego wciąż jej pani szuka?

Na moment moje oczy wypełniają się łzami.

Nie zostawią mnie. Chcą tego, co wydaje im się, że wiem: szczegółów, wspomnień, które ułatwią im śledztwo, choć zniszczą moją psychikę. Trzydzieści lat temu zniknęła mała dziewczynka. A teraz na jej miejscu jest dorosła kobieta. Policjanci tego nie odpuszczają. Thomas to wiedział. I dlatego podpalił dom.

Problem z zadawaniem pytań – starał się mi powiedzieć – polega na tym, że nie możesz kontrolować odpowiedzi.

Zapach dymu. Żar ognia.

Moja ręka, wciąż wyciągnięta, by go znaleźć.

– Vero ma dwanaście lat – zaczyna znowu Wyatt. – Nie mieszka już w pokoju na górze. Gdzie ona jest?

Ale ja już się w to nie bawię. Wspomnienia są zbyt trudne, a ja jestem zbyt zmęczona.

– Cii... – mówię. – Cii...

Najpierw wydaje mi się, że nie posłuchają. Albo nie zwrócą uwagi, przecież pracują właśnie nad sprawą. Ale Wyatt przerywa i przygląda mi się uważnie, chyba nawet ze współczuciem.

– Jedno pytanie? – targuje się.

– Ostatnie.

– Jak wydostała się pani z tamtego domu, od madame Sade?

Patrzę na niego. Wydaje mi się, że odpowiedź powinna być oczywista. Ale najwyraźniej nie jest, więc mówię mu prawdę.

– Vero w końcu nauczyła się latać.

Rozdział 24

Wyatt i Kevin wyszli z salki konferencyjnej. Pytania, jakie chcieli jeszcze zadać, musiały poczekać. Nicky położyła narzutę na stole, potem przyłożyła do niej głowę i już. Była tak wykończona, że natychmiast zasnęła.

Detektywi mieli teraz chwilę, żeby ochłonać.

– Drodzy państwo – powiedział Wyatt, stając na korytarzu tuż za drzwiami – mam wrażenie, że nie jesteśmy już w Kansas.

– Przydałaby się aspiryna – zgodził się Kevin.

– I to nie jedna, czeka nas długa noc.

Nie mogli zostawić Nicky samej w środku komisariatu. Z drugiej strony nie ruszą do przodu, dopóki ona nie odpocznie. Jako ludzie praktyczni usiedli na korytarzu, tuż pod drzwiami, opierając plecy o ścianę.

– Zaczniemy od tego, co już wiemy – zaproponował Wyatt. – Po pierwsze, Nicole Frank to tak naprawdę Veronica Sellers, czego dowodzą odciski palców uzyskane z rozbitego samochodu.

– Twierdzi – podjął wątek Kevin – że trzydzieści lat temu została porwana przez elegancką damulkę i była przetrzymywana przez co najmniej sześć lat, aż się stamtąd wydostała.

– Co myślisz o jej opowieści? – zapytał Wyatt.

Kevin się wahał.

– Wrażenie obojętności? To, że unikała opowiadania w pierwszej osobie, że wszystko przedstawiała z punktu widzenia wszechwiedzącego narratora... Vero zrobiła to... Vero zrobiła tamto... Tak jak w ciężkim szoku. Szczerze mówiąc, nawet dobra aktorka nie umiałaby tego odegrać.

– Wplątała się w to – mruknął Wyatt. – Najpierw ciebie rekrutują, a potem ty rekrutujesz innych.

– Znamy to z zeznań ofiar, tak właśnie działają tego rodzaju organizacje. Kolejny dowód, że Nicky prawdopodobnie mówi prawdę, bo ktoś próbujący tylko udawać ofiarę nigdy by na to nie wpadł.

– No to mamy prawdopodobny trop działającej trzydzieści lat temu siatki pedofilskiej. Bardzo wyrafinowanego burdelu, sądząc po tym, co pamięta Nicky. I bardzo drogiego.

Kevin był bardziej zdystansowany.

– Trop od kobiety, która kilka razy uderzyła się w głowę. Posłuchaj, nie mówię, że jej nie wierzę. Mówię tylko, że to nie jest takie proste.

– Uraz powstrząśnieniowy działa w dwie strony – powiedział Wyatt. – Dobry prawnik może argumentować, że jej kilkukrotne wstrząśnienia mózgu podają w wątpliwość jej wspomnienia. Jednak z drugiej strony fakt, że doznała tyłu

urazów, uprawdopodobnia nagle odzyskanie pamięci.

– Prawnicy nienawidzą odzyskanych wspomnień – odparł obojętnie Kevin. – Sędziowie ich nienawidzą i ławnicy też. Pamiętasz, jak w latach osiemdziesiątych te wszystkie dzieciaki nagle „odzyskiwały” pamięć o tym, że padły ofiarą satanistycznego kultu? Niewinni ludzie poszli siedzieć, aż w końcu ktoś się zorientował, że to banda pseudoekspertów namieszała im w głowach.

– W takim razie jesteśmy zgodni – stwierdził Wyatt. – Same wspomnienia Nicky nie wystarczą.

– Nie. Będziemy musieli potwierdzić każdy szczegół, zaczynając od domu dla lalek. Trzydzieści lat później... To nie będzie łatwe.

Wyatt pokiwał głową. Myślał o tym samym.

– Ile lat ma Nicky? Trzydzieści sześć, siedem?

– Biorąc pod uwagę datę urodzenia Veroniki Sellers, mniej więcej tyle. W każdym razie mieścimy się jeszcze w terminie przedawnienia dla przestępstw seksualnych.

Termin przedawnienia w przypadku przestępstw seksualnych mija dopiero dwadzieścia dwa lata po uzyskaniu przez ofiarę pełnoletniości, jeśli do takiego przestępstwa doszło, zanim ukończyła osiemnaście lat. W tym przypadku mieli czas na złożenie oskarżenia do czterdziestych urodzin Nicky czy też Vero. Ale to nie upływ terminu był decydujący. Wyatt czuł się zobowiązany badać każde podejrzenie przestępstwa, bez względu na to, jak dawno temu do niego doszło. Podczas gdy opinia publiczna skupiała się raczej na dramatyczniejszych przestępstwach – takich jak porwania czy handel ludźmi – to prawda jest taka, że jedno przestępstwo pociąga za sobą następne. Na przykład jest bardzo prawdopodobne, że organizacja zajmująca się handlem ludźmi i sutenerstwem jest także zaangażowana w handel narkotykami, fałszowanie dokumentów, zastraszanie świadków oraz nielegalne przewożenie ofiar pomiędzy stanami. A jeśli zaproszenia na takie prywatne „imprezy” wysyłane były pocztą, to jest to kolejna podstawa do oskarżeń.

Wyatt miał już do czynienia z takimi sprawami, w których nie mógł udowodnić głównego przestępstwa, ale przygważdżał kryminalistów tuzinem drobnych oskarżeń, co w sumie dawało podobny efekt.

– Okej – rzucił szybko. – Zidentyfikowaliśmy Veronicę Sellers, która zaginęła trzydzieści lat temu. Mamy podejrzenie porwania i przestępstw seksualnych. To wystarczający powód do powołania zespołu, a także skontaktowania się z Narodowym Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych. Jak tylko zaczniemy dzwonić w tej sprawie, zrobi się tu gorąco. Więc póki sprawa jest jeszcze tylko między nami, czego nie wiemy?

– Nie znamy przyczyny naszego wypadku – odpowiedział natychmiast Kevin. – I nie wiemy, dlaczego Nicky kontaktowała się z Northledge Investigations

i kogo śledziła w środowy wieczór.

Wyatt mu się przyjrzał.

– Nie domyśliłeś się, kogo Nicky śledziła w drodze ze sklepu z alkoholem do domu? Naprawdę?

Teraz Kevin wyglądał na skonfundowanego.

– A ty tak?

– Oczywiście.

– To kogo?

– Marlene Bilek, naszą miłą sprzedawczynią ze sklepu z alkoholem. Która przypadkiem jest matką Veroniki Sellers.

– Co?

– Teczka, drogi Mózgu. Jej matka nazywała się Marlene Sellers. Jak zgaduję, wyszła ponownie za mąż i zmieniła nazwisko na Bilek. Po to, żeby ją znaleźć, Nicky skorzystała z usług Northledge. I tę informację uzyskała telefonicznie w środę. Detektywi z Northledge wreszcie zlokalizowali jej matkę. A Nicky wyruszyła, żeby się z nią zobaczyć. Zanim zabraknie jej odwagi, pamiętasz?

Kevin się skrzywił.

– W porządku, skoro taki z ciebie geniusz, to może wykoncypowałeś też, dlaczego Thomas Frank podpalił dom? Chodzi mi o to, że jeśli historia Nicky jest prawdziwa, to ona jest ofiarą. Nawet jeśli zaczyna sobie to wszystko przypominać, to chyba nie jest powód, żeby mąż chwycił za zapalki, a potem zwał gdzie pieprz rośnie.

– To faktycznie zagadka – przyznał Wyatt.

– Czy Nicky nie wspomniała, że jej mąż ma zdjęcie Vero? – zapytał Kevin.

– Owszem.

– Jak to możliwe? Skoro zniknęła z Bostonu, gdy miała sześć lat, i spotkała go dopiero po wielu latach w Nowym Orleanie, to skąd mógł mieć takie zdjęcie?

Wyatt chwilę się zastanawiał.

– Może nie spotkali się w Nowym Orleanie przypadkiem. Może on poznał ją wcześniej. W... – zawahał się. – W domu dla lalek.

– Jeśli Thomas jest powiązany z handlem ludźmi – powiedział Kevin – to ma powody, żeby uciekać. Najwyraźniej w głowie Nicky padają kolejne bariery. To znaczy, że im ona więcej sobie przypomina...

– Tym bardziej on ma się czego bać – dokończył Wyatt. – Ta historia o tym, jak się poznali, od razu wydała mi się jakaś fałszywa. I może taka jest. Może prawdziwym zadaniem Thomasa jest mieć Nicky na oku. Dopóki nic nie mówiła albo niczego nie pamiętała, niczego nie musiał zgłaszać i mogli sobie spokojnie żyć. Ale nagle, pół roku temu, gdy upadła ze schodów w piwnicy...

– Zaczęła szukać Vero.

– I wynajęła prywatnych detektywów.

– I zaczęła wymykać się spod kontroli Thomasa.

Wyatt pokiwał głową.

– Nigdy nie mów, że nasza praca to nudy. Okej, musimy zawiadomić szefa, wykonać parę telefonów, zebrać zespół. – Wstał, otrzepał spodnie, ale potem się zawahał. – Kevin, jeszcze jedno pytanie.

– Tak?

– Teczka Veroniki Sellers. Dziewczynka zaginęła w maju, prawda?

– Owszem.

Wyatt spojrział na niego.

– To dlaczego najsmutniejszym miesiącem roku jest listopad?

Wyatt poprosił jedną z policjantek, Ginę, żeby popilnowała Nicky Frank w salce konferencyjnej. On miał zadanie do wykonania. I nie chodziło tylko o pośpieszenie szeryfa, wypełnienie papierkowej roboty czy dręczenie lokalnych funkcjonariuszy, dlaczego wciąż nie znaleźli Thomasa Franka.

Była czwarta nad ranem. Był wykończony i zaniepokojony sprawą, która jakoś wcale nie chciała być gładka, miła i prosta.

Ale był przyzwoitym facetem i nie mógł tak po prostu zostawić Nicky Frank, która nie miała dokąd pójść. Nie wspominając o tym, że starał się być dobrym partnerem, a miał pewne niezłatwione sprawy ze swoją dziewczyną.

Więc zrobił to, co facet taki jak on powinien zrobić. Wziął telefon i wybrał numer.

Tessa odebrała już po drugim dzwonku. Lata telefonów odbieranych w środku nocy robią swoje.

– Halo? – Nawet nie było słyhać znużenia w jej głosie. Był z niej dumny, nic nie mógł na to poradzić.

– Do mnie mówisz? – zapytał.

– Najwyraźniej. U ciebie okej?

– Tak. Myślałem o tych twoich granicach.

– O czwartej nad ranem?

– Taki świat. Kocham cię, wiesz o tym. I szanuję. Podziwiam twoją pracę. I doceniam zasady etyczne.

– Okej.

– A skoro to już sobie wyjaśniliśmy, to pierdolić granice.

– Słucham?

– Chodzi mi o to, że jak chcesz je mieć, to proszę bardzo. Nie ma sprawy. Masz rację. Pewne ograniczenia są czymś oczywistym w naszych zawodach. Ale ty chcesz mieć wszystko ostro wyrysowane. Ścisłe podziały, to pasuje tutaj, a to tam, rach-ciach. Ja tego nie kupuję. Świat jest zbyt skomplikowany. Nasza praca jest zbyt skomplikowana. My jesteśmy zbyt skomplikowani. Ja wolę przerywane linie. Granice z odrobiną elastyczności. I dlatego dzwonię do ciebie, chociaż nie

musiałem.

– Masz cholerną rację, że nie musiałeś dzwonić do mnie o czwartej nad ranem...

– Twoja klientka cię potrzebuje.

– Co?

– Nie chcesz gadać, to chociaż posłuchaj. W środę wieczorem do Nicole Frank zadzwonił ktoś z Northledge Investigations. Więc prawdopodobnie jest waszą klientką. Wiedząc, jak działa twoja frymuśna firma, zakładam, że Nicole zapłaciła sporą zaliczkę...

– Nie będę komentować...

– Przerywane linie, pamiętasz? Dziś w nocy spłonął dom Nicole. A jej mąż zniknął. Jest zupełnie sama i nie ma dokąd pójść. Śpi właśnie z głową na stole w naszej salce konferencyjnej. Przypuszczam, że zaliczka jest wciąż aktualna. A skoro tak, to zakładam, że wasze interesy są zbieżne. Sądzę... Do diabła, Tessa, ta kobieta potrzebuje pomocy. Ja jestem tylko oficerem śledczym. A ona potrzebuje sojusznika.

Tessa nie odpowiedziała od razu, niemal słyszał, jak mocno się zastanawia.

– Dla ciebie byłoby dobrze, gdyby była od ciebie zależna – mruknęła w końcu. – Bardziej prawdopodobne, że wszystko by ci powiedziała. A nawet pomogła w odszukaniu jej męża.

– Owszem.

– Nic mi nie jesteś winien. To twoja robota. Twoja sprawa. Twoje granice. W końcu mogłaby wpaść na to, żeby zadzwonić do Northledge, ale miałbyś dużo czasu, żeby ją odizolować i naciskać na zeznania.

– Prawda.

– Nie musiałeś tego robić.

– Właśnie.

Kolejna przerwa. Tessa kalkuluje. To zawsze będzie ich różnic, Wyatt zdawał sobie z tego sprawę. On wierzył w swoją intuicję. Ale dla kogoś z taką przeszłością jak Tessa to nie było takie proste.

– Czego chcesz, Wyatt?

– Prawdy. Dlatego zostałem detektywem. Lubię odpowiedzi. A możesz mi wierzyć, że ta kobieta to góra pytań.

– A co jeśli udzieli mi tych odpowiedzi, ale nie pozwoli, żebym przekazała je tobie?

– Przerywane linie to nadal są linie. Wiem o tym.

– Wiesz, dlaczego jej mąż zniknął bez wieści?

– Nie. Ale znam jej prawdziwe nazwisko.

Cisza.

– Czy brzmi Veronica Sellers?

Teraz to Wyatt był zaskoczony.

– Wiedziałaś?

– Nie od początku. Nie po to nas wynajęła. Ale jak zaczęłam w tym grzebać, zaczęłam się domyślać. Tylko to miało jakiś sens. Ale moja praca nie polega na zgłaszaniu podejrzeń. Mogę zrobić jedynie to, do czego wynajął mnie klient. Myślisz, że mąż próbuje ją zabić? Te upadki i rozbity samochód w środę wieczór?

– Nie mam pojęcia. Ale myślę, że jeśli choćby połowa z tego, co Nicky opowiedziała nam o swoim porwaniu trzydzieści lat temu, jest prawdą, to jej życiu zdecydowanie zagraża niebezpieczeństwo.

– W porządku. Już jadę. I Wyatt...

– Tak?

– Dziękuję ci.

Rozdział 25

Budzę się nagle. Gwałtownie prostuję nogi. Podnoszę głowę. Może krzyczę? W ostatniej sekundzie uspokajam oddech, stare nawyki trudno zwalczyć.

Okrągły drewniany stół. Na podłodze szare linoleum. Brzydki podwieszany sufit. Komisariat policji. Zasnęłam z głową na stole konferencyjnym, obejmując jasnożółtą narzutę.

Wyatt i Kevin nie siedzą naprzeciwko mnie. Wyatt stoi przy drzwiach, a obok niego dostrzegam ciemnowłosą kobietę. Ma na sobie eleganckie džinsy, czarne skórzane botki i dopasowaną granatową marynarkę, która podkreśla kolor jej oczu. Coś w sposobie, w jaki stoją obok siebie, przyciąga moją uwagę. Razem, ale osobno. Mam poczucie déjà vu. Thomas i ja.

– Nicole Frank? – pyta kobieta. Ma niski, stanowczy głos, przyzwyczajony do wydawania poleceń.

– Tak.

– Pamięta mnie pani? Nazywam się Tessa Leoni. Rozmawialiśmy przez telefon. W środę wieczorem.

Coś przeskakuje mi z tyłu głowy. Zerkam na Wyatta.

– Sierżant Foster skontaktował się ze mną w pani imieniu – wyjaśnia kobieta, jakby czytała mi w myślach. – Uznał, że w obecnych okolicznościach może przydać się pani wsparcie.

– Pani nie jest prawnikiem.

– Nie. Jestem prywatnym specjalistą do spraw bezpieczeństwa.

Nie mogę się powstrzymać, uśmiecham się.

– Moje życie to taka katastrofa, że aż potrzeba specjalisty.

Kobieta też się uśmiecha. Nie jest piękna, ale jest w niej coś uderzającego. Ostre rysy. Mocna szczęka. Jej uśmiech nie jest delikatny, ale w jakiś sposób uspokajający. Za to postawa nie tyle zrelaksowana, co emanująca pewnością siebie. Nie wygląda na osobę, której przyznano tytuł specjalisty do spraw bezpieczeństwa. Wygląda na kogoś, kto sobie na niego zasłużył.

Zwraca się do Wyatta, a w jego spojrzeniu jest coś, co...

Wpatrywałby się w nią bez końca, gdyby tylko mógł. Tak kiedyś patrzył na mnie Thomas.

– Wnosicie jakieś oskarżenie przeciwko mojej klientce? – pyta.

– Mamy parę pytań...

– Które z pewnością mogą poczekać, aż wykąpie się i zje coś porządnego.

– Proponowaliśmy jej kanapkę i wodę – odpowiada ze śmiertelną powagą

Wyatt.

– Błagam, widziałam, co oferuje wasz automat.

Coś ich łączy. Mam ochotę im powiedzieć, żeby się do siebie przysunęli. Chcę im powiedzieć, żeby mniej mówili, a więcej słuchali. Zatrzymali tę chwilę. Zbiera mi się na płacz. To przez wahania nastrojów – upominam samą siebie – kolejny efekt wielokrotnego wstrząśnienia mózgu.

To nie dlatego, że po raz pierwszy od dwudziestu dwóch lat obudziłam się w świecie, w którym nie ma Thomasa.

Oboje na mnie patrzą. Kobieta nie zadaje pytań. Mówi mi, co teraz zrobimy.

– Pójdzie pani ze mną. Zabiorę panią do hotelu, zamówię jedzenie, skombinuję jakieś ubrania. Jest pani moją klientką, więc proszę pamiętać, że cokolwiek pani powie, zachowam w ścisłej tajemnicy. Ten człowiek nie może pani tego zapewnić, więc radziłabym poczekać z kontynuowaniem tematu, aż będziemy same.

Zwraca się do Wyatta:

– Na ile dyskrecji można tu jeszcze liczyć?

– No nie, nie denerwuj mnie.

– Potrzebujemy czasu – głos Tessy łagodnieje. – Ona potrzebuje czasu. – Wskazuje głową w moją stronę. – Dwadzieścia cztery godziny?

– Nie mogę niczego zagwarantować. Zaginione dzieci to działka federalnych. A dzieci, które w cudowny sposób zjawiają się po trzydziestu latach...

– Bezduszni redaktorzy z kablówek już zacierają ręce...

– Właśnie.

Tessa nie odzywa się, dopóki nie opuścimy budynku komisariatu. Prowadzi mnie prosto do ciemnego SUV-a lexusa z tapicerką z jasnobrązowej skóry. Przypomina mi się moje audi. Wydaje się takie odległe, auto dla jakiejś innej kobiety w innym życiu, ale na pewno nie dla mnie.

Gdy wsiadamy do SUV-a, zamyka wszystkie drzwi centralnym zamkiem.

– Jak się pani czuje? – pyta bez wstępów. – Jeśli dobrze rozumiem, ma pani za sobą kilka wstrząśnięć mózgu. Czy potrzebuje pani pomocy lekarza? Może trzeba kupić ibuprofen, apap, jakieś plastry, ciastka z czekoladą czy cokolwiek, żeby pani pomóc?

– Przydałby się okład z lodu.

– Da się załatwić. Kiedy pani ostatnio spała?

– A która jest godzina?

– Dziewiąta rano.

– W takim razie przespałam właśnie kilka godzin na komisariacie.

Tessa kiwa głową i wyjeżdża z parkingu.

– Pamięta mnie pani? – pyta, gdy skręca w główną drogę.

– Rozmawialiśmy przez telefon w środę. Ale to nie pani przyjmowała moją sprawę...

– Nie. Spotkała się pani z Diane Fieldcrest. Ale ona utknęła nad inną sprawą.

Ja miałam w tym tygodniu trochę luzu, więc zaproponowałam, że jej pomogę. Szczerze mówiąc, nie zajmuję się zwykle takimi rutynowymi zadaniami. Ale gdy uświadomiłam sobie, kogo pani szuka...

Nic nie mówię.

Tessa zerka na mnie. Jej ręce pewnie trzymają kierownicę.

– Nie ma pani wobec mnie żadnych zobowiązań – kontynuuje rzeczowym tonem. – Skorzystała pani z usług Northledge, żeby znaleźć pewną kobietę. Przyjrzałam się sprawie, znalazłam poszukiwaną informację i przekazałam ją pani. To, co się dzieje potem, to nie nasza sprawa.

Nic nie mówię.

– Nie jest pani do niczego zobowiązana – powtarza. – Ale powinna pani przemyśleć, co pani dalej zamierza.

– Co ma pani na myśli?

– Po pierwsze, jest pani zaginioną osobą, która po trzydziestu latach właściwie powraca z martwych.

Krzywię się.

– Media uwielbiają takie historie. Bardzo się zdziwię, jeśli nie wyniuchają tego jeszcze przed lunchem.

Patrzę na nią. Nie pomyślałam o tym.

– Będą zadawać pytania – ciągnie Tessa. – Począwszy od tego, dlaczego nie ujawniła się pani wcześniej. Skoro była pani wykorzystywana w wieku sześciu lat, a potem uciekła... Dlaczego czekała pani tak długo, żeby skontaktować się z rodziną? Co pani robiła przez te wszystkie lata?

Nie mogę mówić. Serce za mocno mi wali. Czuję ogromny ucisk w piersi. Jak grób – myślę gorączkowo. Oni nie mają pojęcia.

– Nicky, masz kłopoty.

Otwieram usta. Zamykam je. A potem kiwam głową.

– Ja to wiem, ty to wiesz, Wyatt to wie. Szczerze mówiąc, on właśnie dlatego mnie wezwał. A teraz zajmiemy się konkretnymi. Zamelduję cię w hotelu pod fałszywym nazwiskiem. Znajdę ci jakieś ubranie, w tym przysłowiowe okulary przeciwsłoneczne i duże kapelusze. Znajdziemy ci też prawnika, i to szybko. Ale to wszystko nie zmieni faktu, że masz kłopoty. Musisz się rozliczyć z trzydziestu lat. Masz męża, który prawdopodobnie jest podpalaczem. Masz za sobą wypadek samochodowy i możesz być oskarżona o spowodowanie go pod wpływem alkoholu. – Odwraca się do mnie. – Masz rodzinę, Nicky. Masz matkę, która mieszkała przez ostatnie pół roku sześćdziesiąt kilometrów od ciebie, a ty nie dałaś jej nawet znaku, że żyjesz. Nicky, biorąc pod uwagę wszystkich reporterów i znudzonych obywateli, którzy rzucą się teraz na twoje życie: jak się, do diabła, z tego wytłumaczysz?

Nie mam odpowiedzi.

Trzymam narzutę. I po raz kolejny myślę o tym, że to nie latanie jest trudne, tylko lądowanie.

Tessa zawozi nas do hotelu. Nie takiego należącego do dużej sieci, tylko mniejszego, niedaleko miejscowości narciarskiej, gdzie miejsc noclegowych jest dziesięć razy więcej niż lokalnych mieszkańców. Domyślam się, że dzięki temu dziennikarzom trudniej będzie nas wytropić.

Zostawia mnie w samochodzie i idzie wynająć pokój. Gdy wraca, podjeżdża na tył hotelu. Wybrała pokój na piętrze. Naprzeciwko hotelu nie ma żadnych budynków, co znaczy, że nikt, nawet fotograf z lunetą, nas nie zobaczy. Uświadamiam sobie, że zaczynam myśleć jak ona, albo może i tak już to wszystko wcześniej wiedziałam. Tył hotelu jest bezpieczniejszy niż front. Parter jest bardziej dostępny, więc na wyższych piętrach ma się większą kontrolę.

Pokój jest skromny, ale przytulny. Dwa duże łóżka, stosunkowo nowa beżowa wykładzina, płaski telewizor. Obowiązkowy obraz z łosiem na jednej ścianie i zdjęcie zaśnieżonego wierzchołka góry na drugiej. Tak może wyglądać każdy hotel w North Country – myślę – a to znaczy, że jest idealny.

Tessa ma ze sobą małą torbę. A ja mam moją narzutę.

Kładzie torbę na łóżku bliżej drzwi, więc ja odkładam narzutę na drugie.

– Zostaje pani? – pytam. Chodzi mi o to, czy będziemy w jednym pokoju. Nie czułabym się z tym komfortowo. Jakbym zamieniła jeden zestaw strażników – Wyatta i Kevina – na drugi.

Tessa nie odpowiada, tylko siada w nogach łóżka. Zaciągnęła już zasłony. Teraz włącza telewizor, znajduje stację z wiadomościami i przycisza głos.

– Okej, zacznijmy od podstaw.

Nie wiem, co robić, więc też siadam.

– Jest pani głodna?

– Tak mi się wydaje.

– Przyniosę coś pani. Proszę napisać, co pani chce. Zajmę się tym. Ale nie korzystamy z *room service*. Na razie. Przyciąga uwagę.

– Jak długo tu zostaniemy?

– Nie mam pojęcia. Teraz ja: gdzie jest pani mąż?

Decyduję, że wchodzę w tę grę.

– Nie mam pojęcia.

Uśmiecha się.

– Wyjaśnijmy sobie coś. Przypuszczam, że Diane przeprowadziła z panią wstępną rozmowę, ale biorąc pod uwagę syndrom powstrząśnieniowy i fakt, że ledwo pamięta pani, że zdecydowała się na usługi Northledge...

– Jestem pewna, że tak zrobiłam – przerywam.

– Może pani opisać nasze bostońskie biuro?

Staram się, ale nic z tego.

Kiwa głową.

– Właśnie. Więc gdy wynajęła pani Northledge, żeby wysledzić Marlene Bilek, wpłaciła pani sporą zaliczkę, zadatek na pokrycie kosztów poszukiwań. W pani przypadku był to czek bankierski.

Robi przerwę. Ja kończę:

– Nie mogłam wypisać zwykłego czeku. Nie chciałam, żeby Thomas wiedział.

– W porządku. Firmie to nie przeszkadza. Ale prawda jest taka, że potrzebowałam zaledwie piętnastu minut, żeby zlokalizować Marlene Bilek. To znaczy, że zadatek jest właściwie nienaruszony. Biorąc pod uwagę sumę, jaką ma pani u nas na koncie, jest pani klientką w dobrej sytuacji finansowej.

– Okej.

– W związku z czym ja jestem detektywem, który zajmuje się pani sprawą. Jest kilka rzeczy, o których powinna pani wiedzieć. Pierwsza zasada, jaką kieruje się nasza firma, brzmi: pani prywatność jest naszym najważniejszym zasobem. Musi pani być ze mną szczerą. Będę pani mogła pomóc najlepiej, jeśli będzie pani szczerą.

Przyglądam się jej. Chyba zaczynam rozumieć tę grę.

– Ale?

– Ale choć prywatny detektyw może oferować klientowi dyskrecję, to ich relacja nie zapewnia mu immunitetu. Na przykład to, co powie pani lekarzowi albo adwokatowi, jest w sądzie automatycznie chronione. A ja jestem tylko pani detektywem, nie lekarzem czy prawnikiem.

– To znaczy, że może pani zostać zmuszona, żeby ujawnić, co pani powiedziała.

– Tak, mogę zostać wezwana, tak jak na przykład dziennikarz. I mogę chronić, że tak powiem, swoje źródło, co może zostać uznane za obrazę sądu, albo ujawnić uzyskaną informację.

– Obraza sądu to wyrok więzienia. Dlaczego miałaby pani iść za mnie do więzienia?

Tessa przechyliła głowę na bok.

– Nie wiem, Nicky. Dlaczego miałabym iść za ciebie do więzienia?

– Chce pani, żebym była szczerą – mówię w końcu. – Ale też żebym była ostrożna. Dla dobra nas obu.

– Jeśli to sprawi, że poczuje się pani lepiej, postaram się nam obu to ułatwić.

– W jaki sposób?

– Wyatt... sierżant Foster...

– Wyatt. Wy się znacie. Coś was łączy.

– Pracowaliśmy razem.

– Nie zeznaje pani przed sądem – odpowiadam.

Tessa uśmiecha się, ale nie chwyta przynęty.

– Wyatt mówi, że pani twierdzi, że została porwana i była seksualną niewolnicą. W eleganckim domu w stylu wiktoriańskim, prawdopodobnie w okolicach Bostonu. Nazwała go pani domem dla lalek.

– Tak.

– Były tam też inne dziewczęta. Na pewno współlokatorka, ale prawdopodobnie o wiele więcej.

– To był duży dom.

– A klienci, którzy go odwiedzali, to ludzie sukcesu, zamożni. Elita.

Wzruszam ramionami.

– Zboczeńcy trafiają się wszędzie.

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. To był rozbudowany system, tak? Nie była pani ani pierwszą porwaną dziewczynką, ani ostatnią.

Nie mogę spojrzeć jej w oczy.

– Nie.

Kiwa głową.

– Policja będzie szukać tego domu dla lalek. Tego rodzaju działalność, nakłady, jakich wymagała, zaangażowanie wielu osób. Założę się, że już mają pomysły, gdzie zacząć. Ale biorąc pod uwagę pani sytuację, mam inną koncepcję.

– Co ma pani na myśli?

– Nicky, czy kiedykolwiek przyszło pani do głowy, że nie była pani pierwszą dziewczynką, która uciekła?

Nie mogę się powstrzymać. Wytrzeszczam na nią oczy. Nie, nigdy nie przyszło mi to do głowy.

– Może – kontynuuje Tessa – jest was więcej. A to byłoby dobrze, Nicky. W kupie siła. To potwierdziłoby pani opowieść. Zmniejszyło presję. To by po prostu znaczyło, że nie jest pani sama.

Nic nie mówię. Nie mogę oddychać. Inna dziewczynka. Czy to byłoby dobrze? Niczym weteranki? Albo... Nie mogę usiedzieć. Wstaję i zaczynam chodzić w kółko.

– Trzydzieści lat temu – mówi Tessa – praca policji wyglądała inaczej. ViCAP, baza łącząca sprawy kryminalne z całego kraju, była dopiero w powijakach. Narodowe Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych ledwo co założono. Służby podlegające różnym jurysdykcjom miały nawet problem z tym, żeby wymienić się notatkami. A to znaczy, że sześćioletnia dziewczynka mogła zostać porwana w parku tu, dwunastolatka zniknąć ze schroniska tam, a ośmiolatka nie wrócić ze sklepu jeszcze gdzie indziej i nikt by tych incydentów nie połączył. Teraz już to umiemy, a ja chciałabym to wykorzystać.

– To znaczy?

– Mam przyjaciółkę. Detektyw z Bostonu, która ma akurat trochę wolnego czasu. Poproszę ją, żeby sprawdziła zaginięcia dzieci z ostatnich trzydziestu lat z całej Nowej Anglii, może znajdzie jakieś powiązania. Gdyby udało nam się ustalić, o ilu dziewczętach mówimy, w jaki sposób ginęły i skąd, to pomogłoby nam uwiarygodnić pani historię. Pomogłoby też zidentyfikować uczestników tego procederu.

Podchodzę do telewizora. Pocieram ramiona, choć nie wiem dlaczego. Nie jest mi zimno, ale mimo to mam gęsią skórę.

Tęsknię za Thomasem. Zastanawiam się, gdzie teraz jest. Dokąd zmierza i co robi? Nie wiem, czy to byłoby dobrze czy źle, ale chciałabym, żeby tu był.

– Dlaczego prosi pani o to kogoś innego? – pytam. – Nie może pani sama popytać?

Tessa nie odpowiada od razu. A gdy to robi, jej pytanie mnie zaskakuje.

– Wie pani, co to chiński mur?

Zdumiona kręcę głową. Potrzebuję snu. Boli mnie głowa.

– Chiński mur to bariera informacyjna tworzona w firmie z powodów etycznych. Na przykład w firmie prawniczej, jeśli działania w sprawie jednego klienta mogłyby ujawnić informacje, które zaszkodziłyby innemu klientowi, firma tworzy chiński mur. To znaczy, że będą się tymi sprawami zajmować dwa oddzielne zespoły, działające niezależnie i niewymieniające się informacjami, a więc firma będzie mogła obsłużyć obu klientów bez narażania standardów etycznych.

Wciąż niepewna, marszczę brwi.

– Ale ja jestem pani jedyną klientką. Jak zaangażowanie kogoś, kto nie powie pani, czego się dowiedział, może się przydać?

– Ona może tego nie powiedzieć mnie, ale powie pani. – Tessa waha się. Gdy się odzywa, w jej głosie słychać ostrożność. – Northledge to firma detektywistyczna z górnej półki. Z imponującą listą bogatych i szanowanych klientów. A według pani klientami domu dla lalek...

– Byli bogaci i szanowani ludzie – niemal wypluwam te słowa.

– Właśnie. Mogłabym to sprawdzić. Ale to, co mogłabym znaleźć, musiałabym przedstawić szefom... Ten sposób będzie dla nas obu bardziej klarowny. I proszę mi zaufać, detektyw, którą chcę zaangażować, D.D. Warren... Gdyby odkryła, że to sam gubernator wykorzystywał małe dziewczynki, od razu zakułaby go w kajdanki. Jeśli cokolwiek można znaleźć, podjąć jakikolwiek ślad sprzed trzydziestu lat, ona to robi.

Kiwam głową, ale nie czuję się pewnie. Ten chiński mur chroni Tessę i podział bogactw i przywilejów w jej firmie. A ja potrzebuję takiego muru dla siebie. Jakiejś osłony, która ochroni osobę, którą jestem teraz, przed tym, co kiedyś zrobiłam. Tylko że przed tym chyba nie ma obrony. I dlatego większość dni

spędzam na zapominaniu, kim jestem, a jednocześnie na szukaniu Vero.

– Jeszcze jedno – mówi cicho Tessa.

– Tak?

– Pani mama. Może i Thomas zniknął, ale pani ma rodzinę. Nie sądzi pani, że pora się odezwać?

– Pani nie rozumie – szepczę. – Vero ma sześć lat. I nie ma jej. Znika.

Ale wtedy przypomina mi się coś jeszcze. Widok domu z zewnątrz w deszczową noc. Młoda dziewczyna siedząca na sofie.

Otwieram usta. Nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Tessa czeka, aż się odezwę. Jest cierpliwa. Wyatt też jest cierpliwy. Cały świat na mnie czeka.

Mam ochotę położyć się w ciemności, z okładem z lodu na czole. Chcę okryć się narzutą. Zamknąć oczy i być sama z Vero.

Popijać szkocką z filiżanek. Popatrzeć, jak czerwie pełzają po jej lśniącej białej czaszce.

Przeprosić ją raz jeszcze za wszystko, co zrobiłam.

Może tym razem mi wybaczy. Bo nikt nigdy nie wyszedł z domu dla lalek żywy.

– Nicole? – pyta cicho Tessa.

Wspomnienia znów się poruszają. Zimne, ciemne cienie unoszą się i grożą. Nie ma w nich nic pocieszającego, żadnego zrozumienia.

Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że prawda się jeszcze nie objawiła. I że może to wcale nie jest prawda, która mnie wyzwoli. Thomas próbował mnie ostrzec, ale nie słuchałam. A teraz jestem tutaj. I trzęsę się ze strachu. Niemal dławi mnie żółć własnego lęku. Coś czai się w tych ciemnościach.

Po tych wszystkich latach nadal na mnie czeka...

– Nicky?

Głos Tessy dochodzi z oddali. Używam go, żeby się czegoś złapać i wrócić do teraźniejszości.

Chyba dostrzega coś w moich oczach, bo bierze mnie za rękę i pomaga usiąść na skraju łóżka.

– Nicky, wyobraź sobie ten dom dla lalek. Pokój, jakiś mebel, cokolwiek w tamtym domu, a potem zaczerpnij głęboko powietrza i powiedz mi, co czujesz. Ale nie coś niedobrego czy przytłaczającego. Jakiegokolwiek skojarzenie, które przyjdzie ci od razu do głowy.

Zabawne, że wcale nie muszę się wysilać. Gdy tylko to powiedziała, natychmiast poczułam ten zapach.

– Świeżo skoszona trawa.

Tessa nie podaje w wątpliwość mojego wyboru ani go nie komentuje. Po prostu wstaje.

– Muszę załatwić dla nas parę spraw. Proponuję, żebyś wykorzystała ten czas, aby się odświeżyć. Bo jak tylko wrócę, zabierzemy się do pracy.

Rozdział 26

Wyatt zaczął odczuwać skutki nieprzespanej nocy. Siedział w biurze szefa i czuł, że głowa mu opada. Właśnie postarał się jak najlepiej przedstawić sprawę, z której wynikało mnóstwo pytań, a bardzo niewiele odpowiedzi.

– Jesteście pewni, że ta kobieta to Veronica Sellers? – zapytał szeryf Robert.
– Dziewczynka zaginiona trzydzieści lat temu?

– Jeśli wierzyć odciskom palców, to tak.

– Uważacie, że została porwana przez jakąś elegancką damulkę i uwięziona w jej dziecięcym burdeliku, aż w końcu uciekła. Dotarła do Nowego Orleanu, tam wyszła za tego Thomasa i co, zaczęła wszystko od początku? Żyli sobie szczęśliwie przez dwadzieścia dwa lata, aż raptem, pół roku temu, Thomas postanowił ją zabić, z czego wynikły trzy wypadki, a teraz jeszcze pożar domu.

Wyatt pokiwał głową, choć nie do końca podobała mu się taka wyliczanka.

– Czy jednej dziewczynie może się przydarzyć aż tyle nieszczęść? – zapytał szeryf wprost.

– Nie mam pojęcia, szefie.

– Mnie się wydaje, że tak naprawdę macie dwie sprawy. To, co wydarzyło się trzydzieści lat temu. Porwanie, a potem wykorzystywanie seksualne. I oprócz tego macie to, co dzisiaj. Wypadek samochodowy i podpalenie. Oraz zaginięcie męża, jak się domyślam.

– Wysłaliśmy już informację o Thomasie Franku do wszystkich służb, próbujemy też wyśledzić jego telefon. W ten czy inny sposób znajdziemy go.

– Ale na razie go nie macie. Macie za to mnóstwo opowieści z pokiereszowanego umysłu tej kobiety.

– Wiemy, że to nie był zwyczajny wypadek samochodowy – wtrącił Wyatt. – System stabilizacji został wyłączony, bieg przestawiony na neutralny, a samochód prawdopodobnie zepchnięty w dół. A to oznacza, że ktoś musiał być tam na miejscu w chwili wypadku.

– Znowu mąż?

– Który bardzo się opierał przed przekazaniem nam swojego płaszcza przeciwdeszczowego i robił wszystko, żeby odzyskać ubrania żony z tamtej nocy. Myślę, że po to, by ukryć dowody swoich działań. Dodajmy do tego podpalenie własnego domu i ucieczkę natychmiast po tym, gdy się na nim skupiliśmy. Tak, jak dla mnie to on zdecydowanie wygląda na winnego.

– Dlaczego? – zapytał szeryf Robert. – Co się zmieniło przez te dwadzieścia dwa lata? Zapomnijmy o dziwnych opowieściach o porwaniach i burdelach. Zacznijmy od motywów. Dlaczego mąż zabija żonę?

– Pieniądze z ubezpieczenia, zemsta, chce się z nią rozstać, ale nie chce

dzielić się majątkiem. – Wyatt wzruszył ramionami. – Pomyśleliśmy o motywach, wierz mi. Na razie nie widać żadnej polisy ubezpieczeniowej, brak też sygnałów, że któreś z Franków zaangażowało się w związek pozamałżeński. Szczerze mówiąc, szefie, moim zdaniem to, co dzieje się teraz, wiąże się z tym, co stało się trzydzieści lat temu.

– Sądzisz, że Thomas Frank był jakoś związany z domem dla lalek?

– Możliwe. Oczywiście trzydzieści lat temu sam był dzieciakiem. Co sprawę jeszcze utrudnia.

– Też ofiara? Wykorzystywane są nie tylko dziewczynki.

– Nie wiem. Kevin stara się sprawdzić Franków dokładniej. Według tego, co mówił Thomas, poznali się i pobrali dwadzieścia dwa lata temu w Nowym Orleanie. Ale przyjrzelśmy się temu i okazało się, że nazwisko Thomas Frank pojawia się dopiero dwadzieścia lat temu. Jakby przed rokiem tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym nie miał karty kredytowej ani prawa jazdy. To samo Nicole Frank.

– Fałszywa tożsamość?

– Najprawdopodobniej. Dobrze zrobiona, na tyle dobrze, by pobieżna kontrola niczego nie wykazała, ale gdy zacznie się przyglądać szczegółom... Thomas Frank ma oczywiście świadectwo urodzenia. Ale zaistniał dopiero dwadzieścia lat temu.

– Pytaliście o to jego żonę?

– Biorąc pod uwagę stan jej pamięci, wątpię, by taka rozmowa przyniosła efekt i była wiarygodna.

– Czyli tym bardziej trzeba znaleźć Thomasa Franka i przyspilić go.

– Zgadza się.

– Więc jaki jest wasz plan gry? – zapytał szeryf. – Macie zaginionego podejrzanego i ofiarę, która jest w rozsypce. Co teraz?

– Muszę się oczywiście skontaktować z Narodowym Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych. Powiadomić ich o Veronice Sellers. Może mogliby przesłać nam oryginalne dokumenty ze sprawy zaginięcia. Może, przeglądając oryginalne zeznania świadków, znaleźlibyśmy coś, co pomogłoby wyjaśnić to, co się dzieje teraz.

– Owszem – powiedział szeryf, ale kiwał głową w taki sposób, że Wyatt od razu się domyślił, że wcale się nie zgadza. – Powinieneś się z nimi skontaktować, fakt. I może dadzą ci dostęp do jakichś starych akt. Ale pomyśl o tym. Gdy tylko zadzwonisz, zbiorą ekipę w swojej salce konferencyjnej. A ona zlokalizuje północne New Hampshire na mapie. Wieczorem będą już w samolocie. Jutro rano zapukają do naszych drzwi. I może wręczą ci pudło z papierami. Ale z całą pewnością odbiorą ci najlepszego świadka, Nicky Frank, a także całą tę sprawę. Tak po prostu.

Wyatt westchnął, a potem powoli pokiwał głową. Szeryf miał oczywiście rację. Pojawienie się dziecka, które zaginęło trzydzieści lat temu, to prawdziwy news. Konferencja prasowa w najlepszych mundurach, zbieranie wszelkich pochwał przez federalnych. Zwykły prowincjonalny komisariat był bez szans.

– Możecie zlokalizować ten burdel? – zapytał szeryf. – Macie opis, coś konkretnego, co umiejscowiłoby go w naszym hrabstwie, dało jakąś szansę?

– Nic nie mamy – przyznał Wyatt. – Nicky opisała go jako wiktoriańską posiadłość, gdzieś, gdzie można dojechać autem z Bostonu. Burdel prowadziła madame, która wyglądała jak porcelanowa lalka. I mieszkała tam też okropna Chelsea. Tyle wiemy.

– Nie mów tego federalnym.

– Tja.

– Co macie? – nalegał szeryf.

Wyatt był zmęczony. Nie spał całą noc, a kawa dawno przestała działać. Popatrzył tępo na szefa.

– Macie Nicky Frank – odpowiedział za niego szeryf. – Czy też Veronicę Sellers, czy jak tam się ona nazywa. To macie. A oni nie.

– Chodzi panu o najbardziej niewiarygodnego świadka na świecie?

– Cokolwiek się tu dzieje, ona ma do tego klucz. Sprowadźcie lekarza. Sprowadźcie hipnotyzera, terapeutę, kogokolwiek trzeba. Ale zacznijcie naciskać i nie przestawajcie, dopóki nie wydobędziecie z niej konkretnych odpowiedzi, w tym informacji, co się dzieje z jej mężem. Macie mniej niż dwadzieścia cztery godziny na uzyskanie odpowiedzi, sierżancie. Teraz wasza kolej.

Wyatt, wracając korytarzem na piętrze do swojego skromnego biura, mocno się zastanawiał. Nie podobał mu się pomysł z hipnozą. Był tego samego zdania co Nicky. Jej umysł był już dość pokiereszowany. Ale może terapeuta? Specjalista od zespołu stresu pourazowego? Może ktoś tego rodzaju potrafiłby nakłonić Nicky na spacer po ścieżkach pamięci, który przyniósłby wreszcie jakieś odpowiedzi? Tylko jak znaleźć takiego terapeuta i sprowadzić go błyskawicznie na komisariat? Zegar tyka, więc nie ma czasu do stracenia.

Ledwo dotarł do drzwi, zastanawiając się, czy kolejna kawa pomoże, czy raczej zaszkodzi, gdy Kevin wypadł z klatki schodowej naprzeciwko.

– Mamy go.

– Kogo?

– Thomasa Franka. Patrol zauważył jego auto na tyłach motelu, droga trzysta dwa, czterdzieści minut na północ.

Wyatt zapomniał o kawie. Szybko chwycił kluczyki z brzegu biurka i już zbiegali z Kevinem po schodach na parking.

– Rozmawiali z nim? – zapytał Wyatt, kiedy dotarli na parter.

– Nie, dali znać. Byłeś zajęty rozmową z szefem, więc poprosiłem, żeby

tylko obserwowali i nie rzucali się w oczy. Mają się dowiedzieć, który to pokój.

– Idealnie. Dobra. Wezwij posiłki. Będziemy potrzebować wozów patrolowych na północy i na południu, gdyby próbował uciec. Ale teraz to nasza impreza. To my nawiążemy pierwszy kontakt.

Wsiadli do służbowego SUV-a, Wyatt za kierownicę, a Kevin zajął się radiem. Czterdzieści minut na północ. Wyatt doszedł do wniosku, że dojedzie w trzydzieści. I dojechał.

Kevin właśnie zauważył podłużny, pomalowany na biało motel po lewej, gdy srebrny suburban Thomasa Franka wyjechał z parkingu tuż przed nimi.

– Tam, to on! – krzyknął Wyatt. Kierowca nie wydawał się przestraszony, jechał raczej spokojnie. Ale gdy Wyatt włączył koguta, to się natychmiast zmieniło.

Suburban z ośmiocylindrowym silnikiem wystrzelił jak z procy. Thomas Frank najwyraźniej nie zamierzał się łatwo poddać.

– Coś ty narobił, człowieku? – mruknął Wyatt pod nosem. – Bo teraz to już ci lekko nie będzie.

Wyatt przyspieszył, z łatwością nadrabiając dystans. Siedzący obok niego Kevin alarmował już o rozpoczęciu pościgu dwa wozy patrolowe osiem kilometrów na północ. Przemknęli obok stacji benzynowej ze sklepem, restauracji oraz pola namiotowego, a potem nie było już innych oznak cywilizacji i mogli gnać bez przeszkód.

Sto, sto piętnaście, sto trzydzieści kilometrów na godzinę po krętej drodze. Suburban za ostro wszedł w zakręt, zakołysał się na dwóch kołach. Na moment zawisł w niebezpiecznym przechyle, a potem opadł z powrotem na cztery koła i szarpnął niezgrabnie do przodu. Kolejny ostry zakręt w lewo, później w prawo. Suburban zwolnił do stu, by zaraz znowu przyspieszyć do stu trzydziestu.

Wyatt był spokojny i skoncentrowany, jak zawsze w trakcie pościgu. Panował nad oddechem, ręce stabilnie trzymały kierownicę. Był w swoim żywiole. Dobry policjant w tym jest właśnie wyszkolony, on po to żyje.

Natomiast suburban najwyraźniej lawirował bez ładu. Panika, zmęczenie, osłabienie. Thomas Frank wyraźnie się gubił.

Zjechał gwałtownie na lewy pas. Nadjeżdżający z naprzeciwka kierowca zderzył się, ale potem zauważył policyjny wóz i zjechał na pobocze. Lepiej późno niż wcale – jak to mówią.

Suburban skręcił raptownie z powrotem na prawo, przez co poślizg niemal wyrzucił go z drogi. Dwa koła zachrząściły po poboczu, a tyłem mocno zarzuciło.

Wyatt zwolnił i zmarszczył brwi, widząc niekontrolowane manewry uciekiniera. Nagle stracił pewność siebie. Jeśli...

Z przodu pojawiła się ciężarówka z balami drewna. Wyjechała zza zakrętu i sunęła z tym swoim długim, ciężkim ładunkiem prosto na suburbana.

– Ani się waż, ani się waż! – Wyatt krzyknął do Thomasa Franka.

Ale ten z powrotem skręcił autem na przeciwległy pas, jakby rzucenie wyzwania ciężarówce z balami drewna było dobrym pomysłem. Lepszym niż poddanie się lokalnej policji.

Wyatt mógł zrobić tylko jedno. To nie był najlepszy pomysł. Ale w tym momencie...

Wcisnął gaz do dechy, angażując wszystkie dwieście dwa konie mechaniczne. Zrównał się z przyciemnianą szybą od strony pasażera suburba. Nie dostrzegł Thomasa. Nie wiedział, czy jest dziko przerażony, czy śmiertelnie zdeterminowany. I nie miał czasu, by się dowiedzieć.

Kierowca ciężarówki wcisnął hamulce i głośno zatrąbił. Wyatt zbliżył się do suburba. Chrząst i zgrzyt metalu. Czas jakby na moment się zatrzymał, żadne z aut się nie poddało, tylko szczepiły się ze sobą, tworząc bliźniaczy cel dla zbliżającej się ciężarówki. Wyatt zdjął nogę z gazu, jeszcze raz gwałtownie odbił w stronę suburba. I wtedy...

Zepchnął go na lewo. Suburban wyleciał z drogi na wysadzone drzewami pobocze niemal w chwili, gdy ciężarówka z piskiem opon przesunęła się przez miejsce, które przed chwilą zajmował. Wyatt starał się zapanować nad swoim autem, spokojnie, spokojnie, ciach i już był na własnym pasie. Podmuchał powietrze po ciężarówce i kilka wywrzeszczanych przez Kevina słów, których Mózg nie zwykł używać.

Wyatt wdepnął hamulec. Policyjne auto stanęło. Ciężarówka też.

Cały świat stanął.

– Cholera – mruknął.

Kevin chwycił radio i wezwał wsparcie.

Srebrny suburban zderzył się czołowo z drzewem. Ze zgniecionej przodu unosił się dym, dołem wyciekały płyny, jakby w swoich ostatnich chwilach pojazd stracił panowanie nad własnymi trzewiami.

Wyatt ominął auto, żeby dotrzeć do drzwi kierowcy, a Kevin go osłaniał. Słyszeli z oddali dźwięk zbliżających się syren.

Szyba po stronie kierowcy nie była wybita, co stawiało Wyatta w niekorzystnym położeniu. Nie widział dokładnie wnętrza, ale wyglądało na to, że kierowca jest pochylony nad kierownicą. Dał Kevinowi znak, a potem odliczył na palcach. Na trzy Wyatt zrobił płynnie krok do przodu, gwałtownie otworzył drzwi i od razu się za nimi schował.

Kierowca wypadł z auta na ziemię.

– Thomasie Frank, jest pan aresztowany – zawołał głośno Wyatt.

Ale gdy podszedł bliżej, okazało się, że na ziemi leży ktoś inny.

Wyjaśnienie tego zajęło im trzydzieści minut. Pomimo starań lokalnego policjanta Thomas Frank musiał go zauważyć. Zamiast od razu uciec, zapukał do

drzwi pokoju obok i przedstawił się sąsiadowi, Bradowi Kittle'owi, który jarał od samego rana. Gdy obcy facet zaferował mu kluczyki do swojego auta, pomyślał, że to najlepsza rzecz, jaka kiedykolwiek przytrafiła się staremu, dobremu Bradowi. Przyjął je. Kiedy nieznajomy zachęcił go, żeby wypróbował samochód, też się nie ościagał.

Tylko że potem zawyły koguty. Zrobiło się nieciekawie. Przede wszystkim był na haju, i to porządnym. Ano tak, poza tym kierował samochodem, który nie był jego, a prawo jazdy miał zawieszzone. Nawet jego ujarany mózg wiedział, że mogą być z tego problemy.

Więc zaczął uciekać. Zajebicie było, jak w Hollywood – poinformował ich, choć krew kapiała mu z pociętej szkłem twarzy, ale dzięki porannemu sztachowi i tak nie czuł bólu.

– Nawet nie wiedziałem, że suburban tyle wyciąga – oznajmił podekscytowany. – To jak nosorożec z turbodoładowaniem. Bestia biorąca zakręt za zakrętem. Chłopie, myślałem, że zejde. Czad!

Wyatt i Kevin pożegnali miłośnika trawki i wrócili do motelu. Oficer, który zgłosił poszukiwany pojazd, czekał na nich na parkingu, nie mogąc się doczekać wieści. Wyatt i Kevin nie mieli czasu na rozmowę. Mieli numer pokoju Thomasa. Wpadli przez drzwi i znaleźli to, czego się można było spodziewać. Pusty pokój i ani śladu Thomasa Franka.

– Wszystkie pokoje po kolei – polecił Wyatt policjantowi w mundurze. – Niech wszyscy wyjdą. Thomas nie mógł zniknąć. Ukradł jakiś samochód, złapał stopa albo coś innego. Rozmawiajcie ze wszystkimi, aż się dowiecie, jak dokładnie się stąd wydostał. Potem natychmiast mi to zgłóście. Musimy zaktualizować informację o poszukiwanym.

Markotny policjant poszedł wykonać rozkaz.

Kevin wezwał techników, żeby zajęli się pokojem, a potem wrócili do tego, co już mieli: rozbitego suburbana, jedyne go łącznika z Thomasem Frankiem. Obaj zaczęli go przeszukiwać.

Wyatt obejrzał przednie siedzenia, a Kevin tylną kanapę. Podobnie jak żona, Thomas lubił porządek. Żadnych opakowań po jedzeniu, zgniecionych rachunków czy porzuconych map.

W schowku była instrukcja obsługi auta, karta ubezpieczenia i ważny dowód rejestracyjny na nazwisko Thomas Frank. Wyatt podniósł z podłogi czarną czapkę baseballową, która wciąż była wilgotna. Deszcz w środę wieczorem. Może miał ją na sobie, gdy śledził wtedy żonę?

Znalazł też rejestrator opłat autostradowych. Niestety, jedyne opłaty w New Hampshire pobierano na południu hrabstwa, więc nie pomoże im ustalić, jakie lokalne trasy pokonano tym autem.

– Czy tylko mi się tak wydaje – mruknął Wyatt do Kevina, który przeszedł

już do sprawdzania bagażnika – czy też Frankowie są doskonale wyćwiczeni w niepozostawianiu po sobie żadnych śladów?

– Mam coś.

– Dzięki Bogu.

Wyatt zostawił przód i cofnął się do tylnej klapy, przy której stał Kevin.

– W zagłębieniu na zapasową oponę. Pierwsze miejsce do sprawdzenia. – Podniósł coś w dłoniach w rękawiczkach. – Składany szpadel. Niedawno kupiony – dodał, wskazując metkę.

– Ciekawe. Thomas miał zamiar coś zakopać?

– Co prowadzi nas do obiektu numer dwa, brązowej papierowej torby, która... – Kevin zaczął mocno kaszleć. – ...cuchnie szkocką. Ble...

– Ubranie. – Wyatt chwycił torbę. – Założę się, że to ubranie Nicky ze środowiska nocy.

Nałożył rękawiczki, zanim otworzył torbę, która cuchnęła niemiłosiernie. Whisky, mokrą ziemią i czymś jeszcze.

Nie mówili już nic, gdy wyciągał z niej parę pokrytych zaschniętym błotem dżinsów, czarny golf i szary polar.

Poczuł lekkie mdłości, gdy odór stał się bardziej wyraźny. Krew. Zdecydowanie. Zaschnięta. Wsiąkła w materiał, a teraz przesiąkała przez torbę. Z obrażeń, które Nicky odniosła tamtej nocy? Czy skądinąd?

– Wyatt. – Kevin wskazał na jakieś zawiniątko, które wypadło z dżinsów. Pomięte, klejące się, prawie czarne. Z tym że to oczywiście nie była czerń, tylko ciemna, głęboka czerwień.

Wyatt wyjął ołówek, nie śpieszył się. Kawalek po kawałku rozwijał zeszywniały od krwi lateks, aż ukazał się im znajomy kształt. Porwany, poszarpany, ale mimo wszystko jednoznaczny.

Przysłowiowa zakrwawiona rękawiczka.

– Co oni do diabła robili w środę wieczorem – szepnął Kevin – że pozostały po tym składany szpadel i zakrwawione rękawiczki?

Wyatt nic nie odpowiedział.

Rozdział 27

Vero zaplata mi włosy. Nie jesteśmy już w sypialni w wieży. Może to jej nastrój, może mój, ale jesteśmy w małym pokoiku. Z jednym wąskim oknem i dwoma łózkami zsuniętymi razem, bo inaczej by się nie zmieściły. W nogach łóżka leży poprzecierany niebieski dywanik. Obie omijamy go wzrokiem.

Siedzę na jednym z łóżek. Vero klęczy za mną, zgrabnie zaplatając moje długie, ciemne włosy w warkocze. Jednocześnie robi mi wykład.

– Nie możesz im ufać.

Nic nie mówię. Nie ruszam się. Od czasu do czasu ciało znika z jej dłoni, a ja czuję, jak palce szkieletu drapią moją czaszkę.

– Gdzie ta policja była trzydzieści lat temu? Jak są tacy dobrzy, to powinni byli cię znaleźć wtedy. Jak są tacy pilni i godni zaufania, to powinni byli uratować cię wtedy. Nawet gliniarze mają swoje apetyty. Wiesz, że tak jest.

W oddali słyszę dźwięk kosiarki do trawy. Nie wiem dlaczego, ale z tego powodu rysy mojej twarzy łagodnieją, a ramiona odprężają się. Gdybym nie była tu z Vero, wstałabym, wspięła się przez łóżka do małego okienka. Wyjrzałabym i zobaczyła...

– Musisz uważać! – Vero ciągnie mnie za włosy. Mocno. Krzywię się. Nie zwraca na to uwagi. – Czas ucieka. Nie rozumiesz tego?

Nie mogę odwrócić się i spojrzeć na nią, więc wzruszam ramionami.

– Staram się ci pomóc. Wciąż nie widzisz tego, co musisz zobaczyć. Wciąż nie wiesz tego, co musisz wiedzieć. Jak długo masz zamiar być taka głupia?

– Kim jesteś? – pytam. – Duchem mojego dzieciństwa, wyrzutem sumienia? Szarpie mnie za włosy, wyraźnie poirytowana.

– Wiem, kim jestem, ale kim ty jesteś? – drwi w odpowiedzi.

– Myślę, że jesteś narzędziem.

Gwałtownie wciąga powietrze, wyraźnie zaskoczona tym prozaicznym opisem, może nawet urażona.

– Jesteś strażnikiem wspomnień, którym nie potrafię stawić czoła – kontynuuję, myśląc na głos. – Cokolwiek stało się te trzydzieści lat temu... Zamknęłam to w pudełku z napisem „Trzymać się z daleka” i odłożyłam. Tylko że historie nie lubią być w zamknięciu, prawda? Nawet przeszłość chce zostać wysłuchana. Myślę, że jesteś jej twarzą, obliczem tych wszystkich wspomnień, które chcą się uwolnić.

– Jak jesteś taka cholernie mądra – mówi Vero – to dlaczego jesteś taka głupia? – Puszcza moje włosy, schodzi z łóżka, najwyraźniej ma mnie dość.

Ale ja jej nie pozwalam. Kończy mi się czas. Coś gorszego się czai. Zaczęłam proces, którego nie można powstrzymać, i jeśli teraz nie zrozumiem

wszystkiego, i to szybko...

Przeszłość nie tylko chce być wysłuchana. Czasem domaga się też zemsty.

Zapach dymu. Żar płomieni.

Dźwięk jej krzyków.

Nawet w swojej głowie odruchowo wyciągam rękę do Thomasa.

– Dlaczego Chelsea mnie nienawidzi? – pytam teraz Vero. – Ten pokój... – Przesuwam palcami po wytartej brązowej narzucie. – Byłyśmy tylko dwie. Myślałam, że zostaniemy przyjaciółkami.

– Ona nie może być twoją przyjaciółką – odpowiada natychmiast Vero. Stoi na niebieskim dywaniku. Znow ma skórę na twarzy, ale dłonie to kości szkieletu.

– Dlaczego nie?

– W domu dla lalek nie ma przyjaciół. Tu trzeba przeżyć. Przetrwąć. Tu nie zawiera się przyjaźni.

Głos Vero brzmi jakoś dziwnie. Przyglądam się jej uważnie i dostrzegam, że płacze.

– Jesteś smutna – szepczę. Nie wiem, dlaczego mnie to zaskakuje. Oczywiście, że jest smutna. Wspomnienie porwanej małej dziewczynki. Powinna być zdruzgotana.

– Sekretne królestwo, magiczna królowa – nuci. Włosy zaczynają jej wypadać całymi kępkami, połyskuje biel czaszki. – Kiedyś miałam życie. Miałam swoją historię. Opowiadałam ci. Kilka razy. Bo ktoś musi wiedzieć. Ktoś musi pamiętać, jak było naprawdę.

– Rozumiem.

– Chelsea nie ma opowieści. Nawet sprzed domu dla lalek. Nie było magicznej królowej i sekretnego królestwa. Nikt nigdy jej nie kochał, nawet ty. Nikt nie chce nią być... – Patrzy na mnie chytrze. – Nawet ty.

– Była zazdrosna.

– Ukradłam jej pokój, najlepszy pokój, sypialnię w wieży... – Głos Vero nie jest już smutny, tylko triumfujący. Przez jej twarz przebiega specyficzny grymas. Zupełnie niepodobny do małej dziewczynki. To grymas przebiegłości. Nagle zaczynam się denerwować.

– Kiedyś to ona była księżniczką, ale gdy ja przyszedłam, byłam młodsza i piękniejsza. – Puszy się. Cofam się, coraz bardziej zaniepokojona.

– Wzięłam pokój. Zajęłam wieżę. Skupiłam na sobie całą uwagę madame Sade. Byłam najmłodsza, najmądrzejsza, najlepsza. Oczywiście cały czas spędzała ze mną. Zasługiwałam na to!

– Byłaś małą dziewczynką...

– Nieoszlifowanym diamentem. Ale uczyłam się. Nauczyłam się wszystkiego. I gdy miałam dwanaście lat i nadszedł czas, oddała mnie swojemu wyjątkowemu przyjacielowi, najbogatszemu, najpotężniejszemu, najbardziej

imponującemu. Wszystkie o tym wiedziały. I oczywiście mnie za to nienawidziły.
– Ale Vero nie narzeka. Przechwala się.

I może powinna. Przez sześć długich lat była zamknięta i zupełnie sama, poza towarzystwem nauczycielki.

– Kim są inne dziewczęta? – pytam, bo z tyłu głowy coś mi świta. A ja tym razem nie odwracam się. Podchodzę bliżej.

– Wiesz. I wiesz, że wiesz. Jesteśmy rodziną. Popieprzoną, pochrzanioną rodziną, stworzoną przez najbardziej popieprzoną i pochrzanioną na świecie madame Sade we własnej osobie.

Przez moment niemal to widzę. Rodzinne obiady, tak. Wszystkie siedzące wokół elegancko nakrytego stołu. W rodzinie madame Sade są same dziewczynki – prawda? – cztery. Dwie starsze, dwie młodsze. Chelsea i ja jesteśmy te młodsze, siedzimy na samym końcu stołu. I stamtąd obserwujemy dwie szepczące między sobą dziewczyny ze starannym makijażem i fryzurami. Od czasu do czasu, niemal jak na zawołanie, odwracają głowy, by popatrzeć na nas. Mają surowe, wiedzące spojrzenia. Szybko odwracamy wzrok. Boimy się ich. Są naszą przyszłością. Wiemy o tym.

– Nikt nigdy nie opuścił domu dla lalek – szepcze mi do ucha Vero. – Jedynym wyjściem jest śmierć, śmierć, śmierć.

Ale jest tu jeszcze coś, co muszę uchwycić, coś, czemu muszę się uważniej przyjrzeć.

Słyszę własne słowa:

– Nie utrzymałaś sypialni w wieży.

Vero cofa się gwałtownie. Z jej głowy opadają kolejne kępki włosów. A potem fragmenty twarzy.

– Nie ma nikogo młodszego i ładniejszego niż ja! – warczy.

– Przeprowadziłaś się do pokoju Chelsea.

– Zazdrosna. Nikt nigdy jej nie kochał. Nawet ty. Nikt nie chce nią być, nawet ty!

– Ale ona... – Waham się, a potem te słowa po prostu padają. Nie wiem, czy mówię prawdę, ja po prostu muszę to powiedzieć. – Chelsea cię kochała. Na początku była zazdrosna. Nie, ona się bała. Ale pod koniec bardzo cię kochała. Gdy mieszkała w tym pokoju z tobą, po raz pierwszy w życiu nie czuła się samotna.

Vero nie patrzy już na mnie. Obraca się, na wpół ciało, na wpół szkielet. Na wpół dziewczynka, na wpół duch.

Uświadamiam sobie, że tańczy na dywaniku. Jakby rzucała mi wyzwanie.

Na zewnątrz coraz głośniejszy dźwięk kosiarki. Tak bardzo chcę podejść do okna. Nie chcę już być uwięziona w tym pokoju z Vero. Chcę wyrzeć na ogromny, szeroki trawnik. Chcę poczuć słońce na twarzy. Chcę go zobaczyć.

Ale nie poruszam się. Zostaję tam, gdzie jestem, obserwuję Vero

i uświadamiam sobie po raz pierwszy, że ona trzyma w dłoni igłę. Gdy się przyglądam, wewnątrz jej ramion wypełniają się śladami nakłuć. Identycznymi jak u starszych dziewcząt, przypominam sobie. U nas w przyszłości. Bo na początku madame Sade oferuje piękną sypialnię i dach nad głową. Ale potem to za mało. Potrzeba silniejszej motywacji, żeby dziewczęta pracowały.

Żeby były zależne.

Vero podchwytuje mój wzrok. Śmieje się głośniejsz, okręca się szybciej.

– Proszę – próbuję jej powiedzieć. – To nie była twoja wina. Cokolwiek się stało, cokolwiek zrobiłaś. Nie powinnaś była przez to przechodzić. Nie powinnaś była...

– Kochać latania?

Nie mogę z nią dalej rozmawiać. Ten wyraz jej twarzy...

Znowu się boję. Chyba nigdy się tak nie bałam, wsuwam palce pod krawędź materaca. Nie chcę tu być. Nie chcę z nią rozmawiać. Nie chcę pamiętać.

Ale nadal nie wychodzę. Proces się rozpoczął. Jest za późno, żeby teraz zawrócić.

– Jest tylko jedno wyjście z domu dla lalek – woła teraz, wirując na dywaniku, tańcząc na nim na palcach. – Śmierć, śmierć, śmierć!

– Ale ja nie umarłam – protestuję.

Zatrzymuje się tak gwałtownie, że skóra odrywa się jej od ciała. Stoi przede mną, biały, kościsty szkielet, dumny ze swego rozpadu.

Jej twarz znowu wyraża triumf.

– To jak się wydostałaś? Czy ty w ogóle się z niego wydostałaś?

A potem znów przebiega palcami stóp po tym okropnym, strasznym, rozpadającym się niebieskim dywaniku. A mnie przechodzi dreszcz.

Budzi mnie zapach świeżo skoszonej trawy. Przez chwilę jestem zupełnie oszołomiona. Thomas – myślę. Musi być na zewnątrz, kosi trawę. Ale potem spostrzegam sufit, a także obraz z łosiem na ścianie. Rejestruję znajomy dotyk mojej ulubionej narzuty pod palcami, ale nieznaną poduszkę pod głową.

Pokój hotelowy. Oczywiście. Mrugam kilka razy, ale zapach ściętej trawy zostaje. Siadam i widzę Tessę Leoni, która siedzi na krześle i uważnie mi się przygląda.

– O czym pani teraz myśli? – pyta mnie.

– O Thomasie – odpowiadam bez zastanowienia.

– Pierwsza rzecz, która zwróciła w nim pani uwagę?

– Oczy. Są łagodne.

– Proszę go opisać.

– Wysoki. Tyczkowaty. Ręce, nogi, zawsze potargane gęste i ciemne włosy.

Ma duże dłonie, z odciskami, sprawne. Wystarczy jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, że umie się nimi posługiwać. Jest silny.

– Jego pierwsze skierowane do pani słowa?

– Nic nie mówił. Obserwował mnie. Ale ja nie chciałam, żeby zauważył. Nie chciałam, żeby zobaczył. Lecz od czasu do czasu zerkałam i on na mnie patrzył. Uśmiechał się. A ja czułam... ciepło. Jakbym od dłuższego czasu była zamarznięta. Ale zawsze odwracałam wzrok. Żebyśmy nie wpadli w kłopoty.

– Nicky, gdzie pani jest?

Ale ja jestem przytomna, nie dam się złapać. Więc odpowiedzią nie jest Nowy Orlean. To coś innego, wcześniej, i jest to wspomnienie, nad którym wciąż sama pracuję. Muszę najpierw wiedzieć, co muszę wiedzieć – myślę. I wtedy, dopiero wtedy – może wtedy? – podzielę się tym z innymi.

Vero mówiła jednak prawdę. Nie mogę ufać nikomu, nawet glinom. Jeśli są tacy wspaniali, to gdzie byli trzydzieści lat temu?

– Kupiła pani świeczkę – mówię, identyfikując w końcu źródło zapachu. Tam, na okrągłym stoliku w rogu pokoju, stoi płaskie szklane naczynie wypełnione zielonym woskiem i wesoło się pali.

– Yankee Candle Company – informuje mnie. – Mają każdy możliwy zapach. Kupiłam pani też coś do jedzenia. I inne rzeczy.

Najpierw jem. Grecka sałatka z grillowanym kurczakiem. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaka jestem głodna, dopóki nie zaczęłam jej pochłaniać. Są też nowe ubrania, za duży granatowy pulower, ciemna czapka z daszkiem, okulary. Zestaw, który maskuje, a nie upiększa. A na koniec duży szkicownik z ołówkami i pastelami.

Tessa przedstawia mi plan gry, podczas gdy pokój powoli wypełnia zapach świeżo skoszonej trawy.

– Chcę, żeby pani narysowała. Dom, pokój, podwórze, ludzi, miejsca, rzeczy. Wszystko, co przyjdzie pani do głowy. Proszę tylko zamknąć oczy, skupić się na zapachu i szkicować.

– Chcę się pani dowiedzieć, czy dom dla lalek istniał naprawdę – odpowiadam.

– Chcę, żeby pani pozwoliła mu zaistnieć. W tej chwili jest pani kobietą z urazem mózgu i wymyślonymi, nieistniejącymi przyjaciółmi. Jeśli śledztwo ma ruszyć, potrzebujemy szczegółów. Będzie pani musiała odwiedzić miejsca, których wolałaby pani nie oglądać, Nicky. To jedyny sposób.

Rozumiem. Jestem nawet zaintrygowana. Rozmawianie o przeszłości jest trudne. Staranie się, by skupić wspomnienia, a potem zamknąć je w umyśle za pomocą słów. Męczy mnie to i przytłacza. Ale jestem artystką. Umiem rysować. I może, tak jak było z pamięcią ciała, po prostu pozwolę, żeby moja dłoń sama przesuwiała się po papierze...

Otwieram szkicownik. Wybieram szary węgiel drzewny w ołówku.

Zamykam oczy. Tessa ma rację, w ten sposób jest łatwiej. Głęboko

oddycham, wciągam zapach do płuc, do brzucha. Czuję słońce, obietnicę świata na zewnątrz. Czuję pragnienie młodej dziewczyny, zamkniętej zbyt długo w środku.

Moja ręka przesuwana się po papierze.

Od czasu do czasu Tessa zadaje pytania. Siedzi daleko, przy stoliku po drugiej stronie pokoju. Słyszę stukanie klawiatury, jej zajęte pracą palce. Ona jest w swoim świecie, a ja w swoim, ale nawet jej pytania zlewają się z ukazującymi się przede mną obrazami.

– Jak dziewczęta mają na imię?

– Vero, Chelsea, CeeCee, Renita.

– Ile mają lat?

– CeeCee i Renita są starsze. To pierwsze dziewczyny madame. Boimy się ich.

– Dlaczego?

– One są... takie zimne. Wiedzą coś, czego my jeszcze nie wiemy. Madame jest dla nich surowa. Robią się za stare na dom dla lalek i wszyscy o tym wiedzą.

– Rozmawiacie z nimi?

– Nigdy.

– A z kim rozmawiacie?

– Vero opowiada historie. O czasach przed. Gdy była prawdziwą dziewczynką i ktoś ją kochał. Chelsea słucha. Przykucają razem na zsuniętych łóżkach. Szepczą i marzą o Pewnym Dniu. O Innych Miejscach. O Tam, Na Zewnątrz. A potem nadchodzi noc. Madame otwiera drzwi do ich pokoju. I znowu jest pora.

Rysuję pokój. Nie wąską sypialnię, tylko salon. Ze zdobionym marmurem kominkiem i mosiężnymi kinkietami na ścianach. To było kiedyś piękne pomieszczenie. Ale teraz jest zniszczone, postrzępione na brzegach. Jak madame. Kiedyś piękna, a teraz rozpaczliwie czepiająca się tego, co było i co mogło być.

Potem rysuję ją, ręka waha się na grymasie jej ust, ostrych liniach w kącikach jej oczu. Nie mogę się powstrzymać. Drzę.

– Jak ma na imię? – pyta mnie Tessa.

– Madame.

– Wszyscy tak do niej mówią?

– Cokolwiek innego byłoby oznaką braku szacunku. Musimy ją szanować. – Milknę. – Chce, żebyśmy ją kochały. Może jakaś jej część chciałaby nawet, żebyśmy były jej córkami, żebyśmy były jedną wielką szczęśliwą rodziną. Ale jeśli jej nie kochamy, zadowolony się tym, że się jej boimy.

– Czy to jej dom?

– Należał do jej rodziny od pokoleń. Mamy szczęście, że pozwala nam w nim mieszkać.

– Tak samo, jak macie szczęście, że dostajecie coś do ubrania i jedzenie na

stół? – pyta ostrym tonem Tessa.

– Bez niej nie miałybyśmy niczego – odpowiadam. – Bez niej byłybyśmy niczym.

Przechodzę do jadalni. Długi prostokąt, przy którym może zasiąść aż szesnaście osób. Pośrodku wymyślny kryształowy żyrandol, a ściany zdobi wypłowiała szkarłatna tapeta w kwiaty.

– Kto gotuje, kto sprząta? – pyta Tessa.

– Ona się nami zajmuje. A my zajmujemy się nią.

– A w nocy, gdy przyjeżdżają... goście?

– Kolacje. Ona jest gospodynią. A my jej córkami. Musimy być uprzejme dla gości. Rozmawiać z nimi, spełniać każdą ich zachciankę.

Wychodzę z jadalni. Zabudowana weranda, na której możemy posiedzieć w nagrodę za dobre sprawowanie. Hol ze sklepionym sufitem, gdzie madame wita każdego przybywającego gościa. Sypialnia w wieży z wymalowaną na ścianie różą. Tam, gdzie wszystko się zaczęło. I gdzie wszystko się skończyło.

Gdzie Vero i ja wciąż siedzimy i pijemy herbatkę.

Zostało jeszcze jedno pomieszczenie. Znam je dobrze. Dwa zsunięte łóżka, wąskie okno w ścianie. Tam, gdzie Chelsea i Vero spędziły ostatnie lata, szepcząc sobie w ciemnościach opowieści.

Małe, odosobnione, powinno być najłatwiejsze do naszkicowania. Ale moja ręka opada raz po raz.

Vero zaplatająca mi włosy, jej skóra odpadająca kawałkami.

Vero tańcząca na tym okropnym, przetartym niebieskim dywaniku.

Dłoń mi drży. Nie potrafię przyłożyć czubka ołówka do papieru. Próbuję się skoncentrować, zmusić palce do działania. Jeszcze mocniej drży mi ręka.

Wiem, że Tessa mnie obserwuje, a to jeszcze pogarsza sprawę.

– Nicky? – pyta cicho. – Czy to był twój pomysł, czy Thomasa, żeby wrócić do New Hampshire?

Nie odpowiadam na jej pytanie. Jestem zbyt zajęta wpatrywaniem się w moją drżącą rękę. Dzwoni jej komórka. Tessa sprawdza wyświetlacz, a potem przeprasza, zabiera telefon i wychodzi z pokoju na korytarz.

Wydaje mi się, że gdy będę sama, dam radę. Narysuję dywanik. Tylko dywanik.

Ale nie mogę.

Gdy moja ręka się w końcu porusza, nie rysuje pokoju. Rysuje twarz. Znaną mi tak dobrze jak moja własna. Z ciemnymi oczami o głębokim spojrzeniu. Z kurzymi łapkami w kącikach. Ciemne, zmierzwione włosy na jego czole.

Tylko że ten Thomas jest dużo młodszy niż mój. Ma mniej zmarszczek i gęściejsze włosy. Nie ma tak mocno zarysowanej szczęki, jego twarz wydaje się jeszcze dziecinna. Nastolatek, pełen obietnic, ale jeszcze nie dorosły.

I nie uśmiecha się do mnie łagodnie. W jego spojrzeniu nie ma flirtu. Nie mruga do mnie porozumiewawczo.

Moje palce znów się poruszają. Błoto nad jego brwią. Zapach mokrej, wzruszonej ziemi, posmak grobu. A może to sadza rozmazana na jego policzku. Zapach dymu, żar płomieni.

Nie znam tego Thomasa. Tego wyrazu na jego twarzy. Tak ponurego, tak straszego.

To, co zrobił – myślę odruchowo. To, co zamierza zrobić...

Upuszczam ołówek. Chwytam kartkę papieru. Szybko, zanim zdążę się zastanowić, wyrwam ją ze szkicownika.

Słyszę głos Tessy, wciąż rozmawia przez telefon na korytarzu. Podchodzę do hotelowego łóżka, unoszę materac i wsuwam szkic pod spód, żeby zniknął z widoku.

Moje serce wciąż bije jak szalone. Ledwo siedzę. Łupie mnie w głowie. Thomas, młody Thomas, zdecydowanie nie z Nowego Orleanu.

Vero śmieje się gdzieś z tyłu mojej głowy. A może szydzi. *Jak ktoś taki mądry może być tak głupi?*

A potem: *Uciekaj, skarbie, uciekaj.*

Ale nie mogę. Nie mam dokąd. Kolejne złe rzeczy do pamiętania. Nowe niebezpieczeństwa, z którymi muszę się zmierzyć.

Muszę zebrać się w sobie. Zapach trawy. Próbuję rysować, znowu odnaleźć swoje wnętrze. Ale to się nie udaje.

Vero wiruje po moim umyśle. Tańczy na tym okropnym dywaniku, a włosy i ciało odpadają jej od kości.

Jestem na krawędzi – uświadamiam sobie. Nigdy dotąd nie dotarłam pamięcią tak daleko. Może nawet stoję tuż przy zamkniętym pudełku. Muszę tylko pochylić się, usunąć napis, który mówi „Trzymać się z daleka”, a potem mocno szarpnąć za wieczko...

Otwierają się drzwi. Tessa wchodzi do pokoju. Ma stanowczy, a jednocześnie pełen złych przeczuć wyraz twarzy.

– To był Wyatt. Musimy wrócić na komisariat. Znaleźli auto Thomasa. Nicky, będziesz musiała coś wyjaśnić.

Rozdział 28

Wyatt się nie śpieszył. Już za długo wszystko toczyło się zbyt szybko. On sam cały czas gonił. Jego ludzie działali automatycznie. Ale teraz, gdy miał mniej niż dwanaście godzin, żeby dowiedzieć się od tej kobiety tego, co musiał wiedzieć o dwóch zbrodniach, zwolnił. Postanowił wszystko uporządkować.

Na zbliżające się przesłuchanie zarezerwował salkę konferencyjną. Razem z Kevinem powiesili na ścianie mapę North Country. Powiększyli zdjęcia sklepu z alkoholami, stacji benzynowej, domu Marlene Bilek oraz miejsca wypadku i umieścili je w kluczowych miejscach. Miał wynotowaną liczbę przejechanych kilometrów. A na koniec wyłożył na stół niedawno kupiony składany szpadel oraz parę zakrwawionych lateksowych rękawiczek.

Rękawiczki zafascynowały Kevina. Spędził co najmniej godzinę, pieczołowicie je rozwijając, bardzo ostrożnie, żeby nie porwać zniszczonego materiału. Były grubsze niż tradycyjne rękawiczki lateksowe – oznajmił – ale cieńsze niż typowe gumowe rękawiczki do ogrodu. Zrobił test na delikatnie zdrapanej próbce wyschniętej brunatnej substancji, potwierdziło się, że to ludzka krew. Kropka nad i. *Niech mi pani nie próbuje wmawiać, że założyła je pani, żeby pochować Pimpka albo zaopiekować się rannym jeleniem. Wiemy, że to ludzka krew, więc proszę zacząć mówić.*

Szeryf miał rację. Koniec kręcenia. Wyatt chciał odpowiedzi, i to natychmiast.

Bo, owszem, zadzwonił do Narodowego Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych i byli tam bardzo podekscytowani informacją o pojawieniu się Veroniki Sellers. Podekscytowani zdecydowanie w stylu: polecieć do New Hampshire i przejąć sprawę.

O czwartej po południu, po trzydziestu sześciu godzinach bez snu, Wyatt uznał, że ma tylko jedną jedyną szansę, żeby to załatwić. I nie zamierzał jej zmarnować.

Wyjrzał przez okno. Zauważył parkującą na dole Tessę. Skinął na Kevina, żeby posprzątał. A potem obaj zajęli miejsca.

Gdy Nicky Frank, znana również jako Veronica Sellers, weszła do pokoju, Wyatt od razu pomyślał, że wygląda lepiej niż siedem godzin wcześniej. Oczywiście jej twarz wciąż była blada niczym płótno i pokryta patchworkiem czarnych szwów, fioletowych sińców i brązowych strupów, ale wysoko trzymała podbródek i miała jasne spojrzenie. Wydawała się silniejsza. Kobieta z misją. Wyglądało na to, że w czasie, gdy jej tu nie było, podjęła jakieś postanowienia.

Tuż za nią weszła Tessa, taka jak zwykle, skupiona i konkretna. Nawet nie rzuciła okiem na Wyatta, tylko pomogła Nicky usiąść na plastikowym krześle.

Zamiast usiąść obok niej, zajęła miejsce kilka krzeseł dalej. Neutralny obserwator, starający się trzymać dystans wobec nadchodzącej potyczki.

Wyatt dopiero w tym momencie zauważył, że Tessa ma ze sobą jakiś szkicownik. Położyła go na stole. Podobnie jak Nicky, spojrzała na Wyatta i czekała.

Odchrząknął, bo poczuł nagle zdenerwowanie, a to mu się nie podobało.

– Dziękuję, że jesteście – zaczął. Siedział, bo postanowił, że przybierze zrelaksowaną postawę. – Tessa już pewnie wyjaśniła, że mamy do pani jeszcze kilka pytań.

– My też pracowałyśmy – odparła Nicky. – Tessa wymyśliła numer ze świeczką. Wybrała zapach, który zapamiętałam, a ja narysowałam dom dla lalek. Przypomniał mi się z tuzin pomieszczeń...

Wyatt uniósł rękę.

– Nie.

Nicky zawahała się, spojrzała na niego.

– Nie?

– Nie interesuje mnie dom dla lalek.

– Nie interesuje pana? Nie obchodzi pana, co stało się trzydzieści lat temu?

– Nie. Interesuje mnie środa wieczór. Jeśli ma pani ochotę wymyślać historie o tym, co się stało trzydzieści lat temu, proszę bardzo. Proszę opowiadać bajki o madame, porwanych dziewczynkach, złych koleżankach z pokoju i tak dalej. Ja nie rozwiążę sprawy sprzed trzydziestu lat, Nicky. Do diabła, mam wrażenie, że cała ta sprawa to tylko szukanie wiatru w polu, jak nasze poszukiwanie Vero w czwartek rano. Pani ma pewne problemy. My to wiemy, a mimo to daliśmy się złapać na przynętę. Ale koniec z tym. Porozmawiamy o środzie wieczorem. O każdej godzinie, każdej minucie, każdej sekundzie tego wieczoru, i zaczniemy od pary zakrwawionych rękawiczek wyjętych z kieszeni dżinsów, które miała pani na sobie w środowy wieczór. Co pani wtedy robiła, Nicky? I dlaczego potrzebowała pani do tego szpadla?

Z całą pewnością ją zaskoczył. Była wyraźnie zdumiona, otwierała usta, żeby zaraz potem je zamknąć. Niczym ryba walcząca o tlen. Kłamca, któremu skończyły się wymówki. Wyatt nie zamierzał przerywać niezręcznej ciszy. Ani Kevin.

Nawet Tessa siedziała cicho. Brała już udział w takich rozgrywkach i choć była wynajętym przez Nicky detektywem, to nie była jej prawnikiem i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Rękawiczki? – wyszeptała w końcu Nicky.

Wyatt wstał. Nie ruszył od razu po rękawiczki i szpadel. Wolał potrzymać ją w niepewności. Podeszedł natomiast do wielkiej mapy New Hampshire, na której postarali się z Kevinem jak najlepiej odwzorować jej trasę w środową noc, na

podstawie rozmowy z Marlene Bilek oraz kilometrów przejechanych przez auto Nicky.

– W środę wieczorem pojechała pani do sklepu z alkoholem. Ktoś zadzwonił do pani z Northledge Investigations. Tessa Leoni.

Zerknęła na Tessę. Ta delikatnie kiwnęła głową.

– Poinformowała panią, gdzie jest zatrudniona Marlene Bilek, pani utracona dawno temu matka, którą Northledge miało na pani zlecenie odnaleźć.

– Nie miałam zamiaru jej nachodzić – odpowiedziała natychmiast Nicky. Wbiła wzrok w mapę. Już wydawała się zestresowana. – Ja chciałam tylko... Chciałam wiedzieć.

– Żółta narzuta. To od niej ją pani kupiła – rzucił Wyatt tonem stwierdzenia, nie pytania.

– Googlowałam jej nazwisko przez te wszystkie lata. Ale ona wyszła ponownie za mąż i teraz ma inne. Ale potem natrafiłam w sieci na jej zdjęcie ze ślubu, gdzie oba nazwiska były w podpisie. Więc zaczęłam szukać na nazwisko Bilek. I... znalazłam ją. W New Hampshire. Sprzedaje narzuty przez internet. Jedną kupiłam.

– Jako Nicky Frank?

– Tak.

– Nie powiedziała jej pani, kim jest? Nigdy nie zdradziła swojej tożsamości? Nicky potrząsnęła głową.

– Nie rozmawiałam z nią wtedy. To była transakcja online. Użyłam PayPala. W ogóle nie rozmawialiśmy.

– Ale wyśledziła ją pani?

– Na stronie internetowej podany był tylko numer skrzynki pocztowej. Nie było ulicy i numeru. Ani pod jej nazwiskiem. Ani pod jego. Myślę, że jej mąż... On jest gliną, prawda? Emerytowanym policjantem. Musi dobrze pilnować, jakie dane udostępni w sieci.

– Więc wynajęła pani Northledge. Z błogosławieństwem Thomasa?

Nicky gwałtownie potrząsnęła głową.

– Nie, nie. Absolutnie nie. Zrobiłam to całkiem sama. Użyłam czeku bankierskiego i tak dalej. Nie chciałam, żeby wiedział. Nie po tym, jak...

– Po tym, jak co, Nicky?

Odwróciła wzrok, spuściła głowę.

– On chyba się domyślił z tą narzutą. Nie wspominałam mu, ale gdy pierwszy raz wzięłam ją do rąk, zaczęłam płakać i nie mogłam się uspokoić. Nie potrafiłam. Chyba odgadł dlaczego. Stał się opryskliwy, niecierpliw. „Czy nie jesteśmy szczęśliwi? – powtarzał ciągle. – Mamy siebie nawzajem, czy to nie wystarcza?” Nie chciałam urazić jego uczuć. Nie chciałam sprawiać mu przykrości po tym wszystkim, co dla mnie zrobił... Ale nie... – Powoli podniosła wzrok. – To

nie wystarcza. Wciąż jestem smutna, choć wiem, że nie powinnam.

– W środę wieczorem pojechała pani szukać Marlene Bilek – stwierdził stanowczo Wyatt.

– Tak.

– Pojechała pani do sklepu z alkoholami. – Postukał w mapę. – I weszła pani do środka, mając nadzieję, że ją zobaczy.

– Rozpoznałam ją. Nawet z tyłu. I wtedy spanikowałam. Widziałam ją, ale nie byłam gotowa na to, żeby ona mnie zobaczyła. A co, jeśli mnie nie pamięta? Gorzej – jeśli mnie nie chce? Co to za córka, która zjawia się po trzydziestu latach od śmierci?

– Kupiła pani butelkę glenlivet.

Nicky nie odwróciła wzroku. Wytrzymała jego spojrzenie, kiwając żałośnie głową.

– I potem pani za nią pojechała – Wyatt wrócił do mapy. – Rozmawiałem dziś po południu z Marlene Bilek...

– Powiedział jej pan o mnie?

– Rozmawiałem dziś po południu z panią Bilek – powtórzył szorstko – i omówiłem z nią jej zwykłą trasę powrotną do domu. To sześćdziesiąt osiem kilometrów, głównie bocznymi drogami, przejeżdża się tędy, tędy i tędy. – Przesunął palcem po czerwonej linii. – Aż w końcu dojeżdża się do jej domu.

Postukał w powiększoną fotografię ganku domu Bilek. Zrobioną w ciągu dnia, nie w nocy, gdy Nicky go widziała, ale był podobny.

Wbiła spojrzenie w mały żółty domek. Jakby chciała go pochłonąć wzrokiem.

– Powiedział jej pan o mnie? – szepnęła. – Że jestem Vero? Co... ona powiedziała?

– Chyba nie ja powinienem się na ten temat wypowiadać. – Wyatt rzucił jej twarde spojrzenie. Spuściła wzrok.

– Według słów pani Bilek – kontynuował Wyatt – tego wieczoru w domu była też jej córka. Szesnastoletnia Hannah Veigh. Kojarzy ją pani?

– Vero – szepnęła.

– Co pani zrobiła, Nicky? – To zadane srogim tonem pytanie zbiło ją z tropu.

– Słucham?

– Co pani zrobiła? Nie było pani cały wieczór. Piła pani. I kierowała autem. Teraz stoi pani przy ślicznym, małym domku, zagląda przez okno i widzi ją: dawno utraconą siebie. Vero. Co pani zrobiła?

Nicky usiadła gwałtownie, odpychając się rękami od stołu.

– Co zrobiłam? Nic nie zrobiłam. Nie sądzę. Jak mogłabym?

Szybko podszedł do stołu.

– Proszę opowiedzieć mi o składanym szpadlu, Nicky. I o rękawiczkach.

Pokrytych krwią. Ludzką krwią. Wiemy to, już to sprawdziliśmy. Jest pani pijana, jest pani sama i właśnie odkryła pani, że pani dawno utracona matka wcale po pani nie rozpaczała. Wyszła ponownie za męża i ma nowe dziecko, Vero wersja dwa zero. Pani matka poukładała sobie życie. I w ogóle za panią nie tęskniła.

– Pan tego nie wie. Skąd może pan to wiedzieć?

– Śledziła ją pani.

– Chciałam ją tylko zobaczyć. Sprawdzić, jak się ma...

– Nie mogła pani zadzwonić? Napisać? *Hej, Mamo, uciekłam w końcu od tej okropnej madame. To było dwadzieścia dwa lata temu, ale, cóż, lepiej odezwać się późno niż wcale. Skoczmy razem na lunch?*

– To nie tak – zaprotestowała słabo Nicky.

– A jak? Nie jest pani chorą, porąbaną kobietą, która jeździ po pijaku i śledzi własną matkę? Proszę opowiedzieć mi o szpadlu. Jeśli chciała pani tylko sprawdzić, jak ona się ma, to po co pani łopata? Proszę opowiedzieć mi o rękawiczkach. Skoro tylko pani za nią jechała, to dlaczego są całe we krwi? Co pani zrobiła w środę wieczorem? Dalej, Nicky. Jestem już zmęczony pani kłamstwami i historyjkami. Co pani zrobiła w środę wieczorem?!

– Zadzwoiłam do Thomasa. – Te słowa same padły z jej ust. Nicky zamrugła, jakby sama była nimi zaskoczona.

– Zadzwoiła pani do męża?

– Z płatnego telefonu. Płakałam, wpadłam w histerię. Właśnie widziałam Vero. A ona nie żyła, tylko że teraz żyła. Nie wiedziałam, co robić. I tak bardzo bolała mnie głowa. Wiem, że nie powinnam była pić. Wiem, że nie powinnam była prowadzić auta. I Thomas na pewno się na mnie wścieknie, bo prosił mnie, błagał, żebym sobie odpuściła. „Możemy być szczęśliwi – mówił. – Kiedyś byliśmy szczęśliwi. Wiem, że znowu możemy być”.

Ale ja już nie mogę być dłużej taka smutna. Muszę się zmienić. Ale żeby się zmienić, potrzebuję odpowiedzi. Dlaczego listopad jest taki smutny? Dlaczego spędzam popołudnia na rozmowach z duchem dziewczynki w mojej głowie? Thomas wie, jak żyć. Ja... nie wiem. Więc poprosiłam, żebyśmy się tu przeprowadzili...

– Pani poprosiła – przerwał jej ostro Wyatt.

– Tak.

– Thomas nie odmówił.

– Zaproponował Vermont. Ale ja się upierałam i w końcu się poddał. A gdy już tu byłam... Poczułam, że jestem bliżej. Skrzynka pocztowa Marlene wskazywała na New Hampshire. Teraz byliśmy w tym samym stanie. Ale to za mało. Chciałam ją zobaczyć, tylko... popatrzeć. Więc wynajęłam Northledge. A potem w środę wieczorem... – Głos Nicky zaczął się łamać. – Patrzę przez okno, widzę Vero. Głowa dosłownie mi eksploduje. Tyle jasnego światła. Płomienie.

Wszędzie widzę płomienie. *Vero nauczyła się latać*. Chcę wbiec do tego domu. Tak bardzo chcę ją przytulić. Powtarzać jej, jak bardzo mi przykro. Nie wolno jej mnie nienawidzić. Ja nie chciałam... Tylko że to nie była Vero, tak? To nie mogła być Vero. Za bardzo płakałam, żeby normalnie myśleć. Komórka nie miała zasięgu, więc poszłam do aparatu, żeby zadzwonić do Thomasa.

– A on przyjechał.

– Powiedział mi, gdzie się spotkamy. Zaraz za stacją benzynową. Na zakolu drogi. Tam mam się zatrzymać.

– Pojechała pani spotkać się z mężem. Nicky, czy miała pani na rękach rękawiczki?

Potrząsnęła głową.

– Nie, kierowałam autem, mocno się koncentrowałam. Moja głowa, alkohol. Musiałam się skupić, żeby trzymać się drogi.

– Gdy dotarła pani na miejsce spotkania, Thomas na panią czekał. Czy miał ze sobą szpadel?

Nicky zamknęła oczy, jakby mocno się zastanawiała.

– Nie.

– Rękawiczki?

– On... On mi je podał. Powiedział, żebym je założyła. „Ufasz mi? – zapytał.

– Czy mi ufasz?”

Nicky otworzyła oczy. Spojrzała na Wyatta.

– A ja odpowiedziałam: „Tak”.

– A wtedy?

– Wtedy... on... zniknął. A ja poleciałam w powietrze. I znowu umarłam. Kobieta, która dwa razy powstała z martwych.

Wyatt nie ustępował. Kazał jej podejść do rękawiczek, przyjrzeć się szpadlowi. Obejrzeć po kolei wszystkie zdjęcia miejsc, w których zatrzymywała się tamtej nocy.

– Czy z nią... wszystko w porządku? – zapytała Nicky, patrząc na fotografię Hannah Veigh Bilek, która z długimi ciemnymi włosami i jasnoniebieskimi oczami rzeczywiście wyglądała jak jej młodsza siostra. – Nic im się nie stało, prawda? Bo na rękawiczkach jest krew. Ale ja tego nie zrobiłam. A Thomas... On nie mógł. Nie zrobiłby tego. Prawda?

– Brzmi to tak, jakby miała pani wątpliwości.

– To dobry człowiek – powiedziała, ale jej słowa były raczej automatyczne niż przekonujące.

– Gdzie on jest, Nicky?

– Nie wiem.

– Czy on panią kocha?

– Nigdy mnie nie zostawił.

– Nawet teraz? Spalił wasz dom i się ulotnił.

Zawahała się. Wyatt natychmiast się domyślił, czego nie może mu powiedzieć. Thomas nie uciekł. Przynajmniej Nicky tak nie uważała. Nawet teraz był gdzieś w pobliżu, na miejscu, i czekał na nią. Tak silny był ich związek.

Mąż, który najprawdopodobniej ukartował jej wypadek samochodowy i spalił ich dom. A mimo to w głębi serca Nicky wiedziała, że ją kocha.

Nie pierwsza tego rodzaju relacja – pomyślał Wyatt. Gliniarze często mieli z nimi do czynienia. A mimo to wciąż czuł niepokój.

Kazał jej w kółko opowiadać o tamtej nocy, ale nie potrafił jej rozgryźć. Miała na sobie rękawiczki. Może to była jej własna krew, z wypadku, wszędzie było przecież szkło, dlatego są takie podarte. Wydawało jej się, że pamięta, jak je zdejmowała i wsuwała do tylnej kieszeni. Niewygodnie jej w nich było, ale nie chciała śmiecić. Szpadel stanowił dla niej tajemnicę. Nie wiedziała, do czego był Thomasowi potrzebny.

Owszem, śledziła Marlene Bilek. Chciała z nią porozmawiać, jednak zabrakło jej odwagi. Pragnienie zmiany to nie to samo co zmiana. Staranie się o odzyskanie pamięci o własnej przeszłości to nie to samo co skonfrontowanie się z nią.

W końcu Kevin zabrał Nicky na pobranie odcisków palców. Choć mieli odciski palców Veroniki Sellers w aktach, to liczyły one już trzydzieści lat. Wyatt, nie wspominając o technikach policyjnych, woleli mieć świeższe i czystsze, żeby użyć ich do porównania z tymi pobranymi ze szpadla, rękawiczek i tak dalej.

Gdy Nicky i Kevin wyszli, Wyatt i Tessa mieli chwilę, żeby odetchnąć. Przynajmniej krzesło do niej i przeczesał dłonią lekko potargane włosy. Boże, ale by mu się przydał prysznic. Nie wspominając o drzemce.

– Przepałeś się choć trochę? – zapytała.

– Pewnie tak jak ty.

– To musisz być bardzo zmęczony.

Skrzywił się.

– Przepraszam, że odciągnąłem cię od Sophie w weekend.

– Nie pierwszy raz. Wspomniałam jej o szczeniaku. Myślę, że od razu cię polubiła.

– Będę mógł pomóc go wybrać?

– Mam taką nadzieję.

Uśmiechała się subtelnie, mówiła to, co trzeba. A mimo to znowu to poczuł. Że coś się skończyło. Cień w jej oczach, który nie pasował do linii jej ust. Może był po prostu przemęczony. A może na tym właśnie polega problem randkowania z takimi kobietami jak Tessa. Zawsze pozostanie dla niego tajemnicą.

– U Sophie okej? – zapytał.

– Z tego, co wiem, tak.

– Wydajesz się... – nie był pewien, jak to określić – zamyślona.
– D.D. Warren powiedziała mi podczas lunchu coś ciekawego – odparła w końcu, patrząc na szkicownik. – Jeszcze to przetrawiam.
– Ciekawego dobrego czy ciekawego złego?
– Jeszcze przetrawiam. Wyatt, wiesz, że nie jestem ideałem, tak?
– Nigdy tak nie twierdziłem.
– Trzy lata temu... coś poszło nie tak. Nie mogę powiedzieć, żebym żałowała.

– Poznawszy Sophie, ja również nie żałuję. – Zawahał się. – Tesso, czy ty masz kłopoty? Bo wiesz, że jestem przy tobie, tak? Czegokolwiek byś nie potrzebowała...

Uśmiechnęła się znowu, ale ten uśmiech nie przegonił cienia z jej oczu.

– Nie działajmy pochopnie. Na razie tylko usłyszałam ciekawe wieści...

Powstrzymał ją, wziął ją za rękę, bo przynajmniej tyle mógł zrobić. Zaskoczyło ją to, ale nie zabrała dłoni.

– Jestem przy tobie, Tesso. Na sto procent. Absolutnie. Wiem, że jesteś kobietą z przeszłością, ale szczerze mówiąc, interesuje mnie nasza przyszłość.

Może to jego wyobraźnia, ale zdało mu się przez chwilę, że w jej oczach zabłyśły łzy.

– D.D. mówi, że jestem samotnym wilkiem – szepnęła.

– Myślę, że Sophie i pani Ennis mogą być innego zdania.

Skinęła głową, nie odezwała się od razu.

– Nicky chce być wolna – powiedziała nagle. – Wiem, że masz wątpliwości co do tej historii o domu dla lalek, ale spędziłam z nią popołudnie i myślę, że ona też jest kobietą z przeszłością, i to okropną przeszłością. Taką, w której nie tylko coś idzie nie tak, ale mam wrażenie... W takim środowisku zwykle nie można przetrwać bez obciążania własnego sumienia.

Teraz Wyatt pokiwał głową.

– Może się wydawać, że dwadzieścia dwa lata to bardzo długo. Mogła pojawić się wcześniej, skontaktować się z matką. Ale próbuje to zrobić teraz. Czy to nie jest najważniejsze?

– Mówiła, że wykonała parę szkiców po południu?

– To mój wkład w terapię pamięciową. Proszę. – Tessa podniosła okładkę szkicownika i wyjęła tuzin sporych kartek. – Widać, że to artystka, ma dobre oko do szczegółu.

W pierwszej chwili Wyatt nie był pewien, na co patrzy. Okrągły pokój z różą namalowaną na ścianie i łóżkiem całym w tiulu. Marmurowy kominek w eleganckim salonie. Ale trzeci rysunek przedstawiał całość: duży, kryty gontem wiktoriański dom, taki, jakie w dziewiętnastym wieku wznosiły zamożne rodziny jako letnie rezydencje, żeby odpocząć od gorąca i smrodu miasta. Miał wspaniałą

zabudowaną werandę od frontu, dwupiętrową wieżyczkę i masywne prawe skrzydło z mansardowymi oknami. Imponujący budynek. I drogi. I rzeczywiście, patrząc na szprosowane okna i drewniane rzeźbienia, przypominał domek dla lalek.

Oderwał wzrok od szkicu i spojrzał uważnie na Tessę.

– Myślisz, że to prawdziwe?

– Myślę, że ona myśli, że tak.

– No to mi pomogłaś.

Przerzucił kartkę i zobaczył portret starszej kobiety, z włosami spiętymi w kok, surową twarzą i zimnym wzrokiem. Nie mógł się powstrzymać. Przeszedł go dreszcz.

– Madame Sade – podpowiedziała Tessa.

– Wygląda na taką, która byłaby zdolna do porwania dziecka – zgodził się.

– Poprosiłam D.D., żeby przejrzała dawne sprawy porwań dzieci – powiedziała Tessa. – Jestem ciekawa. Zważywszy na to, jakie mamy teraz bazy danych, może uda się ustalić, czy trzydzieści lat temu wystąpiło nagromadzenie zaginięć dziewczynek w rejonie Nowej Anglii. To uprawdopodobniłoby wersję Nicky.

– Owszem.

– I dopóki bierzemy pod uwagę możliwość istnienia tego domu, warto przyjrzeć się tu. Widok z okna sypialni w wieży.

Musiał się cofnąć do tego szkicu. Nie zauważył tego na pierwszy rzut oka, ale rzeczywiście okrągły pokój miał kilka pięknych okien. Nicky dokładnie naszkicowała każdy fragment wypełnionych szprosem szyb. A tam... za nimi... góry. Widok tak znajomy, że był pewien, że za moment przypomni sobie, gdzie to jest.

– White Mountains. A więc to New Hampshire. – Spojrzał na Tessę.

– To ona poprosiła, żeby się tu przenieśli, nie Thomas.

– Bo jest tutaj Marlene Bilek.

– Być może. Ale słyszałaś ją. Ona szuka odpowiedzi. Myślę, że sprowadził ją tutaj instynkt. Żeby być bliżej prawdy.

– Szeryf zadał mi dziś rano dobre pytanie – powiedział nagle Wyatt. – Jeśli to Thomas odpowiada za wypadki swojej żony, to jaki jest motyw? Mężowie zabijają żony dla kilku powodów. Zemsta, pieniądze, władza. Po dwudziestu dwóch latach co się zmieniło w ich związku?

Znał odpowiedź, ale pozwolił Tessie jej udzielić.

– Nicky postanowiła, że pora pójść do przodu. Była zmęczona swoim smutkiem.

– Ruch w kierunku niezależności może być groźny dla każdego mężczyzny, ale szczególnie dla męża, który lubi się opiekować tak bardzo jak Thomas – zgodził się Wyatt.

– Nie kupuję tej historii o tym, jak się poznali w Nowym Orleanie – stwierdziła Tessa.

– Ja też nie. Zawsze wydawała mi się przeciwczona.

– Staralam się wyciągnąć z Nicky więcej o Thomasie, gdy szkicowała. Wygląda na to, że po części wciąż go kocha. Co więcej, uważa, że go potrzebuje. On się nią opiekuje. Zapewne ze swoich własnych powodów. Pomyśl, jaki mają schemat: zawsze w ruchu. Szczęśliwe pary raczej tak nie robią, prędzej te, które uciekają.

Wyatt wrócił do portretu damy.

– Jeśli Nicky rzeczywiście była przetrzymywana w tym domu dla lalek, a Thomas w jakiś sposób był z nim związany, to jest przynajmniej jedna osoba, która nigdy by nie chciała, żeby rozmawiali z policją. – Postukał palcem w kobietę o zimnym spojrzeniu. – Tesso, jeśli to wszystko prawda... W jaki sposób Nicky, Vero się uwolniła? To mnie najbardziej martwi. Tego rodzaju działalność i tego rodzaju kobieta... ona nie pozwoliłaby żadnej z dziewcząt odejść. Coś się wydarzyło. I nie chodzi mi o to, że Vero nauczyła się latać i inne bzdury.

Tessa się zawahała.

– Mam pewną teorię. Może patrzę na to inaczej, bo mam swoją... własną przeszłość. Ale myślę, że Vero została porwana trzydzieści lat temu. Myślę, że była przetrzymywana przez tę kobietę w tym domu. I myślę... Myślę, że stało się coś naprawdę okropnego, co umożliwiło jej ucieczkę. Nie. Ja podejrzewam, że to Vero zrobiła coś naprawdę okropnego, co umożliwiło jej ucieczkę. I że po tych wszystkich latach temu właśnie nie potrafi stawić czoła. Tylko że... – Tessa wzruszyła ramionami, na jej ustach znów pojawił się smutny uśmiech. – Przeszłość ma swoją własną wolę. Chce zostać wysłuchana. Wspomnienia celowo blokowane przez Nicky chcą się uwolnić.

– Listopad to najsmutniejszy miesiąc – mruknął Wyatt. – Kobieta, która dwa razy powstała z martwych.

– Myślę, że Nicky próbuje sobie przypomnieć. Myślę, że część jej chce nam wręcz powiedzieć, co się wydarzyło, zdjęć sobie ten ciężar z serca. Ale potrzebuje wsparcia.

– Kolejnej świecy zapachowej? – Wyatt uniósł brew.

– Nie. Myślę, że powinniśmy ją skonfrontować z matką. Pozwolić im w końcu porozmawiać.

Wyatt też o tym myślał.

– W porządku. Zadzwoń do Marlene, przekażę wieści. Ona i tak się już zainteresowała Nicky. Nie wyobrażam sobie, żeby nie chciała zobaczyć własnej córki po tylu latach. Ale musimy to utrzymać w tajemnicy. Nie wiadomo, kiedy zwali nam się na głowę prasa.

– To prawda.

– Ale zrobimy to dzisiaj. I nie tylko dlatego, że jutro rano federalni zaprowadzą tu swoje porządki. Thomas Frank uciekł ze swojego płonącego domu niemal dwadzieścia cztery godziny temu, a mimo to wytropiliśmy go sześćdziesiąt kilometrów stąd. Wiesz, co o tym myślę?

Wyatt poczekał chwilę.

– On wciąż uważa Nicky za zagrożenie. I jeszcze z nią nie skończył.

Rozdział 29

Vero i ja popijamy z filiżanek. Róża na ścianie została zamazana, pokreślona ze złością czarnym markerem. Różowy tiul, który kiedyś osłaniał łóżko, jest pocięty na wąskie paski. Z materaca została sterta poszarpanej pianki.

Nie chcę nawet patrzeć na to, co zrobiła Grubemu Misiowi.

– Boisz się – mówię porozumiewawczo, choć to moje serce łomocze w piersi.

– Odepierz się. – Vero nie zawraca sobie głowy ubraniami. Ani pamięcią skóry. Siedzę przy stoliku z wyszczerzonym szkieletem z czaszką pokrytą resztkami włosów i gnijącego mięsa. Gdy pije, widzę jak szkocka rozlewa się po jej rozpadającym się kręgosłupie.

– To twoja matka – próbuję raz jeszcze. – Marzyłaś o tej chwili przez tyle lat. Pamiętasz?

– Ten pokój najbardziej mi się podobał – mówi nagle. – Ze wszystkich miejsc w tym głupim domu. To sypialnia księżniczki. Wszystkie małe dziewczynki chcą być księżniczkami.

– Twoja matka wciąż cię kocha – mówię jej.

Uśmiecha się nagle.

– Nie masz na myśli swojej matki?

– Już dobrze – słyszę, jak mówię, do niej, do siebie, do smutnych resztek po pozbawionym oczu Grubym Misiu. – Wszystko będzie dobrze.

Vero znowu się uśmiecha, przełyka kolejną porcję whisky.

– Ach, Nicky – zapewnia mnie. – Zawsze byłaś idiotką.

O dwudziestej pierwszej nie mogę już wytrzymać w łóżku. Wstaję, chodzę po pokoju hotelowym. Siedząca na drugim łóżku Tessa robi wszystko, żeby dać mi jak najwięcej przestrzeni. Sprawdza różne kanały informacyjne w telewizji, żeby się przekonać, czy sprawa nabrała już rozgłosu. Gdy Wyatt kilka godzin wcześniej w pośpiechu wyprowadzał nas tylnym wyjściem z komisariatu, kamery już tam były, wieść o odnalezieniu zaginionego przed trzydziestoma laty dziecka zdążyła się roznieść.

Kiedy tylko wróciłam do salki konferencyjnej, wpatrzona w poczernione czubki palców, Wyatt wypuścił drugą bombę: Marlene Bilek chce się ze mną spotkać. Natychmiast. Tego wieczoru. Bez dyskusji, bez debatowania. Już się z nią umówił. Koniec i kropka.

Porozmawiam ze swoją matką. Po tych wszystkich latach, wątpliwościach, rozważaniach...

Tessa zabrała nas z powrotem do hotelu, korzystając ze znanych sobie detektywistycznych sposobów i bocznych uliczek. Gdy już zaszyliśmy się

bezpieczne w pokoju, doradziła mi, żeby zjeść porządną kolację, a potem odpocząć. Bo zapowiadał się długi wieczór.

Tessa zmienia kanały. Na razie zaskakujący przełom w sprawie sprzed trzydziestu lat interesuje jedynie lokalne media. Producenci krajowych wiadomości prawdopodobnie jeszcze się wstrzymują – jak informuje mnie Tessa – bo czekają na konkretne potwierdzenie, jakiś wywiad, dobre zdjęcia, żeby podkreślić sprawę. Mam szczęście.

Drepczę wokół łóżek, a w głowie wirują mi tysiące myśli.

Przypomina mi się tamto ciasne, żalosne mieszkanie. Kobieta, która chowała Vero do szafy dla jej własnego bezpieczeństwa. Matka, która przynosiła jej lody, bawiła się w chowanego i spała, gdy jego nie było, mocno tuląc córkę do siebie.

Zatrzymuję się, żeby dotknąć żółtej narzuty. Wdycham nieistniejący zapach. Mój umysł wie, że go nie ma, ale serce wciąż ma nadzieję, że jest inaczej.

Tęsknię za Thomasem. Zastanawiam się, co teraz robi, choć wciąż nie rozumiem, co się stało w środową noc. Zadzwoiłam do niego. A on przyjechał, bo zawsze przyjeżdża. Przez dwadzieścia dwa lata był moją ostoją, moją skałą. Może i krzyczałam w nocy ze strachu, ale każdego ranka witał mnie z miłością. Przynajmniej myślałam, że tak było.

Czy tak było? Choć tyle mówił o naszej bliskości, to przecież przeniosłam się do sypialni dla gości. To kolejny dowód na to, że przynajmniej jakaś część mnie wie więcej, niż jestem gotowa przyjąć? Gdy ocknęłam się w szpitalu, nie poczułam miłości, tylko gniew. Chciałam, żeby sobie poszedł, żeby go nie było. Kochałam go. Nienawidziłam. Wstrząśnienia być może poszatkowały mi mózg, ale chyba coś działało się już dużo wcześniej.

Dlaczego nigdy nie zadzwoniłam do matki, nie nawiązałam jakiegokolwiek kontaktu z rodziną? Wydostałam się. Jakoś, w jakiś sposób...

Vero nauczyła się latać.

Ale nigdy nie wróciłam do domu. Zostałam z Thomasem. Zawsze z Thomasem.

„Ufasz mi?” – zapytał w środę wieczorem, podając mi parę rękawiczek.

Tylko po co były mi one potrzebne? I dlaczego się zgodziłam?

Jestem na niego zła – myślę. Za spalenie naszego domu, za zniknięcie w środku nocy, za zostawienie mnie z tyloma pytaniami bez odpowiedzi.

Uciekaj – odzywa się Vero z tyłu mojej głowy. I wiem, że ona nie mówi o zbliżającym się spotkaniu z matką. Mówi o Thomasie.

Dwudziesta druga piętnaście. Dźwięk silnika samochodu przerywa nieznośną ciszę. Zeskakuję z łóżka, śledzę hałas podjeżdżającego auta, chrzęst opon, gdy wjeżdża na parking. Instynktownie podchodzę do drzwi. Tessa rzuca mi surowe spojrzenie i każe mi usiąść z powrotem. Zauważam, że sięgnęła ręką do boku, jakby chciała wyjąć pistolet, i nerwy mi puszcza.

Biegnę do łazienki, żeby zwymiotować. Kiedy wracam, słyszę głosy na korytarzu, a potem brzęk przekręcanej w zamku klucza. Drzwi do pokoju obok naszego. Tak to zaplanowali. Tessa zarezerwowała nasz pokój, a potem, pod innym nazwiskiem, sąsiedni.

Nic nie powinno wskazywać na komisariat, który prasa z pewnością pilnie obserwuje. Nic nie powinno sugerować mojej obecności. Ani obecności Marlene Bilek.

A teraz, skoro żadne wozy transmisyjne nie hamują z piskiem opon na parkingu, skoro korytarzem nie pędzą fotografowie, skoro w hotelu o średnim standardzie panuje taki sam pozasezonowy spokój jak zwykle...

Drzwi łączące pokoje powoli się otwierają. Sierżant Wyatt Foster wchodzi do środka.

I wtedy...

Widzę Marlene Bilek.

Nie odzywamy się od razu. To jedna z takich chwil... Co powiedzieć? Stoimy, patrzymy się na siebie, chłoniemy. Trzymam jej narzutę. Przesuwa na nią wzrok, a potem się uśmiecha.

– Wiedziałam, że ta narzuta trafi tam, gdzie trzeba – szepcze.

Płaczę. Łzy spływają mi po twarzy. Nie potrafię się powstrzymać. Nie mogę się ruszyć. Nawet ich obetrzeć. Stoję tam z mokrymi policzkami, wpatrując się w tę kobietę.

Nie wszystko jest tak, jak oczekiwałam. Przez te wszystkie lata wyobrażałam sobie mamę jako dwudziestokilkulatkę, nieco zagubioną, chyba pogodzoną z losem, nawet zanim porwano jej ukochaną córeczkę. Wydawała mi się bardziej przy kości, bardziej zaokrąglona, w taki miły, matczyzny sposób. Natomiast ta kobieta ma ściągniętą twarz, na której odcisnęło się wiele trudnych decyzji, które musiała podjąć. Tessa wspomniała, że wyrzuciła męża drania, przestała pić i zaczęła nowe życie.

Wciąż otacza ją charakterystyczna aura smutku. To kobieta, która wiele straciła i wie, że nigdy tego nie odzyska.

– Może... hm... usiądziemy – mówi Wyatt. Wskazuje łóżka. – Usiądźcie sobie.

Wymieniają z Tessą spojrzenia. Tessa ma pod ręką swojego iPhone'a. Nagrywa nas – uświadamiam sobie. Ależ oczywiście, to „prywatne spotkanie po latach” to przecież przedmiot czujnej obserwacji.

Marlene powoli wchodzi do środka. Ma na sobie ciemnoczerwony uniform ze sklepu z alkoholami, bo użyli podstępny, żeby zmylić prasę. Jestem jednak zaskoczona, że nie wzięła sobie ubrania na zmianę, czegoś bardziej osobistego, na pierwsze spotkanie z dawno utraconym dzieckiem. Mój niepokój rośnie. Szukam mamy, ale widzę przede wszystkim sprzedawczynię ze sklepu z alkoholami,

Marlene Bilek.

Siadam na skraju łóżka, które stoi bliżej drzwi. Ona siada naprzeciwko na drugim. Wyatt i Tessa przechodzą do małego okrągłego stolika w kącie pokoju, starając się zapewnić nam odrobinę prywatności, choć wciąż są tu obecni.

– Masz dokładnie takie włosy, jak pamiętam – mówi cicho Marlene, przesuwając wzrokiem po mojej twarzy. Czuję, że podświadomie się garbię. – Długie brązowe fale. Raz na tydzień myłam ci je w kuchennym zlewie. Jeśli było słonecznie, siadałyśmy przy oknie i czesałam ci włosy, aż wyschły. Miałaś takie wspaniałe loki, o wiele ładniejsze niż moje.

Z zakłopotaniem dotyka swoich krótkich i posiwiałych brązowych włosów. Próbuję sobie przypomnieć, jak wyglądały jej włosy wtedy, długie, krótkie, kręcone, proste, ale nic z tego. Wyglądała jak mama. To zachowałam przez te wszystkie lata. Nie obraz konkretnej kobiety, tylko uogólniony ideał.

– To zabawne – mówi Marlene. – Oczy miałaś dużo bardziej szare w dzieciństwie. Teraz wydają się bardziej niebieskie. Tak to chyba z niektórymi dziećmi jest. Miałam przyjaciółkę, której syn był blondynem do wieku ośmiu czy dziewięciu lat. A teraz jest brunetem.

– Masz drugą córkę – słyszę swoje słowa. Czy w moim głosie zabrzmiał oskarżycielski ton? Na pewno nie miałam takiego zamiaru.

– Masz na myśli Hannah? – Po raz kolejny na jej twarzy pojawia się niepewność. Patrzy na dywan. – Ma brązowe włosy, szare oczy, tak jak ty. Gdy się urodziła, serce niemal stanęło mi w piersi. To Vero – pomyślałam. Mój Boże, odzyskałam córkę! Musiałam mocno się starać, żeby pozwolić Hannah być Hannah. Bo jest tylko jedna Vero. Boże drogi, dziecko, jak ja za tobą tęskniłam.

Zrywa się z łóżka. Nie jestem na to przygotowana. Nie zdążam w porę unieść rąk. Obejmuje mnie, mocno ściska.

Ona mnie przytula – myślę, niemal zdumiona. To ja, w objęciach własnej matki.

Powinam też ją objąć. Odwzajemnić uścisk. Powinam oznajmić: „Mamo, wróciłam”.

Ale nie mogę się ruszyć. Ani wypowiedzieć choćby słowa.

Jestem zbyt świadoma obecności Vero, która śmieje się histerycznie w tyle mojej głowy.

– Robisz narzuty – mówię w końcu, dwie, trzy, dziesięć minut później. Moja leży obok na łóżku, kolejna rzecz, z którą nagle nie wiem, co zrobić.

– Zaczęłam dwadzieścia lat temu – odpowiada Marlene. W przeciwieństwie do mojego rozbieganego wzroku, jej oczy cały czas skupione są na mojej twarzy, jakby była zahipnotyzowana. – Ja... cóż... – Bierze głęboki oddech. – Te lata, tuż po twoim zniknięciu. To był bardzo, bardzo trudny okres. A mnie się, dobry Boże, wydawało, że już miałam za sobą trudne okresy. Przepraszam, że zabrałam cię do

parku tamtego dnia. Przepraszam, że zasnęłam. Przepraszam, przepraszam, przepraszam.

– Piłaś. – Mój ton jest bardziej surowy, niż się spodziewałam. Ale nie łagodzę go. – Byłaś pijana.

– Przepraszam. – Wypowiada te słowa automatycznie, sylaby niemal się wytarły po trzydziestu latach wymawiania.

– W chwili gdy uzmysłowiłam sobie, że nie mogę cię znaleźć – mówi. – Gdy już obiegłam cały park, cały czas cię wołając, a ty wciąż się nie pojawiałaś... Wiedziałam. Od razu wiedziałam, że stało się najgorsze.

– Vero chciała tylko pobawić się lalkami – mówię cicho. Przeszłam na trzecią osobę. Nie mogę się powstrzymać. Nie wiem, jak inaczej opowiedzieć tę historię. Przez tyle lat Vero była małą dziewczynką w mojej głowie, dziewczynką ze skłonnością do gubienia własnej skóry w chwilach stresu. Nawet wiedząc, że ona to ja albo że ja to ona... To takie nierzeczywiste. Vero to Vero. A ja jestem tylko strażniczką. Wiem różne rzeczy, bo ona mi je opowiada. Przypuszczam, że to sposób, żeby odciąć się od horroru, żeby jakoś sobie z tym poradzić. Ale działał przez tyle czasu, więc nie wiem, jak miałabym to teraz nagle odkręcić. Nawet siedząc twarzą w twarz z tą kobietą – moją matką, jak sobie powtarzam – czuję się dziwnie. Ona jest matką Vero – myślę. Zawsze chciałam ją poznać. Ale moja mama...

Nie jestem na to gotowa.

– Vero poszła za dziewczyną z parku – opowiadam dalej. – Ale madame już na nią czekała. Ukłucie igły, szybkie wepchnięcie do samochodu. Zanim zdążyłaś zauważyć jej brak, Vero już nie było.

Marlene zaciska palce na krawędzi materaca. Ale kiwa głową. Nie mówię jej nic, czego nie wyobrażałaby sobie przez te lata.

– Bardzo się starałam cię znaleźć – zapewnia mnie. Jeśli użycie przeze mnie trzeciej osoby ją zdziwiło, to nie daje tego po sobie poznać. – Odpowiedziałam na wszystkie pytania policji, wypytywałam sąsiadów. Byłam pewna, że to tylko kwestia czasu. Spotkają cię na jakiejś ulicy. Może poszłaś za bezpiecznym psem albo furgonetką z lodami, kto wie? Szukała cię policja, mieszkańcy. Byłaś moja, ale gdy zaginęłaś, należałaś do wszystkich. Tylko że nie potrafiliśmy sprowadzić cię do domu.

– Madame Sade zabrała Vero do pewnego domu – opowiadam jej. – Pięknej rezydencji, gdzie Vero dostała pokój jak dla księżniczki. Mięciutkie łóżko, piękny krzew róży wymalowany na ścianie. I jej własny porcelanowy zestaw do herbaty.

– Przez pierwsze dni nie wypiął ani kropli – mówi cicho Marlene. – Byłam trzeźwa. Trzeźwa jak świnia po raz pierwszy od dziesięciu lat. Nie spałam, nie piłam, nie jadłam. Czekałam. Czekałam, czekałam i czekałam, bo w każdej chwili mógł zadzwonić telefon i policja mogłaby mieć jakieś wieści o tobie.

– Madame dała Vero nowe ubranie, ale potem je jej zabrała, bo Vero nie mogła przestać płakać. Madame zostawiła Vero samą w tym wielkim, zimnym pokoju na wiele, wiele dni. Vero nie spała na łóżku. Znalazła szafę. Zwinęła się naga na podłodze i płakała za tobą.

– Ronnie pobił mnie pierwszej nocy – Marlene szepcze, patrząc mi prosto w oczy. – Nazwał mnie głupią dziwką, bo cię zgubiłam. Drugiej nocy też mnie pobił, bo nie mogłam przestać płakać. A potem trzeciej i czwartej. Piątej nocy policjant, który przyszedł, żeby powiadomić, co z poszukiwaniami, zabrał mnie na pogotowie. Musieli przymocować mi żuchwę śrubami. Ten oficer, Hank, powiedział, że nie powinnam wracać do tego mieszkania. Żeby uratować córkę, muszę najpierw uratować siebie.

– Vero miała lekcje. Madame Sade przychodziła każdego popołudnia. Dziewczynki nie mogą sobie pozwolić na to, by być głupie, mówiła. Więc Vero uczyła się czytać, matematyki, geografii i historii. Były też tańce, moda, makijaż i układanie fryzur. Powiedziała Vero, że teraz ona jest jej mamą. Są rodziną. Będzie mieszkać w tym pięknym domu już zawsze, tylko musi robić to, co jej każą. A potem madame Sade wychodziła i Vero znów zostawała sama. Była sama każdego ranka i każdego wieczoru. Przez wiele, wiele godzin, całą noc, tak bardzo sama. Vero chciała być dzielna – szepczę. – Ale ta samotność... Coraz trudniej było jej pamiętać, kim jest. A coraz łatwiej być tym, czym madame chciała, żeby była. Zwłaszcza gdy skończyła dwanaście lat i pojawił się pierwszy mężczyzna. Gdy już było po, nie płakała. Vero po prostu zamknęła to w sobie, jakby to było coś, co przydarzyło się komuś innemu. Upchnęła to gdzieś z tyłu głowy. Nic z tego nie mogło się przydarzyć prawdziwej Vero, bo prawdziwa Vero była księżniczką z sekretnego królestwa, której matka była magiczną królową i przyrzekła, że będzie ją chronić przed złą wiedźmą. – Patrzę na Marlene. – Vero wymyślała historie. A może robiła, co mogła, żeby zapamiętać swoją. Bardzo trudno jest być sobą w domu dla lalek.

Marlene nie wytrzymuje mojego spojrzenia. Chyba jej się nie dziwię.

– Wróciłam do Ronniego – zabiera głos, bo to także jej spowiedź, a po trzydziestu latach jest co opowiadać. – Gdy tylko mnie wypuścili, oczywiście wróciłam. Nie umiałam żyć sama. Byłam młodą, głupią dziewczyną i do tego w ciąży, gdy się poznaliśmy. Nie potrafiłam na siebie zarobić, nigdy nie udało mi się utrzymać pracy. Ronnie się mną opiekował. Nawet jeśli wpadał w złość, pił za dużo, uderzał za mocno, to cóż, przynajmniej zapewniał mi dach nad głową. Ale gdy zniknęłaś, jeszcze się pogorszyło. Sześć wizyt na pogotowiu później zajmujący się mną policjant powiedział, że ma dość. Mam pojechać do niego do domu. On prześpi się na kanapie. Mnie przydzielił łóżko. Ale w zamian zero chlania, zero płaczu, zero umierania. Wystarczyło, że po roku czasu wiedział, że zawiódł małą dziewczynkę, której nawet nie poznał. Byłby przeklęty, gdyby zawiódł także jej

matkę.

– Dziewczynki dorastają. Nawet piękne księżniczki... – Krzywię się, czuję, jak pajęczyna pamięci muska mój umysł. *On już cię nie chce. Co z ciebie za pożytek?* – Madame Sade była zła. A to niedobrze. Nie wolno sprawiać, że jest zła.

Wzdrygam się, próbując otrząsnąć się z tego wspomnienia. Gdy znowu się odzywam, tego obrazu już nie ma, jest bezpiecznie zamknięty gdzieś w tyle mojej głowy, a mój ton jest bardzo rzeczowy.

– Vero przeprowadza się na dół. Zyskuje współlokatorkę, dziewczynę kilka lat od niej starszą, Chelsea. Chelsea też ma ciemne włosy i niebieskie oczy, bo takie preferencje mają najlepsi klienci madame. Vero ucieszyła się, że ma koleżankę i pomyślała, że w końcu nie będzie sama. Ale Chelsea z miejsca ją znienawidziła. Nikt nigdy nie kochał jej tak, jak kochano Vero. Matka Chelsea sprzedała ją madame Sade za bezcen. Ale przynajmniej w domu dla lalek była ulubienicą i mieszkała w ślicznej sypialni w wieży. Dopóki nie zjawiała się Vero. Chelsea zerwała z niej ubranie i zepsuła jej makijaż. Kazała Vero spać na dywaniku na podłodze. Mówiła jej, że jest pieskiem madame Sade. Tylko że madame Sade nigdy nie trzyma zwierząt zbyt długo. I wkrótce po nią przyjdą. Jedynym wyjściem z domu dla lalek jest śmierć, a czas Vero nadszedł.

– Zawsze najgorsze były noce – mówi Marlene. – Obserwowanie zachodu słońca ze świadomością, że minął kolejny dzień, a ja wciąż nie wiem, gdzie jest moje dziecko. Miałam ochotę się napić. Cały czas. Ale zamiast tego marzyłam o tobie. Siedziałam na kanapie Hanka i przypomiinałam sobie twoje pierwsze urodziny, drugie, trzecie. A potem, po pewnym czasie, zaczęłam sobie wyobrażać siódme, ósme, dziewiąte. Na dziesiąte zrobiłam tort waniliowy z niebieską polewą, bo byłaś już starsza i musiałam wierzyć, że dorastasz. Musiałam wierzyć, że jesteś cała i zdrowa.

– Vero spała na dywaniku. Bardzo się starała nie rozzłościć Chelsea. I każdej nocy opowiadała samej sobie historie. O sekretnym królestwie, magicznej królowej i złej czarownicy. Ale pewnej nocy zorientowała się, że Chelsea słucha. Więc Vero opowiedziała inną historię, o szafie, która jest portalem między dwoma światami i gdyby tylko mogła znaleźć właściwe drzwi, mogłaby znowu uciec. Chelsea słuchała. – Zamykam oczy i przez chwilę widzę wyraźnie. Dwie dziewczynki, obie z ciemnymi włosami, przykucają i pochylają ku sobie głowy. Szczęśliwe wspomnienie, tak jak świeżo skoszona trawa. Chwila, w której w domu dla lalek jest prawie jak w domu. Słyszę swój szept: – Vero nie spała już na dywaniku. Przeniosła się na łóżko, tuż obok Chelsea. Zaczęły rozmawiać, dzielić swoje tajemnice i opowiadać sobie sny. Stały się siostrami. I Vero nie była już sama.

Płaczę, powoli, cichymi łzami. Dlaczego płaczę? A potem znowu widzę Vero, jak wiruje na tym okropnym niebieskim dywaniku, z igłą w dłoni, śladami po nakłuciach na ręce. I odczuwam w piersi niewyobrażalny ucisk.

Marlene bierze mnie za rękę. Czuję, jak jej palce drżą we wnętrzu mojej dłoni. Dają mi siłę. Czerpią ją. Jesteśmy w tym razem.

Zaczyna pierwsza:

– Pewnego dnia złamałam się. Tak po prostu. Byłam na spacerze, mijałam sklep z alkoholami i... weszłam do środka. Kupiłam dużą whisky. A potem zabrałam ją do mieszkania Hanka i wypięłam całą. Gdy doszłam do siebie na pogotowiu, Hank był załamany. Kazał mi przysiąc, że już nigdy tego nie zrobię. Powiedział... powiedział, że mnie kocha. Poprosił, żebym za niego wyszła. Ale postawił warunek. Muszę wytrzymać w trzeźwości przez rok. Muszę chcieć żyć, powiedział mi, bo w przeciwnym razie tylko złamię mu serce.

– Wszystko w domu dla lalek zaczęło się zmieniać – mówię. Jestem w tyle mojej głowy, idę ciemnym korytarzem, coraz bliżej znaku: Trzymaj się z daleka! Trzymaj się z daleka! TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA!!! – Do domu nie trafiały już nowsze, świeższe egzemplarze. Zabaw było coraz mniej, madame Sade była zdesperowana. Potrzebowała pieniędzy. „Myślicie, że taki dom sam się utrzymuje? – mówiła. – Potrzebne jest jedzenie i te wszystkie wasze ciuchy. Jesteście niewdzięcznicami, nic dziwnego, że nikt nie chce się już z wami bawić”. Szprycowała nas narkotykami. Pierwszy raz po prostu weszła do pokoju i ukłuła nas igłą. Myślałam, że to koniec. Że znowu nas uspiła, ale tym razem po to, żeby zabrać nasze ciała do lasu i pozwolić im zgnić. Jedyne sposob, żeby wydostać się z domu dla lalek, zgadza się? Ale to nie był środek usypiający. To było coś innego... Jakby się człowiek rozpułnął i uniósł. Sama błogość. Chichotałyśmy, uśmiechałyśmy się, tańczyłyśmy. I w ciągu kilku tygodni robiłyśmy wszystko, co madame chciała, przyjęcia, rozmowy, zabawy, korzystanie z życia, więcej mężczyzn, mnóstwo mężczyzn, cokolwiek chciała, dopóki zapewniała nam tę błogość. – Przerywam i przypomina mi się coś, co przez dłuższy czas ledwo pamiętałam. – Vero nauczyła się latać.

– Zająłm się szyciem narzut, żeby wytrwać w trzeźwości – mówi Marlene. – Rano szłam do sklepu z materiałami do szycia i wybierałam skrawki. Wybierałam szarość twoich oczu albo brąz twoich włosów, albo róż twojej pierwszej sukienki. Wszywałam w te narzuty swój smutek i zanim się obejrzałam, ludzie zaczęli pytać, czy są na sprzedaż. Więc to stało się moją pierwszą pracą, pierwsze uczciwie i samodzielnie zarobione pieniądze dostałam od sąsiadki za narzutę. Później Hank pomógł mi się zorientować, jak sprzedawać przez internet. A potem dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

– Życie w domu dla lalek... zaczęło się sypać. Czulo się to. Pokoje niszczały. Madame Sade coraz częściej była zła i poirytowana. A my zrobiłyśmy się... zmęczone. Nie rozmawiałyśmy już, nie siadałyśmy razem, żeby opowiadać sobie historie dla pociechy. Albo byłyśmy nakręcone, albo zupełnie zimne i obojętne. Kolacje stawały się coraz bardziej męczące. Patrzenie na dwie starsze

dziewczyny siedzące przy drugim krańcu stołu. Surowe. Wymizerowane. *Wiedzące*. Vero i Chelsea mają świadomość, że muszą uciec. Ale jak?

– Założyłam rodzinę – szepcze Marlene. Wydaje się zakłopotana, że zaczęła nowe życie, akurat gdy jej pierwsza córka znalazła się nad przepaścią. – Wysłałam za Hanką. Urodziłam śliczną małą dziewczynkę. Dostałam prawdziwą pracę w sklepie z alkoholami. I nie tknęłam nawet kropli alkoholu przez dwadzieścia lat. Przepraszam, że nie wytrzeźwiałam wcześniej. Tak bardzo mi przykro, że nie zmądrzałam wcześniej. Gdybym mogła cofnąć czas, gdybym mogła odwrócić to, co zrobiłam...

– Zawiodłaś Vero.

– Przepraszam...

– Ale to, co ja zrobiłam, było gorsze.

Nic nie odpowiada. Czuję, jak jej palce drżą w mojej dłoni.

Dotarłam do końca korytarza w moim umyśle, stanęłam przed największymi drzwiami w mojej pamięci. Tymi z napisem: „Trzymaj się z daleka”. Ale już kładę rękę na klamce i zamierzam to zrobić. Muszę to zrobić. Teraz, w tej chwili. Nie ma już odwrotu.

– Przestałam brać narkotyki. Stopniowo, dzień po dniu, brałam mniej, odkładałam więcej. Nie mogłam już dłużej. To życie, ten powolny upadek. Musiałyśmy się wydostać. Może gdyby udało mi się jasno myśleć. Wsuwałam fiołki do dziury w materacu, gdzie madame ich nie znajdzie. Moja współlokatorka widziała to, ale to mnie nie martwiło. Tkwiłyśmy w tym obie, ona i ja. Byłyśmy siostrami. Starłam się, żeby i ona przestała, ale dla niej to było trudniejsze. Była już wtedy bardzo zmęczona, o wiele bardziej niż ja. „Nawet gdybyśmy uciekły – mówiła – to dokąd pójdziemy?” Starłam się... – Głos mi się łamie. Właśnie naciskam klamkę. Widzę, jak drzwi się otwierają, patrzę na ziewającą przede mną ciemną szczelinę. – Wiedziałam – mówię beznamiętnym tonem, nie patrząc na nikogo, ze wzrokiem utkwionym w ukrytej w mojej ręce dłoni tej kobiety. – Wmawiałam sobie, że nie, ale wiedziałam, co ona chce zrobić.

– Przepraszam – szepcze Marlene, jakby domyślała się, co teraz nastąpi.

– Zabrała moje zapasy. Wszystkie fiołki. Pewnego popołudnia, gdy byłam na dole, miałam dyżur w kuchni. Zanim wróciłam, już nie żyła. Upadła na dywanik. Nie wiedziałam, co robić. – *Krzyczeć, prosić, błagać. Nie zostawiaj mnie, nie zostawiaj, nie zostawiaj. Nie dam rady sama.* – Przyszła madame. Nigdy dotąd nic takiego się nie wydarzyło. Była rozsierdzona, wściekła. „Nic nie da się zrobić – oznajmiła. – Trzeba poczekać na zapadnięcie zmroku i wtedy dozorca zajmie się ciałem”. I zostawiła ją. Tak po prostu. A ja byłam całkiem sama w pokoju ze zwłokami mojej najlepszej przyjaciółki. Uczesałam jej włosy, długie, ciemne loki, podobne do moich. Zamknęłam jej oczy, jasnoniebieskie, jak moje. A potem... Wiedziałam, co muszę zrobić.

Marlene wciąż trzyma mnie za rękę, chce, żebym dokończyła. Gliniarze, Wyatt i Tessa, wstali od stolika w rogu i czekają teraz, wstrzymując oddech.

Zmuszam się, żeby podnieść wzrok. Zmuszam się, żeby popatrzeć im wszystkim w oczy i powiedzieć to, co mam do powiedzenia.

– Zamieniłam nasze ubrania. Wciągnęłam ją na łóżko i przykryłam kołdrą. A potem zajęłam miejsce na dywaniku. – *Mokrym od rzygowin, przesiąkniętym moczem.* – Owinęłam się nim. I postanowiłam ani drgnąć. W końcu drzwi się otworzyły. Rozległy się kroki dozorczy. Nie widziałam go, tylko słyszałam, podniósł mnie i zarzucił sobie na plecy. Stuk, stuk, stuk, w dół schodów, jego ramię wbijające mi się w brzuch. Zaraz zwymiotuję. Nie mogę. Przecież nie żyję. Na zewnątrz rusza w stronę lasu. Z trudem omija kamienie i korzenie drzew. Pada deszcz. Czuję go przez dywanik. Ciemna, burzowa noc. Idealna na kopanie grobu. Zaraz potem zatrzymuje się. Rzuca mnie na ziemię. Mam ochotę krzyczeć. Ale nie robię tego. Nie żyję. I wtedy nagle mnie podnosi. I wrzuca. Tak po prostu. Żadnego pożegnania z madame Sade, żadnych ostatnich słów od tak zwanej rodziny. Tylko... łup. Jestem teraz śmieciem i już mnie nie ma. Potem naturalnie chwyta za łopatę i zaczyna zasypywać grób.

Marlene ściska moją rękę, aż pobieleły jej kostki. Nie czuję palców. Ale nie cofam ich. Patrzę na nią i po raz pierwszy uświadamiam sobie, jak bardzo jestem zła. Bo sześćioletnia Vero wierzyła w nią, w potęgę matczynego uścisku. Sześćioletnia Vero ze wszystkich sił starała się być dzielna dla niej, dla wiecznej miłości matki. Tylko że sześćioletnia Vero nigdy nie powinna była znaleźć się w tamtym domu.

Dociera to do mnie po raz pierwszy. Nie powinnam była ratować Vero. Ta kobieta, matka Vero. To było jej zadanie.

– Ziemia jest ciężka – mówię jej teraz, moje słowa są twarde, urywane, kąśliwe. – Mokra i zbita. Nie mogę ruszyć nogami. Ani rękami. Jestem w pułapce. Uwięziona. Duszę się. Naprawdę umrę.

– Przepraszam – szepcze Marlene.

– Gdy już mi się wydaje, że dłużej nie wytrzymam, nacisk ustaje. Dozorca odchodzi. Skończył robotę. Teraz ja się za nią biorę. Wiję się i wierzgam, przepycham i ciągnę. Walczę, walczę i walczę o wydostanie się z grobu. Wypadam ze wzruszonej ziemi pośrodku burzy, łapczywie wciągając powietrze i cała pokryta błotem. Powstaję z martwych.

Niebo przecina błyskawica. Deszcz pada mi na głowę. I powietrze, czyste, błogosławione powietrze, które wciągam do płuc raz za razem. Śmieję się, płaczę, a potem zwijam się w kłębek i zupełnie załamuję. Bo żyję. Kosztem mojej najlepszej przyjaciółki, jedynej przyjaciółki. Siostry mego serca.

Puszczam dłonie Marlene. Nagle gwałtownie się od niej odsuwam.

– Wiedziałam, co się stanie.

Nie wie, co powiedzieć. Stojący przy stoliku Wyatt robi krok w naszą stronę, jakby zastanawiał się, czy nie powinien interweniować.

– Wiedziałaś, że ona przedawkuje. Była zmęczona, przygnębiona. Była uzależniona, nie potrafiła nad tym zapanować. A ja pozwoliłam, żeby widziała, gdzie chowam zapas.

– Dziecko – zaczyna Marlene.

– Nie! Wiedziałaś, że w parku jest niebezpiecznie. Wiedziałaś, co może się stać z dzieckiem bez opieki. A mimo to piłaś i zabrałaś tam Vero.

Kuli się, nie mówi ani słowa.

Jestem wściekła. W głowie czuję ogień, ale gorsze jest to, że mam złamane serce. Wpuściłam pamięć i teraz znowu jest tamten dzień.

– Wiedziałaś, że jeśli odłożę narkotyki, to ona będzie mogła je wziąć. To był jedyny sposób, by wydostać się z domu dla lalek, a ona miała już dość. Ja wiedziałam. A mimo to zrobiłam to. Bo jej śmierć była dla mnie najlepszą szansą na wolność.

– Vero... – próbuje znowu Marlene. Strząsam jej dłoń.

– Nie jestem Vero! Nie rozumiesz? Ona nie jest mną. Jest tylko duchem w mojej głowie. Jest przeszłością, którą staram się zachować, błędem, z którym cały czas próbuję się zmierzyć. Nie wiem, nie do końca to rozumiem. Chciałam cię zobaczyć, ale wcale nie chciałam z tobą rozmawiać, bo nie potrafię. Nie potrafię... się cofnąć. Nie potrafię... – Brakuje mi słów. Nie wiem, co chcę powiedzieć. Robię dwa kroki, grzebię pod poduszką i wyjmuję zdjęcie, które znalazłam w marynarce Thomasa. – Proszę. – Właściwie nim w nią rzucam. – Chcesz swoją małą dziewczynkę? To wszystko, co po niej zostało.

Marlene bierze zdjęcie. Przysuwa je bliżej i marszczy brwi.

– Kto to jest?

– Vero, oczywiście. Na pewno poznajesz...

– Nie, to nie ona.

– Co? – Teraz ja jestem zaskoczona. Mrugam oczami, pocieram skronie. W końcu przypomina mi się to, nad czym tak mocno pracowałam, żeby zapomnieć, jak bolało. Wiem, że jestem dezorientowana. Wiem, że nie funkcjonuję tak jak trzeba. Ale mimo wszystko. – To jest Vero – upieram się. – Zdjęcie zrobiono w domu dla lalek. Znalazłam je w kieszeni Thomasa. – Wypowiadam to ostatnie zdanie bez zastanowienia. Wyatt i Tessa zbliżyli się i uważnie patrzą na fotografię.

– Nie, to nie Vero – upiera się Marlene. – Domyślałam się, że zdjęcie zrobiono później, ale ta dziewczynka to nie Vero.

– Jest pani pewna? – Wyatt pyta Marlene. – To stara fotografia, nie najlepszej jakości, ale włosy, oczy...

– Proszę spojrzeć na jej lewe przedramię – mówi mu Marlene. – Nie ma blizny.

– Jakiej blizny? – To znowu ja, mój głos jest dziwnie wysoki.

I nagle...

Vero jest znowu w mojej głowie. Vero szczyrzy się do mnie tą swoją lśniąco białą czaszką. Vero, która zawsze wydawała mi się ode mnie odrębna.

Poczekaj – szepcze. – Raz, dwa...

– Vero ma bliznę – wyjaśnia Marlene. – Przez... wypadek, który miała w wieku trzech lat. Udawała, że jest samolotem. I... uderzyła się o stół do kawy.

Tylko że Vero inaczej opowiada tę historię. W opowieści Vero, którą co noc przedstawiała swojej współlokatorce Chelsea, to Ronnie, zły rycerz, rzucił książeczkę w powietrze. Prosto na stół: *Chcesz sobie popłakać, mała gówniario? To dam ci powód...*

Marlene zwraca się do mnie. To dzieje się teraz. To prawdziwe życie. A nie wspomnienie, które można zapomnieć.

– Pokaż mu – nakazuje mi. – Lewą rękę. Bliznę.

Poruszam się jak w zwolnionym tempie. Unoszę lewe ramię. Podwijam rękaw.

Odsłaniam to, co wiem, że tam jest: podłużny, blady obszar nieskalanej skóry.

W końcu uświadamiam sobie, jaki jest ostatni sekret ukryty w ziejącym czernią schowku mojej pamięci. Skrawek, który ukrywałam nawet przed sobą, bo po tych wszystkich latach wciąż uważam, że sobie z nim nie poradzę. Vero żyje w mojej głowie nie dlatego, że jest jakąś odłączoną wersją mojej przeszłości. Vero żyje w mojej głowie, bo to ja ją zabiłam.

Marlene gwałtownie wciąga powietrze.

– Nie jesteś moją córką.

A Vero, triumfująca jak zwykle, woła: *Niespodzianka!*

Rozdział 30

– Kim jesteś? – Marlene Bilek chwyciła Nicky za rękę, mocno zaciskając dłoń na jej nadgarstku. Stojąca naprzeciwko starszej kobiety Nicole skrzywiła się, wyraźnie czuła się nieswojo. – Pani wie różne rzeczy. Skąd pani je wie? Co pani zrobiła z moją córką?

– Bardzo panią proszę. – Wyatt szybko wkroczył między obie kobiety. Musiał siłą oderwać palce Marlene od nadgarstka Nicky.

Kobieta zwróciła się do niego.

– Co to za chora gra? Powiedział mi pan, że znalazł moją córkę. Powiedział pan, że ma na to dowód!

– Mamy odciski palców, pani Bilek. Odciski, które pasują do odcisków pani córki...

– Ale ona nie jest Vero! Nie ma blizny. Vero ma bliznę...

– Okej, okej. Proszę wziąć głęboki oddech. Uspokójmy się.

Wyatt zabrał Marlene na jedną stronę pokoju, a Nicky na drugą. W oczach Marlene widać było żal, gniew i poczucie bycia oszukaną. Nicky wyglądała na zaskoczoną. I już pocierała skronie, co znaczyło, że zaczyna się migrena. Wyatt czuł, że jego też zaraz zacznie mocno boleć głowa, choć nie doświadczył trzech wstrząśnień mózgu.

Tessa zajęła się Nicky. Pomogła jej usiąść na jednym z krzeseł, podczas gdy Wyatt posadził Marlene na krzesło po drugiej stronie pokoju. Tessa wyjęła z minilodówki butelki z wodą. Pierwszą podała Nicky, a drugą Marlene.

Obie zaczęły pić.

Wyatt wykorzystał tę chwilę, żeby jakoś to sobie poukładać. Czuł się niezręcznie, ale obserwując te dwie kobiety w jednym pokoju hotelowym, bez problemu uwierzył, że są matką i córką, nie ze względu na podobieństwo, ale to, jak się poruszały, jak się razem trzymały.

Tyle że według Marlene Bilek to było niemożliwe.

– Zacznijmy od początku – powiedział po chwili. Zwrócił się do Marlene: – Mówi pani, że Veronica ma bliznę.

– Na wewnętrznej stronie lewego przedramienia. Tuż pod łokciem. Pięć, siedem centymetrów. Przez stolik do kawy.

– Ronnie ją na niego rzucił – wyrecytowała Nicky. – Podniósł ją. Vero była małą dziewczynką, więc cisnął ją na drewniany stolik jak jakiś śmieć. Stolik się połamał. Jego noga wbiła jej się w rękę.

– Skąd to wiesz? – zapytała Marlene.

– Vero chciała latać – szepnęła Nicky. – Ona tylko chciała latać. Jak mogłaś nadal z nim być? Jak mogłaś kazać jej tak cierpieć?

Marlene pobladła. Nic nie odpowiedziała.

– Jest pani pewna tej blizny? – zapytał ponownie Wyatt. Nie mógł się powstrzymać. Vero nie mogła mieć blizny. Bo jeśli Vero miała bliznę, to nic tutaj nie miało sensu.

– Sprawdźcie w zgłoszeniu zaginięcia – poradziła mu rzeczowo Marlene. – Jest wymieniona w cechach szczególnych.

Tessa się tym zajęła. Wyciągnęła kopię zgłoszenia ze swojej torby na laptopa i szybko ją przejrzała. Gdy podniosła wzrok, Wyatt zobaczył odpowiedź w jej oczach. Skinęła głową na znak, że owszem, znaleźli się w krainie szaleństwa.

Wyatt zwrócił się do Nicky.

– Kim pani jest?

– Zgubiłam się. Nikt mnie nie chciał, nawet przed domem dla lalek. Nikt mnie nie kochał, nawet przed domem dla lalek.

– Pani jest Chelsea. – Wyatt dopasował kawałki układanki. – Jest pani tą współlokatorką. – Uznał, że już rozumie. – Tą, która zabiła Vero, żeby móc uciec.

– Tylko że od dwudziestu dwóch lat staram się ją uratować.

Wyatt zerknął na Tessę. Próbowwała ostrzec go, że musi być jakiś powód, dla którego Nicky głęboko ukryła swoją przeszłość. Ten wydał mu się wystarczająco dobry.

– Chelsea...

– Nicky.

– Nicky. Czy Vero umarła tamtej nocy?

– Z domu dla lalek można się wydostać tylko w jeden sposób.

– Jest pani pewna? – zapytał ostrożnie, świadomy, że Marlene Bilek gwałtownie wstrzymała oddech.

Nicky nie odpowiedziała. Wyraz udręki na jej twarzy był wystarczającym dowodem.

– W takim razie w jaki sposób jej odciski palców znalazły się w pani samochodzie?

– Ona nie umarła! – Marlene natychmiast podchwyciła tę szansę, mocno pochylając się do przodu. – Ona z tobą była! Widziałaś moją córkę. I wiesz, gdzie ona jest.

Wyatt zwrócił się do Nicky. Marszczyła brwi i znowu pocierała czoło.

– Cii... – szeptała. – Tylko cii...

– Wszystko w porządku? – zapytał łagodnie.

– Ona się ze mnie śmieje. Nienawidzę, gdy ma taki nastrój. Wolałabym, żeby założyła ubranie. Albo przynajmniej skórę.

Wyatt i Tessa znów wymienili spojrzenia.

– Nicky – odezwał się Wyatt zdecydowanym tonem. – Środa wieczór. Jest pani w swoim samochodzie. Jedzie pani do sklepu z alkoholami. Chce pani

zobaczyć Marlene Bilek, dawno temu utraconą matkę Vero. Kto z panią jest?

Nicky otworzyła oczy. Wyglądała na nieszczęśliwą, ale szczerą.

– Vero ze mną jest. Ona zawsze ze mną jest. Ale nie tak, jak myślicie.

– Pani jej szuka.

– Zawsze.

– Pani chce, żeby była bezpieczna. Raz ją pani zawiodła, więc teraz cały czas stara się pani zrobić to dobrze.

– Tak!

– Nicky... – Wyatt ujął jej rękę i przytrzymał między swoimi dłońmi. Palce kobiety były lodowate, co mocno kontrastowało z kropelkami potu na jej czole. Nie zostało im wiele czasu – uświadomił sobie. Bez względu na jego zainteresowanie innymi aspektami tej sprawy jej wstrząśnienia mózgu były prawdziwe, a cała ta stresująca sytuacja z pewnością się na niej odbijała. W każdej chwili może ją powalić potężna migrena i to będzie koniec.

– Niech pani wreszcie powie, czy Veronica Sellers, pani przyjaciółka, współlokatorka, wy dostała się z domu dla lalek?

– Vero nauczyła się latać.

– Przedawkowała narkotyki.

Nicky patrzyła na niego. Patrzyła, patrzyła i patrzyła. I po raz pierwszy Wyatt zrozumiał. To nie tak, że nie mogła się przyznać przed policją. Ona nie mogła się przyznać sama przed sobą. Chelsea, której przed domem dla lalek nikt nie kochał. Ale w nim właśnie znalazła siostrę.

– Tak – szepnęła. A potem zamknęła oczy, co odpowiadało im obojgu, bo nie był pewien, czy zniesie dłużej ból, który w nich widział.

– Nicky, muszę pani zadać jeszcze jedno pytanie.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Jej odciski palców, te które znaleźliśmy w aucie... Skąd się tam wzięły?

– Musiała z tobą być – odezwała się nagle Marlene. – Moja córka. Kłamiesz o jej śmierci. Była z tobą tamtej nocy w samochodzie.

Nicky potrząsnęła głową.

– Nie, to nie tak.

– To prawda – zgodził się Wyatt. – Użyliśmy psa tropiącego. I Annie stwierdziła, że w aucie była tylko jedna osoba, kierowca, który wspinał się na górę do szosy.

– W takim razie jak wyjaśnić te odciski palców? – zapytała Tessa. Miała zmarszczone brwi. Poczuli się lepiej, wiedząc, że to wszystko ją także wprawia w zakłopotanie. – Nie da się podrobić odcisków palców. Nie ma dwóch identycznych. Nawet w przypadku bliźniąt jednojajowych.

– Zgadza się. – Wyatt spojrział na dłonie Nicky. Pobrali odciski palców z jej samochodu, ale aż do dzisiejszego popołudnia nie pobrali ich od niej.

Przesłuchiwali ją, byli u niej w domu, zabrali ją na przejażdżkę, ale odciski palców... Nie, nie zrobili tego wcześniej.

Czyli, podsumowując, odkryli odciski palców Veroniki Sellers w samochodzie Nicky. Ale to nie znaczy, że to były odciski palców Nicky Frank.

Co za głupi, idiotyczny błąd. Jak żółtodzioby. Musi natychmiast zadzwonić do Kevina i poprosić go o porównanie odcisków palców Nicky pobranych dziś po południu z odciskami Veroniki Sellers sprzed trzydziestu lat.

– Nicky – powiedział. – Te odciski były we krwi. Sam to widziałem. To nie były stare ślady. Powstały tamtej nocy. Zostały we krwi, twojej krwi, na siedzeniach i na desce rozdzielczej twojego auta.

– Vero chce latać – szepnęła. – A samochód poleciał, jak piórko. Wciąż widzę jej uśmiech. Słyszę jej śmiech.

– Co się stało?

– Nic nie może być wiecznie lekkie.

– Co się stało?

– To nie latanie. To lądowanie jest najtrudniejsze.

– Nicky! – powiedział stanowczo. – Niech pani na mnie spojrzysz. Proszę popatrzeć na to zdjęcie. To nie jest zdjęcie Vero. Rozumie mnie pani? To jest pani zdjęcie! Pani. Bez względu na to, jak Thomas je zdobył... Tu nie chodzi o Vero. Tu zawsze chodziło o panią.

– Myli się pan. – Nicky gwałtownie podniosła wzrok i popatrzyła Marlene prosto w oczy. – Tu chodzi o Vero. Ona nigdy nie powinna była trafić do domu dla lalek. Nigdy nie powinna była tam umrzeć. Dwadzieścia dwa lata później ona wciąż pragnie zemsty. I wszyscy w końcu zapłacimy.

Wyatt odprowadził Marlene Bilek z powrotem do drugiego pokoju. Po wygłoszeniu swojej przemowy Nicky opadła na najbliższe łóżko. Natomiast Marlene chyba przeszedł najgorszy gniew, teraz zachowywała się, jakby była w szoku.

Wyatt poprosił ją, żeby jeszcze raz szczegółowo opisała mu Vero, ale nie miała nic nowego do dodania. Jej Vero miała szare oczy. A Nicky Frank ma niebieskie. Jej Vero miała bliznę na lewym przedramieniu. Owszem, wypadek ze stolikiem do kawy wyglądał dokładnie tak, jak opisała to Nicky, i absolutnie nie jest z tego dumna, ale to, że Nicky знаła szczegóły, nie zmienia jej zdania. Nicky Frank może znać wszystkie historie z życia Veroniki Sellers, ale nie jest jej dawno zaginioną córką.

Jeśli chodzi o odciski palców z auta tej kobiety... To nie ma sensu. Jeśli Vero żyje, to dlaczego nie skontaktowała się z rodziną? A w ogóle to dlaczego Nicky zadała sobie trud, żeby wysledzić Marlene przez Northledge Investigations? Przecież Marlene nie dostała żadnego spadku po zniknięciu córki. Ona i jej rodzina to zwykli, skromnie żyjący ludzie, nikt nic nie zyska na udawaniu, że jest jej

zaginionym dzieckiem.

– Ona jest chora – stwierdziła w końcu Marlene, jakby wreszcie udało jej się przełamać i okazać trochę empatii. – I nie chodzi mi tylko o to nieustanne pocieranie skroni. Nicky... Ona jest trochę szalona, prawda?

Wyatt zawahał się, nie wiedząc, jak odpowiedzieć na to pytanie.

– Myślę, że ona jest naprawdę zagubiona.

– Myślała, że jest Vero – powiedziała Marlene. – I dlatego kupiła narzutę, dlatego mnie śledziła. Ona chyba naprawdę myślała, że jest moją córką.

– Wydaje się bardzo związana z Vero – stwierdził Wyatt i to było wszystko, co potrafił wydedukować.

– Dlaczego?

Znowu się zawahał.

– Pani Bilek... Bez względu na to, co produkuje szwankujący umysł Nicky... Nie sądzę, żeby miała urojenia. Szczerze mówiąc, podejrzewam, że większość jej wspomnień to prawda. A w takim wypadku...

Marlene przez chwilę milczała, po czym zwróciła się do niego:

– Myśli pan, że ona mówi prawdę o tym domu dla lalek? Te historie, które mi opowiedziała na początku. One naprawdę się przydarzyły. Vero. I jej.

– Myślę, że powinniśmy się tego dowiedzieć. Jesteśmy to winni Nicky i Vero.

Spojrzała na niego.

– Moja córka tam umarła. Ta dziewczyna, Chelsea, miała dość siły, żeby odstawić narkotyki. Ale moja Vero... – Głos jej się załamał, z trudem przełknęła ślinę. – I dlatego Chelsea nie może o niej zapomnieć. Wykorzystała śmierć mojej córki, żeby uciec, i od tamtej pory czuje się winna.

– Myślę, że nie powinniśmy pochopnie wyciągać wniosków.

Wyatt wyjął szkice, które wcześniej pokazała mu Tessa.

– Rozpoznaje pani ten budynek? – Pokazał Marlene Bilek rysunek domu. Twarz kobiety zamarła. Patrzyła na rysunek kamiennym wzrokiem.

– To jest to miejsce? – zerknęła na niego. – Duże. I... piękne. Wydawałoby się, że ludzie, którzy mają to szczęście, żeby tak ładnie mieszkać, powinni być dobrzy. W takim miejscu dzieci, małe dziewczynki, powinny być szczęśliwe.

Wyatt czekał. Ale po chwili pokręciła głową.

Pokazał jej portret madame Sade. Podobnie jak on za pierwszym razem, Marlene się wzdrygnęła. A potem zrobiła coś niespodziewanego. Sięgnęła ręką i stuknęła palcem w rysunek.

– Czy to ta kobieta, która zabiła moje dziecko?

Wyatt nic nie odpowiedział.

– Cokolwiek się wydarzyło, ona była temu winna. Słyszał pan, co mówiła Nicky, to znaczy Chelsea. To ta kobieta porwała Vero z parku. To ta kobieta ją

uwięziła. To ta kobieta zabiła moje dziecko.

– Pamięta ją pani z parku?

– Nie.

– Czy kiedykolwiek ją pani widziała? W swoim bloku albo w sąsiedztwie? – Wyatt nie wierzył, by kobieta taka jak madame Sade przypadkowo wybierała swoje ofiary. Zwłaszcza biorąc pod uwagę fizyczne podobieństwo między Vero i Chelsea, wyraźnie widać było, że szuka określonego typu urody. Być może spełniała nawet życzenie jakiegoś klienta, a to wymagało najpierw poszukiwań.

Ale Marlene potrząsnęła głową.

– Nie.

– Jest pani pewna?

Rzuciła mu surowe spojrzenie.

– Myśli pan, że mogłabym zapomnieć kogoś tak zimnego? Gdy patrzę na jej portret, przewraca mi się w żołądku.

Wyatt wpadł na inny pomysł.

– A widziała pani tego dnia w parku jakichś chłopców? – Postarał się jak najlepiej opisać młodszą wersję Thomasa Franka, który jakoś musiał pasować do tej układanki. Ale Marlene ponownie pokręciła głową.

– To było dawno temu, sierzancie. A Nicky nie kłamała. Byłam pijana tamtego dnia. Nie powinnam była zabierać dziecka do parku. Nie powinnam była siadać na tamtej ławce. To moja wina. I zapłaciłam za to najwyższą cenę, jaką może zapłacić matka.

Spróbował innej taktyki.

– Kto wiedział o bliźnie Vero?

– Każdy, kto przeczytał zgłoszenie o zaginionym dziecku, oczywiście.

– Ma pani na myśli oficjalny raport policji? Bo nie ma tej informacji na ulotkach. Na nich jest tylko jej zdjęcie i podstawowe dane, jak wzrost, waga i wiek.

– To prawda.

– Rodzina i przyjaciele? – zapytał.

Skrzywiła się ze wstydem.

– Raczej ich nie mieliśmy. Byłam tylko ja, Vero i Ronnie.

– Czyli Ronnie wiedział. Czy policja przesłuchiwała go w sprawie zaginięcia Vero?

– Oczywiście. Ale to było tak dawno temu. I miał alibi, był w pracy, gdy ona zniknęła.

– Okej. – Lecz Wyatt nadal intensywnie myślał. Biorąc pod uwagę wiek i ogólny opis, Nicky była idealną kandydatką na zaginioną Veronicę Sellers. Gdyby nie ta blizna, jak mówiła Marlene.

To go bardzo zaintrygowało. Bo niewiele osób wiedziało o tym szczególe. Z całą pewnością raporty policyjne nie były publicznie dostępne. To znaczy, że

jeśli ktoś bardzo chciał, żeby Nicky Frank była Veronicą Sellers... I tak bardzo mu na tym zależało, że umieścił odciski palców zaginionej dziewczynki w aucie Nicky...

Tylko jak? I dlaczego?

Thomas spotkał się z Nicky tamtej nocy. Ze swoją na wpół pijaną, zrozpaczoną żoną po trzech wstrząśnieniach mózgu. Wręczył jej rękawiczki. Wsadził ją do samochodu na jałowym biegu i zepchnął auto ze wzgórza w kierunku jaru. Czy w jakiś sposób umieścił w nim odciski palców Vero? Bo chciał, żeby Nicky za nią uchodziła? Albo umarła jako dawno zaginione dziecko? Ale po co?

Składany szpadel, para zakrwawionych rękawiczek. Co ten człowiek wyprawiał tamtej nocy? I kiedy cokolwiek w tej sprawie zacznie nabierać sensu?

Wyatt podziękował Marlene za poświęcony czas. Uzyskał jej zapewnienie, że nie będzie rozmawiać z dziennikarzami, i poprosił jednego z funkcjonariuszy, żeby odwiózł ją do domu.

Gdy tylko wyszła, w drzwiach łączących pokoje pojawiła się Tessa. Pokój Marlene był identyczny jak pokój Nicky. Usiadła na łóżku naprzeciwko niego.

– Cóż – powiedziała. – Nie poszło zgodnie z planem.

– Pozwól, że cię o coś zapytam. Czy umiałabyś podrobić odcisk palca?

– Bardzo bym chciała – stwierdziła gorzko. Zerknął na nią uważnie, ale tylko się uśmiechnęła. – W teorii to chyba możliwe. Zdjąć z jakiejś powierzchni, może za pomocą taśmy, a potem przenieść na inną. Ale... odcisk palca to tylko mikroskopijna warstewka linii papilarnych i naturalnego tłuszczu. Przeniesienie tego na inną powierzchnię z zachowaniem całości odcisku... To raczej coś, co jest możliwe w telewizji, a nie w rzeczywistości.

– Wiesz, co mnie uderzyło, jeśli chodzi o to auto? – zapytał.

Tessa potrząsnęła głową.

– Jakie mieliśmy szczęście, że odciski były tak wyraźne. Pomyśl. Z większości samochodów nawet nie da się ich pobrać. Nieregularny kształt powierzchni, wielokrotnie dotykanych, jeden wielki, lepki bałagan. Ale nie w samochodzie Nicole Frank. Sam gołym okiem dostrzegłem odcisk kciuka we krwi. Co za fart.

Tessa wbiła w niego wzrok.

– Uważasz, że został tam celowo umieszczony.

– Annie, pies tropiący, wyraźnie pokazała, że na miejscu wypadku była tylko jedna osoba, a ja nie zwykłem sprzeczać się w takich sprawach z psimi nosami.

– Ale po co?

– Nie mam pojęcia.

– Jak można uzyskać taki odcisk? – kontynuowała Tessa. – Trzydzieści lat później, nawet jeśli miało się dostęp do jej akt?

– Nie potrzeba akt, żeby zdobyć jej odciski palców – stwierdził Wyatt. –

Narodowe Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych już wiele lat temu utworzyło krajową bazę z cyfrowymi zapisami odcisków. Żeby łatwiej było porównywać.

– Więc nie wiemy jak i po co, ale w kolumnie kto podejrzewasz kogoś, kto ma dostęp do tej bazy.

Wyatt popatrzył na nią. Poczł z tyłu głowy, że coś wreszcie wskoczyło na miejsce.

– Cyfrowe zapisy – oznajmił. – Cyfrowe pliki.

– No?

– A wiesz, co można zrobić z cyfrowym obrazem?

– Hm... Wysłać go mejlem, SMS-em, podzielić się na Facebooku...

– Zaimportować do programu AutoCAD i stworzyć cyfrowy model.

– Cyfrowy model odcisków palców?

– Tak. Który można potem wrzucić na trójwymiarową drukarkę, która wykona trójwymiarowy model linii papilarnych, a ten można wykorzystać, powiedzmy, do stworzenia lateksowej rękawiczki z idealnymi odciskami.

Tessa szeroko otworzyła oczy.

– Sama rękawiczka nie zostawi odcisków. Trzeba pokryć ją jakąś oleistą substancją, np. tłuszczem...

– Albo krwią.

Tessa wzdrgnęła się lekko, lecz przytaknęła.

– Zakrwawione rękawiczki, te, które znalazłeś w aucie Thomasa Franka.

– To właśnie on dał je Nicky w tamtą noc. Parę rękawiczek z odciskami palców... Które sam zrobił na drukarce 3D. Żeby pokryła całe auto odciskami palców Veroniki Sellers. Żeby wzięto ją za Veronicę Sellers.

Tessa zadała narzucające się zgodnie z logiką pytanie:

– Ale po co?

Wyatt potrząsnął głową.

– Nie wiem. On musi w tym tkwić, prawda? Nicky twierdzi, że znalazła zdjęcie... jej samej... w jego rzeczach. Zrobione wtedy, gdy była w domu dla lalek.

– Jak uciekła? – zapytała nagle Tessa. – Chodzi mi o tę zamianę z martwym ciałem współlokatorki, która przedawkowała. Pozwoliła zakopać się żywcem, a potem bohatercko wygrzebała się z powrotem do świata żywych w deszczową noc... I potem co? Poszła na piechotę do Nowego Orleanu?

Wyatt zrozumiał.

– Musiała mieć pomocnika. I tu pojawia się Thomas Frank?

– W tym scenariuszu by ją uratował. I zaopiekował się nią, a potem spędzili razem jeszcze dwadzieścia dwa lata. Samo uratowanie jej w ciemną, deszczową noc nie wymagało przecież poświęcenia całego życia. A jeśli jest w zмовie

z madame Sade, to może był... strażnikiem Nicky przez te wszystkie lata? To z kolei nie wymagałoby zawierania małżeństwa. Ja odnoszę wrażenie... że on chyba naprawdę się o nią troszczy, przynajmniej w jakimś sensie.

Wyatt nadal był sceptyczny.

– Rozbił samochód żony, z nią w środku. Spalił ich dom, ze wszystkim, co było wewnątrz. Jeśli to ma być miłość, to przepraszam, ale najwyraźniej marnowałem czas, kupując kwiaty.

Tessa przewróciła oczami i podsumowała sprawę:

– Trzydzieści lat temu sześćioletnia Veronica Sellers została porwana z parku i zamknięta w wyrafinowanym burdelu. Mniej więcej dwadzieścia lat temu umarła w tym samym domu, ale jej współlokatorka Chelsea zdołała uciec i przez wszystkie te lata pamiętała o Vero.

– Cały czas w domu dla lalek chłonęła opowieści Vero. I teraz ma skłonność, by traktować je jak własną historię? A może tylko pragnie, żeby to była jej historia? – Wyatt uznał, że to kwestia do dyskusji. – W każdym razie Vero zawsze jej towarzyszy. Nie potrafi o niej zapomnieć.

– Co prowadzi nas do okresu sprzed pół roku, gdy Chelsea, która starała się prowadzić szczęśliwe życie z mężem, Thomasem Frankiem, vel „zawszę będę się tobą opiekował”, uznała, że nie da rady dłużej uciekać. Chce odpowiedzi, które wyjaśnią jej niepokojące wspomnienia, traumę, depresję i tak dalej. Domaga się, żeby przenieśli się do New Hampshire.

– I niemal natychmiast ma pierwszy wypadek. Spada ze schodów w piwnicy nowego domu. A potem przewraca się na ganku.

– Po czym – kontynuowała Tessa – następuje środowy wieczór. Kiedy spotyka Marlene Bilek, na której punkcie ma obsesję, bo to żywy łącznik z Vero. Nicky odkrywa niestety, że ukochana mama Vero ma nową rodzinę i nie rozpacza po stracie Vero tak bardzo jak Nicky, czyli Chelsea.

– Nicky dzwoni do Thomasa. A on realizuje swój własny plan? Zamienia swoją pogubioną żonę w Veronicę Sellers? – Wyatt popatrzył na Tessę. – I widzisz, tu właśnie nic nie pasuje.

Tessa przytaknęła. Uważnie mu się przyjrzała. Otworzyła usta, zawahała się, a potem pokręciła głową.

– Nie. Zgadza się. To nie ma sensu.

– Zadzwońię do Kevina. Niech zacznie porównywać odciski i analizować te rękawiczki. A potem my przejrzymy wszystko od początku. Coś nam umyka. – Wyatt zerknął na zegarek i zobaczył, że jest już prawie północ. – I mamy dziewięć godzin, żeby to znaleźć.

Tessa pokiwała głową.

– Jak myślisz, gdzie jest teraz Thomas? – zapytała.

Wyatt nie miał wątpliwości.

– Gdzieś blisko.

Rozdział 31

Vero i ja kłócimy się.

– Ja już nie chcę tego robić – mówię. – Chcę odzyskać swoje życie.

– Jakie życie? Ty nie masz życia. – Vero siedzi spokojnie przy drewnianym stoliku w sypialni w wieży. Założyła w końcu ubranie, tę straszną sukienkę w kwiaty, ale płaty skóry zwisają jej z czaszki.

– Nie wiedziałam o tej bliźnie!

– Powinnaś była. Żyłas ze mną wystarczająco długo. To nie moja wina, że nie uważałaś. – Wyciąga lewą rękę, ale znów jest szkieletem, więc od łokcia do nadgarstka widać tylko dwie równoległe kości przedramienia. – Oj – mówi. – Może mi się zapomniało. Ale to nie moja wina. Jestem przecież tobą.

Pocieram czoło. W wyobraźni czy naprawdę? Wszystko się rozmywa, sama już nie wiem.

– Chcę być wolna.

– Nie. Chcesz być mną. Zawsze chciałaś. I to też nie moja wina, że jesteś taka zazdrosna. Odkąd tylko opowiedziałam ci o mojej mamie, o tym, że tam, na zewnątrz, jest ktoś, kto mnie kocha, ktoś, komu na mnie naprawdę zależy. – W jej głosie słyszę drwinę. – To ty postanowiłaś zniszczyć moje życie.

Ma rację. Mam przed oczami też inne obrazy. Głęboko skrywane, ponure wspomnienia, których nigdy nie wywołuję, bo wolę opowieści Vero. Od samego początku wolę słuchanie o magicznej królowej i złej czarownicy. Vero może i wylądowała w domu dla lalek, ale wcześniej przez sześć lat, cudownych lat...

Miała matkę, która ją przytulała. Matkę, która pozwalała jej wspinać się na kolana. Matkę, która kiedyś spała z nią na podłodze i leżąc obok niej, błagała, żeby Vero nie umierała.

Ja nie mam takich wspomnień. Nawet po trzech wstrząśnieniach mózgu. Mam tylko Vero, której kiedyś nienawidziłam, a którą potem... pokochałam na swój własny sposób. Izolacja może mieć taki wpływ na ludzi. Jej opowieści stały się moimi. Jej nadzieja – moją nadzieją. Bo przez te wszystkie lata, gdy byliśmy razem, Vero cały czas opowiadała o dniu, w którym znowu zobaczy swoją matkę.

Tylko że...

– Nie powinnaś była mnie zabijać – mówi teraz, zupełnie zwyczajnym tonem. Napelnia sobie filiżankę. Szkocką. – Gdybyś mnie nie zabiła, może w końcu byś się ode mnie uwolniła.

– To nie fair.

– Kto gromadził narkotyki? Kto zostawił je w takim miejscu, że było oczywiste, że współlokatorka je znajdzie?

Przestaję chodzić w kółko, staram się uspokoić.

– Vero chciała latać – mówię obojętnym tonem. – I to właśnie zrobiłaś. To ty się poddałaś. To ty wzięłaś wszystko, cały zapas, do samego końca. Gdybyś tego nie zrobiła...

Vero uśmiecha się do mnie.

– Gdybym tego nie zrobiła... – prowokuje.

Nie daję się zwieść.

– Miałaś kogoś na zewnątrz, kto cię kochał. Powinnaś była odstawić narkotyki. Jeśli nie dla siebie, to przynajmniej dla niej.

Zdecydowanie jest w złym humorze.

– I wtedy co? Żyłybyśmy potem długo i szczęśliwie? Ty i ja, najlepsze przyjaciółki na zawsze w lochu w domu dla lalek?

Nagle kontury pokoju stają się mgliste. Róża na ścianie prawie znika. Jakby sypialnię wypełniła mgła. Albo dym.

W głowie – w rzeczywistości – czuję, że automatycznie wyciągam rękę.

Ale oczywiście Thomasa tam nie ma.

– Powiedz mi – domaga się Vero. – Powiedz mi, co by się stało, gdybym nie wzięła tych narkotyków.

– Nie wiem!

– Owszem, wiesz.

– Nie. Ja nigdy...

– Owszem, tak. Owszem, zrobiłaś to!

I oczywiście ma rację. Pojawiają się kolejne mroczne kształty. Wspomnienia, których nie jestem w stanie udźwignąć. Czekam, aż celowe ignorowanie ich przyniesie ulgę. Tylko że czuję je, jak czają się coraz większe i ciemniejsze, niosąc chłód w każdy zakątek mojego umysłu. Sierżant Wyatt miał rację. Tu wcale nie chodzi o Vero. Tu chodzi o mnie. Tu zawsze chodziło o mnie i, po trzech wstrząśnieniach mózgu, o przeszłość, której nie jestem w stanie stawić czoła.

– Odejdź – mówię jej. – Nie chcę już z tobą rozmawiać!

– Nie mogę. Jestem tobą. Tylko ty tutaj mówisz. Tylko ty się tutaj kłócisz. Tylko ty nie potrafisz poradzić sobie z prawdą. Wiesz, ja nie jestem miłym, małym duszkiem. Jestem twoim cholernym sumieniem.

Wyciąga rękę. Skóra znów jest na miejscu i teraz wyraźnie widać bliznę na lewym przedramieniu, grubą, postrzępioną szramę okrutnie rozdzierającą jej gładką, białą skórę. Jednoznacznie dowodzi, że wiedziałam, choć potem postanowiłam zapomnieć. Vero uśmiecha się, ale nie jest już w bojowym nastroju. Jej duch – moje sumienie – wydaje się smutny.

– Chciałam latać – mówi cicho. – Kiedyś. Dawno temu. Mała dziewczynka, która o niczym nie miała pojęcia. A potem Ronnie podniósł mnie i rzucił na stolik

do kawy. Można umrzeć na wiele sposobów, Chelsea. I nie wszystkie zdarzają się w domu dla lalek.

– Przykro mi.

– Chciałaś, żeby księżniczka miała szczęśliwe zakończenie. Chciałaś, żeby spotkała się ponownie z magiczną królową i żeby świeciło słońce, a niebo zdobiła tęcza. Na swój sposób wierzyłaś we mnie dużo dłużej niż ja sama.

Nic nie odpowiadam.

– Ale wiesz też, Chelsea – kontynuuje rzeczowo – w głębi serca wiesz, dlaczego tak się nie mogło stać. Moja opowieść to fikcja. Teraz możesz odwiedzać mnie, kiedy chcesz, i wskrzeszać mnie w swojej głowie, jak długo będziesz chciała. Ale nie ma już powrotu. Jesteś tylko ty. Tylko ty ocalałaś.

– Kochałam cię – szepczę.

– Wiem. Ale uwierz mi, sama miłość cię nie ocali.

Nagle czuję coraz więcej ruchów w ciemnych korytarzach mojego umysłu. Wspomnienia, których przysięgałam nie tykać, a mimo to... Gwałtownie podnoszę wzrok. Vero obserwuje mnie z przebiegłą miną.

– Przestań – mówię.

– Nie mogę. Jestem tobą, pamiętasz?

– Nie jestem na to gotowa.

– Na co? Na zapach dymu? Żar płomieni? Ogień, ogień, wszędzie ogień. Dlaczego twój mąż spalił wasz dom, Nicky? Dlaczego? A zwłaszcza, odkąd to Thomas tak dobrze radzi sobie z ogniem?

– Zamknij się!

Ale ona nie milknie. Odsuwa się od stolika. Maszeruje przez pokój. Nie ma już sukienki. Skóry też nie ma. Jest tylko gnijącym mięsem, które zbliża się do mnie, wyciągając kościste ramiona.

– Thomas – intonuje. – Przystojny Thomas. Troskliwy Thomas. Thomas, który zawsze przy tobie jest. Czy ty uciekasz przed swoją przeszłością, Nicky? A może przed człowiekiem, za którego wysłałaś za mąż?

Ręka szkieletu sięga mojej szyi, drapie mnie po obojczyku.

Nagle drzwi do sypialni w wieży otwierają się gwałtownie. Ale nie odwracam się. Wpatruję się w wykrzywioną czaszkę Vero. Bo wiem już, że nie chcę zobaczyć, kto w nich stoi.

– *Co ty zrobiłaś, Nicky?* – szepcze do mnie Vero. – *Kogo jeszcze się boisz?*

Gwałtownie się zrywam. Moja głowa płonie, boli mnie całe ciało. Na sekundę, instynktownie, automatycznie, napinam każdy mięsień. Zmuszam się do bezruchu. Stare nawyki, z tamtych dni, gdy nigdy nie było wiadomo, kto jeszcze tu jest. Kto jeszcze będzie chciał cię skrzywdzić.

Najpierw ostrożnie wciągam powietrze. A potem długo i powoli je wypuszczam. Słucham, rejestruję głosy, które dochodzą zza ściany, z pokoju obok.

Nasłuchuję uważniej, szukam znaków obecności innej osoby gdzieś blisko. I dopiero gdy jestem absolutnie i całkowicie przekonana, że jestem sama, otwieram wreszcie oczy i rozluźniam mięśnie.

W pokoju jest ciemno. Widzę wąską smugę światła na przeciwległej ścianie, jej źródłem są drzwi między dwoma pokojami. Coś mi się przypomina. Moja obecna kryjówka w postaci niczym się niewyróżniającego pokoju hotelowego w New Hampshire. Katastrofa spotkania z Marlene Bilek, która nie jest moją mamą, bo oczywiście moja prawdziwa mama umarła z przedawkowania wiele lat temu, nawet zanim uciekłam z domu dla lalek. Osoba, którą kiedyś podziwiałam, a potem ją zapomniałam, bo jaki to miało sens? Nigdy nie byłam księżniczką z magiczną królową. Przez całe życie służyłam złej wiedźmie.

Pałą mnie oczy. Głupie łzy – myślę, rozglądając się. Mój wzrok pada na drugie łóżko. Puste, tak jak się spodziewałam. Tessa jest pewnie w drugim pokoju i rozmawia z Wyattem.

Pewnie omawiają sprawę od początku. Próbują zrozumieć, dlaczego zadałam sobie trud, żeby wysledzić Marlene Bilek, skoro nie jest moją matką. Dlaczego ściskam w rękach narzutę, którą uszyła zupełnie obca mi kobieta.

Skąd się wzięły odciski palców Vero w moim samochodzie.

Nie znam odpowiedzi na to ostatnie pytanie. To dla mnie taka sama zagadka, jak dla nich. A jeśli chodzi o dwie pierwsze kwestie... Chyba po prostu starałam się utrzymać Vero przy życiu, zachować jej pamięć. Nasze wymyślone spotkania nie były w stanie przynieść mi ulgi w bólu, więc poszłam o krok dalej w budowaniu jakiejś namacalnej więzi między nami.

Może gdybym potrafiła uczynić Vero wystarczająco realną, albo jej rodzinę, to nie zniknęłyby, a mnie nie gnębiłoby aż takie poczucie winy.

Bo dwadzieścia dwa lata później ja wciąż nie wiem, na czym polega życie. Przetrwałam, owszem. Nawet wyszłam za mąż i mieszkałam w różnych miejscach. Ale czy to było prawdziwe życie czy też inna forma ucieczki? Każdej nocy budzę się z krzykiem. Wszystkie te wspomnienia, które tłumiłam, aż mój umysł stał się jednym wielkim chaosem, jeszcze zanim przydarzyły mi się te wstrząśnienia.

Wydostałam się z domu dla lalek, ale nie zdołałam uciec przed przeszłością. Ciężar mojej własnej winy czy też umiejętności, której nie zdołałam nabyć? Nie wiem. Czuję, że chcę być czymś więcej. Chcę robić coś więcej. Ale nie wiem, jak to osiągnąć.

Mogłabym znowu uciec – myślę teraz, zwinięta w kłębek na hotelowym łóżku. Wybrać sobie nowy stan, nowe miasto, nową tożsamość. Tak robiłam wcześniej. Zwłaszcza przez pierwsze dwa lata po ucieczce. Ciągnęłam Thomasa z miejsca na miejsce, od nazwiska do nazwiska, czasami nawet co tydzień. Miało to więcej wspólnego z ewidentną histerią niż ze strategicznym planem zachowania wolności. Thomas błagał mnie, żebym zwolniła. Spróbowała nowego miejsca,

zanim znowu zniknę. Wybrała jedno imię, jedną tożsamość, żebyśmy mogli zacząć budować normalne życie.

To był jego pomysł, żebyśmy zrobili to ostatni raz, profesjonalnie, żebyśmy zapłacili dużo pieniędzy za dobre dokumenty i sprawdzoną przeszłość. Staliśmy się Thomasem i Nicole Frank, przysięgał, że te tożsamości zapewnią nam bezpieczeństwo. A mimo to co dwa lata musiałam się przeprowadzić. Bo ciężar listopada wciąż był zbyt wielki.

Może tym razem na poważnie się zapiję – rozważam. Do diabła z uszkodzeniami mózgu. Wrócę do szkockiej, wypalę te koszmarnie wspomnienia raz a porządnie. Powiem sobie, że jestem wolna, szczęśliwa i niezależna. Do diabła z Thomasem. Do diabła z Vero. Ucieknę od nich obojga. I będę kobietą, która ma wszystko.

Kobietą, która jest nikim.

Tylko że to nie do końca prawda – przyłapuję się na takiej myśli. Więcej cieni, suną i czają się w tyle mojej głowy. Smak ziemi. Jej dotyk, gdy ustępuje pod moimi palcami. I ta chwila, ta okrutna chwila, gdy uświadamiam sobie, że to zrobiłam. Uciekłam. Żyję. Uwolniłam się z domu dla lalek.

Ta chwila, zanim...

Dym. Żar. Mój dom płonący w New Hampshire. Dlaczego Thomas go podpalił? Mógł swój warsztat, ale dlaczego cały dom? Dlaczego musiał spalić go do cna?

Gdzie Thomas nauczył się tak dobrze radzić sobie z ogniem?

Vero, śmiejąca się gdzieś z tyłu mojej głowy. – *Uciekasz przed swoją przeszłością czy przed człowiekiem, za którego wyszłaś za mąż?*

Staram się nad tym zapanować. Zmuszam oczy, żeby skupiły się na teraźniejszości. Na ciemnym hotelowym pokoju. Na pustym łóżku obok. Nie chcę już dłużej czuć takiej bezradności. Ani zagubienia, ani przygnębienia.

To jest to. Chwila prawdy.

Mogę spędzić resztę życia jako współlokatorka trupa albo żona mężczyzny, po którym ślad się urwał.

I wtedy, w kolejnym ułamku sekundy.

Nie. Jestem kimś więcej. To ja chciałam przenieść się do New Hampshire, nawet gdy Thomas próbował mnie od tego odwieść. To ja wynajęłam prywatnego detektywa, choć Thomas przekonywał mnie, żeby dać spokój.

Jestem kobietą, która dwa razy powróciła z martwych.

I jeszcze nie skończyłam.

Rozdział 32

Podczas gdy Wyatt omawiał przez telefon z Kevinem zagadkową sprawę odcisków, Tessa zadzwoniła do D.D. Warren.

Detektyw z Bostonu była jak zwykle czarująca.

– Masz pojęcie, która jest godzina?

– Na moim zegarku dwunasta.

– A ja wcale jeszcze nie zdecydowałam się pracować dla twojej potężnej i wpływowej firmy...

– Ale zgodziłaś się przyjąć zlecenie.

– Już się wykazałam.

– Jaka mało ambitna. Kto by pomyślał?

– Cicho tam – powiedziała D.D.

Tessa się uśmiechnęła. Bo taka typowa dla trudnego charakteru pani detektyw rozmowa była najbardziej normalną konwersacją, jaką Tessa przeprowadziła tego wieczoru.

– Przepraszam, że dzwonię tak późno – ustąpiła Tessa. – Ale o ile mnie pamięć nie myli, jesteś z tych pracujących na okrągło. Co to się wyśpią na emeryturze. Albo w grobie.

– Żadna różnica – odparła D.D.

– To świetnie, bo ta sprawa zaczyna wymykać się spod kontroli i z pewnością w trybie pilnym potrzebujemy jakichś odpowiedzi.

Wyatt skończył rozmowę. Tessa pomachała do niego, żeby podszedł, i włączyła głośnik w telefonie. Wyatt i D.D. pracowali ze sobą nad sprawą Denbe, więc nie musiała ich sobie przedstawiać.

– Jak twoja ręka? – zapytał Wyatt.

– Pomalutku.

– Umówiłaś się na test sprawności? – zapytał.

– Pomalutku – odpowiedziała D.D. i tym razem jej ton wyraźnie dał do zrozumienia, że to koniec tematu. – A więc sprawa Veroniki Sellers. Według zawsze słusznych i doskonale zorientowanych wieczornych wiadomości odnaleźliście zaginioną dziewczynkę. Tyle że trzydzieści lat za późno.

– Hm... Nie jesteśmy tacy pewni – stwierdziła Tessa.

Chwila ciszy. A potem:

– Niech mnie. W takim razie cieszę się, że jednak odebrałam ten telefon.

Wyatt przedstawił tajemniczą kwestię odcisków palców.

– Kevin zbadał właśnie te lateksowe rękawiczki pod lupą – dodał – i jest pewien, że widzi rowki na każdym z palców. Czyli możliwe, że Thomas Frank zaprojektował i wykonał parę rękawiczek z odciskami palców Veroniki Sellers,

żeby zostawić je w samochodzie swojej żony.

– Chciał, żeby jego żonę zidentyfikowano jako zaginioną dziewczynkę sprzed trzydziestu lat? – zapytała zdziwiona D.D. – Ale po co?

– To pytanie za milion dolarów. Jakież pomysły?

– Przystudiowałam całą tę przykrą sprawę – powiedziała D.D. – Przyznam, że kiedy poprosiliście mnie, żebym zajęła się zaginionym dzieckiem i ucieczką nastolatki sprzed trzydziestu lat w New Hampshire... Co za gówniane zlecenie.

– To ważna sprawa – poinformowała ją Tessa. – A masz inne zlecenia?

– Trafiony, zatopiony. Posłuchajcie, dałam z siebie wszystko, ale są dwie zasadnicze kwestie, jeśli chcecie wytropić łańcuch handlarzy ludźmi z dalekiej przeszłości.

– Okej – zachęcił ją Wyatt.

– Po pierwsze, wtedy Narodowe Centrum Dzieci Zaginionych i Wykorzystywanych było w powijakach. Więc nie ma jednej centralnej bazy danych. To znaczy teoretycznie jest. Główne komendy, takie jak Boston, raczyły przesłać swoje dokumenty. Ale gdy weźmie się pod uwagę komisariaty w małych miasteczkach albo prowincjonalne komendy, tam, gdzie od dawna brakowało ludzi, gromadzenie informacji nie było priorytetem, zwłaszcza w okresie, który was interesuje.

– W takim razie trzeba przejrzeć komendę za komendą – stwierdziła Tessa, co z pewnością było gównianym zadaniem, a mimo to cała trójka wiedziała, że tak to się często odbywa.

– Owszem. I to prowadzi nas do punktu numer dwa. Kto by się przejmował śmieciami.

Tessa zaczęła główkować, ale Wyatt od razu złapał.

– Chodzi ci o to, czy zaginione dzieci w ogóle trafiały do tej kategorii?

– Ta-dam, nagroda dla tego pana. Zapytaj jakiegokolwiek glińiarza, który pracuje w zorganizowanej. Większość nieletnich prostytutek uciekła z domu. W niektórych przypadkach być może zgłoszono zaginięcie, ale w większości...

– Nawet nie ma ich w systemie – dokończyła Tessa.

– Właśnie. Więc tak, mogę zmarnować cały tydzień na błaganiu każdego zabitego dechami komisariatu o przeszukanie ich archiwum, żeby znaleźć sprawę zaginięcia sprzed trzydziestu lat, albo mogę zrobić w tym czasie coś pożytecznego.

– Zakładam, że teraz błysniesz geniuszem? – zapytał z nadzieją Wyatt.

– Błagam. Mam uszkodzoną rękę, a nie mózg. A więc po kolei. Dla ułatwienia zrobiłam szerszą analizę statystyczną. Chcecie parę liczb, żeby się obudzić? W ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat nastąpił z grubsza sześciokrotny wzrost zaginięć, ze stu pięćdziesięciu tysięcy do niemal dziewięćset tysięcy. Spora część tego wzrostu może być wyjaśniona lepszym działaniem służb, ogólnonarodową debatą na ten temat, tak jak lepsza diagnostyka raka doprowadziła

do zwiększenia liczby wykrywanych przypadków. Taki wzrost nie cieszy, ale nie jest też tak bardzo zły, jak się wydaje. Gdy się tym liczbom przyjrzeć, tylko część dotyczy osób poniżej osiemnastego roku życia, a z tych dwieście tysięcy to sprawy ucieczek z zakładów. Podsumowując, zaledwie sto przypadków na rok kwalifikuje się jako porwanie przez nieznanego sprawcę. Jako matka uważam, że to o sto za dużo, ale mimo wszystko... Chyba nie zdarza się to tak często, jak myślimy.

Tessa musiała przyznać jej rację. Oboje z Wyattem pokiwali głowami.

– Ale to na poziomie krajowym – odezwał się Wyatt. – A grupy handlarzy ludźmi nie działają na taką skalę.

– Zgadza się. Więc koncentruję się na Nowej Anglii i zakładam, że powinnam znaleźć z tuzin, może dwa tuziny zaginionych dzieci. Ale to dotyczy dnia dzisiejszego. Pamiętajmy, że w latach osiemdziesiątych nasze komisariaty nie były zbyt obeznane z tematem. Więc myślę sobie, że jeśli znajdę tuzin raportów o zaginionych dzieciach, to może to być jakiś dowód, że w tamtym okresie działała tam grupa handlująca ludźmi. No i przyjrzę się też ucieczkom, wiadomo.

Tessa przyłapała się na tym, że kiwa głową, i zauważyła to samo u Wyatta. Żadne z nich nic nie powiedziało. Czekali.

– Znalazłam trzy sprawy – obwieściła D.D. – Oczywiście jedna z nich to Veronica Sellers. Ale to wszystko. W sumie w tamtym okresie zaginęło troje dzieci. Dwie dziewczynki, jeden chłopiec, Veronica Sellers była najmłodsza, miała sześć lat, a tamci to dwunastoletnia dziewczynka i czternastoletni chłopiec.

Tessa nie mogła się powstrzymać. Zmarszczyła brwi i spojrzała na Wyatta.

– Czyli jeśli działał tam ten dom dla lalek, pełen małych prostytutek... – powiedziała na głos.

– ...to musiały to być dzieciaki na gigancie – dokończyła D.D. – Najprawdopodobniej rekrutacja odbywała się w ciemnych zaułkach albo były odkupywane od alfonsów. Tylko że to miała być dość wyrafinowana działalność. Dom w stylu wiktoriańskim, orientalne dywaniki, czyli można się spodziewać pewnych wymagań ze strony klientów. Młodziutki niewiniątka byłoby na miejscu, choć to smutne. Ale zużyta giganciarą...

– Raczej nie pasuje – dopowiedziała Tessa. Zastanawiała się. – Nicky twierdziła, że spędziła pierwsze lata zamknięta w sypialni w wieży, gdzie miała lekcje. Madame Sade zjawiała się u niej codziennie i uczyła ją podstawowych przedmiotów, ale też dobrych obyczajów, konwersacji i tak dalej. Może wychowywała uciekinierki, szlifowała je dla swoich klientów?

– Możliwe – przyznała D.D. – Ale to byłoby czasochłonne. Jeśli spędzała cały czas z jedną dziewczynką, to kiedy rekrutowała inne?

Tessa i Wyatt nie potrafili odpowiedzieć.

– Mam dla was inną teorię.

– Prosimy – zachęcił Wyatt.

– Jestem śledczym od zabójstw. Wiecie, jaki jest nasz klucz do sukcesu? Podejmowanie ryzyka. Żona marnie kończy. Aresztuj męża. A jeśli masz ochotę na urozmaicenie, to chłopaka od czyszczenia basenu, którego rzuciła, bo może i był dobry w łóżku, ale nie miała zamiaru zrezygnować dla niego z pięknego domu. W każdym razie gdy masz ofiarę, są szanse, że sprawca jest w tym samym pokoju co ciało.

– Chodzi ci o Thomasa Franka? – zapytał Wyatt. – Bo możesz mi wierzyć, że ja zawsze w pierwszej kolejności podejrzewam męża.

– Kim jest Thomas Frank? – zapytała D.D. – Posłuchajcie, moim zadaniem było zbadanie sprawy Veroniki Sellers i innych zaginionych dzieci przed trzydziestoma laty. Znalazłam trzy przypadki, co oznacza, że albo nie było żadnej grupy handlarzy ludźmi, która specjalizowała się w uprowadzaniu niewinnych dziewczynek. Albo... – Długa przerwa. – Albo te inne dziewczynki, które zaginęły, nie figurowały jako zaginione, bo ich rodzice nigdy ich zaginięcia nie zgłosili.

Tessa potrzebowała chwili, żeby zrozumieć. A potem zamknęła oczy i przysunęła się bliżej Wyatta, bo nagle poczuła taką potrzebę.

– Jeśli to była kosztowna operacja – kontynuowała D.D. – dyskretna lokalizacja, bogaci klienci, wysokie wymagania... To, cóż, być może madame wybrała sprytniejszy sposób. Po co ryzykować kradzież towaru, skoro można go po prostu kupić?

– Te dzieciaki... – powiedział Wyatt. – Madame Sade nie porywała dzieci. Ona je kupowała?

– Pewnie. To się zdarza. Smutne, ale w tym kraju niemal na porządku dziennym.

– Jeśli sprzedawali je ich rodzice – Wyatt dokończył swoją myśl – to oczywiście, że nie zgłaszali zaginięcia.

– Oczywiście. Po co przyciągać uwagę do popełnionego przez siebie przestępstwa? A jeśli żyjesz w biedzie albo jesteś samotnym rodzicem i nie masz wsparcia rodziny, to kto zapyta? Sąsiadom powiesz, że mała Sally zamieszkała z byłym mężem albo odwiedza dziadków, albo, co tam... że zachorowała i umarła. Zdziwilibyście się, jak niewielu ludzi w takich wypadkach draży, zadaje istotne pytania. W większości ludzie nie chcą wiedzieć tego, czego wiedzieć nie chcą.

– Porwanie Vero było wyjątkiem, a nie normą? – zapytała Tessa. – Madame Sade uprowadziła ją, bo pasowała do typu, ciemne włosy, niebieskie oczy, ale przede wszystkim była w parku bez opieki, bo jej matka zalała się w trupa. Porwanie Vero zdarzyło się właściwie przypadkiem, ale wobec innych dziewcząt madame działała w bardziej zorganizowany sposób?

– Cóż, i tu dochodzimy do czegoś interesującego – powiedziała D.D. – To nie matka Vero zgłosiła jej zaginięcie.

– Co? – Tessa się wyprostowała. Oboje z Wyattem skupili na D.D. całą

swoją uwagę.

– Sięgnęłam do oryginalnych akt sprawy. Szczerze mówiąc, zainteresowała mnie. Jest tak mało zaginięć z tamtego okresu, a tu proszę, jedno dziecko się odnajduje, za to nigdy nie szukało własnej matki. Nie zdziwiło was to? Bo mnie, jako paranoicznego śledczego od zabójstw, zdziwiło bardzo.

– Mówiła, że nie była gotowa, że się bała, denerwowała... – Tessa umilkła. Nicky Frank nawet nie była Veronicą Sellers, więc jakie to ma znaczenie?

– Według raportu Vero i jej matka, Marlene, poszły do parku. Mama zasnęła na ławce. Gdy się obudziła, sześćioletniej córki już nie było. Zrobiło się zamieszanie, przyjechała policja. Ale coś tu nie pasuje. Według zeznania świadka Marlene nie wołała imienia córki. Tylko chodziła po parku. Dopiero gdy inna kobieta podeszła do niej i zapytała o dziecko, bo widziała, jak wychodzi z parku, i zastanowiło ją, co się dzieje... Dopiero wtedy zaczęła się akcja. Przyjechała policja, Marlene złożyła zeznanie, wyznaczono nagrodę, sprawa nabrała rozgłosu. Ale tak między nami matkami – D.D. zwróciła się do Tessy – czy chodziłabyś po placu zabaw, nie wołając imienia zagubionego dziecka?

Tessa nie musiała odpowiadać. To było dla niej niewyobrażalne.

– Poczekajcie – odezwał się Wyatt. – To było prawie trzydzieści lat temu. Zaginięcia dzieci nie były tak znanym tematem jak dzisiaj. Może Marlene nie zakładała najgorszego.

– To prawda. I śledczy z tamtych lat zgodziliby się z tobą. Pracowali nad sprawą, potem się wypalili, odłożyli ją, wyciągnęli z powrotem, znowu się za nią wzięli, wypalili się, a w końcu, dziesięć lat temu, znowu wyciągnęli jako niewyjaśniony przypadek. No bo nigdy nie wiadomo, prawda?

– Prawda – zgodzili się Tessa i Wyatt.

– I wtedy ten nowy oficer w swoich notatkach natychmiast wyskakuje z wątpliwościami co do Marlene Bilek. I nie tylko dotyczącymi jej zachowania czy braku zaangażowania w parku. Nie, jego uwagę zwróciło to, że sześć miesięcy później Marlene Bilek otworzyła swoje pierwsze konto oszczędnościowe, wpłacając pięć tysięcy dolarów.

– Co?

– Właśnie. W tym momencie Marlene była już związana z policjantem Hankiem Bilekiem. Zapewnił, że te pieniądze dostała od swojego poprzedniego męża. Tego niedobrego Ronniego, co to za często i za mocno ją bił. Hank zachował się szlachetnie, poszedł do niego, powiedział mu, że jeśli kiedykolwiek jeszcze tknie Marlene, to przez następne pół roku będzie leczyć złamania. Oficjalnie Ronnie pokrył koszty przeprowadzki Marlene, czyli te pięć tysięcy było po to, żeby mogła go zostawić i sama się jakoś urządzać.

– Okej – przerwała Tessa. – Przyznam, że podoba mi się styl działania Hanka.

– Pewnie, jak go nie lubić? Jest tylko jeden problem... Z konta Ronniego nigdy nie zeszło pięć tysięcy. A pieniądze miał. Właśnie skończył jakąś większą fuchę jako hydraulik. Ale choć na koncie Marlene pojawił się ten piątek, to u Ronniego nic nie ubyło. Więc skąd te pieniądze?

– Uważasz, że Marlene mogła sprzedać swoją sześciolletnią córkę za pięć tysięcy dolarów – powiedział wolno Wyatt.

– Warto to rozważyć.

– Ale Marlene dostała te pieniądze dopiero sześć miesięcy później – zaprotestowała Tessa.

– Trafiłaby na pierwsze strony gazet. Tyle kasy na jej koncie w ciągu dwudziestu czterech godzin od zaginięcia jej dziecka? Błagam, od razu założyliby jej kajdanki. Ale pół roku później... Żadnych związków, żadnych podejrzeń, żadnych hipotez... Prasa zajmowała się już czymś innym. Podobnie jak policja.

– Jakikolwiek dowód – zapytał Wyatt – że te pieniądze wiążą się ze zniknięciem Vero albo z jakąś zamieszaną w to osobą?

– Tyle szczęścia nie mamy. Depozyt wpłacono w gotówce, więc żadnych śladów. Pod tym względem Marlene jest czysta. Nadużywanie alkoholu owszem, ale poza tym żadnych zapisów w kartotece. Więc... – Tessa wyczuła wahanie w głosie D.D. – Marlene kiepsko nadawała się na głównego podejrzanego. Zwłaszcza po jej występie w telewizji w roli zrozczonej matki.

– A jej nowe życie, nowa rodzina, nowa córka? – zapytała Tessa.

– Czyściutko – odpowiedziała D.D. – Marlene to praworządna obywatelka pod wszelkimi względami. Może i trzydzieści lat temu przydarzyło jej się najgorsze, ale poukładała sobie życie.

– Tajemnicza wpłata pięciu patoli z pewnością nie zaszkodziła – mruknął Wyatt.

– Mówicie – kontynuowała D.D. – że Nicky Frank nie jest Veronicą Sellers, tak? W takim razie kim jest?

– Sprawdzamy jej odciski palców – poinformował Wyatt. – Przypuszczamy, że była to Chelsea, współlokatorka Vero w domu dla lalek. Ale na razie nie mamy nazwiska ani żadnej innej informacji.

– Przypomina Vero, prawda? Podobny wygląd, ciemne włosy, niebieskie oczy? Zbliżony wiek?

– Wygląda na to, że trafiła do domu dla lalek wcześniej, więc może być kilka lat starsza.

– Rozumiem. Przejrzę jeszcze raz raporty o uciekinierkach. Może znajdę kogoś podobnego albo o tym samym imieniu. Nie szkodzi spróbować.

– Dzięki – powiedział Wyatt. Pożegnali się i zakończyli rozmowę.

Tessa wyłączyła komórkę. Domyśliła się, co oznacza wyraz twarzy Wyatta. Był zmęczony i wkurzony, ale nadal intensywnie myślał.

– Mam wrażenie, że ktoś się nami bawi – stwierdził nagle. – Nicky najpierw okazuje się Vero, a potem Chelsea. Marlene ze zrozpaczonej matki zamienia się w kobietę, która mogła sprzedać własne dziecko. Thomas Frank, troskliwy mąż, okazuje się podpalaczem i mistrzem zbrodni. Oni wszyscy tkwią w tym po uszy, ale jak poskładać tę układankę?

– Potrzebny nam Thomas Frank – odparła cicho Tessa.

– Wierz mi, ja to wiem. Umundurowane patrole przeczesują każdy hotel i motel w promieniu osiemdziesięciu kilometrów. Monitorujemy wszystkie możliwe komórki i transakcje kartami kredytowymi. Niestety, on jest jak duch. Nie wiemy nawet, jakim autem się porusza. To, które ukradł z hotelu, porzucił po piętnastu kilometrach i tam ślad się urywa. Mam wrażenie, że to dla niego nie pierwszozna. – Wyatt przesunął dłonią po włosach. – Pytanie jest takie – powiedział nagle. – Jeśli Nicky nie jest Vero, to jak rozpoznała w środę wieczorem Marlene Bilek?

– Co masz na myśli?

– To, że przekazałaś jej tylko, że Marlene pracuje w sklepie z alkoholami w New Hampshire. A według słów Nicky, gdy tylko weszła do tego sklepu, od razu rozpoznała w Marlene matkę Vero. Jak? Na podstawie opowieści, które usłyszała od kogoś ponad dwadzieścia lat temu?

– Nicky mówiła, że znalazła ją w internecie.

– Być może, ale opowiadała o tym w taki osobisty sposób, wręcz instynktowny. Ona wiedziała, że Marlene to matka Vero.

– Myślisz, że ją wcześniej spotkała?

– Czemu nie? – Wyatt wstał z łóżka i zaczął krążyć po pokoju. – Skoro Marlene pobrała pięć tysięcy dolarów, to najpierw musiała dostać czek. A czegoś takiego raczej się pocztą nie wysyła. Cholera! Pokazałem jej szkic Nicky z tym domem. Pokazałem jej portret madame Sade. Patrzyła mi prosto w oczy i mówiła, że nie rozpoznaje ani domu, ani tej kobiety. Ale założę się, że kiedyś w nim była. Osobiście odebrała ten czek, a Nicky ją tam widziała. I dlatego tak się zawzięła, żeby ją wyśledzić. Marlene to nie tylko łączniczka z Vero. To kolejny wyzwalacz tłumionych wspomnień Nicky. Tak jest, zgarniamy ją.

– Marlene Bilek?

– Oczywiście. – Wyatt już podchodził do stolika po kluczyki do samochodu.

– A ty w tym czasie obudź Nicky. Zabierzemy je obie na przejażdżkę.

– Myślisz, że Marlene może doprowadzić nas do domu dla lalek? – Tessa też zerwała się z łóżka.

– Dom dla lalek, madame Sade, wszystko. Założę się o cokolwiek – Wyatt odwrócił się, jego oczy lśniły – że je znajdziemy, że znajdziemy Thomasa Franka. I raz na zawsze załatwimy tę sprawę.

Tessie podobał się ten pomysł. Poszła do drugiego pokoju, żeby obudzić

Nicky.

Tylko że...

– Wyatt! – krzyknęła.

Sprawdziła jedno łóżko, potem drugie, zajrzała do łazienki i do szafy. Pokój był tak mały, że prawda była oczywista.

– O co chodzi? – Wyatt wpadł do pokoju, pobrzękując kluczykami.

– Nie ma jej, Wyatt. Nicky Frank zniknęła.

Rozdział 33

Wymknięcie się z hotelu nie było trudne. Środek nocy, North Country poza sezonem. Latem w takim hotelu byłoby mnóstwo rodzin korzystających z basenu, wędrujących po górach i biorących udział w spływach rzekami. Wczesną jesienią parking zapchany byłby autokarami z emerytowanymi miłośnikami jesiennych barw, uzbrojonymi w aparaty fotograficzne i swetry o grubym splocie. W grudniu oczywiście śnieg i nastolatki na snowboardach oraz idealnie odziane miłośniczki nart. Ale teraz, w połowie listopada, gdy lasy pozbawione są liści, a góry pokrywa jedynie błoto...

Nawet miejscowi nie lubią listopada w North Country. To czas oczekiwania. I taka sama była dla mnie ta noc. Pełna oczekiwania. Wyczuwałam w powietrzu tę odrobinę napięcia, która sprawia, że włoski na karku się jeżą.

Wyjście z pokoju było bardzo proste. Najpierw znalazłam torbę Tessy na komputer, zostawiła ją obok stolika. Potem szukałam po ciemku, aż trafiłam palcami na prostokątny kształt kluczyków od auta. Wtedy wystarczyło już tylko poczekać, aż Wyatt i Tessa podniosą głosy, zaangażują się mocniej w rozmowę telefoniczną za ścianą. Sześć szybkich kroków i już byłam przy wyjściu.

Tessa ostrym tonem zadaje jakieś pytanie. Ja otwieram drzwi. Pierwsze przytłumione kliknięcie. W pokoju obok ktoś coś wykrzykuje. Wymykam się na zewnątrz, zamykam za sobą drzwi. Drugie przytłumione kliknięcie.

Potem już nie czekałam. Ruszyłam korytarzem prosto do schodów. W dół jedno piętro i już byłam na ciemnym parkingu, z kluczykami w ręku i pełna determinacji.

Oczywiście, pytanie, dokąd jechać, co robić...

Czy jeśli wiesz, kim nie jesteś, to znaczy, że wiesz, kim jesteś? Czy jeśli wiesz, że masz dość uciekania, to czy to znaczy, że wiesz, jak walczyć?

Czy jeśli wiesz, że jesteś zmęczona zapominaniem, to czy to oznacza, że wiesz, jak pamiętać?

Idę parkingiem, szukając czarnego SUV-a lexusa Tessy. Niebo jest bezchmurne. Połówka księżycy i mnóstwo gwiazd. Nie potrafię się powstrzymać, przystaję i podziwiam. Choć mieszkałam w przeróżnych miejscach, w miastach, na wybrzeżach, na pustyniach, to jednak nie ma jak nocne niebo w górach New Hampshire.

Powinam policzyć gwiazdy – myślę. Jest ich tak dużo, tak ogromnie dużo. Mogłabym liczyć i liczyć, a każda kolejna sprawiałaby, że czułabym się coraz mniejsza i coraz mniej istotna. Aż zniknęłabym raz na zawsze, pośrodku hotelowego parkingu. Żadnych decyzji, które trzeba podjąć. Żadnej przeszłości, przed którą trzeba uciekać.

I wtedy, niemal natychmiast, czuję zapach dymu.

I dlatego wiem, że on tam jest.

Nie mogę się powstrzymać. Robię krok do przodu. A potem kolejny. Na słabo oświetlonym parkingu jest tylko sześć aut. Ale od razu wiem, że nie ma go w żadnym z nich. Jest cieniem, o, tam, opiera się o drzewo. Mężczyzna powoli prostuje się, odrywa od pnia.

Mój mąż idzie w moją stronę.

Zabawne jest to, co się wie po tylu latach razem. Nie widzę jego twarzy. Jest za daleko i jest zbyt ciemno. Ale nie muszę widzieć jego oczu ani nosa, ani linii ust, ani zarysu szczęki. Poznaję męża po prostu po tym, jak się porusza.

I od razu czuję znajomy ucisk w piersi.

Ręce trzyma w kieszeniach. Wygląda niegroźnie, ale to i tak kosztuje mnie wiele nerwów. Zaciskam dłoń na kluczykach Tessy, tak na wszelki wypadek.

Zatrzymuje się półtora metra ode mnie. Czuję jego wzrok na swojej twarzy, ocenia mnie, podobnie jak ja jego, próbuje mnie rozczytać.

Czuję za dużo naraz. Silne pragnienie, by ruszyć i przytulić się do niego. Bo jestem sama, cierpię, chciałam rodziny i straciłam ją, a on jest wszystkim, co mam. Wszystkim, czego chyba nigdy nie miałam i, Boże, jak ja za nim tęskniłam. Za jego kolejnym głosem. Za dotykiem jego palców, masujących mi skronie. Za siłą jego determinacji, dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu.

„Kocham cię – powiedział mi wtedy, przed laty. – Pójdę, dokądkolwiek będziesz chciała, będę, kimkolwiek będziesz potrzebowała, zrobię, o cokolwiek poprosisz... Zawszę będę przy tobie”.

A teraz patrzę na męża, z którym spędziłam dwadzieścia dwa lata życia i po raz pierwszy uświadamiam sobie, że się boję.

– Dokąd się wybierasz? – pyta. W słabym świetle księżyca dostrzegam, że zmarszczył brwi. – Chyba nie powinno cię tu być?

– Zabawne, bo miałam zapytać cię o to samo.

Znowu marszczy brwi. Robi kolejny krok, ale coś w wyrazie mojej twarzy każe mu się zatrzymać. Odchyła się na piętach. Jest zdenerwowany – myślę. Niepewny, lecz to przecież nie ma sensu.

– Spotkałaś się z nią, prawda? – pyta. – Z Marlene Bilek. Widziałem, że policjanci ją tu przywieźli.

– Śledzisz mnie.

– Oczywiście. A czego się spodziewałaś?

Kręcę głową, powstrzymuję instynktowną potrzebę, żeby potrzeć skronie.

– Spaliłeś nasz dom. – I, co chyba ważniejsze: – Byłeś ze mną w środę wieczorem. Zapytałeś, czy ci ufam. A potem posadziłeś mnie za kierownicą i zepchnąłeś auto do jaru.

Thomas nic nie mówi. Uważnie mi się przygląda. Czeka, aż powiem więcej?

Czy może, że sobie więcej przypomnę?

Sierżant Wyatt się myli – uświadamiam sobie gwałtownie. Tu wcale nie chodzi o Vero. Ani o mnie. Tu chodzi o nas. O Thomasa i mnie. Bo na tym polega małżeństwo, tak? Że nie chodzi o jedną osobę czy o drugą. Tylko o dynamikę pomiędzy nimi.

A Thomas i ja mamy za sobą długą historię. Najdłuższy związek w życiu. Sięgający czasów zapachu świeżo skoszonej trawy. I widoku, jaki z sypialni w wieży miała samotna dziewczynka.

Przez te wszystkie lata mój mąż nie czekał wcale, aż powiem mu prawdę. On po prostu czekał, aż sobie przypomnę.

Robię krok do przodu. By sprawdzić swoją teorię, wyciągam lewą rękę i podwijam rękaw, żeby odsłonić gładką skórę przedramienia.

– Vero miała bliznę – mówię.

I wtedy na ułamek sekundy w jego oczach pojawia się błysk zrozumienia.

– Na lewym przedramieniu – ciągnę, obserwując jego twarz. – Ja jej nie mam.

On wie. On doskonale wie, o czym mówię.

– Ale odciski palców – protestuje. – Pobrane z twojego samochodu. Policja zidentyfikowała cię jako Veronicę Sellers. Widziałem w wiadomościach.

– Nie jestem Vero. Marlene Bilek to wie i ja też.

Marszczy brwi, niezadowolony, sfrustrowany, poirytowany? Nie potrafię stwierdzić i to mnie złości.

– Ty to zrobiłeś. – Moje przekonanie rośnie, a wraz z nim poczucie siły. – To ty dałeś mi te rękawiczki. Kombinowałeś coś z nimi, wyryłeś na nich odciski palców Vero? W każdym razie ty to zrobiłeś. Ty kazałeś mi je nałożyć. A potem...

Deszcz, błoto. Jest mi zimno. Gorąco. Płaczę, ale nie wydaję z siebie żadnego dźwięku. Wypiłam za dużo szkockiej. Śledziłam kobietę, magiczną królową z tamtych historii. I widziałam Vero, która kiedyś była martwa, ale teraz jest żywa, mój świat się rozsypuje, a ja nie potrafię poskładać go z powrotem.

Thomas, który odebrał moje histeryczne wezwanie. Thomas po raz kolejny ruszający mi na ratunek.

– Ufasz mi? – pyta, stojąc w otwartych drzwiach mojego samochodu. – Czy mi ufasz?

Pochyla się, przyciska usta do mojego policzka. Delikatnie, lekko jak piórko. Obietnica z góry zaprawiona żalem.

Nagle pośród deszczu i błota, i zapachu świeżo wzruszonej ziemi.

Zapach dymu. Żar ognia.

Siedzę, zapięta pasem w moim audi pośrodku pustej, zalanej deszczem szosy. Patrzę na mojego męża i niemal widzę tańczące wokół niego płomienie.

Pamiętam.

W tym momencie pamiętam wszystko.

A on wie, że ja wiem.

Mój mąż sięga ręką nad moimi kolanami. Przelacza bieg na neutralny. Cofa się, zamyka drzwi, zatrzaskując mnie w środku. A ja zbyt późno się domyślam, co teraz zrobi.

Jego usta poruszają się w deszczu.

– Ufasz mi? – pyta znowu Thomas. Stoi tuż przede mną. Tak blisko, że czuję ciepło jego ciała, miękkość jego grubego płaszcza.

– Próbowaleś mnie zabić.

– Kocham cię.

Kręcę głową. Nakazuję sobie, żeby nie słuchać jego słów, tylko skupić się na jego czynach.

– Coś się wtedy stało. Coś gorszego niż śmierć Vero z przedawkowania, coś gorszego niż bycie pogrzebaną żywcem. Co może być gorszego od pogrzebania żywcem, Thomas? Co ty zrobiłeś?

– Kocham cię – powtarza.

Uświadamiam sobie, że już po mnie, bo słyszę tę nutę w jego głosie. *Ale to cię nie uratuje.* Vero starała się mnie ostrzec. Bo może wcale nie uciekałam przed swoją przeszłością, tylko przed człowiekiem, za którego wyszłam za mąż.

– Nie jestem Veronicą Sellers – pada z moich ust. Muszę to powiedzieć. Trik Thomasa z odciskami palców zdezorientował mnie, byłam podatna, bo już czułam się mocno skołowana i dręczona wyrzutami sumienia. Ale Vero to Vero, a ja to ja i dla dobra nas obu muszę to uporządkować.

– Wiem.

– Nazywam się Chelsea Robbins. Moja matka sprzedała mnie madame Sade, gdy miałam dziesięć lat. Nienawidziłam jej za to i jednocześnie kochałam, bo ten dom był ładniejszy, jedzenie lepsze, a madame Sade udawała przynajmniej, że jesteśmy rodziną. A potem zjawiała się Vero i wyrzuciła mnie z sypialni w wieży, więc ją za to nienawidziłam, ale też pokochałam, bo stała się dla mnie jak siostra, której nigdy nie miałam, i zamieniła nasze życie w bajkę.

Patrzę na niego.

– I spotkałam ciebie, chłopca, którego obserwowałam z daleka, jak swobodnie chodził po terenie posiadłości. I nienawidziłam cię za to i kochałam cię za to, ale przede wszystkim... – Łamie mi się głos. – Kochałam cię. Od samego początku cię kochałam i nigdy sobie tego nie wybaczyłam.

Thomas się uśmiecha. Myślę, że to najsmutniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek pojawił się na ludzkiej twarzy.

– Już pora – mówi po prostu. – Dość się już naczekała.

Wyciąga rękę. Tym razem przyjmuję ją i idę za nim przez parking. Bo nic innego nie można zrobić. Ani powiedzieć.

Thomas miał rację. Nie powinnam była wracać do New Hampshire. Nie powinnam była wynajmować agencji detektywistycznej. Nie powinnam była tak bardzo się starać odzyskać wspomnienia, o których jeszcze bardziej starałam się zapomnieć.

Ale co się stało, to się nie odstanie.

I teraz, dwadzieścia dwa lata później, dla nas obojga, dla nas wszystkich, nie ma już odwrotu.

Rozdział 34

– Nie ma moich kluczyków – oznajmiła Tessa dziesięć minut później. Zapalili z Wyattem światła, obejrzelili pobieżnie pokój, a potem wybiegli na parking. Nigdzie nie było śladu Nicky, więc wrócili do pokoju i dosłownie przetrząsnęli każdy kąt. Co było bezcelowe, bo przecież szukali dorosłej kobiety, a czegoś takiego raczej nie da się schować pod poduszką.

– Ona nie ma auta – dodał Wyatt.

– Ale dokąd by pojechała? Nie ma przecież też domu.

Wyatt pokiwał głową. Wyprostował się, rzucił okiem na przewrócony do góry nogami pokój hotelowy i westchnął głośno z rezygnacją.

– No dobrze. Pora na przegrupowanie. My jedynie reagujemy. Od początku całej tej cholernej sprawy tylko reagujemy, a to do niczego nas nie doprowadzi. Zacznijmy od samego początku. Co wiemy?

– Nicky Frank zaginęła – stwierdziła kwaśnym tonem Tessa. Zdjęła prześcieradła z łóżek. Teraz na czworakach zajrzała najpierw pod jedno, a potem pod drugie, jakby szukanie zaginionego świadka było tym samym co szukanie zagubionego pantofla.

– Nicky Frank, która nie jest Veronicą Sellers – podkreślił Wyatt. – Dziewczynką, która zaginęła przed trzydziestoma laty.

– Co oznacza, że raczej nie udała się do domu Marlene Bilek – mruknęła Tessa, która wciąż czołgała się po podłodze. – Jej jedynym kontaktem w tej okolicy pozostaje mąż, Thomas.

– Który najprawdopodobniej ukartował jej wypadek samochodowy i postarał się, żeby została niesłusznie zidentyfikowana jako Vero.

Tessa przerwała poszukiwania i przysiadła na piętach.

– Czy to możliwe, że działają w zмовie? Razem spiskują, żeby Nicky uchodziła za zaginioną dziewczynkę? Może ustalili wcześniej miejsce spotkania, gdyby coś poszło nie po ich myśli, i tam właśnie zmierza teraz Nicky?

Wyatt się skrzywił.

– Ale czemu taki spisek miałyby służyć? Co takiego miałyby Nicky zyskać, udając utraconą przed laty córkę Marlene, żeby to rekompensowało ryzyko poważnego wypadku, nie wspominając o pożarze domu?

Tessa musiała się zastanowić.

– Zemsta? Marlene zawiodła swoją córkę, może nawet uczestniczyła w porwaniu Vero? Nicky pragnie rewanżu, a co mogłoby być lepsze niż podanie się za zaginione dziecko?

– Myślę, że to sprawka Thomasa.

– Okej. – Tessa wróciła do poszukiwań i wsunęła dłoń pomiędzy materac

a ramę łóżka stojącego bliżej drzwi.

Wyatt zaczął odliczać na palcach:

– Wstrząśnienia mózgu Nicky są prawdziwe. Problemy z pamięcią też wydają się prawdziwe. Potem mamy kolejne wypadki, pożar domu i tak dalej. We wszystkich tych sytuacjach Nicky jest ofiarą, a nie sprawcą. Biorąc pod uwagę to, że wszystko się zaczęło, gdy postanowiła przenieść się do New Hampshire, żeby poszukać odpowiedzi, to myślę, że jej dążenie do prawdy popsuło komuś szyki. A to znaczy, że Thomas jest tą osobą, która ma coś do ukrycia.

– Poczekaj – zawahała się Tessa. – Co my tu mamy? – Pogrzebała palcami między materacami, a potem powoli wyciągnęła dużą kartkę papieru z postrzępionym górnym brzegiem, jakby została wyrwana z notatnika. Wysunęła ją ostrożnie z miejsca, gdzie ją schowano, pomiędzy materacy na łóżku Nicky.

Wyatt natychmiast podszedł, by przyjrzeć się czarno-białemu szkicowi.

– To Thomas Frank.

– Trochę młodszy, nie uważasz?

– Musiała to narysować wcześniej, gdy ją o to poprosiłaś. Masz rację, to nie jest dzisiejszy Thomas Frank. To jest on mniej więcej dwadzieścia lat temu.

– W czasach domu dla lalek. Mój Boże, popatrz na jego twarz.

Wyatt zrozumiał. Thomas, z którym rozmawiał, był zestresowanym mężczyzną w średnim wieku. Wyraźnie zmęczony, chyba trochę wyczerpany opieką nad niedomagającą żoną, ale na pewno nie ktoś, na kogo zwróciłoby się szczególną uwagę.

Za to ten młodszy Thomas – nastoletni? – wyglądał na wymizerowanego, udręczonego i ciężko doświadczonego.

Wyglądał na dzieciaka, który ma wiele do ukrycia.

– Nicky ci tego nie pokazała? – zapytał Wyatt.

– Nie. – Tessa pokręciła głową. – Wysłałam, żeby odebrać telefon. Pewnie wtedy to schowała.

– Siedzi tutaj. Pali się świeczka, pachnie świeżo skoszoną trawą. Rysuje dom. Rysuje pokoje. Rysuje madame Sade, a potem... to. – Wyatt starał się odtworzyć tamtą sytuację. – Nie spodziewała się tego. Myślę, że dlatego to schowała. Ze wszystkich szczegółów, które zaczęły do niej powracać, wstrząsnęło nią to, że Thomas był w to wmieszany, że знаła go już wcześniej czy raczej, że to on znał ją już wcześniej.

– Thomas był w to wmieszany – szepnęła Tessa. – A sądząc po wyrazie jego twarzy, nie było to nic przyjemnego. Myślisz, że jakoś się z nim skontaktowała, ustaliła godzinę spotkania? Ale jak? Ona nawet nie ma komórki.

Wyatt wzruszył ramionami.

– Jeśli ona naprawdę chce odpowiedzi, powinna zacząć od Thomasa.

– Tylko że... – Tessa przerwała. – Nie przypuszczam, by ten chłopiec... –

Postukała w kartkę. – ...miał jej do powiedzenia coś dobrego.

Wyatt pokiwał głową. Też go to martwiło. Nawet jeśli tylko połowa tego, co Nicky opowiadała o domu dla lalek, było prawdą, to i tak wiązało się z nim mnóstwo tajemnic, dla których ktoś mógł być gotów zabić.

– Musimy wysledzić twoje auto. Natychmiast.

– Cholera! Ale z nas kretyni. To przecież mój samochód. I mam w nim system namierzający!

Tessa od razu zadzwoniła. Operator OnStar z przyjemnością pomoże, jeśli tylko poda hasło. I rzeczywiście, wskazał lokalizację jej lexusa w ciągu trzydziestu sekund. Miejsce: parking przy ich hotelu.

– Co do diabła?

Wyszli razem i zobaczyli czarnego SUV-a Tessy tuż pod energooszczędną lampą.

– Po co wzięła kluczyki, skoro nie zamierzała odjechać moim samochodem?

– wyraziła swoją dezaprobatę Tessa. W jej głosie pobrzmiwała uraza.

– Żeby nas spowolnić? Zmylić trop? – rozumował Wyatt. – Ukryła wcześniej portret Thomasa. Najwyraźniej wołała pewne rzeczy zachować dla siebie.

Wyatt wyjął ręce z kieszeni i zaczął krążyć po parkingu. O pierwszej w nocy stały tam cztery auta, więc nietrudno było ogarnąć całość. Krzewy, trawa, zarośla, pustka.

– Nie odeszła stąd na piechotę – stwierdził. – Jesteśmy tu z dala od cywilizacji, nie ma nawet głównej drogi. Więc jeśli nie ma jej tutaj, a twoje auto stoi, to znaczy, że znalazła inny środek transportu.

– Może nie musiała nigdzie jechać, żeby spotkać się z Thomasem. On przyjechał tutaj.

– Zadzwoń do niego z pokoju hotelowego? – zasugerował Wyatt.

– Niemożliwe. Poprosiłam menadżera, żeby zablokował wszystkie przychodzące i wychodzące połączenia. Kwestia ograniczenia możliwości. Miałam przecież komórkę. Niepotrzebny nam był stacjonarny.

Wyatt był pod wrażeniem.

– Nie ufałaś jej?

– Hej, to, że jest moją klientką, nie znaczy, że jestem głupia. Mnóstwo ludzi prosi o pomoc, a potem wykorzystują cię, a ty oczywiście wpadasz w kłopoty. Jeśli jest tylko jedna możliwość kontaktu, wtedy zawsze wiem, co się dzieje. Na przykład, że nie zadzwoniła do Thomasa.

– Może przyjechał tutaj za nami z komisariatu – zasugerował Wyatt. – Albo śledził mnie, gdy odbierałem Marlene Bilek. Można się było domyślić po wieczornych wiadomościach, że będzie chciała spotkać się z Nicky. – Wyatt urwał. Jeśli Thomas wiedział, że Nicky tu jest, to gdy tylko wyszła z hotelu na ciemny

parking... Wcale jej nie uchronili – uświadomił sobie. Raczej wpędzili prosto w paszczę lwa.

Spojrzał na zegarek. Powinien zorganizować przez radio poszukiwania. Tylko czego dokładnie? Polowali na Thomasa Franka już od ponad dwudziestu czterech godzin. Ten człowiek był jak widmo.

– Kamery – mruknęła Tessa, jakby czytała mu w myślach. – Poszukiwania jak te w Bostonie. Zapisy z autostrad, kamer na skrzyżowaniach, kamer przemysłowych i bankomatowych na każdym rogu. Jedna migawka i Thomas jest nasz.

– Poczekaj. Może nie jesteśmy w wielkim mieście, ale ten hotel ma monitoring. Sprawdźmy to. – Wskazał na linię dachu hotelu, gdzie widać było przynajmniej jedną kamerę. Odwrócił się, by ruszyć do biura. – Może mamy już atut w rękawie.

Dyżurująca w nocy pracownica hotelu przedstawiła się jako Brittany Kline. Pyszna blondynka była bardzo podekscytowana, że może pomóc policji w oficjalnym śledztwie. Owszem, hotel ma doskonały system bezpieczeństwa. Zainstalowano go pół roku temu, świetne kamery, bardzo dobry obraz, długo przechowywane zapisy. Sama je czasem przegląda, jak nie ma w nocy ruchu. Bo, wiecie, robi internetowy kurs z kryminologii. Zaprowadziła ich do biura na tyłach, a tam sprawnie odzyskała obraz. Dzięki jej pomocy ustalili, z której kamery jest najlepszy widok na parking. A potem przejrzeni różne zapisy w cominutowych przerwach. Trafili za czwartym razem.

– Tam! – wykrzyknęła Tessa, wskazując na obraz, podczas gdy Brittany obsługiwała wyświetlane menu. – To Nicky, idzie w stronę samochodów.

– A osoba numer dwa odrywa się od drzewa – dodał Wyatt.

Patrzyli, jak się zbliża. Zdecydowanie mężczyzna, ale plecami do światła lamp, więc twarz miał w cieniu. Mimo to żadne z nich nie miało wątpliwości.

– Thomas – stwierdził Wyatt.

– Nie wygląda, jakby się go bała – zauważyła Tessa.

– Ale nie przytula się do niego.

– Może pani powiększyć? – zapytała Tessa Brittany. Pracownica hotelu zrobiła, co się dało, ale obraz był niewyraźny. Po kolejnych próbach uznali, że lepszy jest widok z daleka. Brittany wróciła do zwykłej rozdzielczości i wcisnęła odtwórz.

Wyatt obserwował ekran. Thomas natychmiast podszedł, gdy zobaczył żonę, ale później nagle się zawahał. Nicky też jakby instynktownie ruszyła w jego stronę, lecz też się zatrzymała. Miłość i strach – pomyślał. Bliźniacze emocje w każdym związku.

Nawet w tym jego i Tessy.

Thomas wyciągnął do żony rękę.

A Nicky stała. Wątpliwości? – zaczął się zastanawiać Wyatt. – Wrogość? Zmęczenie? Czy wciąż widziała w nim człowieka, z którym spędziła dwadzieścia dwa lata, mężczyznę, który przysięgał się nią opiekować? Czy może ujrzała młodzieńca o ponurym wzroku z domu dla lalek, chłopca wyraźnie zdolnego do tego, by zrobić to, co trzeba, bez względu na koszty?

Minęła kolejna chwila. A potem następna. I następna.

Thomas podszedł bliżej. Nicky podniosła wzrok. Oświetlenie było kiepskie. Wyatt nie widział wyrazu jej twarzy, ale to, co zrobiła potem, nie całkiem go zdziwiło.

Podawała rękę mężowi. Powierzyła się jego pieczy.

Brittany westchnęła głośno, jakby oglądała romantyczny film.

Za to Tessa wykrzyknęła:

– O mój Boże! Oni działają razem!

– Możliwe – mruknął Wyatt. Ale nie miał na myśli działalności przestępczej.

Myślał raczej o tym, że tak wygląda miłość.

Thomas zaprowadził Nicky do ostatniego samochodu w rzędzie. Pięciodrzwiowego o podłużnej sylwetce. Ciemnozielone subaru. Po kilku sekundach wyjeżdżał nim z miejsca postojowego. I ruszył w stronę wyjazdu.

Wyatt i Tessa, stojący za siedzącą przed monitorem Brittany, pochylili się, licząc na to, że lampy na parkingu oświetlą tablicę rejestracyjną z tyłu, dając im to, czego potrzebują.

– No dalej – szepnął Wyatt, wyciągając z kieszeni notes i długopis. – Dalej...

Jedna cyfra. Dwie, trzy...

Zapisywał je szybko, gdy nagle Tessa chwyciła go za ramię.

– Stop! – nakazała Brittany. – Zatrzymaj. Spójrzcie. Po prawej. Drugi samochód wyjeżdża. Wyatt, ktoś ich śledzi.

Rozdział 35

Thomas i ja jedziemy w milczeniu. Trzyma obie dłonie na kierownicy, raz za razem przenosi wzrok z przedniej szyby na wsteczne lusterko. Nie wiem, co sprawdza. Ale wyczuwam, że jest spięty.

Za oknem przesuwa się ciemność. Nie ma tu przydrożnych latarni. Ani barierek, ani świateł. Jesteśmy w górach, przecinamy dziką przestrzeń. Powinno padać – myślę. Wówczas byłoby dokładnie jak wtedy.

– Przez długi czas – odzywa się w końcu Thomas – myślałem, że wystarczy, że będziemy się trzymać z daleka, że wystarczy, jeśli będziesz miała trochę więcej czasu, by wyzdrowieć. Były chwile, wiesz, całe miesiące, a czasem nawet i rok, gdy wydawało się, że jest ci lepiej. Twoja twarz rozjaśniała się, kiedy wchodziłem do pokoju. I nawet spałaś w nocy.

Nic nie mówię.

– Ale potem coś się zacinęło. Nagle. Bez ostrzeżenia. Czytałem na ten temat jedną książkę za drugą. Próbowałem zidentyfikować przyczyny. Niektórzy z traumą pourazową nie znoszą hałasu, inni jakiegoś zapachu, jeszcze inni koloru, kolejni poczucia ciasnoty. W twoim przypadku... Nie byłem w stanie zidentyfikować przyczyny. Ocean, pustynia, miasto, wieś. Wszystkiego próbowałem. Lecz bez względu na to, gdzie byliśmy, twoje koszmary zawsze cię odnajdowały.

Mąż odwraca się do mnie. Trudno dostrzec wyraz jego twarzy w ciemnościach, ale czuję na sobie jego pełen powagi wzrok.

– Próbowałem, Nicky. Próbowałem wszystkiego. Przez bardzo długi czas wierzyłem, że będę tym, który cię uratuje. Ale potem...

Milknie, znów koncentruje uwagę na drodze.

– Spadłam ze schodów – uzupełniam.

– Vero – stwierdza. Z goryczą w głosie, ale rozumiem, gdzieś w tyle głowy wiem, że jego uczucia wobec niej są równie skomplikowane jak moje. Jednak znalazł sposób, by pójść do przodu. Ja nie i na tym polega różnica.

– Niekończące się dni – mówi teraz – gdy kładłaś się na kanapie z tą cholerną narzutą i coś do siebie szeptałaś. Długie, pełne zaangażowania rozmowy z Vero. Vero lata. Vero płacze. Vero tylko chce być wolna. Jeśli przerywałem, wpadałaś we wściekłość. Jeśli próbowałem cię pocieszyć, biłaś mnie po twarzy i krzyczałaś na mnie, że to moja wina. Nienawidziłaś mnie. Vero mnie nienawidziła. Miałem odejść.

Widzę to, dokładnie tak, jak opisuje. Moje pragnienie, moja pochłaniająca wszystko potrzeba, żeby połączyć się z przeszłością. Thomas, który wchodzi do pokoju. Thomas, który śmie przeszkadzać. Ból wnętrza mojej dłoni, gdy trafia

w jego twarz.

To wszystko twoja wina – wrzeszczałam na niego. *Wiem, co zrobiłeś. Ona mi powiedziała. Ona mówi mi wszystko!*

Thomas, który nigdy się nie sprzecza. Thomas, który wychodzi.

– W dniu, w którym spadłaś ze schodów w piwnicy, gdy wróciłem z warsztatu i nie mogłem cię znaleźć... Biegałem po domu jak oszalały. Pomyślałem, że mnie zostawiłaś, Nicky. Pomyślałem, że to koniec. Mając do wyboru przyszłość ze mną albo przeszłość z Vero... Odeszłaś. Dziewczynka-duch zwyciężyła.

Nic nie mówię.

– Ale w końcu cię znalazłem, leżącą przy schodach... Nie reagowałaś na swoje imię. Na żadne z nich. A wierz mi, że wymieniłem pełną listę. Wszystkie miejsca, w których mieszkaliśmy, wszystkie nazwiska, jakich używaliśmy. W końcu nazwałem cię Vero. I wtedy otworzyłaś oczy. Spojrzałaś prosto na mnie. I Bóg mi świadkiem, że miałem wtedy ochotę wyjść i nigdy nie wrócić. Ty, ona... Ja po prostu już dłużej nie mogę.

Nie potrafię się powstrzymać. Drzę lekko, bo wiem, że on ma rację. Mój umysł dzieli cienka linia, i to już od dawna. *Jestem tobą* – mówi mi Vero. Ale ja zastanawiam się, co tak naprawdę ma na myśli. Czy jest elementem mojej podświadomości, a może wręcz głosem mojego nieczystego sumienia? Albo... czymś zupełnie innym?

Chciałabym powiedzieć, że nie wierzę w duchy, lecz nie mogę.

– Zawsze pragnąłem tylko tego, żebyś była szczęśliwa – mówi teraz Thomas, mocno zaciskając ręce na kierownicy. – Walczyłem przez dwadzieścia dwa lata i myślałem, że jeśli tylko będziemy przeć do przodu, to się uda. Ale myliłem się, prawda, Nicky? Ty nie możesz pójść do przodu. Ty musisz się cofnąć. Gdy jest wybór: Vero czy ja, wygrywa Vero.

Nic nie mówię. Nie mogę powiedzieć mężowi tego, co chce usłyszeć, więc łatwiej jest nie mówić nic.

Patrzę na przesuwaną się za nim ciemność nocy. I czuję dym. I żar. Ale nie wyciągam do niego ręki.

Oboje zaszliśmy już zbyt daleko.

A potem czuję Vero. Stoi w tyle mojej głowy. Nie mówi, nie popija herbatki, nawet nie siedzi w domu dla lalek, jest raczej samotną postacią czekającą w czarnej pustce. Nie widzę jej twarzy, raczej wyczuwam jej nastrój.

Posępność. Zmęczenie. Smutek.

To nie ona przychodzi do mnie – uświadamiam sobie – bo po raz pierwszy od dwudziestu dwóch lat to ja przychodzę do niej.

W końcu otwiera usta. Wymawia jedno jedyne słowo: *Uciekaj*.

Ale obie wiemy, że jest na to za późno.

Thomas zwalnia. Po raz pierwszy to dostrzegam. Po prawej stronie pojawiła się błotnista droga. Prawie cała zarośnięta, trudno byłoby zauważyć ją w dzień, w nocy to niemal niemożliwe. Chyba że tak jak Thomas wie się, że ona tam jest.

Uciekaj – szepcze ponownie Vero.

Ale nie ma dokąd. Jestem uwięziona w samochodzie, tak samo jak byłam uwięziona w audi trzy noce temu.

Mój mąż skręca, światła przesuwają się po splątanych zaroślach, niewielkie auto wjeżdża w jakieś zagłębienie.

– Zawsze pragnąłem tylko tego – powtarza Thomas – żebyś była szczęśliwa.

Auto z napędem na cztery koła wpada w koleiny drogi.

Wracamy do domu dla lalek.

Tam, gdzie Thomas spędził dzieciństwo.

Rozdział 36

Nie udało im się namierzyć zielonego subaru. Kevin zdołał skojarzyć fragmentarycznie odczytaną tablicę rejestracyjną z pojazdem, którego kradzież została zgłoszona dzień wcześniej. Był to starszy model, więc nie miał systemu namierzania GPS. Nie było też żadnych zgłoszeń, że ktoś ten samochód widział.

O drugiej nad ranem Wyatt usiadł i pełen frustracji otarł twarz wnętrzem dłoni.

– Cały czas tylko reagujemy. Thomas ucieka, my gonimy. Nicky drwi z nas, podsuwając połowę układanki, a my głowimy się, jak odgadnąć pozostałe elementy. Chociaż jeden raz chciałbym być w tej grze o krok do przodu.

– Na przykład wiedzieć, dokąd Nicky i Thomas pojechali? – zapytała go Tessa.

– Och, ja wiem, dokąd oni pojechali. Oczywiście nie mogę wskazać tego miejsca na mapie, ale wiem dokąd.

– Do domu dla lalek.

– Kto jest w tym drugim aucie? – zapytał niecierpliwie. Wciąż byli w biurze hotelu, w otoczeniu zapisów wideo, które już wielokrotnie oglądali. Wyatt odesłał Brittany, rzekomo dlatego, że nie potrzebowali już jej pomocy, ale tak naprawdę przede wszystkim nie chciał, żeby fanka policyjnych śledztw patrzyła na ich bezradność. – Co się, do diabła, wtedy wydarzyło, co się, do diabła, dzieje teraz i kogo nam tutaj brakuje? Bo jeśli Nicky jest z Thomasem, a mój zastępca twierdzi, że Marlene Bilek trzy godziny temu bezpiecznie wróciła do domu, to kto inny może śledzić samochodem naszych dwoje podejrzanych?

Próbowali powiększyć obraz drugiego pojazdu, ale trzymał się słabo oświetlonych miejsc na parkingu. Widzieli tylko, że to mały, ciemny kompakt. Nie dało się dostrzec ani rozmazanej twarzy kierowcy, ani niczego naprawdę przydatnego, jak choćby mignięcie tablicy rejestracyjnej.

– Madame Sade? – zgadywała Tessa.

Sfrustrowany Wyatt aż jęknął. Nie spał od prawie czterdziestu ośmiu godzin. Na dodatek był przekonany o własnej głupocie. Miał zdecydowanie dość tej nocy.

Wziął do ręki naszkicowany przez Nicky portret kobiety i uniósł go.

– Przekażemy go prasie i powiemy im, dlaczego jej szukamy.

– Policja chciałaby zadać jej kilka pytań w związku ze zniknięciem dziecka trzydzieści lat temu – natychmiast podpowiedziała Tessa. – Nie nazywajcie jej podejrzaną, zasugerujcie, że może być świadkiem. Ludzie chętnie plotkują o sąsiadach, ale nie chcą pakować ich w kłopoty.

– Wspaniały temat dla porannych wiadomości. Problem w tym, że potrzebujemy odpowiedzi teraz, ale konferencji prasowych nie organizuje się

o drugiej nad ranem. Głównie dlatego, że ich odbiorcy wtedy śpią.

– Może i ty powinieneś się przespać – zasugerowała Tessa.

Znowu omal nie jęknął.

– Chcę domu dla lalek. Thomas, Nicky i odpowiedzi na wszystkie pytania – to wszystko jest tam.

– Mamy szkic.

– Przekaż go po południu lokalnym agencjom nieruchomości. Na razie nic nie znaleźliśmy. Kevin wrzucił do wyszukiwarki nieruchomości w New Hampshire, ale wyników było zbyt wiele. W tych okolicach jest mnóstwo historycznych budynków, nawet wielkich, wiktoriańskich domów.

– A co z mężem Marlene? – zapytała Tessa. – Skoro Marlene jest w domu, to co z nim, bo założę się, że ma swoje zdanie na temat dawno utraconej córki, która się nagle pojawiła.

– Tylko że Nicky to nie Vero. Nie stanowi zagrożenia ani dla niego, ani dla ich rodziny.

Tessa zmarszczyła brwi i usiadła na krześle naprzeciwko Wyatt.

– Nicky i Thomas są powiązani z domem dla lalek – stwierdziła Tessa. – Nie jesteśmy w stanie tego udowodnić, ale to się wydaje najbardziej sensowne.

– Zgadza się.

– A to znaczy, że ich relacja nie zaczęła się w Nowym Orleanie, tylko tutaj. Co z kolei znaczy, że najprawdopodobniej oboje wiedzą o byłym burdelu rzeczy, które wielu ludzi wolałoby utrzymać w tajemnicy.

– Zgadza się po trzykroć – zapewnił ją Wyatt. – Niestety, to prowadzi nas do tego samego punktu wyjścia. Kluczem jest dom dla lalek. Ale my nie potrafimy go znaleźć.

– Odkryliście prawdziwą tożsamość Nicky vel Chelsea? – zapytała Tessa.

– Na razie żadnych pasujących odcisków palców. Jeśli Chelsea uciekła z domu albo została sprzedana madame Sade, to jej odcisków może w ogóle nie być w systemie, a to by oznaczało, że nigdy nie poznamy odpowiedzi.

– Prawdziwa tożsamość Thomasa Franka?

– Nie mamy jego odcisków. Ogień zniszczył w domu wszystko. Próbowaliśmy zebrać ślady w jego samochodzie, pokoju hotelowym i tak dalej, ale nic nie nadawało się do użytku. Albo ma wyjątkowe szczęście, albo jest wyjątkowo dobry. Zgadnij, co obstawiam. – Wyatt wypuścił głośno powietrze i oparł zaciśnięte w pięści dłonie na biurku. – Ta sprawa zaczyna mnie wkurzać.

– To nie twoja wina – powiedziała łagodnie Tessa. – Zaczęło się od prostego wypadku. Kto mógł wiedzieć, że doprowadzi do porwania dziecka sprzed lat i wiktoriańskiego burdelu?

– Listopad to najsmutniejszy miesiąc – mruknął Wyatt. A potem umilkł. I ponownie powtórzył to zdanie, tym razem głośniej. – Listopad to najsmutniejszy

miesiąc. To wtedy Nicky ucieka. Na pewno. W listopadzie. Najsmutniejszym miesiącu. Gdy musiała zabić Vero, żeby uratować siebie.

– Okej...

Popatrzył na nią, czując pierwsze oznaki podekscytowania.

– A więc określiliśmy jedną zmienną. Wiemy już, że szukamy czegoś, co wydarzyło się w listopadzie dwadzieścia dwa lata temu.

– Madame Sade zgłosiłaby czyjeś zaginięcie? – zapytała Tessa. – Chodzi mi o to, że skoro udawała, że są rodziną, to może nawet musiała zachować pozory przed sąsiadami, gdy nagle zginęła jej nastoletnia „córka”...

– Wątpię, żeby życzyła sobie wizyty policji na terenie swojej posiadłości, zwłaszcza że inna dziewczynka dopiero co umarła. – Wyatt umilkł, intensywnie się zastanawiał. – Ale to dobre pytanie. Jedna listopadowa noc i z jednego domu znikają dwie dziewczynki. Jedna umiera, druga rzekomo ucieka.

– A może zaginęło troje dzieci – mówi nagle Tessa. – Co z Thomasem? Skoro był częścią tego wszystkiego, to może zwiął razem z Nicky.

Uważnie na siebie popatrzyli.

– Madame Sade musiałaby to jakoś załagodzić – stwierdził z zadumą Wyatt.

– Wyjaśnić nowy porządek swoim sąsiadom, a może nawet lokalnym służbom. W innym razie ludzie nabraliby podejrzeń.

– Mogłaby zgłosić ich ucieczkę.

– Troje dzieci. Z jednego domu – Wyatt rzucił jej spojrzenie. – Jako były oficer śledczy nie sprawdziłabyś tego?

– Oczywiście, że tak.

– Ale nikt tego nie zrobił. – W jego głosie zabrzmiała pewność. – Bo gdyby takie zgłoszenie było, D.D. by go nie przegapiła, prawda? Przejrzała wszystkie sprawy zaginionych dzieci z ostatnich trzydziestu lat. Niemożliwe, żeby zaginięcie trójki nastolatków z New Hampshire nie zwróciło jej uwagi. To zbyt dziwny przypadek, żeby go przeoczyć.

Tessa podchwyciła wątek.

– Madame Sade nie pisnęła ani słowa. Może sytuacja ją przerosła. W tym sensie, że najpierw myślała, że Vero nie żyje, i pochowała ją w lesie. Ale w końcu musiała dojść do tego, że to nie Vero wyniesiono, tylko jej współlokatorkę. Więc ma jedną uciekinierkę i na dodatek ciało. Może to dla niej zbyt wiele. I sama ucieka. Mogło tak być.

Wyatt był gotów się zgodzić. Biorąc pod uwagę, jak intensywna była tamta noc, jak przepelniona lękiem i niepewnością, madame rzeczywiście mogła spanikować i zamknąć biznes. Przyszło mu nagle do głowy, że mogą określić inną zmienną:

– A co z domem? Dziewcząt nie ma, właścicielka związała, co się dzieje z domem?

– To zależy, czy właścicielka spłaca dalej raty kredytu, podatek od nieruchomości i tak dalej.

Wyatt uniósł brew.

– Gdybyś uciekała przed grzechami przeszłości, podałaśbyś adres, żeby przysyłali ci wyliczenie podatku? – Wyprostował się i stuknął w biurko. – Tu powinniśmy szukać. Zaległość podatkowa. Za stary wiktoriański dom, aż od listopada dwadzieścia dwa lata temu. Czemu nie?

– Już sprawdzam.

– Już sprawdzasz?

– Pewnie. – Tessa zaczęła grzebać w swoim laptopie. – Jak myślisz, czym się zajmują prywatni detektywi? Zgonami i podatkami. Tylko tych dwóch rzeczy nie da się uniknąć, śmierci i podatków, więc to najlepsze źródło danych.

Jej palce śmigały po klawiaturze. Wyatt obserwował, jak pracuje, nie zadając już więcej pytań. On preferował zwyczajny nakaz przeszukania. Ale nie wnikał w jej metody.

– Większość urzędów miast robi się nerwowa dopiero po co najmniej roku – poinformowała go Tessa. – Założenie sprawy to koszty, więc często wolą przez dłuższy czas wysyłać monity. To, że nie wiemy, o które miasto chodzi, trochę oczywiście utrudnia sprawę, ale dlatego właśnie tak bezcenne są wyszukiwarki... – Postukała znowu w klawiaturę, zmarszczyła brwi, postukała. – Mam domy. Stare, drogie, wartościowe. Ale żadnych wiktoriańskich. Okej, spróbujmy dwadzieścia lat temu... Dziewiętnaście... Osiemnaście...

Stukała dalej, wciąż marszcząc brwi.

– Cholera – przerwała i spojrzała na Wyatta. – Nic nie widzę. A mimo to... Tam musi coś być, listopad, dwadzieścia dwa lata temu, Vero umiera, Nicky znika, ucieka też chyba młody chłopak, Thomas. To musiało wpłynąć na działanie domu dla lalek. To musiało wywołać jakąś reakcję ze strony madame Sade.

Wyatt wzruszył ramionami.

– Szukaj. Listopad, dwadzieścia dwa lata temu, stary wiktoriański dom. Ki diabeł. Musiało być jakieś zgłoszenie, może o ucieczce?

Tessa znowu wzięła się za stukanie w klawiaturę.

– Ożeż... No nie. Chyba jakiś żart!

– Co? – Wyatt zerwał się z krzesła i pochylił nad jej ramieniem. Wskazała ekran, a on natychmiast zrozumiał. Nagłówek artykułu. Ale nie o zaginionej nastolatce czy martwej dziewczynce.

O pożarze.

Stuletni wiktoriański dom, jedna z ostatnich pięknych letnich rezydencji w okolicy, spłonął do szczytu. W listopadzie. Dwadzieścia dwa lata temu. Z dymiących ruin wyniesiono niezidentyfikowane ciało.

– Dom dla lalek – mruknęła Tessa. – To musi być to.

– Wiesz, co to znaczy, prawda?

– Jedziemy sześćdziesiąt kilometrów na północ.

Wyatt już miał kluczyki w dłoni.

– Oczywiście, ale nie o to mi chodziło. Thomas. Mąż, który dwa dni temu spalił swój własny dom. I najwyraźniej umie obchodzić się z kanistrami z benzyną.

Zrozumiała.

– Na pewno był przed laty w domu dla lalek. To on go spalił. – Tessa się zawahała. – A teraz zabiera tam Nicky z powrotem? Ale jeśli dom spłonął doszczętnie, to co tam jeszcze jest?

– Nie wiem. Mam jednak przeczucie, że dla dobra Nicky byłoby lepiej, gdyby jak najszybciej odzyskała pamięć.

Rozdział 37

Kiedy auto wjeżdża na stary podjazd, czuję ucisk w brzuchu i palący ból głowy. Choroba lokomocyjna – próbuję sobie wmówić. Ale to oczywiście nie to. To przerażenie, zdenerwowanie, smutek i lęk. To splot wszelkich niemiłych uczuć, a ręce trzęsą mi się tak bardzo, że nie jestem w stanie otworzyć drzwiczek. Szarpnię się z klamką raz po raz.

Przysięgam, że czuję zapach dymu, choć wiem, że to niemożliwe. Jestem przerażona, że gdy tylko wysiądę z samochodu, zacznę padać. Chyba nie dałabym sobie z tym rady. Na pewno nie.

Thomas wysiada po stronie kierowcy. Manipuluje przy tylnych drzwiach, wyciąga coś z kanapy z tyłu. Nie wysiadam, więc przechodzi naokoło auta, żeby mi pomóc. Muszę przytrzymać się jego ramienia, żeby wstać. Nie podnoszę wzroku, nie jestem w stanie spojrzeć mu w twarz. Wbijam wzrok w rękaw płaszcza mojego męża. Trzęsę się jak osika.

Już je czuję. Cienie z tyłu mojej głowy. Oślizgłe kształty, mrozące krew w żyłach szeptu, które przerażają mnie bardziej niż Vero. Wolałabym jej szczerzącą się do mnie czaszkę.

Ale ona jest teraz cicho. Dała mi najlepszą radę, a ja ją zignorowałam.

A może, skonfrontowana ponownie z tym miejscem, też jest zbyt przerażona, żeby się odezwać.

Przez krótką chwilę żałuję, że miłość nie potrafi uleczyć ran. Chciałabym, żeby troska i opieka ze strony Thomasa wystarczyły, by mnie uzdrowić. On znalazł sposób, by iść do przodu.

Ale mnie się nie udało. Ma rację. Traciłam rozum, zanim doznałam trzech urazów mózgu.

Thomas robi pierwszy krok, rękę mam wsuniętą pod jego ramię. Zmuszam się, by powoli ruszyć za nim. Po raz pierwszy zauważam, że trzyma coś w lewej ręce. Szpadel, który wyciągnął z tyłu auta. Thomas niesie łopatę.

Nic nie mówię. Idę u boku człowieka, który jest moim mężem. Uświadamiam sobie, że nigdy nie wzięliśmy formalnego ślubu, nigdy nie szliśmy razem do ołtarza, nikt nigdy nie ogłosił nas oficjalnie mężem i żoną.

Ale teraz mamy to.

Mężczyzna. Jego żona. I nasz wspólny sekret.

Kiedyś musiało tu być pięknie. Gdzieś w tyle głowy mam pewność, że tak było. Niemal widzę zielony trawnik rozciągający się wokół domu, dobrze widoczny zwłaszcza z sypialni w wieży, z której był widok na trzy strony świata. Spędziłam wiele godzin, obserwując wielki teren na tyłach, nie wspominając o imponującym okrągłym podjeździe od frontu, ozdobionym bulgoczącą fontanną.

Różane krzewy latem, kępy rdzawego rozchodnika jesienią. Po lewej powozownia, przerobiona już wtedy na garaż na trzy auta. Tuż za nią kolejny budynek. Dom dla dozorczy, a może domek zabaw dla uprzywilejowanych dzieci z rodziny, która przed stu laty wybudowała tę posiadłość.

Wyobrażałam sobie kiedyś chłopca i dziewczynkę, z jasnymi, kręconymi lokami, on w sztywnym niebieskim mundurku, ona w różowej sukience z falbanami, jak biegną za staroświecką skórzaną piłką po trawniku. Na tyłach posiadłości był też staw, w którym w gorące letnie dni można było popływać.

Nigdy do niego nie doszłam. Nigdy nie wsunęłam nawet palca do nieruchomej wody. Obserwowałam tylko marszczącą się zielonkawą taflę z okna na drugim piętrze, próbując sobie wyobrazić rodzinę, dla której kiedyś wzniesiono tę letnią rezydencję. Zastanawiając się, co by pomyśleli, gdyby wiedzieli, czym się teraz stała.

Thomas ma latarkę. Puszczą moją rękę, żeby oświetlić okrągły podjazd, ale jego nie ma, są tylko chwasty i zarośla. Szuka fontanny, lecz albo się zawaliła, albo zupełnie zarosła.

Dzika natura lubi zabierać to, co do niej należy. I w tym przypadku ma rację.

– Coś pamiętasz? – pyta mnie cicho Thomas. Przedzieramy się naprzód wąską ścieżką, tylko ona pozostała z podjazdu.

– Jak po raz pierwszy wysiadłam z samochodu...

Jest kwiecień, słońce zachodzi, już czuję chłód. Jestem głodna, zmęczona, przestraszona. Ale nie okazuję tego. Pokerowa twarz, staram się być dzielna. Dopóki nie wyjdę z samochodu. Podnieś wzrok i zobacz...

– To było piękne – szepczę. – Jak w bajce. Zwłaszcza dla dziewczynki z miasta. Jedyne, co dotąd znałam, to ciasne mieszkania i czynszowe kamienice. A teraz trafiłam tu i zobaczyłam to.

– Już wtedy wszystko się sypało – stwierdza Thomas. Mówi to tak, jakby przepraszał. W lewej ręce wciąż trzyma szpadel. – Po śmierci ojca nie mieliśmy pieniędzy, żeby to utrzymać. Nawet gdy matka zaczęła realizować... ten swój pomysł na biznes... Dom już nigdy nie był taki sam. Kiedyś się nad tym zastanawiałem. Że może domy mają dusze. Nie wystarczy je remontować i odmalowywać. Trzeba je odświeżać. Miłością, śmiechem, życiem. Sam nie wiem. Ale gdy ojciec umarł, to, co moja matka zrobiła z tym domem, temu domowi... On już nigdy nie był taki sam.

Wchodzimy głębiej w zarośla.

Kiedyś była tu piękna zadaszona weranda. Pomalowane na biało poręcze, rzeźbione zdobienia. Gdy zamykam oczy, wciąż widzę ją oczyma wyobraźni. Lecz gdy je otwieram, wodząc wzrokiem za światłem latarki Thomasa, zdumiewam się, że to wszystko wcale nie było takie duże, jak mi się wydawało. Werandy oczywiście nie ma. Domu także. Zostały tylko fundamenty, stos wielkich

granitowych bloków, takich, jakich się dawniej używało...

Thomas znał się tylko na ogniu. A zniszczenie tych fundamentów wymagałoby dynamitu.

– Gdy moja matka przywiozła cię tutaj – mówi – powiedziała, że jesteś jej nową podopieczną. Taki miała plan po śmierci ojca. Mieliśmy duży dom, tyle wolnych pokoi. Postanowiła zostać rodziną zastępczą. Dla pieniędzy, oczywiście. Nigdy nie udawała, że jest inaczej.

– Pod nasz dom podjechał samochód – odpowiadam. – Mama kazała mi wsiąść. I robić wszystko, co każe ta kobieta. To nie był pierwszy raz.

– Przykro mi.

– Nie spodziewałam się, że mnie wywiozą. Ale kiedy po raz pierwszy zobaczyłam to miejsce... Było takie piękne w porównaniu z wszystkim, co dotąd widziałam. I jedzenie też było lepsze.

– Na początku jej wierzyłem – ciągnął Thomas. – To miało sens. Państwo płaci przecież na takie dzieci, a wiedziałem, że potrzebujemy gotówki. Matka tylko o tym mówiła. Ten mój beznadziejny ojciec, który naobiecował jej to i tamto, ale okazał się nieudacznikiem, odszedł i umarł...

Thomas patrzy na mnie. Trudno w ciemnościach odczytać wyraz jego twarzy, ale gdy się znowu odzywa, jego głos jest opanowany i szczerzy.

– Nienawidziłem jej. Na pewno wiesz. Robiła to, to wszystko, z czystej chciwości. Bo należało jej się życie pełne luksusu. Gdy ojciec ją zawiódł, cóż, taki był logiczny krok. Przyjęła dzieci „pod opiekę”, wszystkie były ślicznymi, młodymi dziewczynami. A potem zaczęła urządzać wystawne przyjęcia. Żeby poznać sąsiadów, mówiła. Ja sam byłem bardzo młody, całe lata mi zajęło, zanim zauważyłem, że jej goście to sami starsi, bogaci mężczyźni. I żaden z nich nie wracał do domu po kolacji.

Jesteśmy już na tyle blisko, że możemy wejść na pierwszy z granitowych bloków. Nie chcę patrzeć na dół, który kiedyś był piwnicą tego domu, ale nie mogę się powstrzymać. Przysięgam, że czuję dym, ale nie ma tu już żadnych zwęglonych resztek drewna. Widzę tylko gęstą zielenią, pnącza i chwasty, które zarosły fundamenty tego wspaniałego kiedyś domu.

Żar – myślę. Jeśli zamknę oczy, poczuję go znowu na policzkach.

I usłyszę jej krzyki.

Cofam się gwałtownie, a przez to zsuwam się z granitowego bloku. Thomas próbuje mnie złapać, ale jest za późno. Łąduję twardo, uderzając podbródkiem o kant prostopadłego bloku. Krew. Ból.

Dym. Ogień.

Krzyki.

Nie potrafię się powstrzymać. Wyciągam rękę. Proszę, błagam.

– Ratuj ją. Na litość boską. Proszę!

Thomas się nie porusza. Jego twarz ma ponury wyraz, gdy stoi tam, z latarką w jednej ręce, a szpadlem w drugiej. On wie. O co proszę. Co w końcu sobie przypomniałam.

Ale choć ja płaczę, jego oczy pozostają suche.

– Przepraszam – mówi, ale nie jestem pewna, co ma na myśli. Przeprasza za to, co stało się wtedy, czy za to, co musi stać się teraz?

– Pierwsze dwie dziewczyny, które przyjechały – mówi, schodząc z granitowego bloku – były starsze. Miały piętnaście, szesnaście lat. Ja wtedy może pięć? Nie zastanawiałem się nad tym. Matka powiedziała, że nie mają rodzin. A my je przyjmujemy. I tak zrobiliśmy. Teraz myślę, że to zaczęło się wtedy. Może one już były prostytutkami. Albo po prostu dziewczynami, które... mają trudną przeszłość. – Zerka na mnie. – Mój ojciec może nie zarabiał tyle, ile oczekiwała matka, ale pochodził z rodziny o bardzo dobrych koneksjach. A ona o nie dbała. Najpierw były niewielkie, intymne kolacje, na które zapraszała sąsiadów i znajomych rodziny. Matka nie wydziwiała. Zwykle koktajle, skromne poczęstunki, by pochwalić się domem, przedstawić swoje nowe „córki”. Być może próbowała znaleźć sobie, nam, miejsce w społeczności, ale myślę, że miała ten plan od samego początku. Wiedziała, czego tak naprawdę chcą starsi, znudzeni i zamożni mężczyźni. Zaczęła od imprezy dla par, a potem mężowie mogli „wpadać”, żeby sprawdzić, czy moja matka nie potrzebuje pomocy, i posiedzieć sobie kilka godzin. Nie rozumiałem, co to oznaczało, ale zauważyłem zmiany. Coraz więcej odwiedzających nas mężczyzn. Dwie „przybrane córki”, które większość czasu spędzały na oprowadzaniu gości po domu ze szczególnym uwzględnieniem sypialni. Nie pamiętam już nawet ich imion, ale to wszystko zaczęło się od tamtych dwóch pierwszych dziewcząt.

Mam w głowie obrazy. Kobieta w średnim wieku w eleganckich lnianych spodniach pomaga mi wysiąść z samochodu. Prowadzi przez nieco zaniedbany, ale nigdyś wspaniały dom. Zabiera na górę schodami do wychodzącej na południe wieży.

To będzie twój pokój. Sypialnia w wieży. Rozgość się. Przyniosę ci ubranie.

Zamknęła drzwi. Na klucz? Nie jestem pewna. Może tak robiła na początku. Ale to nie miało znaczenia. Żyliśmy tam w izolacji, w posiadłości na zboczu góry, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów od cywilizacji. Dokąd miałabym pójść? Dokąd którekolwiek z nas mogło uciec?

Madame Sade nie potrzebowała uzbrojonych strażników ani widocznych zabezpieczeń. Miała zimny uśmiech i niezłomną wolę, które doskonale się sprawdzały.

Patrzę do góry. Nie widzę jej, ale wyczuwam, gdzie powinna być: trzypoziomowa, pokryta gontem wieżyczka na tle nocnego nieba.

– Uwielbiałam tamten pokój – szepczę.

– Zauważyłem cię w oknie – mówi Thomas. – Miałaś dziesięć lat, pierwsza tak mała dziewczynka, jaką przywiozła...

– Kupiła – mówię z goryczą.

Nie poprawia mnie.

– Mniej więcej w moim wieku. Byłem na zewnątrz i kosiłem trawę, bo każdy, nawet ja, musiał zarobić na swoje utrzymanie. Spojrzałem do góry. Zobaczyłem twoją twarz przyciśniętą do szyby. Byłaś taka poważna. A potem podniosłaś ręce, jakbyś chciała je do mnie wyciągnąć... I... Ja... Nie wiem, jak to wyjaśnić. Miałem dopiero dwanaście lat, ale tylko raz spojrzałem na ciebie i jakby mnie piorun raził. Zapragnąłem z tobą porozmawiać, zapragnąłem zostać twoim przyjacielem. Chciałem cię poznać, choć to było zabronione. Zasady zostały ustalone. Przybrane dzieci wychowują się osobno. Zajmuje się wami matka. Odwiedzają was goście. Ja mam się z wami nie kontaktować.

– Pomachałeś do mnie. – Na chwilę znowu mam dziesięć lat. Jestem samotna i przytłoczona tym eleganckim domem i świetnie ubraną kobietą, której zdążyłam się już przestraszyć. Jestem w najpiękniejszym pokoju, jaki kiedykolwiek widziałam, w najprawdziwszej wieży dla księżniczki, ale ja już wiem, że w życiu nie ma nic za darmo. Zapłacę za ten pokój. Zapłacę za ten dom.

A potem patrzę w dół. Widzę chłopca. Błysk uśmiechu. Szybki gest. Błyskawicznie chowa rękę za plecami i rozgląda się czujnie. Ale ja nie opuszczam ręki. Nadal przyciskam ją do szyby. Wyobrażam sobie w tym momencie, że stoję razem z nim na trawniku. Nadal się do mnie uśmiecha, a ja nie jestem już ani taka samotna, ani taka przestraszona.

Thomas ma rację. Nie wolno nam się było kontaktować. Ale na swój sposób stał się moją deską ratunkową, najważniejszym punktem monotonnej egzystencji w złotej klatce, gdzie tylko czeka się na zapadnięcie zmroku. Wszystkim rządziła madame Sade. To ona izolowała nas w tym domu, to ona wychwalała swoje zalety. *Popatrz na ten piękny dom, w którym pozwalam ci mieszkać. Popatrz na tę śliczną sukienkę, którą dla ciebie wybrałam. Ale ci się trafiło, że się tobą opiekuję, jesteś szczęściarą, że masz możliwość dojść do czegoś w życiu.*

I uśmiechała się tym swoim zimnym uśmiechem, który nigdy nie rozjaśniał jej oczu, a mądra dziewczynka robiła to, co jej każą. Mądra dziewczynka nie marzyła o życiu poza tymi ścianami.

Bo inaczej madame Sade zabierała jedzenie, darła ubrania, roztrzaskiwała nowe zabawki, choćby tę, którą dała ci zaledwie wczoraj. Wykręcała rękę do tyłu, tak mocno, że ledwo mogłaś oddychać, i wypominała wszystko, za co dla ciebie zapłaciła. O tak, nawet za samą siebie. Więc uspokój się, bądź cicho i zabawiaj tamtego mężczyznę, bo nikt nawet nie zauważy, jeśli jutro rano nie zejdziesz na śniadanie. W tym ciemnym, gęstym lesie niejedna rzecz już zaginęła. Niewdzięczne małe dziewczynki też.

Uspokajałam się. Byłam cicho. Zabawiałam tamtego mężczyznę.

Ale obserwowałam też chłopca, który kosił trawnik. Przyglądałam mu się spod przymrużonych rzęs, gdy przechodził przez posiadłość. Od czasu do czasu wymienialiśmy spojrzenia, mijając się w holu.

Vero miała magiczną królową i zagubioną księżniczkę z sekretnego królestwa.

A ja miałam długie fikcyjne rozmowy z chłopcem, którego nigdy oficjalnie nie poznałam. Oczywiście dopóki nie straciłam miejsca w sypialni w wieży.

Patrzę teraz w niebo, na puste miejsce na horyzoncie, które kiedyś zajmowała dwupiętrowa wieża. Ona jest blisko – myślę. Vero jest blisko. Jest obecna już nie tylko w moim umyśle, ale tutaj, w tych zarosniętych ruinach.

– Vero zajęła mój pokój – słyszę swój głos. – Przyjechała, a ja zostałam wyrzucona na dół.

Thomas nic nie mówi.

– Nienawidziłam jej za to. Nie musiałam. Mogło mi być jej żal. Była taka młodziutka, biedna dziewczynka oderwana od rodziny. Wiesz, słyszałam jej płacz co noc. Ale nie było mi jej żal. Tylko jej nienawidziłam.

– Dziel i rządź – mówi łagodnie Thomas. – Moja matka nie była głupia.

Nie patrzę już w górę. Wyczuwam zapach dymu i to, co ma się teraz stać... Prawdziwy powód, dla którego Thomas mnie tu przywiózł.

– Ja tylko chciałam odzyskać pokój – mówię cicho. To przeprosiny? Wobec niego, wobec niej, nie wiem. – Chciałam udawać, że jestem księżniczką. Bo ja przecież już wtedy wiedziałam, że jestem dziwką.

Thomas staje przede mną.

– To nie twoja wina. Nie rozumiesz? Dlatego musisz sobie przypomnieć, Nicky. Bo zapominając, co się wydarzyło, zapominasz też, dlaczego nie można cię za to winić.

– Nie. – Kręcę głową, a potem zmuszam się, żeby na niego spojrzeć i zaczerpnąć powietrza. – Ty nie rozumiesz. Vero to moja wina. To ja ją zabiłam. Od pierwszej chwili zaczęłam chować narkotyki i wiedziałam, że ona je znajdzie. Wiedziałam, że je wzięła. Nawet gorzej. Ja ją kochałam. Stała się moją małą siostrzyczką, której nigdy nie miałam, była moją najbliższą przyjaciółką. Rodziną. Moją jedyną rodziną. A ja ją zabiłam. Świadomie, z premedytacją. Pozwoliłam jej umrzeć, żebym ja mogła żyć.

Thomas uważnie mi się przygląda. A potem mówi coś niezwykłego:

– I wtedy co, Nicky? Vero wzięła narkotyki. Ale co się stało potem?

Rozdział 38

– Nie ma zasięgu – stwierdziła Tessa, przysuwając komórkę bliżej szyby samochodu, jakby to mogło pomóc. – Cholerne góry.

– Wiesz, gdzie teraz jesteśmy? – zapytał Wyatt. Bo miał wrażenie, że jeżdżą już całą wieczność i że Tessa ma rację. Widać tylko ciemne, niekończące się pasma gór.

– Nie, wiem tylko, gdzie już byliśmy.

– Powinniśmy być blisko.

– Jeśli mogę coś powiedzieć, to już samo to potwierdza jedną z twoich teorii. Jeździmy tak długo, a nie spotkaliśmy żywego ducha. Jeśli to rzeczywiście jest lokalizacja niesławnego domu dla lalek... To nie ma takiej możliwości, żeby Nicky Frank po wygrzebaniu się z ziemi złapała stopa i dojechała do Nowego Orleanu. Musiał jej ktoś pomóc.

– Thomas to nie tylko jej mąż. Był jej przepustką na wolność – zgodził się Wyatt.

– Ciekawa podstawa dla małżeństwa.

– A mimo to przetrwało dwadzieścia dwa lata.

– Nie brałabym pod uwagę ostatnich sześciu miesięcy – zaproponowała Tessa.

– Dobrze było, dopóki Nicky nie postanowiła, że chce się dowiedzieć prawdy o swojej przeszłości, bo tym samym wydała na siebie wyrok.

Wyatt nie odpowiedział od razu. To on pierwszy podał w wątpliwość dobre intencje Thomasa. Jak uczyniłby w przypadku każdego męża, którego żona w tajemniczy sposób ulega trzem wypadkom pod rząd. Nawet jeśli Nicky sama ściągnęła go na miejsce wypadku. I jeszcze to wideo. Coś w zapisie z kamery. Sposób, w jaki Nicky podeszła prosto do niego, jak podała mu rękę.

Strach i miłość.

Wyatt popełniał podstawowy błąd śledczego i zdawał sobie z tego sprawę. Patrzył na dwoje podejrzanych, Nicky i Thomasa Franków, i widział w nich siebie i Tessę.

– Daj spokój – powiedziała Tessa. – Nie mów mi, że nagle zostałeś fanem Thomasa Franka! Przecież on ma na swoim koncie przynajmniej to, że spotkał się ze swoją zdezorientowaną żoną w środę wieczorem, wręczył jej parę rękawiczek z podrobionymi odciskami palców, a potem przypiął ją pasem w samochodzie i zepchnął auto do jaru. To raczej nie są działania niewinnego człowieka.

– Fan to byłaby przesada. Muszę tylko powiedzieć, dla zasady, że samochodem tym było nowe audi Q5 z poduszkami powietrznymi i innymi bajerami. To raczej nie była śmiertelna pułapka. Poza tym zapiął jej pas.

– Raczej żeby zatrzeć ślady, żeby to wyglądało jak wypadek.

– Nicky była już wcześniej pijana. Sama się upiła. Żaden oficer śledczy nie zdziwiłby się, że nie zapięła pasów.

– Ale on nie jest oficerem śledczym.

– To prawda. Tylko że...

Spojrzała na niego.

– Wyduś to z siebie.

– Nie wiem. Glina, który we mnie siedzi, zgadza się z tobą. Z pewnością jest to człowiek, który ma dużo do ukrycia. Ale mimo to... Ponad dwadzieścia lat małżeństwa. Jak sama powiedziałaś. To, że ją tamtej nocy uratował, wcale nie znaczyło, że musiał się z nią ożenić. Nawet jeśli jego zadaniem było pilnowanie jej, trzymanie pod kontrolą dla madame Sade. Jak można udawać tego rodzaju relację przez dwadzieścia dwa lata? Nie wiem. Patrzyłem dzisiaj na ten zapis wideo... Coś w tym jest, jakaś dynamika, której jeszcze nie rozumiemy.

– Jesteś romantykiem – poinformowała go Tessa.

– Wolę określenie „otwarty umysł”.

– Ten jego portret. Thomas był w domu dla lalek. Wyraz jego twarzy na narysowanym przez nią szkicu. On nie był szczęśliwym dzieckiem. A to znaczy, że na pewno był częścią tego, co się tam wtedy działo. Nicky zaczyna sobie wszystko przypominać, a te wspomnienia stanowią dla niego zagrożenie.

– Sam był wtedy bardzo młody. Pewnie też był ofiarą.

– Ma bardzo twarde spojrzenie.

– Mnie się wydało pełne determinacji.

– Wyatt!

– Tesso!

– Wiesz, że cię kocham? – zapytał nagle.

Tessa znieruchomiała w fotelu pasażera. Wyraźnie zaskoczyły ją jego słowa, ale chyba nie do końca. Miłość i strach – pomyślał ponownie. Tylko nie między Nicky i Thomasem, a między nimi.

– Nie jestem w tym dobra – mruknęła Tessa.

– Tesso, o co chodzi?

– A nie moglibyśmy... skupić się na rozwiązaniu tej sprawy? Lubisz aresztować ludzi, ja też to lubię. Będzie dobrze.

– Chodzi o Sophie? – nie ustępował. – Bo ja umiem być cierpliwy, Tesso. Wiem, że jeszcze mnie do końca nie zaakceptowała. W porządku. Mamy dużo czasu.

Nie odpowiedziała.

Ostry zakręt. Skupił się na prowadzeniu.

– John Stephen Purcell – powiedziała nagle. – Policja właśnie znalazła pistolet, z którego go zastrzelono. Z tego co wiem, udało się zdjąć z niego odcisk palca.

Wyatt nie potrafił się powstrzymać. Wypuścił głośno powietrze.

– O to chodzi? O pistolet? I dlatego jesteś taka na dystans?

– Nie rozumiesz. John Stephen Purcell, człowiek, który zastrzelił Briana, mojego męża... – odpowiedziała znaczącym tonem.

– Nie, nie, nie – przerwał pośpiesznie, zaciskając dłonie na kierownicy. – Ja bardzo dużo rozumiem. Nie jesteśmy małżeństwem, więc nie mógłbym się wymigać od zeznań, w takim razie nie trzeba już nic mówić. Boże, Tesso. Myślałem, że chcesz ze mną zerwać.

Tessa zmarszczyła brwi.

– To cię nie martwi? Nie chodzi mi tylko o to, co mogła odkryć policja. Mówię o tym, co kiedyś zrobiłam.

Nie potrzebował nawet sekundy namysłu.

– Nie. Uratowałam Sophie. Tesso, ja wiem, kim jesteś. I dlatego tak bardzo cię kocham.

Umilkła. Ale to milczenie tym razem nie było ponure. Raczej refleksyjne.

Wyciągnął dłoń i wziął ją za rękę. Usłyszał, jak głęboko westchnęła.

– Tesso – powiedział lekkim tonem. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

– A gdybym nie miała wyboru? Jeden odcisk palca. To wystarczy.

– Poradzimy sobie. Dwoje mądrych ludzi z mnóstwem znajomych w policji i wśród prawników. Naprawdę myślisz, że sobie nie poradzimy?

– Nie mogę stracić Sophie.

– Wiem.

– Tysiąc dziewięćdziesiąt sześć dni. Wmawiałam sobie, że to wystarczy. Ale to nieprawda.

– Wiem.

– A do tego ten szczeniak. Nawet go jeszcze nie mamy, a ja już miałabym się z nim pożegnać. Nasza rodzina się zmienia, tak powiedziała Sophie. Nasza rodzina, moja rodzina. Nie mogę zrezygnować, Wyatt. Nie mogę was wszystkich stracić.

– I dlatego sobie poradzimy. Razem. Bo tak właśnie robią rodziny. Tak robimy my.

I nagle zrozumiał. Jak daleko może się posunąć mężczyzna dla kobiety, którą kocha. Albo co robił Thomas Frank tamtej nocy, na miejscu wypadku żony, z rękawiczką z podrobionymi odciskami palców.

Zdesperowany mąż, który dokonuje ostatniej rozpaczliwej próby...

– Stop! – krzyknęła Tessa. Odwróciła się, wskazując miejsce obok ciemnej drogi, które przed chwilą musnęły światła ich auta. – To nasz zakręt. Droga do domu dla lalek. Wyatt, jesteśmy na miejscu!

Rozdział 39

Nie mogę spokojnie stać. Thomas ma latarkę, ale ja nie chcę wiedzieć. Odchodzę od niego. Boli mnie głowa. Boli mnie serce. Przykładam dłonie do uszu, jakby to mogło pomóc, ale daremnie. Wciąż słyszę krzyki.

Ona tu jest. Czuję ją. W wietrze, w pnączach, w twardości granitowego fundamentu. A to sprawia, że przechodzi mnie dreszcz. Bo dawałam sobie radę z Vero w mojej głowie. Z dziewczyną, która przychodziła z wizytą. Ze szkieletem, który zostawał na herbatkę. Ale ta Vero...

Ta Vero może mnie skrzywdzić.

– Przez pierwsze pięć lat – mówi Thomas ze swojego miejsca na granitowych blokach – matka prowadziła ograniczoną działalność. Przyjmowaliśmy pod opiekę kilka dziewcząt naraz. Zawsze były to nastolatki. Były u nas rok albo dwa, a potem odchodziły. Starzały się... Ale potem matka zrobiła się bardziej chciwa. Do tego czasu nawiązała już pewne... znajomości w tej branży. Koniec z przysposabianiem dziewcząt. Po prostu sprowadzała małe prostytutki. Bezpośrednio od ich alfonsów. Albo, jak w twoim przypadku, kupowała je od ich rodzin. Bez świadków, bez kłopotów. Wszyscy jednakowo winni, tak? Wydaje mi się, że zaczęła też przyjmować zlecenia. Może od kilku klientów albo od najbogatszych. Nie jestem pewien. Ale dziewczyny były coraz młodsze. Na przykład ciebie sprowadziła, jak miałaś dziesięć lat. Tylko że to oznaczało pewne komplikacje. Młodsze dziewczynki niby łatwiej kontrolować, ale niektóre z jej nowych podopiecznych... Miały bardzo trudne dzieciństwo. Dorastały, kłamiąc, kradnąc i bijąc. Pamiętam, jak matka uderzyła kiedyś jedną w twarz. Przypadkiem wszedłem do pokoju, miałem wtedy ze trzynaście, czternaście lat. Zamarłem, byłem zszokowany. Ale wtedy ta dziewczynka, o połowę mniejsza od mojej matki... ona jej oddała. Więc matka podniosła stawkę. Zaczęła szprycować je narkotykami. Twierdząc, że to i tak narkomanki, a ona właściwie wyświadcza im przysługę, bo pomaga im uniknąć koszmaru detoksu.

Thomas umilkł i uśmiechnął się blado.

– Zabawne, jak można wiedzieć, że coś jest nie tak, ale nie dopuszczać do siebie myśli, że to prawda. Na przykład, gdybym przyznał, że moja matka jest kryminalistką, skoro dostarcza narkotyki uzależnionym, to musiałbym także przyznać, że popełnia przestępstwo, zamykając dziesięćlatkę w sypialni w wieży. Albo gorzej, małą Vero, która miała zaledwie sześć lat, gdy przestąpiła nasz próg. Nie umiałem... To była moja mama. A ja byłem tylko dzieckiem. Tak jak i wy, ja też nie miałem dokąd odejść.

Thomas schodzi z granitowego bloku. Staje przede mną, chce, żebym na niego spojrzała. Ale ja nie mogę. W mojej głowie wybuch za wybuchem,

a wspomnienia są i wyrazistsze, i bardziej przerażające, niżbym chciała.

Nowe dziewczyny były okropne, podłe i okrutne. Wcześniej każda zajmowała się sobą. Teraz muszę być uważna. Nie wystarczy nienawidzić mężczyzn. Trzeba jeszcze chować szczotkę do włosów, pilnować ubrań, strzec zapasów słodyczy.

One były starsze i mądrzejsze. Zwłaszcza w porównaniu ze mną i z Vero. Madame Sade postanowiła umieścić nas dwie w jednym pokoju.

W przeciwnym razie zjedzą was żywcem – poinformowała nas chłodnym tonem. – *Naprawdę. Otwórzcie oczy.*

Nienawidziłam Vero. Te podłe rzeczy, które robiły mi tamte dziewczyny, ja robiłam Vero. Zgodnie z teorią przenoszenia cierpienia dalej. I może właśnie to czyniło nas rodziną. Wielką dysfunkcyjną rodziną, w której wszyscy konkurują o to, by dokopać najsłabszemu.

Vero zaczęła snuć swoje opowieści. Szeptać je cichutko. Sekretne królestwa. Magiczna królowa. Porwana księżniczka.

Na początku myślałam, że ona się tylko tak pociesza. Ale potem...

Chciałam, żeby je opowiadała. *Opowiedz mi jeszcze o tej matce, która kochała swoją córkę. Opowiedz mi jeszcze o tej dziewczynce, która wie, że pewnego dnia wróci do domu.*

Powoli, ale nieuchronnie stawałyśmy się sojuszniczkami w coraz bardziej dusznym i ponurym domu dla lalek.

– Nie mogłem już dłużej udawać, że to jest normalne – odzywa się Thomas, jakby czytał mi w myślach. – W pewnym momencie nawet ja zrozumiałem, że większość rodzin zastępczych nie zamyka dzieci w wieżach, a prawdziwi kurierzy nie wyglądają tak podejrzanie i nie oblizują się za każdym razem, gdy jakaś dziewczynka wchodzi do pokoju. Sprzeciwiłem się matce. Przynajmniej spróbowałem. Powiedziałem, że nie powinniśmy być dłużej rodziną zastępczą. Martwiłem się o dziewczyny. Czy nie moglibyśmy po prostu... wrócić do tego, co było kiedyś? „Do czego? – wyśmiała mnie matka. – Do ubóstwa? Jeśli chcesz im pomóc – powiedziała – to przynajmniej mógłbyś mi pomagać przy zdobywaniu dla nich lekarstw”. I tak w wieku czternastu lat zacząłem jeździć samochodem do miasta, spotykałem się z „partnerami biznesowymi”, a potem wracałem do domu z narkotykami. A nie miałem nawet prawa jazdy. Co oczywiście oznaczało, że musiałem być po drodze wyjątkowo ostrożny. Byłem przerażony, że zgarnie mnie policja. Moja matka nie miała cierpliwości dla durniów, nawet dla własnego syna.

Patrzę na niego.

– Zostałeś dilerem. To ty robiłeś zakupy. To ty szprycowałeś nas tak, że nie wiedziałyśmy, kim jesteśmy!

Thomas nie zaprzeczył.

– Dokąd miałem pójść, Nicky? Co bym zrobił, gdyby matka mnie wyrzuciła?

Ona miała dar obarczania innych odpowiedzialnością. Wszystkich nas zamieniała we współników swojej zbrodni. Więc żadne z nas nie mogło uciec, bo wszyscy za bardzo baliśmy się konsekwencji.

Chcę się sprzeciwić. Chcę krzyczeć i wrzeszczeć, bo łatwiej byłoby obwiniać jego. Być może kiedyś nawet to robiłam. Ale teraz mam przed oczami ten obraz. Nastoletni chłopiec z burzą brązowych włosów, długie nogi i ręce, zbiega z frontowych schodów domu w jakimś celu. W ostatniej chwili odwraca się i patrzy. Wyraz jego twarzy. Frustracja, tęsknota i wściekłość. Zanim nie odwróci się z powrotem do samochodu.

On też był więźniem. Pamiętam, że wtedy tak pomyślałam. Ironią było to, że był jej synem, prawdziwym synem, a wydawał się taką samą ofiarą jak my.

Vero powiedziała kiedyś, że najbardziej jest jej żal właśnie jego. To nie było nasze miejsce. Ale Thomas miał rację: dokąd miałby pójść? Madame Sade stanowiła jego rodzinę. To był jego dom. Jak można od tego uciec?

Vero i ja wytrzymałyśmy dłużej niż większość. Ale w końcu lata beznadziei zebrały swoje żniwo. Vero coraz rzadziej opowiadała o magicznej królowej. Ja już nie wyobrażałam sobie długich, cichych rozmów z chłopcem, którego kiedyś obserwowałam na trawniku. Poddałyśmy się. Niepokojowi. Depresji. Lękom.

I wtedy, gdy odmówiłyśmy przyjścia wieczorem, gdy nie zrobiłyśmy tego, co nam kazano – bo jakie to miało znaczenie? – madame Sade podała nam narkotyki. Najpierw mnie. Potem Vero.

Powinnam była się sprzeciwić. Powinnam była uciec, walczyć, cokolwiek. Chciałabym być chociaż tą dziewczyną, która się broniła.

Ale nie robiłam tego. Stałam tam. Wyciągnęłam rękę. A gdy amfa trafiła do mojej żyły... To było jak olśnienie. Nagle poczułam, że żyję. Po raz pierwszy od lat.

A madame stała tam ze strzykawką i się uśmiechała.

Ona nie tylko czyniła z nas ofiary. Uczyła nas, żebyśmy same to robiły. Dostosuj się, żeby przetrwać. Więc tak robiliśmy. Właśnie tak.

Dopóki nie zaczęłam odkładać swoich działek.

– Zorientowałem się, co robisz – mówi teraz Thomas, z tą swoją osobliwą zdolnością czytania mi w myślach. – Zauważyłem po kilku dniach. Że nie masz szklanego wzroku, że jesteś czujna, szybciej reagujesz. Dalej przekazywałem twoje działki, a ty je brałaś, ale najwyraźniej... Nic nie powiedziałem. Jeśli nie chciałaś brać, nie miałem zamiaru na ciebie donosić. Podziwiałem cię, Nicky. Coś planowałaś. A ja pomyślałem, że najwyższa pora, żeby ktoś w końcu miał jakiś plan.

– Miałam już dosyć – mówię wprost. – I nie chodzi mi o bycie uzależnioną. Miałam dość życia. Mój pierwszy plan nie polegał na odstawieniu dragów i ucieczce. Kiedyś o tym myślałam. Ale nawet na trzeźwo... Gdybym tak po prostu

wyszła przez frontowe drzwi... Jednak w lesie nie było żadnej nadziei. Był zbyt gęsty, a teren zbyt stromy. W takim razie droga, ale tam po prostu posłałaby was, żebyście mnie złapali.

Thomas nie oponował. Tak by się właśnie stało i oboje o tym wiedzieliśmy.

– Moją pierwszą myślą nie była ucieczka. Zamierzałam przedawkować. Co oczywiście oznaczało, że muszę odłożyć sporą ilość. A potem wziąć ją naraz. Vero mnie obserwowała. Wiedziała, co robię. I pewnego dnia... To ona mi powiedziała, co robić. I chcesz usłyszeć coś zabawnego? – Uśmiecham się do Thomasa i nawet teraz, po tych wszystkich latach, moje oczy napełniają się łzami. – W pierwszej chwili pomyślałam, że chce przejąć mój zapas. Że kombinuje dla siebie, chce mną manipulować. I oczywiście nie chciałam słuchać. Ona miałaby przedawkować na moim zapasie? A ja zająć jej miejsce w worku na ciało? Nie ma mowy! Ale Vero... Ona zawsze umiała używać słów. Potrafiła snuć opowieści. *Vero chce latać* – mruczę. – Tyle lat minęło. Vero chciała latać. Wiedziała, że nigdy nie wróci do domu. Cierpiała, wiesz o tym. Wszyscy cierpieliśmy. Ale ona naprawdę umierała od środka. Trzymała się mnie. Mówiła, co musi się stać. Że jest tylko jeden sposób, żeby wydostać się z domu dla lalek. – Patrzę na Thomasa. – Byłyśmy tam tak długo – mówię łagodnie. – Inne dziewczyny, one przemijały. Ale Vero i ja, czy sądziłeś, że twoja matka kiedykolwiek pozwoli nam odejść?

Thomas nic nie mówi.

Wieje wiatr. A może to oddech Vero, która szepcze coś prosto w mój policzek. Jest tutaj. Ja wiem, że jest. Bo Vero tylko w połowie miała rację. Umarła. Ale wciąż nie wy dostała się z domu dla lalek.

– Wymigiwałam się od przyjmowania narkotyku. Odkładałam zapas. A potem, po szczególnie ciężkiej nocy... Vero to wszystko wzięła. Patrzyłam, jak podchodzi do mojego łóżka, jak grzebie pomiędzy sprężynami materaca. Patrzyłam, jak bierze wszystko. Patrzyłam, jak sobie wszystko wstrzykuje. Sprzeciw się. Działaj. Zabierz to. Wyrzuć. Mogłam zrobić tyle rzeczy. Ale nie zrobiłam. *Vero chce latać*. Więc patrzyłam, jak odlatuje.

– Żadna z dziewcząt wcześniej nie przedawkowała – mówi cicho Thomas. – Matka nie miała pojęcia, co robić. Raz po raz wysyłała mnie, żeby sprawdzić, co z Vero. Pamiętam, jak siedziałas skulona w kącie. Płakałaś.

Młody Thomas, chłopiec z szopą na głowie, pochylony nad Vero, sprawdzający jej tętno. Młody Thomas, który na mnie zerka. Nasze spojrzenia spotykają się. I przez krótką chwilę mam pewność, że on wie, co zrobiłam. Ale nic nie mówi.

Wychodzi z pokoju. Gdy wraca, widać, że decyzja została podjęta. Ostrożnie układa jej ciało na niebieskim dywaniku. Zwija go, powoli, wręcz delikatnie. Muszę odwrócić wzrok, bo patrzenie na to za bardzo boli.

– Później ją wyniosę – mówi do mnie. – Jak zapadnie zmrok. Dasz radę do

tego czasu?

Nie odpowiadam, tylko kiwam głową. Gdy podnoszę wzrok, on patrzy prosto na mnie. On wie, co zrobiłam – myślę ponownie. Pytanie brzmi, czy wie, co zrobię teraz.

Czekam większą część popołudnia. Może coś się zmieni. Thomas przyjdzie wcześniej. Madame Sade będzie chciała sama zobaczyć ciało Vero. W domu są jeszcze tylko dwie dziewczyny. Obie mają osiemnaście lat, obie są starsze ode mnie i Vero. Może będą chciały tu przyjść. Ale nic się nie dzieje.

Przez cały dzień w domu panuje cisza. Słychać tylko deszcz uderzający o szyby.

Listopad, najsmutniejszy miesiąc w roku.

Gdy niebo zaczyna ciemnieć, w końcu wstaję z podłogi. Rozwijam dywanik z ciałem Vero, nie tak powoli, nie tak delikatnie. Serce zbyt szybko mi bije. Jej ciało się przelewa, a moje drży. Chyba żadna z nas sobie nie radzi. W końcu wyplątuje ją z dywanika i kładę na łóżku. Zamieniam ubrania, naciągam pościel.

Kładę Vero spać w moim łóżku. A sama zawijam się w śmiertelny dywanik.

Pachnie nią. Migdałowym mydłem i waniliowym mleczkiem. Uśmiechem, którym promieniała, zanim dni stały się zbyt krótkie, a noce zbyt długie. Opowieściami, które snuła, gdy miała nadzieję, że zobaczy jeszcze swoją matkę.

Nienawidziłam jej. Ale potem ją pokochałam. Stała się jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek miałam. Młodszą siostrą, która była ode mnie ładniejsza, mądrzejsza i zabawniejsza, ale ja jej wszystko wybaczałam, bo kochała mnie bardziej, niż na to zasługiwałam, i obie o tym wiedziałyśmy.

Zastanawiam się, czy już uciekła. Do jakiegoś jasnego miejsca w niebie. A może z powrotem w kochające ramiona matki.

A potem płaczę, ale jestem cicho, bo tak nauczyłam się płakać w domu dla lalek – bezdźwięcznie.

W końcu na dole w holu rozlegają się kroki. Otwierają się drzwi. Długa przerwa.

To Thomas – przypominam sobie teraz. Wrócił, żeby zabrać ciało, zrobić to, co kazała mu matka.

Czuję, że się napinam. Zmuszam się, żeby się odprężyć. Nie mogę się bać – upominam samą siebie. Przecież nie żyję.

Dźwięk powoli zbliżających się kroków. Słyszę jego oddech, gdy się pochyla.

Nie rozwijaj. Nie sprawdzaj. A jeśli to zrobi?

Myślę o tym, jak kilka godzin wcześniej spotkały się nasze spojrzenia. Myślę o tym, że widziałam, w jaki sposób patrzył na ten dom. I już się nie boję.

Thomas bierze mnie na rękę. Wynosi mnie z pokoju, a potem znosi po schodach do holu.

– Czekaj! – władczy głos madame Sade.

– Tak, matko?

– Mam nadzieję, że nie jest ubrana. Wiesz, że ubrania są drogie. Czy ja tu widzę skarpetkę?

– Nie potrzebujesz tych ubrań.

– Nie bądź śmieszny. Połóż ją. Wystarczy, że straciłam dziewczynę. Możemy przynajmniej zachować ubrania.

– Nie.

– Co?

– Nie położę jej. Nie będę zdzierać ubrań z martwej dziewczyny. Powiedziałaś mi, żebym się nią zajął. I to właśnie robię. A teraz zejź mi z drogi albo sama wykopiesz dla niej grób.

Długa chwila ciszy. Staram się nie oddychać, nie słyszeć łomotania swojego serca. Bo czuję drżenie ramion Thomasa. I rozumiem, ile kosztuje go ta rozmowa. I ile może kosztować mnie.

I wtedy...

Thomas rusza dalej. Wychodzi przez frontowe drzwi, schodzi po schodach, na deszcz, choć nie od razu go czuję. Chroni mnie dywanik, jestem zagubiona w ciemnym świecie przytłumionych dźwięków.

Idzie bez końca. W każdym razie ja tak to czuję. Mokre liście, konary drzew, uderzam o coś stopą i uświadamiam sobie, że wniósł mnie do lasu. Oczywiście, gdzie najlepiej wykopać grób?

Dociera to do mnie powoli. Przerazenie rośnie. Jeśli trzyma mnie obiema rękami, to nie może jednocześnie nieść łopaty. To znaczy, że już był w lesie. Że już wykopał dół.

I teraz wrzuci mnie prosto do niego. Nie mam już czasu, żeby się przygotować. Nie ma już żadnego pewnego dnia, może, kiedyś. To już. Teraz.

Z całą pewnością.

Zatrzymuje się. Ciężko oddycha. I wtedy...

Upadam. W dół, w dół, w dół, w głębię ciemnej ziemi.

Czy krzyczę? Nie mogę krzyczeć. Już umarłam, umarłam, umarłam.

Ale krzyczę. W głębi umysłu wołam: Vero, Vero, Vero. Tak mi przykro, Vero.

Pierwsze uderzenie grudy mokrej ziemi. A potem kolejne. I kolejne.

Zamykam oczy, choć i tak nie widzę. Zaciskam dłonie, choć i tak nie mogę się ruszyć. Jestem martwa, martwa, martwa. Jestem Vero, wciśniętą w kąt szafy, zmuszającą się, by nie bać się ciemności.

Łopata pełna ziemi za łopata.

Ile czasu zajmuje zakopanie ciała? Nie wiem. Jestem zbyt zagubiona w ciemnościach swojego umysłu. Vero. Vero. Vero.

Ale dźwięk ustaje. Ucisk ziemi przestaje narastać.

I wtedy...

Panikuję. Nie wytrzymam ani sekundy dłużej. Wiję się, wykręcam i macham na wszystkie strony. I krzyczę. Głośno. Na pełen regulator. Długo, obłąkańczo, wysoko i żałośnie.

Byłam martwa, ale teraz żyję. Moje płuca krzyczą, szaleńczo domagając się powietrza.

Nagle widzę nad sobą niebo. Nie wiem, jak tego dokonałam, ale uwolniłam się. Czuję krople deszczu na policzkach. Czuję błoto na ustach. Otwieram je i łapczywie oddycham.

Zaraz potem słyszę głęboko wciągane powietrze. Thomas cofa się chwiejnie, ale dłoń wciąż zaciska na rogu dywaniku-całunu.

– To ty! – woła. – O mój Boże! To ty. Wiedziałem!

Thomas nie ucieka.

Wysłuchuje mojej opowieści. Potem splata swoje palce z moimi.

– A teraz zrobimy tak – mówi.

– Au... Ożeż, do cholery! Kiedy ta droga się skończy?

SUV Wyatta wpada w następną koleinę. Tessa podskakuje, uderza głową o szybę.

– To chyba nie jest droga – odpowiada Wyatt. – Raczej rozmyty podjazd.

– Z którego najwyraźniej nie korzystano od lat.

– Nieprawda. Spójrz na to. – Zahaczyli o kolejne nisko zwieszające się gałęzie, konary aż zaszurały, przesuwając się po dachu auta. – Świeżo ułamana gałąź.

– Nicky i Thomas?

– Tak bym obstawiał.

– Wyatt, nie ma możliwości, żeby przez całą drogę tutaj jechał za nimi inny samochód, a my byśmy go nie zauważyli. Droga była zbyt pusta, a na ten podjazd bardzo trudno trafić.

– Drugie auto musiałyby być tuż za nimi – zgodził się Wyatt.

– W takim razie wiedzieliby, że mają towarzystwo.

– Trzeci współnik zbrodni? – zapytał Wyatt.

Tessa wzruszyła ramionami.

– To musi być ktoś, kto wiedział, jak tu trafić.

– Więc albo współnik zbrodni, albo jakaś jeszcze mniej przyjemna niespodzianka z przeszłości. – Zerknął na nią, gdy samochód wpadł w koleinę. – Czuję, że robi się jeszcze ciekawiej. I to bardzo szybko.

Rozdział 40

– Uratowałeś mnie. – Patrzę na mojego męża, wspomnienie jest tak prawdziwe, tak wibrująco żywe, czuję, że niemal mogę sięgnąć ręką i go dotknąć.

– Słyszałaś to? – pyta gwałtownie. Thomas odwraca się, snop światła latarki skacze po ruinach, ale nie potrafię się skupić.

Z trudem oddycham. Cała się trzęsę i nie rozumiem tego. Jestem bezpieczna. Wydostałam się z grobu. Thomas mnie wyciągnął. Thomas mnie uratował.

Dwadzieścia dwa lata temu odnaleźliśmy się w ciemnościach.

Więc dlaczego serce zamiera mi w piersi w bolesnym uścisku?

– Powiedziałaś mi, żebym została w lesie – mówię cicho. Mówię w próżnię. Thomas zostawił mnie, podszedł bliżej stosu granitowych bloków. Wciąż trzyma w ręku szpadel. Po co go ze sobą wziął? – Powiedziałaś, żebym się ukrywała. I tak zrobiłam.

Dociera do mnie. Powoli. Niczym szept. Wiatr wiejący w policzek.

– Dym. – Zwracam się do męża. – W powietrzu czuć dym.

Zapach dymu. Żar ognia.

Krzyki.

Dym.

Wyciągam rękę, ale mojego męża znów nie ma. Stoi zbyt daleko, latarka drży mu w dłoni.

– Gdy wróciłem do domu, moja mama czekała na mnie we foyer – mówi. Jego głos brzmi dziwnie. Jest pełen napięcia. – Zaczęła jak zwykle od ciętych uwag. Nie nanieś błota. Nie rób tego. Nie rób tamtego. Zająłeś się ciałem? Tak? I... wtedy ją zobaczyłem. W końcu ją zobaczyłem. Nie była moją matką. Nie była nawet człowiekiem. Była potworem. Takim ze starego horroru. Pochłonęłaby nas wszystkich. I nic by to dla niej nie znaczyło. Powiedziałem jej, że mam dość. Powiedziałem, że odchodzę, że zabieram auto. I już. Śmiała się ze mnie. Dokąd pójde? Co będę robić? Jestem tylko dzieckiem. Nic nie wiem o prawdziwym świecie. A teraz mam iść na górę. Ale nie zrobiłem tego. Stałem tam. Nie ruszyłem się choćby o milimetr. Więc podeszła i uderzyła mnie w twarz. „Idź do swojego pokoju!” – krzyknęła. Jakbym naprawdę był małym dzieckiem, a nie synem, którego zmieniła w dilerę narkotyków, grabarza i Bóg jeden wie, kogo jeszcze. Nadal się nie ruszyłem. Uderzyła mnie znowu, a potem jeszcze raz. „Dość – powiedziałem, łapiąc ją za rękę. – To koniec”. Odepchnąłem ją i poszedłem do swojego pokoju na drugim piętrze. Chwyciłem jakieś ubrania i oczywiście zapas gotówki. Bo planowałem, że zrobię dokładnie to, co powiedziałem. Wrzucę wszystko do auta i odjadę. Gdy będę już w bezpiecznej odległości, zatrzymam się i wrócę do lasu po ciebie. Będzie idealnie, pomyślałem. Nie będzie mnie ścigać.

Byłem jej synem. I nie będzie ścigać ciebie, bo nie może sobie pozwolić na kolejne kłopoty, zwłaszcza że ma na głowie martwą Vero. Ale ona mnie nie puściła. Poszła za mną na górę. Wściekła i rozwrzeszczana. Dwie starsze dziewczyny wyszły, żeby zobaczyć, co się dzieje. Na półpiętrze matka mnie dogoniła. Uderzyła mnie w bok głowy, a gdy mimo to nie zatrzymałem się, rzuciła się na mnie. Dosłownie mnie obezwładniła. Jakby wpadła w szal. Przypuszczam, że tak się dzieje, gdy nigdy wcześniej nikt niczego ci nie odmówił. Walczyliśmy. I wtedy...

Thomas przerywa. Stoi dwa, trzy metry ode mnie. Za daleko, bym widziała jego twarz.

– Spadła ze schodów – mówi obojętnym tonem. – Prosto na głowę. Usłyszeliśmy trzask. Złamała kark.

Otwieram usta. Zamykam je. Nie wiem, co powiedzieć.

– Powiedziałem dziewczynom, żeby uciekały. Tylko one były w domu i raczej jej nie żałowały. Dałem im kluczyki do auta. Już z własnej inicjatywy zabrały porcelanę, srebra, kryształy. Czemu nie? Z pewnością na nie zasłużyły. A potem... – Thomas waha się, jakby starał się nad sobą zapanować. – Gdybym po prostu wyszedł, zostawił ciało, to oczywiście byłoby dochodzenie. Więc uznałem, że muszę coś zrobić. To był wypadek, złamała kark. Może gdyby to wyglądało tak, że chciała szybko wybiec. Wiesz, jakby uciekała z pożaru.

W chwili, gdy wypowiada te słowa, znów przykładam rękę do uszu.

– Nie. – Nie mogę tego słuchać. Moje serce, które już wcześniej się śpieszyło, teraz bije trzy, cztery razy szybciej. Zapach dymu. Żar ognia. Jej krzyki. – Przestań, proszę, przestań.

Wiatr wieje mocniej, wzmacniając mój niepokój. Smaga nas oboje.

Ale Thomas nie przestaje.

– Nie wiedziałem, Nicky. Uwierz mi. Nie przyszłoby mi do głowy... Przyniosłem kanistry z benzyną z garażu. Rozlałem je we wszystkich pokojach na pierwszym piętrze i na półpiętrze, zaczynając od kominka, żeby wyglądało to tak, jakby wypadło z niego płonące polano i wzniciło pożar. Użyłem czterech kanistrów, bo padało, a ja chciałem to wszystko spalić. Ty wydostałaś się z grobu. Teraz ja starałem się zapewnić nam nowy początek. Gdy skończyłem, odniosłem puste kanistry po benzynie do garażu. I zacząłem rozrzucać zapalniczki, począwszy od sypialni na samym końcu pierwszego piętra i cofając się tyłem do drzwi. Mnóstwo, mnóstwo zapalek. I potem nagle... wiuuu! Nie miałem pojęcia. Może ściany domu od zewnątrz były mokre od deszczu, ale w ciągu setek lat drewno w środku wyschło na wiór. Przypaliłem sobie włoski na grzbietach dłoni, gdy biegłem przez foyer i wypadłem przez drzwi. To było piękne. I przerażające. A później usłyszałem jej krzyk.

– Nie. Nie. Błagam, przestań. – Zginam się wpół, z dłońmi wciąż przy uszach. Łzy płyną mi po twarzy.

Lecz Thomas nie przestaje. Podchodzi coraz bliżej. Nie może przestać mówić. A ja, teraz, po tych wszystkich latach, w końcu nie mogę przestać pamiętać.

– Nie umarła – szepcze. – Jedno dziecko sprawdzało drugie dziecko, a nigdy nie widzieliśmy śmierci z przedawkowania. Może była nieprzytomna albo jak w śpiączce. Nie wiem. Ale wybuchł pożar i się ocknęła.

Jestem w lesie. Czuję dym. Aż swędzi mnie w nosie. Kto by rozpałał ognisko w deszczu?

I wtedy słyszę pierwszy krzyk. Krzyk Vero.

– Nie mogła zejść na dół. Schody na piętrze były już całkiem zajęte. Musiała iść na górę. By uciec przed ogniem.

Biegnę. Przez las, mokre gałęzie smagają mnie po twarzy. Nic mnie nie obchodzi gniew madame Sade czy piękne obietnice Thomasa. Muszę dostać się do Vero. Ona krzyczy moje imię.

– Widziałem ją – mówi Thomas, latarka trzęsie mu się w jednej ręce, a szpadel w drugiej. – Na górze, w sypialni na wieży, jak uderza pięściami w okno. Próbowałem, Nicky. Ruszyłem do drzwi, ale był za duży żar. Więc pobiegłem do garażu, tam, gdzie trzymaliśmy drabinę.

Zauważam ją z daleka. Vero w sypialni księżniczki. Patrzy w dół na mnie. Widzę, jak za jej głową tańczą pomarańczowe płomienie.

Vero już nie krzyczy. Vero przyciska dłonie do szyby. Wyciąga do mnie ręce, tak jak ja wyciągam moją do niej. Wciąż biegnę. Jak najszybciej. Próbując... Sama nie wiem co.

Po prostu pędzę ku niej, wołając jej imię.

Teraz to ja krzyczę jej imię.

Znika. W następnej chwili brzęczy szkło. Przez okno wypada krzesło. Jedno z tych małych od dziecięcego stolika. Ogień hukiem wyraża wdzięczność za dopływ świeżego powietrza i łapczywie je pożera.

Kolejne krzesło. Teraz obie szyby są potłuczone. Vero wraca, stoi wśród ostrych krawędzi wybitego szkła. Cała krwawi. Jej ręce, stopy, twarz.

Nie zwraca na to uwagi.

Zapach dymu. Żar ognia.

Podnosi ręce nad głowę. Zamyka oczy. Unosi twarz do nocnego nieba.

Vero chce latać.

Krzyczę.

Ona nie wydaje żadnego dźwięku.

Rzuca się w powietrze. Byle dalej od ognia. Dalej od płomieni.

Jej ciemne włosy falują za nią. Kwiecisty szlafrok rozkłada się niczym skrzydła.

Vero chce latać.

Kolejny krzyk. To Thomas, który biegnie tuż za mną. Ale jest za późno. Żadne z nas już nie może zrobić.

To lądowanie jest tym, co trudne.

Vero spada, spada i spada. Uderza o ziemię. Błada, poskręcana kupka, która już się nie rusza.

– Zanim wróciłem, było za późno. Nie wiedziałem, że dom może tak płonąć – mówi cicho Thomas. – Ja nie... My byliśmy tylko dziećmi, Nicky. O wielu rzeczach nie wiedzieliśmy.

Nie mogę na niego patrzeć. Mam złamane serce. Tak jak w tamten dzień. Bo on ma rację. To wszystko była nasza wina. To wcale nie była nasza wina. My tylko próbowaliśmy przetrwać coś, co w ogóle nie powinno stać się naszym udziałem.

Thomas zabrał mnie stamtąd tamtego dnia. Wsadził mnie do auta swojej matki, a ja zwinęłam się na siedzeniu pasażera w mokrą i trzęsącą się kulkę. Dom spłonął. Vero umarła. Thomas zawiózł nas do Nowego Orleanu.

Przez kolejne dni i tygodnie ledwo funkcjonowałam. Jeśli zasnęłam, budziłam się z krzykiem. Jeśli nie spałam, to cały czas płakałam.

Thomas znalazł nam dach nad głową. Kupił jedzenie. W dzień pracował na planie filmowym, a w nocy trzymał mnie w ramionach. Ja też starałam się jakoś pozbierać, ale mi nie wychodziło.

Aż cztery tygodnie później, robiąc pranie, znalazłam w kieszeni Thomasa zdjęcie. Musiał je zabrać, gdy nikt nie widział. Zdjęcie dziesięcioletniej dziewczynki w sukience w kwiaty. Mnie.

I wtedy się załamalam. Nie umiem tego inaczej wyrazić. Patrzyłam na siebie i widziałam Vero. Pamiętałam Vero i widziałam siebie i... Nie mogłam... Po prostu nie mogłam.

Thomas wrócił do domu. Powitałam go informacją, że wyjeżdżam, że znikam. Umarłam, więc teraz pora być martwą. Koniec z Chelsea. Koniec z Vero. Przeprowadzę się, przybiorę nowe imię, zamieszkam w nowym miejscu, zdobędę nowe doświadczenia. To dla mnie jedyna możliwość.

A on powiedział „tak”.

W pierwszej chwili nie zrozumiałam. A później on podszedł do komody, wrzucił parę swoich ubrań do torby i oznajmił, że jest gotowy. Jeśli chcę wyjechać, możemy od razu. Jeśli potrzebuję nowego nazwiska, on też takie przybierze. Jeśli chcę nowego początku, on robi to ze mną.

Kochał mnie. Poszedłby wszędzie, zrobiłby wszystko, byłby kimkolwiek, żeby tylko być ze mną.

I tak zrobiliśmy. I robiliśmy to przez dwadzieścia dwa lata.

– Jak ci się to udało? – pytam go teraz. Bo tego właśnie nie rozumiem. Jak tamta noc mogła mnie doszczętnie załamać, a mojego męża uczynić tak silnym.

– Ty byłaś tym, czego pragnąłem, Nicky. Obserwowałem cię, czekałem na

ciebie, nawet nie umiem powiedzieć jak długo. Zawiodłem Vero. Wiem o tym. Zawiodłem nas wszystkich, bo nie zadziałałem wcześniej, nie sprzeciwiłem się swojej matce. Wierz mi, na początku raz za razem odgrywałem to w swojej głowie. Wszystko, co mogłem i powinienem był zrobić. Ale nie mogłem się już cofnąć. Więc postanowiłem pójść do przodu. Przysiągłem, że uczynię cię szczęśliwą, choćby miało mi to zająć całe życie. I to właśnie robiłem. Kochałem cię. Tylko że tobie to nie wystarczało.

– Tęsknię za nią.

– Wiem.

– Powinna była uwolnić nas obie – oznajmiam gorączkowo. – Powinna być mądrzejsza. Ona już wtedy była taka zagubiona, taka smutna. Już nawet nie snuła tych swoich opowieści. Ale może... Gdyby udało mi się ją stamtąd wydostać. Zwrócić ją do jej sekretnego królestwa, do magicznej królowej. Była przecież małą dziewczynką, która tęskniła do swojej mamy.

– To by nie zadziało.

– Ale mogło...

– Nie, nie mogło. Nicky, odwróć się.

Ostry ton, który przybrał jego głos, zaskakuje mnie. Jest niczym wymierzony policzek.

Uświadamiam sobie, że wiatr przestał wiać. Noc jest zupełnie spokojna. Całkiem cicha.

Odwracam się. Bardzo powoli. Żeby dostrzec, że w świetle latarki Thomasa stoi Marlene Bilek.

Jej twarz wykrzywia grymas, którego nigdy wcześniej nie widziałam. A w rękach trzyma pistolet.

Rozdział 41

– Mamy problem – powiedział do nich przez radio Kevin, gdy wjeżdżali dalej stromym, zrytym koleinami podjazdem.

– Jaki problem? – Wyatt musiał przekrzyczeć hałas żyłowanego silnika SUV-a.

– Marlene Bilek zniknęła. Wysłałem mundurowego, żeby ją zabrał, na twoją prośbę. W domu ciemno, samochodu nie ma na podjeździe. Zniknęła z radaru.

Wyatt zwrócił się do Tessy:

– Może miała ochotę porozmawiać na osobności z osobą, która ostatnia widziała jej córkę żywą?

– Wróciła do hotelu, zauważyła Nicky z Thomasem i postanowiła za nimi pojechać? – Tessa zmarszczyła brwi. – Ale po co? Przecież wie już, że Nicky to nie Vero.

– Nie, Nicky to ktoś o wiele ważniejszy. Nicky jest pamięcią Vero, chodzącym świadectwem życia młodziutkiej Vero.

– Uważasz, że Marlene martwiła się, że Nicky może wiedzieć o pieniądzach, które dostała po porwaniu Vero? Ale czemu nie dowiedziała się czegoś więcej wcześniej tego wieczoru?

– Nie mogła. Nie w naszej obecności. Wyobrażam sobie jednak, że zawróciła, żeby zadać więcej pytań. Może zobaczyła spotkanie Nicky z Thomasem i postanowiła za nimi pojechać.

Tessa pokręciła głową. Wciąż nie była przekonana.

– Ale nie mogła jechać tuż za nimi tak, żeby jej nie zauważyli...

– Owszem. Co dowodzi mojej wcześniejszej tezy. Jeśli to Marlene Bilek prowadziła drugie auto, to znaczy, że kiedyś już tutaj była.

– Zabiłaś moją córkę. – Marlene stoi tyłem do fundamentów, bliżej kolistego podjazdu. Jej twarz oświetla latarka Thomasa, ale noc jest zbyt ciemna, żeby dostrzec cokolwiek innego. Jej auto. Skąd przyszła. Czy jest sama.

Z całą pewnością przysłuchiwała się naszej podróży w przeszłość.

– To był wypadek – słyszę swoje słowa. Czy to nie dziwne przeproszać kobietę ze spluwą? A może to naturalna reakcja?

– Ona spłonęła. Tutaj. Tu, gdzie stał ten fikuśny dom.

Nic nie odpowiadam. Wydaje mi się, że Thomas stara się powoli zbliżyć, nie zwracając uwagi Marlene.

Bez powodzenia.

– Stój. Jeszcze jeden krok, a strzelę najpierw do niej. Wierz mi, to nie są żarty. Hank przede wszystkim nauczył mnie, jak posługiwać się bronią. Powiedział, że to dobre ćwiczenie dla kobiety, która większą część życia służyła

jako worek treningowy.

– Vero cię kochała.

Mówię to, by ją pocieszyć, ale Marlene raczej się wzdryga, wydaje się zaskoczona.

– Co ci powiedziała?

– W jakim sensie?

– Wiedziała? Domyśliła się? Mówiłaś, że słuchałaś, jak opowiadała o swoim życiu. Mój Boże. Ta kobieta powiedziała, że to dobry dom. Skąd mogłam wiedzieć, że jest inaczej? Miała eleganckie ciuchy, drogi samochód. Nie przysłoby mi do głowy. Nigdy w życiu!

Po raz pierwszy zaczynam rozumieć. A może to dlatego, że wiatr znów zaczął wiać. I zrobiło się zimno. Czuję na plecach lodowaty dreszcz.

Thomas przejmuje pałeczkę. Zatrzymał się dwa metry z tyłu, ale latarka nie drży mu już w dłoni.

– Sprzedała pani swoją córkę.

Wiatr muska nas coraz mocniej. Rozwiewa nam włosy.

Patrzę na Marlene, jakbym widziała ją pierwszy raz w życiu. Nie zaprzecza. Ależ oczywiście, madame Sade była przecież kobietą interesu. A po co ryzykować porywanie dzieci, skoro tak łatwo można je kupić?

– Byłam w potrzebie! Ronnie, to bicie... Nie mogłam już tego dłużej znieść. Nie rozumiesz, jak to jest być bezradną...

Śmieję się gorzko.

Marlene się czerwieni.

– Nie miałam pieniędzy. Nie byłam w stanie zająć się sobą, a co dopiero Vero. Nie wspominając o tym, jak Ronnie zaczął na nią patrzeć. To dla jej własnego dobra. Nie musicie mi wierzyć. Ale pewnego dnia od znajomej znajomej usłyszałam o kobiecie, która czasem przyjmuje do siebie dziewczynki. Mieszka w dużym, pięknym domu i chciała mieć więcej dzieci. I nawet rozdaje pieniądze. Żal jej samotnych matek. Tak mi mówili.

Nie potrafię się powstrzymać.

– Kto? Inne alkoholiczki i narkomanki? Kobiety, które gotowe były sprzedać własne dziecko dla następnej działki?

– Vero byłoby tam lepiej. Mogłabym zostawić Ronniego, stanąć na własnych nogach. Tylko że tamtego dnia w parku... Jedna z kobiet zauważyła, że Vero zniknęła. Nie miałam wyjścia. Musiałam udawać, że to porwanie. W przeciwnym razie policja by się domyśliła.

– Pamiętam – odezwał się nagle Thomas. – Moja matka była wściekła tego popołudnia. Cały wieczór mamrotała, że jak chce się mieć coś dobrze zrobione, to trzeba to zrobić samemu.

– To nie moja wina! Ale udało się. Policja prowadziła śledztwo, nic nie

znaleźli, rozeszło się. Twoja matka w końcu miała przecież Vero, a gdy kurz opadł, ja dostałam pieniądze.

Nagle sobie uświadamiam.

– Ja ciebie znam!

Marlene marszczy brwi.

– Nie rozumiem.

– To dlatego rozpoznałam cię w sklepie z alkoholami. Gdy tylko cię zobaczyłam, wiedziałam, że to ty. W połowie miałam rację. Tylko że to nie była pamięć Vero, to nie było wspomnienie tego, jak chowałaś w szafie małą dziewczynkę. To było tutaj. Dokładnie tutaj. Przyszłaś do tego domu, żeby osobiście odebrać pieniądze. I madame Sade na ciebie nawrzeszczała.

– Przyszłam po to, co mi się należało!

Wiatr, coraz ostrzejszy. I zimniejszy.

– Widziałaś ją? – słyszę swój szept. – Wtedy stała pewnie w oknie sypialni w wieży. Patrzyła prosto na kolisty podjazd. Widziała podjeżdżającą taksówkę. Obserwowała, jak jej matka wysiada, wchodzi po schodach. Tyle nocy płakała i błagała. Wreszcie przyjechałaś, żeby ją uratować.

Włosy tańczą mi wokół głowy. Na ramionach czuję gęsią skórę.

Widzę wszystko tak, jak nigdy wcześniej. Wiem to, czego wiedzieć nie mogę.

– Biję w szybę swoimi małymi piąstkami – słyszę swój szept. – Woła cię, podekscytowana, pełna nadziei. Vero ma sześć lat. Odnalazłaś ją. Wróci do domu. Tylko że drzwi wcale się nie otwierają. W końcu wychodzisz z domu. Schodzisz po schodach. Wsiadasz do taksówki, która czeka. Odjeżdżasz bez niej. Vero chce latać. Chce otworzyć okno i polecieć nad parapetem. Bo teraz już nic się nie liczy. Jej mama przyjechała. I odjechała. Kochała cię całym sercem. A ty je zламаłaś.

– To nie moja wina!

– Sprzedałaś własną córkę!

– I zapłaciłam za to. Wróciłam do Ronniego. Bił mnie jeszcze przez rok. Czy to się nie liczy? Spieprzyłam sprawę i zapłaciłam za to.

– Nie tak jak ona! A gdy już odeszłaś od Ronniego? Dlaczego nie poszłaś wtedy na policję? Dlaczego nie uratowałaś swojej córki?

Marlene nie odpowiada. Nie musi. Wiemy. Bo wtedy ją też by aresztowano. A która kobieta chce trafić do więzienia, skoro może zacząć nowe życie z innym mężczyzną, bogatsza o pięć tysięcy dolarów i sprytniejsza od wszystkich?

Podchodzę do niej. Pistolet drży w jej ręku. Nie obchodzi mnie to. Robię następny krok, a potem kolejny. Nie mam broni, latarki, niczego. Mam tylko gniew, ale to wystarczy.

– Co sobie o tobie pomyślą? Ta twoja nowa, lepsza rodzina? Gdy uświadomią sobie, co zrobiłaś swojemu pierwszemu dziecku? Wcale nie jesteś

ofiara. Jesteś potworem, którego Vero bała się w ciemnościach.

– Nie wiem. I nie zamierzam się dowiedzieć.

Marlene unosi pistolet. Patrzy mi prosto w oczy.

– Uciekaj! – krzyczy nagle Thomas.

Rzuca latarką. Czuję, jak ze świstem przelatuje obok mojego ucha, a zaraz potem trafia Marlene w twarz.

Marlene krzyczy, instynktownie sięgając do twarzy lewą ręką, choć prawą naciska spust.

Kula. Przysięgam, że ją widzę. Obserwuję, jak leci, wirując, przez noc prosto w moją pierś. Przez ułamek sekundy nic mnie to nie obchodzi. Rozkładam ramiona. Obejmuję swoją własną śmierć.

Bo tak właśnie miało być. Wiedziałam to od chwili, w której postawiłam stopę na tej posesji. Że tutaj umrę.

Takie jest życie w domu dla lalek.

I wtedy...

Przewracam się. Nie wiem ani jak, ani dlaczego. Bo nie mam czasu się zastanowić. Pada kolejny strzał. Thomas krzyczy, do niej, do mnie, nie mam pojęcia. Biegnie z uniesionym szpadlem, jakby atakował.

– Uciekaj! – wrzeszczy do mnie. – Uciekaj!

Więc biegnę przez łagodne pagórki, które podziwiałam z okna wieży w sypialni, prosto w kierunku lasu.

Kolejny okrzyk frustracji ze strony Marlene. Kolejny wystrzał z pistoletu. A potem głośny jęk, zdecydowanie męski. Thomas – myślę. Postrzeliła go.

Ale nie mogę zawrócić. Niesie mnie wiatr, zimny, zdecydowany. Biegnę do lasu.

– Vero! – krzyczę.

I wiem, że ona jest tu ze mną. Biegniemy razem, dwie małe dziewczynki, którym w końcu udało się uciec. Wyciągam rękę i ona tam jest.

– Strzały, padły strzały!

SUV Wyatta właśnie wjechał na wzgórze, gdy usłyszeli pierwszy strzał. Wyatt chwycił radio, a Tessa już odpinała swój pas.

– Tam – powiedziała, wskazując przez okno. – Światła. Obok tamtych zarośli.

Skręcił i zahamował. W oddali dostrzegł auto, które rozpoznał jako należące do Marlene Bilek. Wyciągnął broń, jednocześnie prosząc o wsparcie. Oboje z Tessą otworzyli drzwi i wykorzystali je jako osłonę. To, co się działo, miało miejsce poza zasięgiem reflektorów SUV-a. Raczej to słyszeli, niż widzieli.

Ciemne, poruszające się cienie dwóch zmagających się postaci. Kobięcy okrzyk frustracji, a potem kolejny wystrzał z broni. Przytłumiony jęk i druga postać upada na ziemię.

Thomas Frank – domyślił się Wyatt, bo był to ten większy cień.

– Marlene Bilek! – zawołał. – Tu policja. Niech pani rzuci broń!

Uniósł swój pistolet, ale z takiej odległości... w takich ciemnościach...

Marlene Bilek najwyraźniej doszła do tego samego wniosku. Bo w następnej sekundzie podniosła latarkę, a potem ruszyła biegiem po trawie.

– Ucieka! – krzyknęła Tessa.

– Albo goni. Gdzie Nicky?

– Cholera!

Oboje pobiegli w noc.

Liście smagają mnie po twarzy. Omijam drzewo, tylko po to, żeby zaplątać się w jakiś krzew. Las jest gęsty, mocno zarośnięty, a ja nie mam latarki, żeby znaleźć drogę. Już teraz macham rękami na wszystkie strony, przedzierając się przez zarośla niczym rozeźlony niedźwiedź.

Ona mnie znajdzie. Ma latarkę. I pistolet.

Zastrzeliła już Thomasa, a teraz kolej na mnie.

Umrę w tym lesie, tak jak umarłam dwadzieścia dwa lata temu.

Podczas gdy serce podchodzi mi do gardła, a łzy cieką po policzkach, zdumiewa mnie, jakie obrazy widzę w wyobraźni. Nie dotyczą domu dla lalek. Nie dotyczą Vero. Dotyczą Thomasa.

Biegnę, żeby ratować życie. Zbliżając się do swojej trzeciej śmierci, przede wszystkim wspominałam człowieka, który mnie kochał.

Dni, tygodnie i miesiące w domu dla lalek. Wymiana spojrzeń, ale nie słów. Współspiskowcy, zanim którekolwiek z nas odważyło się wspomnieć o zbrodni. Ale on wiedział i ja wiedziałam, że on wie, i to wystarczyło, żeby dać nam obojgu nadzieję.

Bo czymże jest miłość, jeśli nie ćwiczeniem się w wierze?

Noce, gdy nigdy mnie nie opuszczał. Płakałam i płakałam. Pomstowałam na niego, biłam go, obwinałam, błagałam. I on to przyjmował. Obejmował mnie, głaskał po włosach i szeptał, że wszystko będzie dobrze. Bo czymże jest miłość, jeśli nie wytrwałością?

Wybaczam ci – myślę, choć do tej chwili nie uświadamiałam sobie, jak bardzo obwiniam go za tamten pożar. Ale on ma rację. Byliśmy tylko dziećmi. Nie wiedzieliśmy, co robimy. I żadnego z nas w ogóle nie powinno tam być.

Vero to wie. Gdybym mogła się teraz zatrzymać, usiąść i wypić filiżankę herbaty, Vero miałaby na sobie swoją najładniejszą sukienkę. Objęłaby mnie, a ja oddałabym uścisk i mocno byśmy się do siebie przytuliły.

Bo czymże jest miłość, jeśli nie wybaczeniem?

Coraz więcej trzasków. Z tyłu. Coraz bliżej.

Biegnę na oślep. Może nawet kręcę się w kółko. Nie ma dokąd uciec. Dokoła tylko coraz wyższe drzewa i coraz gęściejsze zarośla. Docieram do małej polanki

i to koniec. Jestem uwięziona.

To już to. Na to czekałam dwadzieścia dwa lata.

Głęboki oddech. Zatrzymuję się, odwracam i przygotowuję na najgorsze.

Krzyki w oddali. To policja – uświadamiam sobie. Jest tutaj i działa. To znaczy, że jeśli uda mi się zyskać trochę czasu... Dwie minuty? Trzy, cztery, pięć?

Powinam wspiąć się na drzewo. Ale gdy próbuję jakieś wybrać, słyszę, że tuż za mną złamała się gałązka. Obracam się szybko i widzę Marlene Bilek.

Dla niej las też nie był łaskawy. Ma podrapaną, zakrwawioną twarz, z poplątanych włosów sterczą liście. Jej klatka piersiowa szybko się unosi, widać, że pogoń dodatkowo ją rozwścieczyła. Szarpie się trochę z pistoletem, ale zaraz jest gotowa.

– Nie ruszaj się – słyszę własne słowa.

Marszczy brwi.

– O czym ty mówisz?

– Ona tu jest. Nie czujesz jej? Jest tutaj. Tuż obok. Z nami.

– Dziewczyno, chyba za dużo razy uderzyłaś się w głowę.

– Poszłaby z tobą wszędzie, wiesz o tym. Do schroniska dla bezdomnych, do domu samotnej matki. Tak bardzo cię kochała. Byłaś całym jej światem. Jediną osobą, która o nią dbała.

– Przestań!

– Pamiętała tamtą noc. Gdy Ronnie tak strasznie ją zbił. Myślała, że to się nigdy nie skończy. Ale poszedł i ty przy niej byłaś, trzymałaś ją w ramionach. Szeptowała do niej przez całą noc. Błagałaś ją, żeby żyła. Słyszała każde słowo. To dla ciebie znowu wróciła.

Ręka Marlene drży. Zaciska usta, widzę, że chce położyć palec na spuście. Zastanawiam się, czy czuje, że łzy płyną jej po policzkach.

– Pięć tysięcy dolarów. Taka miłość, a ty sprzedawałaś ją za nędzne pięć patyków?

– Przestań!

Ale ja nie przestaję. Nie mogę.

– Powiedz jej, że ją kochasz. Teraz. Powiedz to. Czekala trzydzieści lat! Trzydzieści lat czekała, żebyś do niej wróciła. Trzydzieści lat czekała, żebyś przypomniała sobie, jak bardzo ją kochasz.

– Nie...

– Musisz!

– Nie mogę! Nie rozumiesz? Ja nie wiedziałam. Nie rozumiałam. Naprawdę wmawiałam sobie, że tak będzie najlepiej. A potem, gdy jej nie było, gdy uświadomiłam sobie, co zrobiłam... Nie było odwrotu. Nie rozumiesz? Wyrwałam sobie serce z piersi i nie było sposobu, żeby włożyć je z powrotem!

– Tęskniłaś za nią?

– Tak! Każdego dnia!
– Kochasz ją?
– Tak. Tak, tak, tak!
– Ona też cię kocha. Kocha cię i nienawidzi, i nie ma żadnego sposobu, bym mogła powstrzymać to, co stanie się teraz.

Marlene marszczy brwi.

– Dziecko, ty chyba oszalałaś! – Robi zdecydowany krok naprzód, jakby chciała skończyć to raz na zawsze...

Nie widzi tego, co ja wiem. Płatanina wciąż wystająca z ziemi po tych wszystkich latach. Bo wtedy też była ciemna noc, czas się skurczył, rozmazany widok przez łzy. Ciągnęłam ciało przez las, byle dalej od płomieni. Do wypełnionego do połowy grobu sprzed paru godzin. Przykucnęłam na piętach i gołymi rękami wybierałam ciężką, moką ziemię.

Oczywiście, byłam wycieńczona i w szoku. Nie kopałam głęboko, zanim złożyłam do ziemi mój najcenniejszy skarb. Jej bezwładne członki. Jej niewidzące, ale wpatrujące się we mnie szare oczy. Nie było czasu na poprawki. Musiało wystarczyć.

Zamknęłam jej oczy.

Pocałowałam w policzek.

Wyszeptałam: „Przepraszam”.

A potem rzuciłam kilka garści błota i uciekłam w noc.

Teraz idzie po mnie Marlene.

Robi krok do przodu.

Potyka się o pierwszą wystającą rzecz. Potem o drugą i trzecią. Wyrzuca lewą rękę, jakby chciała się przytrzymać, ale daremnie.

Przewraca się.

To przecież proste. Potykasz się, przewracasz i wstajesz.

Ale tym razem słyhać chrzęst. Na tyle głośny, by rozległo się echo, gdy głowa Marlene uderza o wyjątkowo okrągły i gładki kamień.

Taki, jaki dziewczynka mogłaby znaleźć w lesie i użyć do oznaczenia grobu swojej najlepszej przyjaciółki.

Wiatr znowu szepcze. Przysięgam, że słyszę jej głos. Czuję jej łzy. Zagubiona księżniczka z sekretnego królestwa w końcu po latach spotkała swoją magiczną królową...

Otwieram ramiona.

– Przepraszam – mówię. – Kocham cię, Vero.

Marlene już nie wstaje.

Kilka minut później Wyatt wbiega na polankę i gwałtownie się zatrzymuje, gdy światło latarki pada na mnie. Oświetla najpierw mnie, potem ciało, a na końcu przedmioty wystające z ziemi.

– Thomas? – pytam szybko.

– Tessa się nim zajmuje. Karetka już jedzie. – Podchodzi bliżej do ciała Marlene, światło latarki pełza po jej pękniętej czaszce i niewidzących oczach. Nie trzeba sprawdzać pulsu. To oczywiste zarówno dla mnie, jak i dla niego. Co się stało, to się nie odstanie.

Snop światła latarki wraca na ziemię obok jej stóp. Na stos kości wystających z ziemi.

Podnosi wzrok na mnie.

– Wyatt, poznaj Vero. Vero, to jest Wyatt.

A potem żadne z nas nic już nie mówi.

Rozdział 42

Umarłam już dwa razy.

Pamiętam uczucie bólu, palącego, ostrego, a potem zmęczenie, głębokie i obezwładniające. Wolałabym się położyć. Pragnęłam z tym skończyć. Ale nie zrobiłam tego. Zwalczyłam ból, zmęczenie, to cholerne białe światło. Wywalczyłam sobie powrót do krainy żywych.

Ze względu na Vero. Powróciłam z martwych dla niej.

A teraz potrafię iść do przodu dla siebie.

Marlene Bilek postrzeliła Thomasa w bok. Niezbyt poważnie, bo kula tylko prześlizgnęła się po żebrach i ani nie trafiła w żaden ważny narząd, ani nie utknęła. Mimo to spędziłam kilka bezsennych nocy przy szpitalnym łóżku, trzymając go za rękę i obserwując z niepokojem, jak jego klatka piersiowa powoli unosi się i opada.

Jak mu się to udało? – zastanawiałam się. Towarzyszył mi po trzech różnych wypadkach, gdy musiałam przespać ból, a on mógł tylko siedzieć, czekać, patrzeć i myśleć. Kochać kogoś tak mocno i być tak bezradnym.

Podziwiam mężczyznę, który jest moim mężem. Może i zajęło mi to dwadzieścia dwa lata, ale w końcu zaczynam doceniać, jakie mam szczęście. Że znalazłam miłość. Że zbudowałam swoje życie. Ja to wszystko naprawdę mam w zasięgu ręki.

I tylko ode mnie zależy, czy chwycę to obiema dłońmi i stwierdzę, że przyszłość należy do mnie.

Zaraz potem policja miała mnóstwo pytań. Staralam się jak najlepiej odpowiadać, a mój nowiusieńki prawnik, sprowadzony przez Tessę, przypominał wszystkim, jaka byłam młoda, gdy te wydarzenia miały miejsce, a także o tym, że też byłam ofiarą. Wszystko to stanowiło okoliczności łagodzące.

Z mojej własnej perspektywy... Czym właściwie jest pamięć? Co ktokolwiek z nas tak naprawdę wie o przeszłości? Opisałam ostatni wieczór z Vero najlepiej, jak pamiętam. Ale, co chyba mógłby poświadczyć sierżant Wyatt po spędzeniu ze mną kilku dni, prawda jest względna, a ludzki umysł skory do figli. To, co myślę, że wiem, a to, co rzeczywiście wiem... Mogę powiedzieć tyle: zapytajcie Vero. Spędźcie z nią popołudnie. Wypijcie herbatkę.

To przecież jej historia.

Ciało Marlene Bilek zostało odebrane przez jej męża, Hanka, i córkę, Hannah. Nie poprosili o spotkanie ze mną, a ja chyba nie mogłabym z nimi rozmawiać. Zbyt trudno jest mi patrzeć na Hannah, Vero w wersji 2.0, i nie myśleć o tym, co mogło być. Oni z kolei, jak mi się wydaje, mogą uważać mnie za osobę, która próbowała wykorzystać Marlene, twierdząc, że jest jej dawno zaginioną córką.

Czy wiedzą cokolwiek o podejrzeniach policji dotyczących zniknięcia Vero trzydzieści lat temu albo o tym, co Marlene robiła w tę ostatnią noc w lesie? Oficjalnie przyczyną jej zgonu był upadek. Poślizgnęła się i rozbiła sobie czaszkę. Widziałam to na własne oczy. Postrzeliła Thomasa, bez wątplenia. Z naszej perspektywy była agresorem i próbowała ukryć prawdę sprzed trzydziestu lat. Ale jej bliskim tak łatwo będzie wierzyć, że chciała się tylko zemścić na dwójce ludzi związanych z porwaniem Vero.

Przeszłość to przeszłość. Bez względu na to, jakie grzechy popełniła Marlene, już za nie zapłaciła. Widziałam jej ból na własne oczy. Patrzyłam, jak umiera.

Teraz to już sprawa między nią i Vero.

To przecież historia Vero.

Z nas dwojga to Thomas ma większe problemy z prawem. Po pierwsze, jest podejrzany w sprawie podpalenia naszego domu. Po drugie, może zostać oskarżony o preparowanie dowodów ze względu na odciski palców Veroniki Sellers znalezione w moim samochodzie. Do tego dochodzi kwestia niewyjaśnionego pożaru domu dla lalek, nie wspominając o śmierci jego matki przed dwudziestoma dwoma laty oraz niedawne odkrycie ludzkich szczątków na terenie posiadłości.

Ale nasz prawnik się nie martwi. Wygląda na to, że jesteśmy jedynymi świadkami tamtej nocy sprzed lat. I zgodnie oświadczamy, że matka Thomasa zmarła na skutek upadku ze schodów. A Vero dlatego, że wyskoczyła z drugiego piętra, uciekając przed pożarem. Rodzi się pytanie, skąd wziął się pożar, lecz najwyraźniej nie przechowano w tej sprawie żadnych dowodów. Małe miasteczko, ograniczone środki i tak dalej.

Jeśli chodzi o ostatnie wydarzenia... Trudno udowodnić, że Thomas spreparował fałszywe odciski palców, bo z jego drukarki 3D nic nie zostało. Skoro o pożarze mowa, śledczy znaleźli odciski palców Thomasa na kanistrze z benzyną. Ale to nic dziwnego, bo był przecież jego własnością.

Tessa powiedziała mi, lekko się uśmiechając, że pojedynczy odcisk palca nie jest tak dobrym dowodem, jak mogłoby się wydawać. Żeby mieć podstawy do oskarżenia, prokuratorzy potrzebują wielu dowodów, a najlepiej jeszcze świadków. W przeciwnym razie zawsze pozostają wątpliwości. A w czasach ogromnego zainteresowania mediów i opinii publicznej głośnymi sprawami... Prokuratorzy nie lubią wątpliwości. Wielu woli odłożyć na półkę daną sprawę, odcisk czy cokolwiek innego.

Tessa i Wyatt przyszli odwiedzić mnie dziś rano. Znalazłam dla mnie i Thomasa świetny domek do wynajęcia na czas jego rekonwalescencji. Myślę, że to pierwszy raz w trakcie naszego małżeństwa, gdy to ja sama wybrałam dla nas miejsce do życia. Miło jest wziąć sprawy w swoje ręce.

Miło też jest mieć swoje zdanie.

Thomas, w szpitalnym łóżku:

– Powinnaś odejść. Przybrać nowe imię, zacząć od początku. Uwolnić się, póki możesz. Na litość boską, Nicky. W każdej chwili mogą mnie aresztować za podpalenie. Nie wspominając o zaaranżowaniu twojego wypadku samochodowego. Jaki człowiek robi coś takiego?

– Kochasz mnie.

– Zdradziłem cię. Stworzyłem rękawiczkę z fałszywymi odciskami i chciałem dosłownie zamienić cię w martwą dziewczynkę.

– Tylko dlatego, że uważałeś, że to mnie uszczęśliwi. W końcu większość czasu spędzałam w jej towarzystwie. I wiadomo, jak nieudane były wszystkie inne moje wcielenia. Próbowaleś już miłości i akceptacji. Po dwudziestu dwóch latach doskonale rozumiem, że zdecydowałeś się na bardziej radykalne działania.

– Nie wiedziałem, że Marlene sprzedała Vero – mówi pośpiesznie, ściskając moją rękę. – Twoja reakcja na tę narzutę, a potem potrzeba, żeby wyśledzić matkę Vero... Myślałem, że jej potrzebujesz, że może w jakiś sposób jej miłość pomogłaby ci się pozbierać. Biorąc pod uwagę, jak niewiele wiedziałas o życiu Vero i jak pokiereszowany był twój umysł po dwóch upadkach... Pomyślałem, że jeśli policja zidentyfikuje cię jako Vero, to choćby z mieszanymi uczuciami, ale przyjmiesz jej imię. I może, choć tylko może, znajdziesz spokój.

– Tyle że policja nie tylko zidentyfikowała mnie jako Vero. Ścigali cię jako podejrzanego o spowodowanie wypadku samochodowego, a ty w związku z tym spaliłeś nasz dom, żeby ukryć ślady.

– Nie chciałem cię zostawić. Ale wydawało się, że to jedyny sposób, żeby zapewnić ci bezpieczeństwo.

– Nie mogę być Vero – mówię cicho. – Mogę być tylko sobą. Ale rozumiem, co zrobiłeś i dlaczego. I rozumiem, dlaczego tamtej nocy zabrałeś mnie z powrotem do tego domu, bo jeśli nie mogłam być Vero, to musiałam znaleźć sposób, żeby zmierzyć się z tym, co się stało, raz na zawsze. I dlatego wzięłeś ze sobą szpadel, prawda? Chciałeś zabrać mnie do ciała. Chciałeś wykopać ją, a potem razem zrobilibyśmy to, co powinniśmy byli zrobić dwadzieścia dwa lata temu. Sprowadzić do niej policję. Zapewnić Vero sprawiedliwość.

– Ja też pamiętam, Nicky. Tamtą noc... Cały czas pamiętam.

Teraz moja kolej, by uścisnąć jego rękę.

Po chwili Thomas, nie patrząc na mnie, mówi szybko:

– Nadal uważam, że powinnaś odejść. Ja jestem jedynym spadkobiercą tego przeklętego domu. Własność rodziny, to znaczy, że po tych wszystkich latach ziemia, spalone ruiny, wszystko należy do mnie. Dobrze, że chociaż władze stanu skremowały szczątki mojej matki. W przeciwnym razie tym też musiałbym się zająć.

– Nigdzie się nie wybieram.

Thomas: Czeka mnie prawniczy koszmar. Zajmie mi lata, żeby to wszystko

powyjaśniać. Nicky...

– Podoba mi się to imię. Myślę, że przy nim pozostanę. Nicky Frank. To silne imię. Pasuje do kobiety, która dwa razy powróciła z martwych.

– Czy to znowu odzywa się wstrząśnienie mózgu?

– Być może. A zostaniesz Thomasem Frankiem? Zostaniesz moim mężem?

Thomas nic nie mówi.

Ja: Nie odpowiadasz.

Thomas: ...

Ja: Ty płaczesz?

Thomas: Na litość boską, pochyl się niżej, żebym mógł cię pocałować.

Thomas pozostanie moim mężem. Będziemy żyć tutaj, choć niekoniecznie długo i szczęśliwie. Wciąż mam koszmary. Bóle głowy, problemy z koncentracją, lepsze i gorsze dni, nie wspominając o tym, że czekają mnie lata fizycznej i psychicznej rekonwalescencji.

Ale wszyscy mamy jakieś blizny. One świadczą o tym, że ocaleliśmy.

Wyatt powiedział mi, że za pomocą testów DNA potwierdzono, że kości znalezione w lesie to szczątki Veroniki Sellers.

Co więcej, rodzina Marlene odebrała je. Chcą pochować Veronicę obok Marlene. Matka i córka znowu razem.

Choć wiem to, co wiem, nie mogę oponować.

Dom. Tego właśnie chciała Vero. Tego chcieliśmy wszyscy. Wrócić do domu.

Tessa powiedziała, że biorą sobie z Wyattem szczeniaka. Wydaje mi się bardziej zrelaksowana niż ostatnio. Kilka razy przyłapuję ich na tym, jak uśmiechają się do siebie. Gdy wychodzą, on bierze ją za rękę, a ona nie ma nic przeciwko temu.

Myślę, że miła z nich para. Cieszę się, że siedzą bliżej siebie, dotykając się kolanami. Nie mogę się doczekać spotkania z ich szczeniakiem.

A teraz...

Thomas odpoczywa w sypialni. Na razie nie będzie mnie potrzebował.

Więc wyciągam narzutę. Wygodnie układam się na sofie.

Zamykam oczy... i piję z Vero herbatkę.

Posłowie i podziękowania

Do napisania powieści potrzeba całej wioski. Albo, tak jak w tym przypadku, całej armii specjalistów od medycyny. Zaczęłam *Dom dla lalek* od postaci kobiety, która doznała jakiegoś rodzaju urazu głowy, co sprawiło, że stała się obca dla samej siebie. A że uwielbiam szczęśliwe zakończenia, chciałam, żeby to był uraz poważny, wpływający na jej życie, ale mimo wszystko dający szansę na wyzdrowienie. Na scenę wkroczyły moja ulubiona farmaceutka, Margaret Charpentier, i jedna z jej studentek, Christine D'Amore, które natychmiast zasypały mnie informacjami o pourazowych uszkodzeniach mózgu, ich leczeniu oraz długoterminowych skutkach.

Zdecydowałam się też na sięgnięcie po radę przyjaciela i również autora thrillerów, doktora C.J. Lyonsa, który pomógł mi ukierunkować moje poszukiwania na syndrom powstrząsnieniowy, jednostkę chorobową, która ma tak szerokie spektrum objawów, że obejmuje niemal wszystko, na co chciałam skazać moją bohaterkę, przy jednoczesnym zachowaniu możliwości pozytywnego zakończenia. W prawdziwym życiu Nicky prawdopodobnie potrzebowałaby wielu lat, żeby odzyskać zdrowie po kilku wstrząśnieniach mózgu. Mimo to, jako wielka fanka szczęśliwych zakończeń, wolę od razu wyobrazić ją sobie wolną od bólów głowy.

Gdy już wybrałam uraz dla mojej bohaterki, to trzeba było jej tę krzywdę jakoś zrobić. Tu pojawia się Eric Holloman, specjalista od rekonstruowania wypadków. Mam nadzieję, że ucieszyło go doświadczenie tworzenia nieszczęścia od podstaw, zamiast jak zwykle analizować coś, co już się komuś przydarzyło. Nie każdy specjalista od fizyki ma okazję wznieść się na ten poziom wolności artystycznej.

Oczywiście wszelkie błędy czy nieścisłości są moje i tylko moje. Przyznaję, że nie znam się na diagnozach medycznych ani na rekonstrukcji wypadków samochodowych, bo nauka nie jest moją mocną stroną.

Natomiast praca policji to mój konik. Współpraca z porucznikiem Michaeliem Santucciem z komendy Carroll County jak zawsze była przyjemnością. Powiedzmy, że jeśli Wyatt robi coś naprawdę sprytnego i mądrego, to jest to właśnie cały Michael.

Notabene jeden z moich byłych konsultantów, emerytowany ekspert sądowy, Napoleon Brito, zadzwonił do mnie pewnego dnia z pomysłem na wykorzystanie drukarki 3D do zrobienia fałszywych odcisków palców. Biorąc pod uwagę, że słyszałam już o kontrowersjach związanych z tworzeniem plastikowych odlewów broni, pokusa zanurzenia się w świecie trójwymiarowego druku była nieodparta. I z tej okazji podziękowania należą się także Jeffowi Nicollowi z Ambix

Manufacturing w Albany, New Hampshire, który pozwolił mi osobiście zwiedzić jego wytwórnię plastikowych form i przyjrzeć się działaniu prawdziwej drukarki 3D.

Oczywiście mój własny mąż i fan technologii również pomagał przy tym projekcie. Anthony lubi narzekać, że jego diaboliczna małżonka wzbudza w nim lęk. Po spędzeniu popołudnia na słuchaniu jego i Jeffa z pasją dyskutujących o wykorzystaniu trójwymiarowego druku do wszelkich możliwych nikczemnych celów muszę przyznać: Doskonale cię rozumiem, skarbie! Naszej córce także należy się pochwała za słuzenie mi godnymi profesjonalnej stylistki poradami przed każdym z moich spotkań z mediami, nie wspominając o bezcennym wsparciu podczas rozgryzania uciążliwych komplikacji fabuły. Myśli, że wożę ją na jazdę konną z obowiązku. Tak naprawdę wrabiam ją w burzę mózgow nad moimi powieściami.

Gratuluje zwycięzcom corocznego konkursu Kill a Friend, Maim a Buddy na stronie LisaGardner.com, którego laureaci mogą uwiecznić czyjeś nazwisko na stronach moich powieści. Sally Schnettler wydała wyrok śmierci na Marlene Bilek, a Michelle Brown sprawiła, że Brittany Kline okazała się niezwykle intrygującą recepcjonistką. Natomiast zwyciężczyni międzynarodowej edycji konkursu, Berrin Vural Celik ze Stambułu, nazwała lekarkę Nicky na cześć swojej młodszej córki Sare Celik. Bardzo doceniam też Jean Huntoon, która wygrała możliwość zostania postacią w tej powieści za sprawą swojej hojnej darowizny dla stowarzyszenia Rozzie May Animal Alliance. Bardzo dziękuję za wsparcie tej wspaniałej organizacji, nie mówiąc już o kotach i psach z naszej okolicy.

Na koniec chciałabym upamiętnić Sierrę, naszego ukochanego owczarka szetlandzkiego i największego przytulaka w rodzinie. Straciliśmy ją w sierpniu. Wciąż za nią tęsknimy.

